



DYSERTACJE  
WYDZIAŁU  
NEOFILOLOGII  
UAM  
W POZNANIU  
(NOWA SERIA)

6

LITRATUROZNAWSTWO

KRZYSZTOF  
TYCZKO

*WARTKI NURT RZEKI –*  
IDEE HERMENEUTYKI  
RADYKALNEJ  
W TWÓRCZOŚCI  
WŁADIMIRA MAKANINA  
ORAZ MIKROPOWIEŚCI  
*ZA PÓŹNO I UTRATA*  
WŁADIMIRA MAKANINA



*WARTKI NURT RZEKI –*  
IDEE HERMENEUTYKI RADYKALNEJ  
W TWÓRCZOŚCI WŁADIMIRA MAKANINA  
ORAZ MIKROPOWIEŚCI  
*ZA PÓŹNO I UTRATA*  
WŁADIMIRA MAKANINA



KRZYSZTOF TYCZKO

*WARTKI NURT RZEKI –*  
IDEE HERMENEUTYKI RADYKALNEJ  
W TWÓRCZOŚCI WŁADIMIRA MAKANINA  
ORAZ MIKROPOWIEŚCI  
*ZA PÓŹNO I UTRATA*  
WŁADIMIRA MAKANINA



POZNAŃ 2020

Projekt okładki:  
Wydawnictwo Rys

Na okładce:  
Fragment fasady Biblioteki  
Wydziału Neofilologii UAM w Poznaniu

Recenzja wydawnicza:  
prof. UP dr hab. Aurelia Kotkiewicz

Copyright by:  
Krzysztof Tyczko

Copyright by:  
Wydawnictwo Rys

Copyright by:  
Vladimir Makanin estate, all rights reserved.  
Published by arrangement with ELKOST International literary agency, Barcelona, Spain.

**Redakcja Naukowa**  
**Dysertacji Wydziału Neofilologii UAM:**

Przewodniczący: prof. UAM dr hab. Dominika Skrzypek, prodziekan ds. nauki  
Wice-przewodniczący: prof. UAM dr hab. Marta Woźnicka

Członkowie:  
prof. UAM dr hab. Sylwia Adamczak-Krzysztofowicz  
prof. UAM dr hab. Barbara Łuczak  
prof. zw. dr hab. Piotr Muchowski  
prof. UAM dr hab. Wawrzyniec Popiel-Machnicki  
prof. UAM dr hab. Krzysztof Stroński  
prof. UAM dr hab. Janusz Taborek  
prof. UAM dr hab. Władysław Zabrocki

Wydanie I, Poznań 2020

**ISBN 978-83-66666-13-9**

**DOI**  
**10.48226/dwnuam.978-83-66666-13-9\_2020.6**

Wydanie:



Wydawnictwo Rys  
ul. Kolejowa 41  
62-070 Dąbrówka  
tel. 600 44 55 80  
e-mail: [tomasz.paluszynski@wydawnictworys.com](mailto:tomasz.paluszynski@wydawnictworys.com)  
[www.wydawnictworys.com](http://www.wydawnictworys.com)

# Spis treści

Od autora i tłumacza .....	7
----------------------------	---

## CZEŚĆ I

Wstęp. Polskie i rosyjskie badania nad twórczością Władimira Makanina ...	11
Dlaczego hermeneutyka radykalna? .....	25
Władimir Makanin jako hermeneuta i myśliciel.....	41
Kategoria <i>atopii</i> w kontekście książki Zuzanny Dziuban.....	59
Obcość.....	73
Bezdomność .....	85
Utrata.....	103
Bibliografia .....	117
Резюме.....	125

## CZEŚĆ II

Władimir Makanin, <i>Za późno</i> , tłum. Krzysztof Tyczeko .....	131
Władimir Makanin, <i>Utrata</i> , tłum. Krzysztof Tyczeko.....	213





## Od autora i tłumacza

Niniejsza książka składa się z dwóch części. Pierwszą stanowi tekst teoretyczny, w którym podejmuję się hermeneutycznej analizy zagadnień ontologii świata artystycznego Władimira Makanina i dowodzę, że to *upływ*, przejawiający się w myśleniu ontologicznym bez stabilizacyjno-metafizycznych chwytów, jest rdzeniem Makaninowskiej twórczości. Sporo miejsca poświęcam takim tekstom rosyjskiego prozaika jak *Andiegraund, ili gieroj naszego wriemieni, Ispug, Utrata, Łaz* czy *Pustynnoje miasto*. Druga część zaś to wykonane przeze mnie przekłady dwóch mikropowieści Władimira Makanina: *Utrata* (ros. *Ympama*, 1987) oraz *Za późno* (ros. *Omcmauuuü*, 1987). Twórczość Władimira Makanina znana jest w Polsce praktycznie tylko w wąskich kręgach literaturoznawców. Żywię nieustanną nadzieję, że publikacja dotąd nieobecnych na polskim rynku wydawniczym tekstów autora *Wartkiego nurtu rzeki* zainteresuje nie tylko specjalistów w dziedzinie literaturoznawstwa bądź filozofii, lecz także szersze grona czytelników.

Serdecznie dziękuję wszystkim, którzy przyczynili się do powstania niniejszej książki. Szczególną wdzięczność pragnę wyrazić mojej Mamie i Żonie za wsparcie, prof. dr hab. Beacie Waligórskiej-Olejniczak za nieocenioną pomoc i cierpliwość, prof. dr hab. Aurelii Kotkiewicz i dr hab. Beacie Pawletko za szczegółowe i cenne uwagi oraz p. Julii Dobrowolskiej z ELKOST International Literary Agency za życzliwość i gotowość do współpracy.



# CZEŚĆ I



## Wstęp. Polskie i rosyjskie badania nad twórczością Władimira Makanina

Władimir Makanin (1937-2017), jak zauważa Wanda Supa, przez wielu krytyków zaliczany jest do „najwybitniejszych współczesnych pisarzy rosyjskich”<sup>1</sup>. Z wykształcenia był matematykiem. Pasjonował się także szachami, co niejednokrotnie znajdowało wyraz w jego twórczości literackiej. Debiutował w 1967 roku powieścią *Priamaja linija*<sup>2</sup>. Jego twórczość przypada na przynajmniej dwa okresy polityczno-społeczne: do 1991 roku oraz po nim. Jego twórczość przez krytyków była zaliczana do różnych nurtów, jednak sam pisarz nie konkretyzował swojej przynależności, proponując zamiast krytyczno-literackiej terminologii perspektywę holistyczną, opartą na charakterystycznych „obrazach”:

**J. Ś.** Chciałbym zapytać o kwestie terminologiczne. Na określenie pańskiego pokolenia istnieją takie terminy jak „sorokaletnije”, „moskowskaja szkoła”, „siemidziesiątniki” itp. Lew Anninskij zalicza pana do młodszych „szestdziesiątników”, Ałła Marczenko uważa, że rozstał się pan z „szestdziesiątnikami”... A gdyby musiał pan, albo po prostu chciał nazwać swoje pokolenie, to jak by pan to zrobił?

**W. M.** Przede wszystkim kwestia terminów. „Sorokaletnije” i „moskowskaja szkoła” to według mnie terminy bezsensowne. One są nierealne, nic za nimi nie stoi. Ich istotą jest myślenie naszych krytyków, przyzwyczajonych do ram, na przykład „dieriewienskaja proza”, „wojennaja proza” itd., i gdy nastął moment naszego pojawienia się, nawet nie wiedzieli, jak nas nazwać, oprócz tego bezsensownego „sorokaletnije”.

[...] To jak z jabłkami: jest biały nalew – wczesne jabłka, później są jesienne – antonówka. Wszystkie one jednak należą do jednego roku. Po prostu dojrzewają w innym terminie, sezon

<sup>1</sup> W. Supa, *Twórczość Władimira Makanina – między realizmem a postmodernizmem*, [w:] *Szkoła moskiewska w literaturze rosyjskiej*, pod red. P. Fasta, K. Jastrzębskiej przy współpracy A. Mrózek, Częstochowa 2007, s. 7.

<sup>2</sup> В. С. Маканин, *Прямая линия* [w:] *Прямая линия (сборник)*, Moskwa 2010, s. 5-90. Wszystkie teksty Władimira Makanina, oprócz zamieszczonych tutaj tłumaczeń mikropowieści *Умрета* i *Отставший*, podaję wg wydań elektronicznych wydawnictwa Эксмо (wersja pdf A4).

jest ten sam. Ja bardziej patrzę na cały sezon. [...] Dla mnie to ludzie, a nie pokolenie<sup>3</sup>.

Obecnie badacze zgodni są co do trudności lub wprost niemożliwości zaklasyfikowania pisarstwa Makanina do konkretnej estetyki i nierzadko poprzestają na konstatacji jego inspiracji oraz granicznego charakteru. Tak pisze na ten temat krytyk Natalia Iwanowa:

Władimir Makanin to pisarz, którego nie sposób zaliczyć ani do radzieckiej, ani do postradzieckiej, ani nawet do undergroudowej literatury. Makanin jest poza kierunkami i trendami. Rosyjski pisarz czasów radzieckich – tak można by scharakteryzować jego twórczość w tamtym okresie. [...] W bardzo wyważony sposób (jego pierwszy zawód to matematyk) odkrywa pewne prawa, a następnie je opracowuje. Makanin to człowiek myślący. To pisarz nie tylko utalentowany, ale i mądry. Píše gorzkie teksty i przeczuwa w nich rozczarowania, które i tak później następują<sup>4</sup>.

Spod pióra Rosjanina wyszło wiele powieści, mikropowieści, opowiadań oraz kilka form na pograniczu eseistyki i literatury pięknej. Jego twórczość cechuje się, z jednej strony, wysokim stopniem różnorodności zastosowanych odniesień intertekstualnych, motywów, metafor i obrazów, o czym świadczą liczne prace poświęcone interpretacji świata przedstawionego; z drugiej zaś, co z kolei w ustach krytyków niejednokrotnie stanowiło zarzut wobec prozaika, charakteryzuje się dużą, chociaż usianą niejednoznacznościami, powtarzalnością. Dziś już jasne jest, iż Makanin od pierwszego do ostatniego tekstu rozwijał pewną koncepcję świata i człowieka, dzięki czemu możemy mówić o swoistej spójności filozoficznej jego uniwersum.

Niniejsza książka pomyślana została jako kolejna propozycja interpretacyjna obok prac Władimira Iwancowa, Tatiany Czurlajewej,

<sup>3</sup> Я. Свежий, Владимир Маканин. *Штрихи к портрету*, [w:] *Писарзе нови, zapomнiani i odkrywani na nowo*, pod red. P. Fasta i A. Skotnickiej-Maj, Katowice 1996, s. 144-145, tłum. K. Tyczko.

<sup>4</sup> *Зеленая лампа. Литературный дискуссионный клуб. Владимир Маканин*, [źródło elektroniczne] <http://herzenlib.ru/greenlamp/detail.php?ID> (dostęp 3.12.18), tłum. K. Tyczko.

Tamary Klimowej, Anny Skotnickiej, Janusza Świeżego, Joanny Kuli i innych – dziś już stosunkowo licznych – tekstów badaczy rosyjskich i polskich. Nie będzie ona *stricte* przeglądem biografii i dzieł, gdyż taka praca w rosyjskim oraz polskim literaturoznawstwie została już wykonana w sposób zadowalający. Przede wszystkim będzie mnie tutaj interesować kontekst hermeneutyczny pisarstwa Makanina. W kolejnych partiach wstępu szczegółowo wyjaśniam, skąd w ogóle taki pomysł oraz dlaczego dokonałem zawężenia do hermeneutyki radykalnej.

Na początku należy jeszcze stwierdzić, że w pracach różnych badaczy do tej pory pojawiały się wzmianki, czy też pewne możliwości, tropy dla rozwinięcia hermeneutycznego odczytania twórczości Makanina, jednak podobny projekt nie został nigdy zrealizowany. Mam nadzieję, że niniejsza praca choć po części wypełni tę lukę.

\* \* \*

Pisarstwo Władimira Makanina pod względem czytelnictwem w Polsce nie należy do popularnych. Widać to w znikomej ilości wydanych przekładów na język polski. W 1989 roku nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego ukazał się zbiór kilku mikropowieści i opowiadań Makanina, zatytułowany *Antylider*.<sup>5</sup> W 2009 roku zaś Dom Wydawniczy Rebis wydał powieść *Asan* w przekładzie Jerzego Redlicha. Napis na okładce głosi, że jest to „powieść o wojnie w Czeczenii, o jakiej dotąd nikt nie słyszał”<sup>6</sup>. Po polsku ukazały się także opowiadania: *Człowiek świty*<sup>7</sup>, *Właz*<sup>8</sup> oraz jeden rozdział powieści *Andiegraund, ili gieroj naszego wriemieni – Wygnanie*<sup>9</sup>. Przetłumaczone przeze mnie, lecz niewydane są także *Siuzet usriednienija, Kwazi, Łaz, Stoł, pokrytyj suknom i s grafinom posriedinie* oraz zamieszczone w niniejszej książce i publikowane po raz pierwszy po polsku *Za późno* (ros. *Otstawszij*) i *Utrata* (ros. *Utrata*). Polscy tłumacze kilkakrotnie próbowali zainte-

<sup>5</sup> W. Makanin, *Antylider*, tłum. Z. Gadzinianka, W. Karaczewska, E. Rojewska-Olejarczuk, A. Walenko, Warszawa 1989.

<sup>6</sup> W. Makanin, *Asan*, tłum. Jerzy Redlich, Poznań 2009.

<sup>7</sup> W. Makanin, *Człowiek świty*, tłum. M. Dutkowska [w:] *Człowiek z psim węchem. Opowiadania ironiczne*, Warszawa 1987.

<sup>8</sup> W. Makanin, *Właz*, tłum. A. Kunicka [w:] *Pieśni Słowian Wschodnich. Antologia nowej prozy rosyjskiej*, Warszawa 1995.

<sup>9</sup> W. Makanin, *Wygnanie*, tłum. P. Fast, „Opcje” 2004, nr 4.

resować wydawców tekstami autora *Gdzie niebo łączyło się z górami*, jednak nie udało się to w takiej skali, by proza Makanina na dobre zakorzeniła się w języku polskim. Pojedyncze publikacje z kolei, biorąc pod uwagę specyfikę Makaninowskiego pisarstwa, nie są w stanie ukazać nie-Rosjanom pełni świata artystycznego tego autora. Jak widać więc, dla polskiego czytelnika, nieznającego języka rosyjskiego, twórczość Makanina pozostaje trudno dostępna, a to, co się ukazało, stanowi tylko wycinek i tym samym duży skrót artystycznych dokonań prozaika. Co ciekawe jednak, cieszą się one dość dużym zainteresowaniem ze strony polskich rusycystów, co z kolei znajduje przełożenie na obecność analiz biografii i historyczno-literackiego kontekstu dzieł pisarza.

Nawiązując do kwestii dostępności twórczości Makanina warto wspomnieć też, że poza Rosją najwięcej jego utworów ukazało się po niemiecku i francusku, a w mniejszym stopniu także po angielsku, czesku, słowacku, holendersku, węgiersku oraz hiszpańsku. Makanin przyciąga uwagę slawistów również w Stanach Zjednoczonych. Szczególnie ciekawym źródłem w tym względzie jest obszerny artykuł o przyjeździe prozaika do Stanów Zjednoczonych, napisany w roku jego śmierci przez Mniszkę Aleksandrę, Rosjankę, slawistkę przez wiele lat mieszkającą w USA.<sup>10</sup> Makanin jawi się w nim jako długo wyczekiwany gość, darzony zainteresowaniem nie tylko przez emigrantów z ZSRR, lecz także przez amerykańskich uczonych i studentów.

Oprócz rosyjskich nagród literackich (Rosyjska Nagroda Bookera [1993] za mikropowieść *Stoł, pokrytyj suknom i s grafinom posieriedinie*; nagroda pisma „Nowyj mir” [1995] za opowiadanie *Kawkazskij plennyj*; Państwowa Nagroda Federacji Rosyjskiej w dziedzinie literatury [1999] za powieść *Andiegraund, ili Gieroj naszego wriemieni* oraz za opowiadanie *Kawkazskij plennyj*; nagroda pisma „Znamia” [2000] za mikropowieść *Udawszysia rasskaz o lubwi*; nagroda literacka „Bolszaja kniga” [2008] za powieść *Asan*; nagroda literacka „Jasnaja polana” [2016] za książkę *Gdzie schodziło niebo s chołmami*) oraz jedną tak zwaną antynagrodą NacWorst w kategorii najgorsza książka 2008 roku za powieść *Asan* Władimir Makanin otrzymał trzy nagrody europejskie: Nagrodę Puszkiniowską Fundacji Alfreda Toepfera (Niemcy,

<sup>10</sup> Монахиня Александра, Владимир Makanin и американские слависты в ноябре 1999, [źródło elektroniczne] <http://magazines.russ.ru/znamia/2018/3/vladimir-makanin-i-amerikanskije-slavisty-v-noyabre-1999.html> (dostęp 29.12.2018).



1998) za wkład w literaturę, włoską nagrodę „Penne” (2001) za powieść *Andiegraund, ili Gieroj naszego wriemieni* oraz – jako pierwszy Rosjanin – Europejską Nagrodę Literacką (2012). Jak wówczas zauważył portal *kino.mail.ru*: „Jury wyraziło przekonanie, że Makanin w pełnej mierze odpowiada typowi «europejskiego pisarza światowego poziomu». Nagrodę tę otrzymał za «ogólny wkład w literaturę»”<sup>11</sup>.

Najobszerniejszym polskim opracowaniem twórczości Rosjanina jest Joanny Kuli *Bohater końca XX wieku w prozie Władimira Makanina*. Książka ta została poświęcona namysłowi nad cechami szczególnymi bohaterów różnych tekstów prozaika w kontekście współczesnej kultury (przywoływani są tacy teoretycy jak Zygmunt Bauman, Gilles Deleuze, Hans Georg Gadamer, Francis Fukuyama, Martin Heidegger czy nawet Heraklit). Kula dochodzi do wniosku, że z „różnorodnych utworów [Makanina – K. T.] wyłania się spójny i konsekwentny obraz końca ubiegłego stulecia z człowiekiem jako dominantą”<sup>12</sup>. Ponadto, zdaniem badaczki, mimo iż bohater Makanina żyje w świecie spartykularyzowanym, to nieustannie potrzebuje „myśli i słowa, które pomogą mu wyrazić prawdziwą tęsknotę za utraconą jednością świata”<sup>13</sup>. Z perspektywy niniejszych rozważań są to istotne wnioski – na początkowym etapie swoich dociekań uznałem je za przesłankę uprawniającą do przeprowadzenia pogłębionego badania hermeneutycznego. „Trudno wpisać [spuściznę Makanina – K. T.] w ramki estetyki postmodernizmu, niemniej jest ona reprezentantem tej właśnie epoki, a jego teksty odpowiadają na aktualne wyzwania ponowoczesnej rzeczywistości”<sup>14</sup> – pisze Kula. Literaturoznawczyni stanęła przed charakterystycznym dla badaczy twórczości Makanina zadaniem, polegającym na konieczności teoretycznego zmierzenia się z podwójnym charakterem tego piśmarstwa: z jednej strony bowiem mamy do czynienia z wyjściem prozaika spod metafizycznego parasola, z drugiej zaś pisarz nie rezygnuje – i Kula dostrzega ten fakt – z narracji ontologicznej.

<sup>11</sup> *Российский писатель получил Европейскую премию по литературе*, [źródło elektroniczne] [https://kino.mail.ru/news/36506\\_rossijskij\\_pisatel\\_poluchil\\_evropejskuju\\_premiju\\_po\\_literature/](https://kino.mail.ru/news/36506_rossijskij_pisatel_poluchil_evropejskuju_premiju_po_literature/), tłum. K. Tyczko (dostęp 8.12.2018).

<sup>12</sup> J. Kula, *Bohater końca XX wieku w prozie Władimira Makanina*, Wrocław 2013, s. 183.

<sup>13</sup> Tamże, s. 186.

<sup>14</sup> Tamże, s. 186.

Na polskiej scenie badań nad pisarstwem Władimira Makanina bardzo ważnymi postaciami są także Anna Skotnicka i Janusz Świeży. Ich prace stanowią przekrojowe spojrzenie na twórczość autora *Kluczariowa i Alimuszkina*. Krakowska badaczka zwraca szczególną uwagę na zagadnienia egzystencjalne, analizuje występowanie tropów filozoficznych i poddaje je interpretacji. Literaturoznawczyni dostrzega niecałościowy charakter świata artystycznego Rosjanina i transponuje go na stan świadomości współczesnego człowieka. Wnioski Joanny Kuli w pewnym sensie więc odpowiadają ustaleniom krakowskiej profesor. Szczególnie ważnymi z mojego punktu widzenia tekstami Skotnickiej są *Pejzaż egzystencjalny w opowieści Władimira Makanina „Właz”* oraz *Przestrzeń myśli. Metafora błyskawicy i rzeki w prozie Władimira Makanina*. W ostatnim badaczka podjęła się analizy metafor rzeki i błyskawicy jako opisujących zjawiska upływu i rozumienia. Niewątpliwym wkładem w polski namysł nad literaturą rosyjską jest opracowany przez literaturoznawczynię koncept *szczeliny*, obecny także w tekstach autora utworu *Udawszyjsia rasskaz o lubwi*:

Jedną z najistotniejszych cech świata i bohatera współczesnej prozy jest – jak uważam – ich „szczelinowatość”. W tym kontekście utwór Władimira Makanina [*Łaz* – K. T.] zajmuje szczególne miejsce. Częstotliwość występowania takich określeń, jak „jama”, „grób”, „jaskinia”, „dziura”, „szczelina”, „nora”, „gardziel”, „właz” jest tu bardzo duża. Są one przestrzennymi ekwiwalentami ukrycia, niepokoju. W moim przekonaniu warto zwrócić uwagę nie tyle na niejednokrotnie podnoszony przez badaczy problem opozycji sfer rzeczywistości: ziemskiej i podziemnej, ile na zagadnienie ich STYKANIA SIĘ. Rozłączność będącą odwrotnością styku można potraktować jako wyraz tęsknoty za utraconą całością. Podobnie jak w przypadku twórczości innych pisarzy, właśnie brak i nieobecność oraz zamknięcie mogą być punktem odniesienia dla interpretacji współczesnej prozy<sup>15</sup>.

<sup>15</sup> A. Skotnicka, *Pejzaż egzystencjalny w opowieści Władimira Makanina Właz*, [w:] *Szkoła moskiewska w literaturze rosyjskiej*, pod red. P. Fasta, K. Jastrzębskiej przy współpracy A. Mrózek, Częstochowa 2007, s. 49.

W swoich analizach utworów Makanina Skotnicka zwraca się ku filozofii Heraklita, a szczególnie ku tym jej fragmentom, w których rzeczywistość rozumiana jest jako kinetyczna. Owa ruchliwość i nie-  
domknięcie warunkują interpretacyjny charakter prozy Makanina na poziomie jej formy i treści, gdyż

istotne stają się konteksty i związki, w jakie wchodzi z sobą ambiwalentne obrazy, opozycje oraz wewnętrznie niejedno-  
znaczne pojęcia, tworząc spłot uzupełniających się nawzajem przeciwieństw, których sztuka wyjaśniania wydaje się nie mieć końca. Tego rodzaju strategia pisarska sprawia, że rezultaty dociekań za każdym razem otwierają nowe przejścia – włązy, zachęcające do dalszych poszukiwań<sup>16</sup>.

W sposób odmienny twórczością Makanina zajmuje się Janusz Świeży. Choć również wiele miejsca poświęcił ważnemu przekrojowemu studium Makaninowskiej postaci Kluczariowa<sup>17</sup>, a więc podjął się analizy problematyki kulturowej, to jednak literaturoznawca ten komentuje przede wszystkim biografię rosyjskiego prozaika, dzięki czemu czytelnik może zapoznać się ze szczegółami chronologii życia autora *Kluczariowa i Alimuszki* w jednym miejscu. Niestety, opublikowane w Polsce teksty biograficzne, jak również cenny poznawczo wywiad z prozaikiem, napisane są w języku rosyjskim, co siłą rzeczy wyklucza niewładających tym językiem czytelników<sup>18</sup>. W ocenie zasadności wyboru języka, należy, rzecz jasna, brać pod uwagę lata i okoliczności przeprowadzonych prac, niemniej jednak nie ulega wątpliwości, a perspektywa czasu to potwierdza, że większe szanse na wzbudzenie zainteresowania polskich wydawców miałby polski tekst krytyczny lub naukowy.

Wspomniany artykuł Anny Skotnickiej o mikropowieści *Wlaz* został zamieszczony w antologii pt. *Szkoła moskiewska w literaturze rosyjskiej*, praktycznie w całości poświęconej rosyjskiemu pisarzowi. Zbiór ten

<sup>16</sup> Tamże, s. 74.

<sup>17</sup> J. Świeży, *Kluczariow, czyli przyczynek do obrazu człowieka w prozie Władimira Makanina*, [w:] *Строитель чудотворный. Szkice o literaturze rosyjskiej*, pod red. H. Waszkielewicz i J. Świeżego, Kraków 2001, s. 159-177.

<sup>18</sup> Zob. Я. Свежий, *Творческий путь Владимира Маканина*, [w:] *Slavia Orientalis* 1996, nr 3, s. 367-383; Я. Свежий, *Владимир Маканин. Штрихи к портрету...*

jest świadectwem szerokiego potencjału badawczego interesującej także mnie twórczości. Autorzy zbioru poruszają szereg zagadnień: podejmują się wyznaczenia ramy kulturowo-estetycznej dla pisarstwa Makanina, a także poszukują odpowiedzi na pytanie o stopień jego przynależności do współczesnego dyskursu filozoficznego. Beata Pawletko analizuje sytuację rodziny i relacje w podstawowej komórce społecznej w tekstach prozaika<sup>19</sup>, Jadwiga Szymak-Reiferowa zaś, obierając za punkt wyjścia Makaninowską definicję stylu jako systemu obrazów, analizuje ich występowanie i powiązania w poszczególnych utworach pisarza (bardziej szczegółowo do tekstu Szymak-Reiferowej odwołuję się w dalszych partiach mojego wywodu). Polscy badacze zainteresowani są także popularną w literaturze rosyjskiej tematyką Kaukazu, do której Makanin wielokrotnie nawiązuje. Na fakt intertekstualnego charakteru utworów Rosjanina zwróciła uwagę Joanna Kula:

świadomie stosując środki immanentnie intertekstualne: cytat, parafrazę czy aluzję literacką, [Makanin – K. T.] rozszerza granice kulturolologiczne i przestrzenno-czasowe swojego dzieła. Mamy tu do czynienia z intertekstualnością intencjonalną – nawiązania do innych utworów są zamierzone i jak najbardziej znaczące. Zauważamy całą siatkę odniesień i powiązań międzytekstowych, dzięki której utwór Makanina umieszczony zostaje w polu tradycji literackiej i wchodzi w dialog z kulturą<sup>20</sup>.

Z kolei Anna Domogalla w artykule *W labiryncie Władimira Makanina* analizuje Trifonowsko-Makaninowski koncept *zamiany na mieszkania (obmien)* w utworze *Połosa obmienow* (pol. *Wszystko za nic*<sup>21</sup>). W swoich analizach literaturoznawczyni odwołuje się do kategorii *labiryntu*, zaproponowanej do opisu twórczości Makanina przez rosyjskiego literaturoznawcę Lwa Anninskiego<sup>22</sup>. Metoda artystyczna Makanina w optyce

<sup>19</sup> B. Pawletko, *Problematyka rodzinna w prozie Władimira Makanina*, [w:] *Szkola moskiewska...*, s. 19-26.

<sup>20</sup> J. Kula, „*Jeniec Kaukaski*” Władimira Makanina. Związki intertekstualne, [w:] *Szkola moskiewska...*, s. 83-90.

<sup>21</sup> W. Makanin, *Wszystko za nic*, [w:] *Antylider*, tłum. W. Karaczewska, E. Rojewska-Olejarczuk, A. Walenko, Warszawa 1989, s. 289-313.

<sup>22</sup> Л. Аннинский, *Структура лабиринта*, „*Znamia*” 1986, nr 12, s. 218-226.

badaczki polega nie tylko na włączeniu sfery codzienności, lecz przede wszystkim na ufilozoficzeniu narracji. Domagalla rozumie bohaterów Makanina jako emanację działania zasad ogólnych, wyartykułowanych w tekście. Należy jednak zauważyć, że badaczka, mimo faktu zdiagnozowania przez siebie niezaangażowania rosyjskiego prozaika w kwestie moralne, uprawia interpretację w kluczu skądinąd popularnej w literaturoznawczych kręgach perspektywy degradacji tzw. wyższych wartości duchowych, a konkretniej „zamiany wartości duchowych na komfort materialny”<sup>23</sup>. Cały jej wywód naznaczony jest poczuciem kryzysu duchowości i krytycyzmem wobec bohaterów. Dla niniejszych rozważań istotnym będzie następujące spostrzeżenie Domagalli: „nic nie jest stałe, wszystko ulega ciągłej zmianie i objawia się nam w nowej formie – to przecież istotne elementy systemu filozoficznego Heraklita z Efezu, ulubionego filozofa Makanina”<sup>24</sup>.

Twórczość autora *Antylidera* jest bardzo popularna wśród badaczy rosyjskich. Popularność ta jednak na szeroką skalę stała się udziałem prozaika dopiero w latach osiemdziesiątych – od czasu debiutu bowiem do wydania pierwszej książki w Niemieckiej Republice Demokratycznej (1979) Makanin mógł liczyć w swoim kraju jedynie na publikacje książkowe i to tylko dzięki temu, że był pracownikiem redakcji czasopisma „Sowietskij pisatel”. Książki nie były w stanie zapewnić pisarzowi odpowiedniej publiczności, nikt bowiem, jak wspominał sam Makanin, w tamtym czasie literatury w książkach po prostu nie czytał.<sup>25</sup> Całe życie literackie odbywało się w czasopismach, te jednak dla prozaika pozostawały zamknięte. Z jednej strony więc Makanin ustrzegł się przed pisaniem do szuflady, co dawało mu pewne poczucie literackiego sukcesu, a więc mógł myśleć o sobie jako o profesjonalście, z drugiej zaś, nie będąc poddanym tak surowej cenzurze, jak miało to miejsce w czasopismach, mógł w spokoju doskonalić własny warsztat:

[...] rośłem bez wpływów – nie należałem do żadnej społeczności, do żadnego czasopisma. A te miały swój profil, pozycję, tłumaczono autorom, że powinni być tacy a tacy, ale tacy a tacy

<sup>23</sup> A. Domogalla, *W labiryncie Władimira Makanina*, [w:] *Szkoła moskiewska...*, s. 124.

<sup>24</sup> Tamże, s. 115.

<sup>25</sup> Я. Свежий, *Владимир Маканин. Штрихи к портрету...*, s. 143.

już nie. Byłem poza tym i dlatego każda książka była kolejnym etapem, pewnego rodzaju laboratorium [...]”<sup>26</sup>.

Spośród tekstów w języku rosyjskim na szczególną uwagę zasługują prace Władimira Iwancowowa, który w tomie *Szkoła moskiewska...* opublikował także interesujący wywiad z pisarzem (niestety nieprzetłumaczony na język polski). W 2007 roku literaturoznawca obronił pracę doktorską na temat czasoprzestrzennych kategorii w twórczości autora powieści *Priamaja linija*. W swojej analizie Iwancow skupia się przede wszystkim na prawach rządzących Makaninowskim światem artystycznym i wyrażanych poprzez czasoprzestrzenne relacje między obiektami. W namyśle literaturoznawcy znaczącą rolę ogrywają również koncepty *domu* i *podziemia*. Rosyjski badacz dowodzi, że u Makanina możemy mówić o sprzężeniu ruchu w sferze materialnej z ruchem w sferze duchowej – sfera faktów daje się przełożyć na sferę kosmogonii i eschatologii, a każdy element świata i każdy akt ma w interpretacji Iwancowowa status znaczącego i nieprzypadkowego dla gry świata duchowego: „subiektywne postrzeganie świata (...) pretenduje do odzwierciedlenia rzeczywistości w jej wyższej obiektywności”<sup>27</sup>. Ruch fizyczny głównego bohatera, Wołodii Biełowa, a więc jego przemieszczanie się na lądzie i w powietrzu w toku fabuły, sprzężony jest z ruchem duchowym, przejawiającym się w aktywacji pragnienia życia i otwartości na wydarzenie świata lub – sinusoidalnie – pogrążaniu we wspomnieniach o mrocznej przeszłości wojny, które blokują realizację zamierzeń i niszczą wiarę we własne możliwości. Tę obyczajową na pierwszy rzut oka historię, gdzie wiele miejsca poświęcono despotyzmowi odchodzącego pokolenia wobec nadchodzącego, Iwancow analizuje w kluczu mitologicznym i ukazuje w niej elementy archetypiczne. Literaturoznawca dostrzega w pierwszej powieści rosyjskiego prozaika struktury filozoficzne pogłębiane, rozbudowywane i modyfikowane w kolejnych utworach:

„Priamaja linija” jest początkiem spójnego świata artystycznego [...]; już w tym utworze można odnaleźć takie stałe elementy

<sup>26</sup> В. В. Иванцов, *Беседа Владимира Иванцова с писателем Владимиром Маканиным*, [w:] *Szkoła moskiewska...*, s. 169, tłum. K. Tyczko.

<sup>27</sup> Tamże, s. 65, tłum. K. Tyczko.

jego organizacji czasoprzestrzennej jak powrót, nienadążanie, przyciąganie, wieczność, podziemność, wertykalność, horyzontalność, paradoksalność struktury czasoprzestrzennej<sup>28</sup>.

Debiut autora Antylidera stał się także przedmiotem moich dociekań. W tekście *Motyw Hioba w powieści Władimira Makanina „Priamaja linija”* skonfrontowałem sytuację Bielowa z sytuacją biblijnej postaci w interpretacji Carla Gustava Junga z tekstu *Odpowiedź Hiobowi*<sup>29</sup> oraz oraz przedstawiłem dowód na wspólnotę myśli Makanina i radykalnych hermeneutów<sup>30</sup>.

Jak widać więc, wielu badaczy twórczości Makanina za kontekst namysłu obiera dociekania filozoficzne. Podobnie czyni Tatjana Czurlajewa, która swoją rozprawę poświęciła kategorii *absurdu* w wybranych utworach rosyjskiego prozaika. Badanie literaturoznawczyni osadzone jest w filozofii współczesnej, przy czym *absurd* oznacza dla niej nie tylko „to, co jest pozbawione sensu” i jest „wewnętrznie sprzeczne”<sup>31</sup>, lecz przede wszystkim wielowarstwowość i wielowariantowość zdecentralizowanej realności. „Obraz rzeczywistości u Makanina – pisze nowosybirska badaczka – odpowiada wyobrażeniom dekonstruktywistów o rzeczywistości nie jako o drzewie, lecz jako o grzybni (kłączu)”<sup>32</sup>. Czurlajewa nie charakteryzuje tak wyłącznie sfery ontycznej uniwersum Makanina, lecz jako *absurdalną* określa także świadomość ludzką, generującą określony obraz świata. Absurd świadomości polega na tym, że człowiek, będąc skazanym na interpretację, a więc poruszając się w przestrzeni wiary w swoje subiektywne wyobrażenie, z ostatniej jest regularnie przez rzeczywistość wytrącany. Czurlajewa wyciąga ważny z punktu widzenia mojego namysłu wniosek: „Po odkryciu bezsensu istnienia bohater Makanina wraca

<sup>28</sup> B. В. Иванов, dz. cyt. s. 92, tłum. K. Tyczko.

<sup>29</sup> K. Jung, *Odpowiedź Hiobowi*, tłum. J. Prokopiuk Warszawa 1995.

<sup>30</sup> K. Tyczko, *Motyw Hioba w powieści Władimira Makanina „Priamaja linija”* [w:] *Chrześcijańskie dziedzictwo duchowe narodów słowiańskich. Seria III. Język – Literatura – Kultura – Historia*, t. I., *Chrześcijaństwo w literaturze i języku*, pod red. Z. Abramowicz, K. Korotkich, Białystok 2016, s. 183-205.

<sup>31</sup> Zob. *Słownik języka polskiego PWN*, [źródło elektroniczne] <https://sjp.pwn.pl/slowniki/absurd.html> (dostęp 1.03.2018), hasło *absurd*.

<sup>32</sup> Т. Н. Чурляева, *Проблема абсурда в прозе В. Маланина 80-х начала 90-х годов*, Nowosybirsk 2001, s. 225, tłum. K. Tyczko.

do realności, godząc się na pluralizm życia”<sup>33</sup>. Literaturoznawczyni jest, jak sądzę, o krok od tego, co stanowi rdzeń niniejszej książki: bliskości ontologii świata Makanina z ideami hermeneutyki radykalnej. Badaczka argumentuje, że świat przedstawiony w utworach Rosjanina pozbawiony jest ustabilizowanej sfery metafizycznej, rozumianej jako ustalony sens wydarzeń, i akcentuje fakt samotności człowieka, która wynika z interpretacyjnego charakteru jego egzystencji. Makaninowska maniera komponowania całego tekstu z fragmentów zaś oceniona została przez nią jako świadectwo rozumienia rzeczywistości jako otwartej i nieposiadającej odgórnej sensowności. Czurlajewa zwraca także uwagę na słaby status narratora: „podmiotem narracji Makanin czyni to bohatera legendy lub paraboli, to postać należącą do realnego porządku”<sup>34</sup>, co odsłania

niedoskonałość modeli rzeczywistości promowanych przez kulturę jako prawdziwe. W świecie, w którym nie ma sensu, i gdzie trzeba żyć na sposób etyczny, tylko własny „wątek” tworzony bez utopii w sytuacji rozumienia jego bezskuteczności staje się sposobem istnienia w absurdzie<sup>35</sup>.

Warto zwrócić także uwagę na rozprawę Tamary Klimowej, poświęconą kategorii *paraboli* (ros. *priczka*) w twórczości Makanina. Badaczka stawia tezę o konstrukcyjnym podobieństwie prozy rosyjskiego twórcy do paraboli i uzasadnia ją przede wszystkim zainteresowaniem Makanina zagadnieniem istnienia. Ponadto Klimowa dostrzega to, co Wanda Supa interpretuje jako swoisty regionalizm: Makanin koncentruje się na pobocznych zjawiskach z życia codziennego, by pokazać ich związki z ogólnymi problemami teoretycznymi. Paraboliczny charakter twórczości rosyjskiego prozaika warunkuje także intertekstualność skierowana w stronę form niepowieściowych. Sam pisarz wypowiedział się na ten temat w jednym z wywiadów:

Człowiek piszący w swoim czasie powinien cofnąć się do literatury przedpowieściowej i tam się posilać. Jeśli tego nie robi,

---

<sup>33</sup> Tamże, tłum. K. Tyczko.

<sup>34</sup> Tamże, s. 227, tłum. K. Tyczko.

<sup>35</sup> Tamże, tłum. K. Tyczko.



to umiera. Rabelais, protopop Awwakum, Swetoniusz, rozmaite kroniki, cokolwiek. *Biblia*. Słowo winno być słowem<sup>36</sup>.

Jak zauważa Klimowa, *estetyka fragmentu*, którą praktykuje autor, wynika ze świadomości polifonicznego charakteru literatury, w której uczestniczą przede wszystkim autor, bohaterowie i czytelnicy. Ostatni mają u Makanina do wykonania zadanie syntezy sensów, autor zaś wyznacza jedynie punkty oparcia namysłu. Paraboliczny charakter warunkuje także to, co autorka rozprawy, moim zdaniem bardzo celnie, nazywa „tragicznym światoodczuciem autora, w którym stałe miejsce zajmuje wrażliwość na cudzy ból”<sup>37</sup>. Ta uwaga badaczki ma dla niniejszego wywodu szczególne znaczenie, otwartość Makanina na cudze cierpienie stanowi bowiem kluczowy moment w diagnostyce radykalno-hermeneutycznych preferencji prozaika.

Jak pisze Klimowa, Makanina interesuje kwestia przekraczania rzeczywistości i dostępu do wieczności. Jego twórczość z lat 70. charakteryzuje się rozumieniem wieczności jako temporalnej stabilności, gdzie

nic nie znika i wszystko stawia opór skończoności. Jest to życie, które przeszło przez świadomy kontakt z kulturą i tym samym otrzymało status bycia. Z tego względu też dostęp do wieczności mają nieliczni. Przybliża się do niej dziecko albo osoba pisząca w momentach rozszerzenia przestrzeni<sup>38</sup>.

Lata 80. z kolei to czas, w którym w pisarstwie autora *Utraty* zaczynają pojawiać motywy egzystencjalne i coraz większa świadomość przemijalności człowieka. Twórczość lat 90. natomiast Klimowa charakteryzuje frazą bohatera powieści *Andiegraund, ili Gieroj naszego wriemieni*, Pietrowicza: „Bo po cholerę człowiekowi jakieś nieskończone życie? Człowiekowi jest potrzebne życie, ale uszyte na jego własną miarę”<sup>39</sup>.

<sup>36</sup> *Wriemia Nowostiej Online*, [źródło elektroniczne] [www.vremya.ru/2000/148/1577.html](http://www.vremya.ru/2000/148/1577.html), cytat za: J. Świeży, *Żywot jurodiwego Jakuszki* (*Предмеч Влдимира Маканина*), „Przegląd rusycystyczny” 2003, zeszyt 4 (104), s. 42, tłum. K. Tyczko.

<sup>37</sup> Т. Ю. Климова, *Прутча в системе художественного мышления В.С. Маканина*, Irkuck 1999, s. 218, tłum. K. Tyczko.

<sup>38</sup> Tamże, s. 218, tłum. K. Tyczko.

<sup>39</sup> В. С. Маканин, *Андеграунд, или Герой нашего времени*, Moskwa 2010, s. 73, tłum. K. Tyczko.

Droga do świata idealnych sensów wiedzie więc przez parabolę, świat ten jednakże umiejscowiony jest w świadomości ludzkiej, a co za tym idzie, człowiek zatacza koło: wychodząc na poszukiwanie, poprzez parabolę wraca do samego siebie. „Jako matematyk, wiedząc o istnieniu innych światów (paralelnych, wirtualnych), Makanin ma w sobie tyle uczciwości i męstwa, by pozostać razem ze swoimi bezradnymi i dziwacznymi bohaterami w tym świecie”<sup>40</sup> – zauważa Klimowa.

Rosjanin, zdaniem literaturoznawczyni, nie rezygnuje całkowicie z pytania o wieczność. O ile obecnie filozoficzne poszukiwanie jedności rzeczywistości jest mocno utrudnione i Makanin, jak twierdzi uczona, doskonale zdaje sobie z tego sprawę, to pewien dostęp do wieczności kryje się w literaturze:

Cytat z wieczności [...] sam w sobie rodzi paraboliczną intencję, po pierwsze – dzięki dynamice powtórzenia, po drugie – poprzez swoją aktualność (będąc obiektem powszechnej uwagi), po trzecie – przez niemożliwość ostatecznego rozwiązania problemu<sup>41</sup>.

Powyższy model, podobny zresztą do konstrukcji Tatiany Czurlajewej, podpowiada wykorzystanie do namysłu nad twórczością Władimira Makanina idei hermeneutyki radykalnej. Ostatnia wykazuje wiele podobieństw do wybranych przeze mnie kierunków namysłu makaninologów: z jednej strony niechęć do całkowitej rezygnacji ze sfery ontologicznej, która może być rozumiana jako sfera spluralizowanej interpretacji, z drugiej zaś – głębokie zrozumienie tego, że nie ma powrotu do idealnej jedności świata. W hermeneutyce tej nie tęskni się za utraconą swojskością świata, jak również nie próbuje się odbudowywać za wszelką cenę metafizycznych konstrukcji, lecz *upływ* i *aktualność rzucenia* traktuje się jako punkt wyjścia dla namysłu i interpretacji.

---

<sup>40</sup> T. Ю. Климова, dz. cyt., s. 219-220, tłum. K. Tyczko.

<sup>41</sup> Tamże, s. 220, tłum. K. Tyczko.

## Dlaczego hermeneutyka radykalna?

Status hermeneutyki i zadania, jakie ma ona do spełnienia są skorelowane z oceną znaczenia *skończoności* jako cechy bytów. I dopóki zadaniem hermeneutyki jest jej niwelowanie, dopóty mamy do czynienia z niwelowaniem czasowego, a więc nieabsolutnego charakteru istnienia, stanowiącego wówczas niewygodny problem dla rozumienia. Mowa tutaj o takich sytuacjach, gdzie

badacz lub po prostu reprezentant kultury ma do czynienia z niejasnym przekazem, gdzie lektura lub obcowanie z kulturowymi zjawiskami napotyka trudności. Szczególnego znaczenia [ta strategia – K. T.] nabiera zaś w obliczu doświadczenia tego, co przeszłe<sup>42</sup>.

Zgoła odmienna jest propozycja Martina Heideggera i to po części w jej horyzoncie oraz w opozycji do horyzontu „technicznego”<sup>43</sup> porusza

<sup>42</sup> Z. Dziuban, *Obcość, bezdomność, utrata. Wymiary atypii współczesnego doświadczenia kulturowego*, Poznań 2009, s. 16.

<sup>43</sup> Hermeneutyka techniczna jest pierwszym elementem w trójczłonowym podziale Guntera Scholtza. „Hermeneutyką” jest, ponieważ dotyczy interpretowania tekstów oraz pozajęzykowych form symbolicznych, „techniczną” zaś – ponieważ jej pomocniczy charakter względem innych nauk wiedzy jest normatywny i polega na konstruowaniu i przekazywaniu reguł interpretacyjnych. Kategoria *rozumienia* jako charakterystyka *Jestestwa* w jej obrębie jest kwestią dalszoplanową. Jak zauważa Michał Januszkiewicz, w hermeneutyce technicznej mówimy raczej o interwencyjnym charakterze interpretacji, której zadaniem jest momentalne rozjaśnianie miejsc „ciemnych”, czyli radzenie sobie z niezrozumiałością, pokonywanie jej i niwelowanie. Taki hermeneutyczny zbiór reguł jest więc pewnym narzędziem, po użyciu którego do interpretatora powraca pożądana jasność tego, co interpretowane. Z punktu widzenia nowoczesnych hermeneutyk podejście prezentowane w hermeneutyce technicznej jest klasycznym przykładem metafizycznych prób stabilizacji sensów. Na odnotowanie zasługuje także uwaga Scholtza, że hermeneutyka ta powstała w odpowiedzi na zmieniające się warunki historyczne, a więc na upływ czasu. U podwalin „technicznego” rozumienia interpretacji leży określone, uproszczone z dzisiejszego punktu widzenia, pojmowanie *czasowości*, mianowicie jako swoistego „szumu” podlegającego „wyciszeniu” w celu ustanowienia sensu obiektu docelowego. Hermeneutyka techniczna wierzy, że stosując się do określonych reguł, interpretator będzie w stanie przeskoczyć odległość, dzielącą go od obiektu zainteresowania,

się niniejsza refleksja. Niemiecki filozof czyni rozumienie najbardziej pierwotnym i podstawowym sposobem istnienia:

Rozumienie jest raczej tym, co jako egzystencjał, a więc sposób bycia *Dasein*, jest już zawsze dane i w tym sensie także nieprzekraczalne. Źródłowym sposobem dania rzeczy jest jej rozumienie w określony sposób, w który jest ona jako taka wykładana. Każdy kontakt z otaczającym światem zostaje zatem wyznaczony przez sposób w jaki jest on rozumiany i poza rozumieniem dokonać się nie może. Zawsze już ukierunkowani przez wstępne rozumienie – rozumiemy coś jako coś, a więc z perspektywy sensu<sup>44</sup>.

Gdy słyszy się słowo „hermeneutyka”, stosunkowo naturalnym, przynajmniej w kręgach literaturoznawców, wydaje się skojarzenie z działalnością Hansa Georga Gadamera. Koncepcja niemieckiego filozofa krytykowana jest jednak za to, że posiada zbyt hermetyczny charakter i w tym sensie, jak wskazuje Włodzimierz Lorenc, może stanowić komfortowe środowisko dla ludzi o podobnych poglądach przy jednoczesnym ograniczeniu wrażliwości na kulturową odmienność.<sup>45</sup> Niezrozumienie, mimo iż dochodzi do niego permanentnie, bowiem nieustannie znajdujemy się w rozmowie, zawsze jest początkiem procesu ustalania znaczeń, którego celem jest porozumienie z innymi oraz z samym sobą. Czytając tekst Anny Stankiewicz na temat sfery sacrum w mikropowieści *Utrata*<sup>46</sup>, możemy uznać, iż Makanin obiera sobie za cel krytykę epoki zerwanej komunikacji i braku porozumienia oraz

---

i odtworzyć zamierzony i ulokowany w nim sens. Takim zbiorem reguł mogą być zasady interpretacji tekstów objawionych, ale nie tylko – również literatury pięknej, prawa, oraz, jak wskazuje niemiecki historyk filozofii, znaków pozajęzykowych. Zob.: G. Scholtz, *Czym jest i od kiedy istnieje „filozofia hermeneutyczna”?* [w:] *Studia z filozofii niemieckiej. Hermeneutyczna tożsamość filozofii*, tłum. D. Domagała, pod red. nauk. S. Czerniaka i J. Rolewskiego, Toruń 1994, t. 1, s. 41-68.

Zob. także: M. Januszkiewicz, *O interpretacji*, „Przestrzenie Teorii” 2013, nr 20, s. 219.

<sup>44</sup> Z. Dziuban, dz. cyt., s. 17.

<sup>45</sup> W. Lorenc, *Hermeneutyczne koncepcje człowieka: w kręgu inspiracji heideggerowskich*, Warszawa 2003, s. 170.

<sup>46</sup> А. Станкевич, *Сакрум в системе пространственных моделей Владимира Makanina – повесть Утрата*, [w:] *Szkoła moskiewska...*, s. 27-36.

wskazuje drogi wyjścia ku prawdzie i autentyczności, a więc że jego perspektywa wpisuje się w perspektywę Gadamera.

Wspomniana mikropowieść ma skomplikowaną budowę. Na tekst składają się trzy linie narracyjne: pierwsza poświęcona jest legendzie o jakimś Piekąłowie, który postanowił przekopać tunel pod rzeką Ural; druga to historia chorego mężczyzny, który po ciężkim wypadku odbywa leczenie w szpitalu. Bohater tej linii pogrąża się w rozmaitych wymiarach jawy i snu w poszukiwaniu potrzebnych mu prawd; trzecia linia jest z kolei ograniczoną w środkach relacją z przyjazdu mieszcza-nina, którego „imię nie jest ważne”<sup>47</sup> na ruiny rodzinnej wsi. Pomiędzy historią Piekąłowa i mieszcza-nina, a więc pomiędzy historiami otwierającymi i zamykającymi *Utratę*, znajdują się fragmenty heterogeniczne pod względem formalnym: esej, parabola, opowiadanie i wspomnienia. Wszystkie jednostki narracyjne łączy tematyka utraty, dodatkowo wykazują one bezpośredni związek z uralską legendą: znajdujący się na oddziale pourazowym mężczyzna poszukuje duchowego kontaktu z Piekąłowem, którego historia wypłynęła w jego pamięci; ośrodek dla niewidomych, w którym matka ulokowała na lato młodzieńczego i wygłodniałego narratora stoi opodal miejsca, gdzie utonęli ślepcy, zatrudnieni do kopania przez legendarnego bohatera; ruiny wsi znajdują się niedaleko zniszczonej w wyniku upływu czasu kapliczki ku czci Piekąłowa. Wątek legendy może więc być rozumiany jako pewien sensotwórczy element, oddziałujący na zasadzie wzorca na pozostałe opowieści. Taką też optykę stosuje Anna Stankiewicz.

Historia legendarnego bohatera stanowi odwołanie do żywotów świętych: Piekąłow prowadzi świeckie życie, po czym opanowany przez ideę przekopu sprzedaje cały swój majątek, by wszystkie środki przeznaczyć na realizację swego celu. Jak zauważa Tatjana Czurlajewa, Makanin wdaje się tutaj w polemikę z idealnymi wyobrażeniami o przeszłości, a przenosząc opowieść o Piekąłowie do gatunku legendy i zwielokrotniając warianty jej zakończenia, tj. wyjścia na drugi brzeg, w zależności od podań ludowych osłabia jej legendarno-hagiograficzne oddziaływanie na rzecz wzmocnienia interpretacyjnego charakteru. Czurlajewa podkreśla także fakt, iż motywacja bohatera nie zawiera

<sup>47</sup> W. Makanin, *Utrata*, tłum. K. Tyczko [w:] *Wartki nurt rzeki – idee hermeneutyki radykalnej w twórczości Władimira Makanina oraz mikropowieści Utrata i Za późno, Władimira Makanina*, Poznań 2020, s. 213-275.

elementu świętości, a w mikropowieści brakuje etapów kształtowania się charakteru postaci świętej (celem Piekalowa jest jedynie przedostanie się na drugą stronę, jak się okazuje – bagnistą). Nowosybirska badaczka widzi w tej konstrukcji przejaw ironii autora, prowadzącego Piekalowa ku doświadczeniu absurdu – braku powszechnego pozaludzkiego generatora sensowności rzeczywistości.

Mitologem drogi jest tutaj realizowany nie jako droga duchowego wzrostu bohatera (mitologiczne i archaiczne wyobrażenia o podmiocie wędrówki, który na swojej drodze organizuje chaos i ma udział w kosmosie i sakrum) [...], lecz jako opanowanie nowej, nieznanej przestrzeni (podróż)<sup>48</sup>

– pisze literauroznawczyni. Co więcej, jest to podróż pod rzeką, której obecność ma świadczyć o decentralizacji bycia, a z mojej perspektywy może symbolizować *mobilny* charakter istnienia. Piekalów, próbujący pokonać nurt rzeki, zostaje nagrodzony miejscem w świadomości ludu, czego wyrazem jest kapliczka; ta jednak z czasem ulega degradacji aż do nierozpoznawalności, a więc czas i ruch biorą górę nad dokonaniami „świętego”. Dla Czurlajewej legenda o Piekalowie jest

psychologiczną próbą zestawienia zewnętrznych przejawów świata fizycznego z wewnętrznymi potrzebami człowieka, dążącego do potwierdzenia i umocnienia wiary, która pomaga przystosować się do rzeczywistości<sup>49</sup>.

W perspektywie Stankiewicz natomiast zastosowany przez pisarza w *Utracie* motyw *podkopu* rozumiany jest jako „duży wysiłek przekopywania swojej drogi i poszukiwanie sposobów na wyjście z władzy czasu ku wieczności”<sup>50</sup>. Czas, podobnie jak w hermeneutyce technicznej, jest tutaj entropijną przeszkodą, której należy się przeciwstawić i którą należy pokonać. *Utrata* w interpretacji badaczki jest więc tekstem o upadku współczesności wobec wartości duchowych minionych epok. Szczególnie zaświadczać ma o tym ostatnia scena

<sup>48</sup> Т. Н. Чурляева, dz. cyt., s. 95, tłum. K. Tyczko.

<sup>49</sup> Tamże, s. 90-91.

<sup>50</sup> А. Станкевич, dz. cyt., s. 34, tłum. K. Tyczko.

mikropowieści, w której na niebie pojawia się gwiazdozbiór Oriona i widoczna staje się „stara droga”, ukazywana współczesnemu człowiekowi przez, jak chce Stankiewicz, Naturę i Boga. Człowiek, zdaniem literaturoznawczyni, nie decyduje się jednak na jej podjęcie, przez co otrzymuje ocenę negatywną:

pozostaje marą [ros. *zagrobnik* – K. T.], ponieważ nie pokonał utraty, nie uświadamia sobie konieczności zbudowania uniwersum, swojego wariantu świątyni, przestrzeni sacrum. Ostatnie zdanie potwierdza to raz jeszcze: „Przyspiesza kroku, ponieważ może jeszcze zdążyć na pociąg”. Priorytetem pozostaje dlań powrót do codziennej krzątania, która w istocie jest krainą cieni [ros. *zagrobje* – K. T.].<sup>51</sup>

Powyższe rozważania korespondują z rolą, jaką przypisywał tradycji Gadamer, w procesy której jesteśmy wszyscy wciągnięci i która niejako panuje nad nami, nie istniejąc jednocześnie bez nas. Jak za Andrzejem Bronkiem wskazuje Lorenc, tradycja „sięga od użycia narzędzi i techniki, poprzez tradycję produkcji rzemieślniczej oraz pielęgnowanie dobrych obyczajów i zwyczajów, aż do ustalenia wzorów postępowania ludzkiego”<sup>52</sup>, a więc jest ona sposobem istnienia całokształtu kultury i dziedzictwa. „Zadaniem hermeneutyki jest wejście w rozmowę z przekazem tradycji, a zarazem przywrócenie pojęciu tradycji utraconego autorytetu w różnych dziedzinach ludzkiego życia”<sup>53</sup> – pisze o podejściu Gadamera polski filozof.

Stankiewicz zakłada możliwość wdrożenia doświadczenia bohatera legendy w wątku szpitalnym i współczesnym. W tym świetle decyzja mieszczanina o wyjeździe z rodzinnej wsi bez osiągnięcia mistycznych czy moralnych efektów pozbawia go prawa do nazywania się pełnowartościowym człowiekiem. Literaturoznawczyni jednocześnie pomija oczywisty w mikropowieści fakt trudności, jakie napotykają bohaterowie wszystkich linii w nawiązaniu ze sobą stałego kontaktu, co przecież może stanowić oznakę nieziszczalności *uobecnienia*. Istniejąc

<sup>51</sup> Tamże, s. 36, tłum. K. Tyczko.

<sup>52</sup> A. Bronk, *Rozumienie – dzieje – język. Filozoficzna hermeneutyka H.-G. Gadamera*, Lublin 1988, cyt. za: W. Lorenc, dz. cyt., s. 155.

<sup>53</sup> W. Lorenc, tamże.

na obszarach zajmowanych wcześniej przez *innego*, bohaterowie pozostają ograniczeni pod względem biologiczno-przestrzennym, władzę zaś nad nimi i ich uniwersum, a więc także tradycją, ma upływający czas. Znamienny jest tutaj również centralny dla zrozumienia znaczenia wagi *upływu* obraz chorego, we śnie i na jawie spieszącego na pomoc wołającej go w oknie sąsiedniego budynku dziewczynce: chory rusza w stronę potrzebującej, lecz jej nie odnajduje – po przedostaniu się (a porusza się o kulach) do budynku i wejściu na klatkę, staje w korytarzu, który zamienia się w podziemne tunele, prowadzące w ciemnościach do zupełnie innych przestrzeni i przypominające podkop Piekłowa. Nad głową zaś słyszy szum rzeki. Jeśli teraz odwołamy się od późno-Heideggerowskiego konceptu *wsluchiwania się w Bycie* i jeśli Makaninowskie motywy *kopania* i *tunelu* uznamy, jak chce Stankiewicz, za próby pokonywania *upływu* i *utruty*, rzekę zaś za *Bycie* samo, to okazuje się, iż bohater słyszy szum, a więc *upływ*<sup>54</sup>. Spotkanie w korytarzach pomiędzy epokami jest praktycznie niemożliwe, a każdy z bohaterów zmuszony jest do podejmowania samodzielnych decyzji w warunkach ontologicznej samotności – niedostępności przeszłości i przyszłości. Ich doświadczenie pozostaje doświadczeniem wyobcowania i braku namacalnego kontaktu pomiędzy epokami – samotności w ramach własnej historii: Piekłowie marzy o pamięci pokoleń, chory nie jest w stanie dotrzeć na pomoc wołającej go dziewczynce, a mieszczanin nie doznaje oczyszczenia i restrukturyzacji swojego istnienia, nie jest w stanie nawiązać kontaktu z przeszłością, bowiem z każdą sekundą coraz bardziej oddziela go od niej upływający czas. Dyneburska literaturoznawczyni nie podejmuje jednak namysłu nad zjawiskiem niekompatybilności, zakładając możliwość efektywnego powiązania linii narracyjnych na poziomie konkluzji. Winą za brak tej ontologicznej zgodności obarczony zostaje bohater, któremu nie udaje się zbudować duchowości opartej na narracji o czasach minionych. Podobnie rzecz ma się z Gadamerowską tradycją. Choć filozof „nie dopatruje się totalnego upadku zasad we współczesnym świecie”<sup>55</sup> i jest daleki od wystawiania tak krytycznych ocen współczesności, jak

<sup>54</sup> Rozbudowaną interpretację mikropowieści *Utrata* przedstawiłem w artykule „*Utrata*” (1987) *Władimira Makanina – ku hermeneutycznemu radykalizmowi*, „*Przestrzenie Teorii*” 2018, nr 30, s. 303-313.

<sup>55</sup> W. Lorenc, dz. cyt., s. 120.



ma to miejsce w przypadku Stankiewicz, oraz uznaje interpretacyjny charakter ludzkiego życia, to jednak jego filozofia zmierza ku niwelowaniu nieporozumień pomiędzy przeszłością a teraźniejszością. Tak pisze Lorenc na temat filozofii Ricoeura, odnosząc swoje spostrzeżenia również do niemieckiego hermeneuty:

Ogólnym przesłaniem filozofii Ricoeura jest też, podobnie jak u Gadamera, zaufanie do fundamentalnych wyborów i wartości obecnych w zastanej tradycji kulturowej. Nie widzi on potrzeby podejmowania namysłu nad podstawami tych wyborów, ani kwestionowania wartości naszych przodków. Ufa istnjącemu *światu etycznemu* stanowiącemu dotąd oparcie dla naszego życia<sup>56</sup>.

Zdaniem Lorenca tradycja u Gadamera „stanowi postać domostwa, będącego dla nas schronieniem, w związku z czym przeszłość może pogłębić nasze rozumienie siebie”<sup>57</sup>. Interesująca mnie tutaj kategoria *upływu*, jeśli przyjąłbym perspektywę niemieckiego filozofa, powinna wówczas zdawać sprawę ze stanu szerokiego nurtu przynależności i zadomowienia. Sądzę jednak, że perspektywa Władimira Makanina jest odmienna, a świadczyć o tym może poniższy fragment *Utraty*:

Świetnie rozumie, że *oni*, trzej czy czterej, którzy w swoich odległych czasach planowali zbudować, założyć tu wioskę, że oni byli *odchodzącymi*; by tu przyjść, musieli skądś odejść, tak że wtedy też ktoś użalał się nad wysiedzianym miejscem i utyskiwał: gdzie się pchasz jeden z drugim, siedz, gdzie siedzisz (ciągle coś muszą wymyślać!). Zawsze marudzili i zawsze odchodzili, nie ma tutaj konfrontacji, nawet głupoty, jak by się dobrze zastanowić, zawsze robili<sup>58</sup>.

Czurlajewa charakteryzuje rzeczywistość *Utraty* jako „pozbawioną uniwersalnego sensu”<sup>59</sup>, zdecentralizowaną i wielowariantową<sup>60</sup>. Zasadni-

<sup>56</sup> Tamże, s. 288.

<sup>57</sup> Tamże, s. 167.

<sup>58</sup> W. Makanin, *Utrata*, tłum. K. Tyczko [w:] *Wartki nurt rzeki – idee hermeneutyki radykalnej w twórczości Władimira Makanina oraz mikropowieści Za późno i Utrata Władimira Makanina*, Poznań 2020, s. 266.

<sup>59</sup> T. H. Чурляева, *Проблема абсцрда...*, s. 89, tłum. K. Tyczko.

<sup>60</sup> Por. tamże, s. 225.

czą cechą tej rzeczywistości jest przemijalność, a sam pisarz „nie tyle akcentuje wydarzenia mentalne, ile problematyzuje je. Interesują go motywy wywołujące to wydarzenie, zewnętrzne i wewnętrzne okoliczności sprzyjające bądź zakłócające akt poznania”<sup>61</sup>. Co ciekawe jednak, w sytuacji braku *Sensu* Makanin nie zatrzymuje się przy próbie rekonstrukcji utraconego przesłania, lecz zwraca się w stronę okoliczności, w których każdorazowo zachodzi nowa interpretacja – „problematyzuje” je. Skoro więc „pisarzowi [...] nie chodzi o poszukiwanie odpowiedzi na pytania [...] po co czy dlaczego żyjemy, lecz o namysł nad samym bytem”, to możemy stwierdzić – jeśli po Heideggerowsku wyobrazimy sobie bycie, w ramach którego dochodzi do zmiany epok, w ramach których z kolei powstają i giną historyczne sensy – iż Makanin próbuje patrzeć poprzez partykularne wydarzenia sensów w stronę tego, co je w ogóle umożliwia. Odniesienia do Heideggera nie są tutaj przypadkowe. W rozmowie z Iwancowem pisarz podkreślił swoje zainteresowanie niemieckim filozofem:

W swoim czasie naturalnie przeczytałem Bachtina i zainteresowałem się ideą chronotopu. Jednak bliższy jest mi Heidegger z jego egzystencjalnym rozumieniem istnienia: przeżywam to życie i wszystko, co w tym czasie robię, jest moje i jest przypadkowe przy jednoczesnej nieprzypadkowości. Ten punkt widzenia jest mi bliższy niż wpisywanie się w jakąś konkretną czasoprzestrzeń<sup>62</sup>.

Wracając do rozważań Stankiewicz warto zauważyć, że są one przykładem obecności właśnie „technicznego” podejścia do rozumienia. Bohater nie doprowadza do uobecnienia się przeszłości, a więc postępuje nieprawidłowo z punktu widzenia narzuconej przez badaczkę normy: „Jakby na nowo zostaje zadany algorytm: należy iść starą drogą z ciemności ku światłu – mowa tutaj o konieczności odnalezienia jakiegoś wariantu heroicznego czynu Piekałowa”<sup>63</sup>. Bohaterowi postawione zostaje ultimatum: albo ów podporządkuje się narracji o wielkich czynach i pokonywaniu słabości, albo zostanie poddany

<sup>61</sup> Tamże, s. 177, tłum. K. Tyczko.

<sup>62</sup> B. В. Иванцов, dz. cyt., s. 171. Bliskość ideową pisarza i filozofa potwierdza także Anna Skotnicka w tekście *Pejzaż egzystencjalny...*, s. 47-74, tłum. K. Tyczko.

<sup>63</sup> А. Станкевич, dz. cyt., s. 36, tłum. K. Tyczko.

krytyce jako przedstawiciel rzekomo redukującej wszelkie wartości duchowe współczesności. Przy czym całkowicie pominięta zostaje możliwość uznania podróży pociągiem za unowocześnioną metaforę kopania – gdyby badaczka wykorzystała ją, otworzyłaby tym samym człowiekowi możliwość realizacji wysuniętego postulatu. Budowa własnej przestrzeni sacrum to dla łotewskiej literaturoznawczyni „harmonizacja świata” i „pokonanie wewnętrznego poczucia utraty”<sup>64</sup>.

\* \* \*

Czym jest więc hermeneutyka radykalna i na czym polega różnica między nią a przywołanymi powyżej perspektywami? Tak charakteryzuje hermeneutykę radykalną amerykański filozof i teolog John Caputo: to „bycie tam, gdzie jesteśmy [...]”, w tym co Heidegger określił mianem sytuacji hermeneutycznej danej pozycji, w której siebie odnajdujemy, dezorientującej sieci przekonań i praktyk [...]”<sup>65</sup>. Źródłem refleksji radykalno-hermeneutycznej jest ludzkie życie. Refleksja ta odchodzi od technik stabilizacyjnych na rzecz otwarcia dostępu do faktyczności ludzkiego doświadczenia. Caputo postuluje nielokowanie doświadczenia w perspektywie nieskończonej rozmowy Gadamera, gdyż uznaje ją za pewną postać ciągłości, a więc produkt ludzkiego namysłu, funkcjonujący w ramach rozumiejącego przekształcania *kinesis*.

Tym samym, inaczej niż Gadamer, który zestawiając w swoim myśleniu Heideggera z Heglem stąpił antymetafizyczne ostrze Heideggerowskiej filozofii, Caputo otwiera hermeneutykę na implikacje płynące z Derridowskiej dekonstrukcji<sup>66</sup>

– pisze Zuzanna Dziuban. Dla Caputo to różnica, a nie ciągłość stanowi bardziej pierwotną sytuację. Zadaniem tej hermeneutyki jest więc nieustanne kierowanie spojrzenia ponad teoriami, w stronę, skąd one biorą swój początek – ku *upływowi*. Rozumiejący wyzbywa się

<sup>64</sup> Tamże, s. 33, tłum. K. Tyczko.

<sup>65</sup> J. Caputo, *More Radical Hermeneutics. On Not Knowing Who We Are*, Indianapolis 2000, s. 55, cyt. za: Z. Dziuban, *Obcość, bezdomność, utrata. Wymiary atypii współczesnego doświadczenia kulturowego*, Poznań 2009, s. 52.

<sup>66</sup> Z. Dziuban, dz. cyt. s. 51.

tutaj pragnienia odnalezienia dla własnego rozumienia stałej (silnej) podstawy, gdyż jest ona wtórną wobec pierwotnego upływu, oraz uczy się funkcjonować pośród podstaw słabych, odwoływalnych i historycznych. Z drugiej strony jednak hermeneutyka radykalna nie proponuje odrzucenia wszelkiej ontologii jako bezproduktywnej – takie antymetafizyczne stanowisko kategorycznością nie ustępuje najlepszym metafizykom. Jej postulatem jest otwarcie *rozumienia*, a więc także ontologii, na wpływ czasu, na wszelkie manifestacje *bycia* przy jednoczesnym nieabsolutyzowaniu żadnej z nich.

W całej myśli Heideggera chodzi o to, by utrzymać otwartą ranę śmiertelności i wycofywania się i utrzymać swoje na nią otwarcie. Natomiast jeśli u Derridy pułapki metafizyki pokazywane są dla tego, czym są, niczemu się przez to nie służy i niczego nie zabezpiecza. Zamiast tego doświadczenie utraty staje się utratą doświadczenia, a pierwotność nieobecności nieobecnością pierwotności<sup>67</sup>

– wyjaśnia swoje stanowisko Caputo.

Z powyższego wynika również charakterystyczne pojmowanie prawdy przez hermeneutykę radykalną. Wszelkie akty rozumienia są dla Gadamera skończone i naznaczone interpretacyjnym charakterem. *Bycie-w-rozmowie* zaś, jako wychodzenie poza siebie, jak zauważa Dziuban, polega „na nieustannym ustalaniu *loci communes*, *koinoi topoi*, miejsc wspólnych, które stabilizują rozumienie i gwarantują wspólnotę orientacji, przede wszystkim na drodze eliminacji tego, co niezrozumiałe i różne”<sup>68</sup>. Mamy tu do czynienia z ułożeniem skończonego rozumienia w nieskończonej rozmowie, w procesie tak zwanych dziejów efektywnych<sup>69</sup>. Dla radykalnych hermeneutów jest to jednak kolejna próba zawłaszczenia rzeczywistości przez konstrukt filozoficzny i próba dyktowania przezeń warunków. Norbert Leśniewski tak pisze na ten temat:

---

<sup>67</sup> J. Caputo, *From the Primordality of Absence to the Absence of Primordality: Heidegger's Critique of Derrida*, [w]: Silverman H., Ihde D., *Hermeneutics and Deconstruction*, Albany 1985, s. 200, cyt. za Z. Dziuban, dz. cyt., s. 52.

<sup>68</sup> Por. Z. Dziuban, dz. cyt., s. 38.

<sup>69</sup> Por. tamże, s. 39.

Specyfika radykalno-hermeneutycznego rozumienia prawdy nie wyraża się w afirmacji jej braku, lecz przede wszystkim w tym, że przywraca jej nieprzeniknioną tajemniczość, przez co utrudnia ostateczne jej zawładnięcie w uobecniającym pojęciu<sup>70</sup>.

To, co Gadamer uznał za podstawowe, a więc *consensus*, w perspektywie hermeneutyki radykalnej jest wtórne wobec samej interpretacyjnej przynależności do świata, gdyż przed porozumieniem jest rozumienie. Radykalni hermeneuci postulują stan otwartości, niebędący jednak prostą zgodą na relatywizm i indyferentyzm moralny. Ów stan ma być akceptacją zanikającego charakteru bytu, dzięki któremu w ogóle są możliwe jakiekolwiek interpretacje. „Metafizyka w hermeneutyce radykalnej nie jest dekonstrukcyjnie zniesiona, lecz de(kon)struktywistycznie *osłabiona*”<sup>71</sup> – pisze Leśniewski. Taka postawa nie tyle daje hermeneucie wgląd w historię doświadczenia, ile pozwala uczestniczyć w wydarzeniu upływającego bycia i zmienności epok. Prawda (pisana z małej litery) nie jest tutaj pewnym stanem rzeczy, dominującym nad cząstkowymi wydarzeniami zachodzącego procesu, lecz stanowi interpretacyjne pole możliwego rozumienia. „Dominuje” nad wszystkim zaś wpływ czasu, który nie pozwala niczego stwierdzić na stałe i nie daje jednej interpretacji panować nad innymi.

Hermeneutyka radykalna reprezentuje bardzo pierwotną, źródłową relację do świata, ustanawia wystarczająco skuteczny sposób radzenia sobie z upływem życia, gdyż usytuowana jest pomiędzy stabilizującą potęgą prawd metafizycznych a rozpraszającą siłą wielości tych prawd. Jest ona źródłową interpretacją, która dociera do mobilności bytu i dostrzega zmienność jego znaczeń, nad żadnym z nich nie zatrzymując się na dłużej. Jest jednym z niewielu sposobów rozsądnego radzenia sobie z pozarozsądkową grą Heraklitejskiego królewskiego dziecka, które rzuca kości<sup>72</sup>

– wyjaśnia Leśniewski.

<sup>70</sup> N. Leśniewski, *O hermeneutyce radykalnej*, Poznań 1998, s. 12.

<sup>71</sup> Tamże, s. 248.

<sup>72</sup> Tamże, s. 160.

Człowiek w hermeneutyce radykalnej nigdy nie wie do końca, kim jest. Ma świadomość ograniczoności swojej perspektywy, jej skończoności i odwoływalności. Z drugiej strony wie, że nie zna wyjścia poza interpretację – żyje w świecie tak zwanej koniecznej niekonieczności, gry Heraklitejskiego królewskiego dziecka<sup>73</sup>. Gry, której nie rozpoczął, mimo iż został w nią *rzucany*. Jest to, jak pisze Caputo, świadomość *zimnej prawdy*, prawdy bez serca, okrutnej, trudnej w tym znaczeniu, że nie zabezpiecza przestrzeni metafizycznego komfortu, do którego człowiek mógłby się uciec i w którym czułby się bezpiecznie. Wszelkie obietnice bezpieczeństwa i niezmiennego celu uważane są tutaj za filozoficzne kłamstwa. *Zimna prawda* „nie odkrywa [...] ukrytych znaczeń i zagubionych skarbów w tradycji. Przeciwnie, zatrzymuje nas, przeraża, wystawia na grę, która gra bez żadnego powodu”<sup>74</sup> – pisze amerykański filozof.

Czym jest więc ów wspomniany przez Leśniewskiego „wystarczająco skuteczny sposób radzenia sobie z upływem życia”, skoro uznają inicjatywę Anny Stankiewicz za kontrowersyjną? Strategia literaturoznawczyni polega na podtrzymywaniu idei możliwości przesyłu i uobecniania sensu pomiędzy pokoleniami. Co prawda doceniany jest własny wkład interpretacyjny bohaterów, niemniej jednak w perspektywie dyneburskiej badaczki konieczne jest przyjęcie jako obowiązującego narzuconego paradygmatu zgodności ram sensu w obrębie linii narracyjnych, a „stara droga” pozostaje niezmienna bez względu na fakt interpretacyjnej aktywności bohaterów.

Hermeneutyka radykalna sprzeciwia się próbom unieruchamiania kinetyki życia w postaci ustanawiania wybranego przez filozofa, pisarza czy literaturoznawcę przesłania jako obowiązującego – w tym sensie pozbawia ona bezpiecznego gruntu i komfortu posiadania pewnego algorytmu. „Tym zaś, co odkrywane (konstrukcja), [jest – K. T.] brak stałych struktur, zasad i regularności – życie pozbawione swojej bezpiecznej oczywistości”<sup>75</sup> – pisze Dziuban. Hermeneutyka ta działa podczas naszej

<sup>73</sup> „Czas życia jest dzieckiem bawiącym się, grającym: królestwem dziecka.” K. Mrówka, *Heraklit. Fragmenty: nowy przekład i komentarz*, Warszawa 2004, s. 165 (fragment B52).

<sup>74</sup> J. Caputo, *Heidegger i Derrida: zimna hermeneutyka*, tłum. T. K. Sieczkowski, „Nowa Krytyka” 2001, nr 12, s. 212.

<sup>75</sup> Z. Dziuban, dz. cyt., s. 54.

wędrówki „w rozdzieleniu po labiryncie dyferencjalnego utkania, bez oparcia, po stale usuwającym się gruncie”<sup>76</sup>. Bycie jest tutaj rozumiane „jako upływ [...] jako gra obecności i nieobecności, wycofania się i utraty”<sup>77</sup>. „Skuteczny sposób” jest więc niczym innym jak akceptacją upływu, zgodą nań, podjęciem trudu życia w nim. Dokładnie taką postawę dostrzegają w twórczości Rosjanina Tatjana Czurlajewa i Tamara Klimowa. Hermeneutyka radykalna stara się powrócić „do źródła, z którego przecież wyrasta, jakim jest ludzkie życie ze wszystkimi implikacjami, wypływającymi z jego przygodności i skończoności”<sup>78</sup>. Jest więc ona „sytuacją pierwotnej niepewności, ontologicznie ujętym upływem, ruchem nieustannie zmieniającego i różnicującego się bycia, nie zaś bezpiecznym uniwersum tradycji czy jednomyślną wspólnotą”<sup>79</sup>. Hermeneutyka radykalna funkcjonuje w kontekście upadku tak zwanego systemu pocztowego, w którym przesłania trafiały od nadawców do odbiorców. Posłuchajmy raz jeszcze przez dłuższy moment Caputo:

Ale prawdą jest nie tylko to, że nie ma żadnej prawdy, żadnego nagłego objawienia, lecz także to, co ważniejsze i przynależne temu zrozumieniu, po czucie czci, otwartości i szacunku dla tajemnicy, która pozostaje z tyłu – wszystko, co obejmuje nazwa *Gelassenheit*. Ostatecznie Heidegger dochodzi do tego, że najwyższa prawda dostępna myśli tkwi w uznaniu wycofania rzeczy z naszego pojęciowego chwytu, w odrzuceniu prawdy w sensie oczekiwanym i żądanym przez myślenie metafizyczne i eschatologiczne. Myślenie jest rezygnacją z tych ambicji i pretensji oraz dostąpieniem poczucia czci i przyzwolenia, które pozwala nam doświadczać nas samych jako Śmiertelnych, świat zaś jako czwónię.

Czy jednak nie powracamy do eschatologicznego Heideggera z jego uprzywilejowanym doświadczeniem bycia? Czy to, co Derrida nazywa „najpiękniejszą kartką, jaką Martin wysłał z Freiburga”, nie jest *właśnie* wytłumaczeniem Śmiertelnych zamieszkujących poetycznie? To znaczy, czy nie jest to uprzywilejowana przesyłka, specjalny przekaz, prawda bycia dla tych, którzy mają oczy, aby widzieć. Myślę, że nie, i to z dwóch powo-

<sup>76</sup> J. Caputo, dz. cyt., s. 211-212.

<sup>77</sup> Z. Dziuban, dz. cyt., s. 52.

<sup>78</sup> Tamże, s. 55.

<sup>79</sup> Tamże.

dów. (1) Raz na zawsze (dzięki Derridzie i samemu Heideggerowi) pozbyliśmy się złudzenia, jako by istniał jakiś post-metafizyczny świat, jakiś prawdziwy zwrot w sekwencji epok, który byłby nie-epokową przesyłką, wysyłką, poza którą nie ma już nic. Toteż nie mylimy owego doświadczenia załamania metafizyki z nowym światem – jest to jedynie gotowość na ciemność Nocy Świata. (2) Doświadczenie „Śmiertelnych” pod Niebem, na Ziemi, nie jest wizją, objawieniem, eschatologią, apokalipsą, ale właśnie ubóstwem myślenia, pokorą kogoś, kto ma do po wiedzenia mniej niż metafizyka. Jest to doświadczenie kogoś, kto otworzył się na otchłani, na grę, w którą wciągnięte są wszystkie rzeczy, na *ébranler*, na drzenie. Ma się on na baczości wobec iluzji leżenia-u-podstaw i szukania fundamentów; jest otwarty na grę dziecka-króla. I w tej otwartości osiąga on swoiste zrozumienie. Zrozumienia kogoś, kto zdaje sobie sprawę z granic conceptualnego rzemiosła. Przyzwalając na grę świata, wystawiając się otchłani, doświadcza on prawdy samego wycofania prawdy. Dekonstrukcja nie może uniknąć okrążania samej siebie i powodowania głębszego, bardziej radykalnego odzyskania. A kiedy tak czyni natrafia na coś, co nazwiemy zimną prawdą<sup>80</sup>.

*Zimna prawda* jest prawdą bez serca, okrutną i niewygodną, gdyż stawia nas przed obliczem niepohamowanego *upływu*. Wszelkie próby pokonania go i ustabilizowania naszej sytuacji siłą rzeczy noszą ograniczony – czasowy – charakter. Usytuowanie „pomiędzy stabilizującą potęgą prawd metafizycznych a rozpraszającą siłą wielości tych prawd” nabiera jasności właśnie w kontekście kategorii słabości, do której odnoszą się Heideggerowskie *Verwindung* i *Andenken*. Hermeneutyka radykalna nie oferuje nowej prawdy, która miałaby po raz kolejny zrewolucjonizować i zreformować królestwo filozofii. Wbrew temu, co mogłaby sugerować jej nazwa, nie próbuje nawet odrzucać dotychczasowych dokonań filozofii jako błędnych na rzecz dokonań pozbawionych błędu. W dobie echa kryzysu wielkich narracji podkreśla ona jedynie nieostateczny charakter wszelkich metafizycznych ustaleń. O ile *Überwindung* jako kategoria retoryki metafizycznej oznacza, jak pisze Andrzej Zawadzki, „zniesienie, przekroczenie, odrzucenie zużytych i zdezaktualizowanych już opisów w imię doskonalszych

<sup>80</sup> J. Caputo, dz. cyt., s. 209-210.



i nowszych, bardziej aktualnych i adekwatnych”<sup>81</sup>, to hermeneutyka radykalna wprowadza Heideggerowską kategorię *Verwindung*, oznaczającą „przebolewanie, przyjście do siebie, ozdrowienie, pożegnanie, pozostawienie, wyzdrowienie, rekonwalescencję, akceptację, rezygnację, a także zniekształcenie”<sup>82</sup>. Hermeneuci spod sztandaru *Verwindung* odnoszą się do metafizyki jako do czegoś, co z jednej strony otrzymaliśmy w spadku od swoich przodków i z tego już powodu jest ono godne szacunku, miłości i troski (*pietas*) jako świadectwo obecności człowieka, a zatem w czym tkwimy bez względu na własną wolę, lecz także coś, z czego wyrastamy. Z drugiej strony zaś jest ono czymś, co się oddala, czego nie chcemy kontynuować, ponieważ dostrzegamy jego ograniczenia. „Możemy ten język poddawać dekonstrukcji, przemieszczeniu, zniekształceniu, świadomi, że nie daje on nam pełnego dostępu do bytu”, „pojmujemy ograniczenia metafizyki, lecz nic innego nie posiadamy”<sup>83</sup> – pisze Zawadzki. I w tym właśnie sensie hermeneutyka radykalna znajduje się „pomiędzy” – z jednej strony nie chce na zasadzie wcześniejszych radykalnych zwrotów odcinać się od konstruktów przeszłości, pamiętając (*Andenken*) o nich jako o śladach obecności, z drugiej zaś świadoma jest ich dysfunkcyjności. Jest to sedno radykalizmu hermeneutyki, polegającego na ustanowieniu *upływu* jako centralnej zasady hermeneutycznego *ślabego* myślenia – uznania niezbywalności czasowego i ograniczonego charakteru istnienia człowieka na Ziemi, co z kolei stanowi ruchomą, *ślabą* podstawę wszelkich jego działań i interpretacji. W takich warunkach ontologia wytwarzana jest na podłożu interpretacyjnego funkcjonowania człowieka:

sam byt ma naturę interpretacyjną, jest śladem, przekazem różnych historycznych horyzontów doświadczenia, które domagają się nie tyle neutralnego, aspirującego do obiektywności opisu, lecz odpowiedzi na nie, aktywnego podjęcia, przyjęcia *z pietas*, zachowania w pamięci<sup>84</sup>.

<sup>81</sup> A. Zawadzki, *Kres nowoczesności: nihilizm, hermeneutyka, sztuka*, „Teksty Drugie” 2005, nr 4, s. 31.

<sup>82</sup> A. Zawadzki, dz. cyt., s. 31.

<sup>83</sup> Tamże.

<sup>84</sup> Tamże, s. 36.



## Władimir Makanin jako hermeneuta i myśliciel

„Człowiek jest [...] wspólnym mianownikiem, do którego z łatwością da się sprowadzić całą, bez mała czterdziestoletnią spuściznę moskiewskiego prozaika”<sup>85</sup> – pisał w 2001 roku Janusz Świeży. Anna Skotnicka zaś stwierdza:

[...] pisarzowi, jak rozumiem, nie chodzi o poszukiwanie odpowiedzi na pytania w rodzaju: po co czy dla czego żyjemy, lecz o namysł nad samym bytem. Makanina [...] w większości utworów nie interesują realia historyczne czy warunki socjalne, lecz zagadka krzyżowania się życia z losem i możliwość czy proces jej rozwiązywania przez człowieka. [...] Pytania o byt nie są [...] oczywiście zadawane wprost. Jednakże w bardzo wielu utworach obserwujemy postaci próbujące **rozumieć**<sup>86</sup>.

Włodzimierz Lorenc z kolei na pytanie o to, jak badać człowieka, odpowiada: „w sposób hermeneutyczny. W sposób pierwotny człowiek jest bowiem dla Gadamera, podobnie jak i dla Heideggera rozumieniem”<sup>87</sup>.

Powyższe sądy posłużyły mi za punkt wyjścia do skojarzenia pisarstwa Makanina z hermeneutyką, mogącą rzucić światło szczególnie na te obszary twórczości autora mikropowieści *Gołosa*, które w oczach krytyków i literaturoznawców utrudniają jednoznaczną klasyfikację. Moja propozycja polega zatem na wprowadzeniu do dyskusji o Makaninie hermeneutyki jako czynnika konstytutywnego dla autorskich decyzji artystycznych.

O ile przed zwrotem dokonany przez Heideggera filozofia poruszała się w ramach dostatecznie jasno określonego modelu epistemologicznego: człowiek jako byt pojmujący świat, świadomość ludzka jako to, co jest przez człowieka pojmowane, a więc były to ramy metafizycznego podziału na podmiot poznający i przedmiot poznania,

<sup>85</sup> J. Świeży, *Kluczariow...*, s. 159.

<sup>86</sup> A. Skotnicka, *Przestrzeń myśli. Metafora błyskawicy i rzeki w prozie Władimira Makanina*, „Przegląd Rusycystyczny” 2009, nr 1 (125), s. 53-54. Wytluszczenie autorki.

<sup>87</sup> W. Lorenc, *Możliwości i ograniczenia hermeneutycznego ujęcia człowieka*, [w:] *Analiza i Egzystencja*, pod red. A. Przyłębskiego, Szczecin 2012, s. 211.

to działalność niemieckiego filozofa przyniosła istotne zmiany w postrzeganiu kategorii *rozumienia*. Zaproponowana została bowiem perspektywa kontyngencji (czasowości), skończoności i interpretacyjnego charakteru wszelkiej aktywności człowieka, a interpretowanie na stałe wpisane zostało w sposób jego istnienia: „interpretacje stanowią obraz rzeczywistości, prawdziwość interpretacji wycofuje się za same interpretacje i ujawnia się w nich perspektywicznie”<sup>88</sup> – wyjaśnia sens zwrotu interpretacyjnego Michał Januszkiewicz. Zmiany w statusie *czasowości*, która współcześnie nie jest już „skazą naszej natury”<sup>89</sup>, lecz stanowi kategorię opisującą charakter ludzkiego doświadczenia, dały początek nowemu spojrzeniu na zadania i zakres refleksji filozoficznej. Dzięki krytycznemu przemyśleniu wspomnianych kwestii możemy mówić o zdobyciu przez hermeneutykę swoistego uniwersalnego statusu, przejawiającego się w gotowości do podejmowania nie tylko tekstów pisanych, lecz także szeroko rozumianego doświadczenia kulturowego<sup>90</sup>. Jesteśmy dziś skłonni przyjmować, że rozumienia i interpretacji nie da się już oddzielić od ograniczonego czasem i przestrzenią istnienia człowieka oraz jego jednostkowej aktywności w świecie.

Moim zdaniem filozofia w dokładniejszym sensie staje się „hermeneutyczną” zawsze wtedy, gdy wyrażnie rozważa „historyczność” swego każdorazowego przedmiotu i swego punktu widzenia, jak również własnego języka, ponieważ dopiero poprzez to staje się [aktywnością] polegającą na rozumieniu i interpretowaniu: musi przyjąć rzeczywistą historię, a przy tym zawsze rozumieć i interpretować określone świadectwa<sup>91</sup>

– zauważa Gunter Scholtz. O ile więc w przypadku hermeneutyki tradycyjnej mamy do czynienia z odnajdywaniem zdeponowanego przez autora bądź posiadanego przez sam obiekt znaczenia, to w przypadku filozofii zorientowanej hermeneutycznie możemy mówić o „wynajdy-

<sup>88</sup> M. Januszkiewicz, *O interpretacji*, „Przestrzenie Teorii” 2013, nr 20, s. 219-220.

<sup>89</sup> W. Lorenc, *Hermeneutyczne koncepcje...*, s. 204.

<sup>90</sup> Пор. Л. И. Кабанова, *Герменевтическая методология исследования феноменов современной культуры*, „Исторические, философские, политические и юридические науки, культурология и искусствоведение. Вопросы теории и практики”, Тамбов 2011, nr 8 (14), cz. IV, s. 76.

<sup>91</sup> G. Scholtz, *Czym jest...*, s. 62.

waniu” bądź „ustalaniu” sensu<sup>92</sup>. „Próbujący rozumieć” bohaterowie Makanina tym samym wpisują się we współczesną wersję hermeneutyki. Przy czym próżno, zdaniem Skotnickiej, doszukiwać się w pisarstwie rosyjskiego prozaika trwałego i zewnętrznego wobec człowieka obiektu ontologicznego, który stanowiłaby gwarancję dostępu do tradycyjnej *Prawdy* czy też rękojmię jej obecności.

\* \* \*

W wywiadzie udzielonym w 2007 r. rosyjskiemu literaturoznawcy Władimirowi Iwancowowi na pytanie o konstrukcyjne priorytety pisarz odpowiedział: „topografia plus pewna istotnościowa struktura człowieka”<sup>93</sup>. Wnikliwą i, jak sądzę, inspirującą analizę „topografii” przedstawił rzeczony badacz w tym samym roku w pracy doktorskiej pod tytułem *Пространственно-временная организация художественного мира В. С. Makanina*<sup>94</sup>. Iwancow pokazał w niej sensotwórczą rolę ruchu w świecie przedstawionym autora *Kluczariowa i Alimuszkina* oraz udowodnił znaczenie przestrzeni w procesie analizy i interpretacji jego utworów. Kwestia „istotnościowej struktury człowieka” również była wielokrotnie i na różne sposoby podejmowana przez badaczy<sup>95</sup>. Niemniej jednak dotychczasowe próby opisu wspomnianej „struktury” wydają się niewystarczające, bowiem „ocierały się” jedynie o ważne tutaj wątki niejako przy okazji stawianych sobie zadań. Przykładem może być bez wątpienia wnikliwy, aczkolwiek właśnie tylko sygnalizujący kwestie hermeneutyczne namysł Anny Skotnickiej. Wymaga on ponadto, z prezentowanego przeze mnie punktu widzenia, komentarza.

Krakowska literaturoznawczyni pisze o przeważającej obojętności pisarza na „realia historyczne” i „warunki socjalne”. W moim przekonaniu trudno się z tym zgodzić. Poczynając od debiutu pisarza w 1967 roku, bohater Makanina zawsze umieszczany jest w stosunkowo łatwo rozpoznawalnych i konstytutywnych dlań warunkach historycznych. Zaświadcza o tym Wanda Supa:

<sup>92</sup> Por. M. Januszkiewicz, dz. cyt., s. 220.

<sup>93</sup> В. В. Иванцов, *Беседа...*, s. 171, tłum. K. Tyczko.

<sup>94</sup> В. В. Иванцов, *Пространственно-временная организация художественного мира В. С. Makanina*, Sankt-Petersburg 2007.

<sup>95</sup> Zob. np. J. Kula, *Bohater...*, Warszawa 2013.

Tematyka jego utworów zazwyczaj jest ściśle związana z historyczną rzeczywistością i jej przemianami, a więc kolejno z „epoką zastoju”, „przebudowy” i post-sowieckiego kapitalizmu. Makanin z reguły jednak nie przedstawia zjawisk i zdarzeń o zasięgu ogólnokrajowym, z pierwszych stron gazet (co najwyżej stanowią one tło tematyzowanych motywów). Koncentruje się natomiast na zjawiskach pobocznych, nieraz z marginesu życia, które mimo to są bardzo symptomatyczne i wiele mówią o niedawnej przeszłości oraz współczesności i nadają się na nośniki sensów alegorycznych, uniwersalnych w swojej wymowie<sup>96</sup>.

Również Janusz Świeży podobnie diagnozuje optykę prozaika:

W utworach Makanina można znaleźć sporo ciekawych spostrzeżeń na temat bohatera jego czasów. Znaczące w tym kontekście są już same tytuły szeregu dzieł wprost lub pośrednio odnoszące się do człowieka. Wszakże za argument koronny przyjąć trzeba fakt, że przedmiotem wszystkich dojrzałych Makaninowskich powieści i opowiadań jest wszechstronna, choć w każdym jednostkowym przypadku skąpa i szkicowa charakterystyka własnego pokolenia, a przede wszystkim próba zrozumienia ludzkich postaw, bolesne poszukiwania źródeł losu, jaki przypadł w udziale powojennym mieszkańcom Rosji – czyli odpowiedź na podstawowe pytania: kim jest i jaki jest przeciętny człowiek naszych czasów?<sup>97</sup>

Skoro więc kreowani przez prozaika bohaterowie „próbują rozumieć” i skoro owo rozumienie współcześnie nosi temporalny charakter, to pominięcie wątku lokalnej czasoprzestrzeni na rzecz ogólnej ontologicznej refleksji nad „krzyżowaniem się życia z losem” – a komentarz Skotnickiej może zostać odczytany jako próba powzięcia właśnie takiego punktu widzenia – prowadzi do aktualizacji kontekstu konfliktu dwóch hermeneutów: Martina Heideggera i Johna Caputo. Amerykanin zarzucił fryburczykowi, iż ten, wsłuchując się w głos *Bycia*, pozostawał głuchym na wołanie rzeczywistego człowieka i jego cierpienie<sup>98</sup>. By posłużyć się

<sup>96</sup> W. Supa, *Twórczość Władimira Makanina...*, s. 7.

<sup>97</sup> J. Świeży, *Kluczariow, czyli przyczynek...*, s. 160.

<sup>98</sup> Por. np. Ł. Czajka, *Święta anarchia. Wprowadzenie do radykalnej hermeneutyki Johna D. Caputo*, Poznań 2014, s. 62-78.

historią Hioba: w perspektywie hermeneutyki radykalnej nasłuchujący *Bycia* Heidegger jest jak przyjaciel Hioba, nieczuły wobec konkretnej i realnej nędzy, za to doskonale przygotowany pod względem retorycznym. Wydaje się, że w przypadku Makanina trudno utrzymać podobne twierdzenie w mocy. Zapytany o swoją twórczość, Rosjanin odpowiedział: „Jeden z najważniejszych motywów, który, jak się zdaje, pojawia się w ogromnej ilości moich tekstów to temat pragnienia udzielenia pomocy słabszemu i niemożność urzeczywistnienia tego”<sup>99</sup>. W moim odczuciu więc możemy tutaj raczej mówić o niechęci wobec sprawozdawczego realizmu, która zresztą badaczom pisarstwa Makanina jest dobrze znana. Darja Kliwienkowa na przykład widzi w niej dążenie do przeniesienia uwagi z „zewnątrznej strony wydarzeń na ich wewnętrzną treść”<sup>100</sup>. Stwierdzenie Kliwienkowej zaś koresponduje z uwagą Supy o pewnym uogólnieniu, dokonywanym przez Makanina, w którym jednak podstawą jest rzeczywistość małego człowieka. Sam pisarz natomiast tak wyjaśnił w jednym z wywiadów swój stosunek do przedstawiania rzeczywistości:

Było czy nie było – to jedna kwestia, a prawda czy nieprawda – to zupełnie inna kwestia. [...] Jeśli w powieści potrzebowalbym, aby Sunża [rzeka – K. T.] płynęła ze wschodu na zachód, to ona popłynęłaby ze wschodu na zachód. Może byłoby w niej więcej wody. To nie ma żadnego znaczenia. I dylemat, czy urzeczywistnić zamiysł, czy też dać Sunży płynąć prawidłowo, nie jest dylematem artysty. [...] Chodzi o to, że gdy ludzie u nas mówią „powieść o wojnie”, to mają na myśli, że będą walczyć żołnierze: po tej stronie, po tamtej, dowódcy tych, dowódcy tamtych. A tak na prawdę powieść o wojnie to powieść o ludziach w czasie wojny. [...] I taka jest moja powieść. O ludziach w czasie albo na tle wojny<sup>101</sup>.

Zapytany z kolei o to, dlaczego dokładnie nie opisał swojej trzy-letniej rehabilitacji po wypadku samochodowym w 1972 roku, Makanin odpowiedział:

<sup>99</sup> В. В. Иванцов, *Беседа...*, s. 168, tłum. K. Tyczko.

<sup>100</sup> Д. А. Кливленкова, *Черты неореализма в романе В.С. Маканина „Испуг”*, [w:] *II международная научная конференция „Современная филология”*, Ufa 2013, s. 33, tłum. K. Tyczko.

<sup>101</sup> *Роман Асан*, [źródło elektroniczne] <http://echo.msk.ru/programs/kazino/569027-echo/> (dostęp 27.09.2017), tłum. K. Tyczko.

Wojna albo szpital są nieciekawe – ciekawy jest człowiek, który przez to przeszedł. Tylko to jest ciekawe. Tylko to pozostanie. Codziennosc i tak zostanie zniekształcona. Producenci filmowi ją zbanalizują. Nawymyślają w pogoni za dokładnością. Tylko życie człowieka jest ciekawe. A co do reszty – są filmy dokumentalne [...]”<sup>102</sup>.

Literatura, zdaniem prozaika, nie posiada żadnych odgórnych obowiązków i zadań do wypełnienia wobec rzeczywistości. Makanin, pytany o to, co powinna literatura, odpowiadał zazwyczaj, że literatura niczego nie powinna, bowiem ona nie stoi w relacji powinności i misyjności wobec rzeczywistości: „literatura nic nie musi odzwierciedlać. To nie wchodzi w jej zadania. Literatura idzie równolegle. Wiele razy już mówiłem, że jeśli Bóg chciał, abyśmy kopiowali, to nie dałby nam serca”<sup>103</sup>.

Dotykamy tutaj ponownie wspomnianych powyżej wątpliwości Caputo wobec filozofii Heideggera. Prócz kwestii wrażliwości na cierpienie dotyczą one także elitarnego charakteru filozofii fryburczyka, wpisującej się w szerszy nurt filozofowania *ex cathedra*, co przekłada się na poczucie stygmatyzacji niezdolnych bądź niechających podążać wyznaczoną przez filozofa drogą. Takiego zdania jest na przykład Lorenc. Niemiecki filozof, jak pisze jego polski komentator, „z jednej strony [...] oczekuje zaangażowania, z drugiej – zdaje sobie sprawę z osobliwości własnych analiz”<sup>104</sup>. Podobnie, jak się zdaje, postępuje Stankiewicz w swojej interpretacji *Utraty*, narzucając bohaterowi tę, a nie inną postawę. Hermeneutyka radykalna zaś w ramach uznania *zimnej prawdy* proponuje odrzucenie tendencji uogólniających i równoprawny charakter wszystkich partykularnych ontologii wobec upływu. W jej paradygmacie „dostęp do tego co ontologiczne uzyskuje się jedynie z perspektywy lokalnych stanów zrozumiałości”<sup>105</sup>.

Podobne podejście prezentuje Makanin. Jego stosunek do literatury może być potraktowany właśnie jako wyjście poza ograniczenie

<sup>102</sup> Владимир Маканин: *Литература ничего не должна*, [źródło elektroniczne] <http://www.ug.ru/old/02.46/t25.htm> (dostęp 12.02.2019), tłum. K. Tyczko.

<sup>103</sup> „В конце мы с андеграундом разругались” Владимир Маканин о войне, больнице и рыбалке, [źródło elektroniczne] <https://lenta.ru/articles/2017/03/13/makanin/> (dostęp 12.02.2019), tłum. K. Tyczko.

<sup>104</sup> W. Lorenc, dz. cyt., s. 87.

<sup>105</sup> Z. Dziuban, dz. cyt., s. 85.



Heideggera i otwarcie interpretacji na wpływ poprzez uznanie skrajnie indywidualnego charakteru „misji” (ontologii):

Nie da się odpowiedzieć na pytanie, jaka jest misja literatury. W każdym jednym przypadku ona jest szalenie konkretna. Puszkina to misja. Dostojewski – misja. Małyszkin – misja. To indywidualna sprawa. Literatura jest skomplikowanym i szczególnym zjawiskiem, ona nic nie powinna. Ona jest naszą duchowością. Proszę spróbować powiedzieć: „Duchowość powinna odzwierciedlać...”<sup>106</sup>.

To osobliwe spojrzenie na misję literatury, ograniczające wszelkie imperatywy do kwestii indywidualnej, z drugiej zaś intensyfikujące je poprzez pełne uwolnienie rynku idei, jest przeciwieństwem charakterystycznego dla rosyjskojęzycznej kultury statusu i misji literatury jako sumienia narodu; rosyjski pisarz był w tych warunkach nauczycielem, posiadającym wysoki moralno-duchowy autorytet<sup>107</sup>. Jerzy Smaga jako przykład bycia przez pisarza wychowawcą i spełniania „wielu nieliterackich funkcji” przywołuje postaci Lwa Tołstoja i Fiodora Dostojewskiego. Ludmiła Kamiedina, profesor Zabajkalskiego Uniwersytetu Państwowego w Rosji, z kolei w artykule *N. W. Gogol o duchownym smysle chudożestwiennego twórczestwa w russkiej kulturie* pisze: „Badacze Gogola pod duchowym sensem jego twórczości artystycznej rozumieją jego sens religijny, jak rozumiał go sam Gogol. Natomiast sens samej twórczości był pomyślany przez Gogola jako służba państwu”<sup>108</sup>. Pisarz, jak twierdzi Kamiedina, zdaniem autora *Martwych dusz* powinien nie tylko demaskować obłudę, ale przede wszystkim prezentować swoim czytelnikom pozytywny ideał. Takim dla Gogola był Chrystus. Życie pisarza miało być w pewnym sensie zbliżone do życia ascety. „Jeśli świat nie jest w stanie spotkać się z Chrystusem, to zadaniem pisarza jest mu w tym pomóc”<sup>109</sup> – pisze profesor, a w innym miejscu dodaje: „Twórczość literacka, zdaniem Gogola, podobnie jak teksty świętych

<sup>106</sup> Владимир Маканин: *Литература ничего...*, tłum. K. Tyczko.

<sup>107</sup> J. Smaga, *Wstęp*, [w:] F. Dostojewski, *Bracia Karamazow*, tłum. A. Wat, Wrocław 1995, s. XXIV.

<sup>108</sup> Л. Камедина, *Н.В. Гоголь о духовном смысле художественного творчества в русской культуре*, „Гуманитарный вектор” 2010, nr 4 (24), s. 128, tłum. K. Tyczko.

<sup>109</sup> Tamże, s. 131, tłum. K. Tyczko.

ojców, powinna prowadzić do Doskonałości”<sup>110</sup>. Literatura rosyjska, jak z kolei w odniesieniu do okresu klasycyzmu zauważa Anna Woźniak, miała wskazywać właściwe postawy moralne, oddzielać dobro od zła, „formować świadomość społeczną, wzmacniać postawę humanistyczną i patriotyczną”<sup>111</sup>.

Podobne aspiracje – moderatora rzeczywistości – posiadała literatura radziecka. Szczegółowo pisze na ten temat Michaił Epsztajn, który jednak w socrealizmie upatrywał sedno idei symulakru:

Baudrillard wyraźnie rozgranicza imitację od symulacji, co dla zrozumienia rosyjskiego postmodernizmu jest szczególnie ważne. Imitacja zakłada istnienie jakiejś rzeczywistości za obrazem – dlatego to obraz może być fałszywy i różnić się od rzeczywistości. Za symulacją nie stoi żadna samodzielna rzeczywistość, dlatego że symulacja sama ją zastępuje. Nie ma jej do czego porównać. Czystymi symulakrami były na przykład wprowadzone przez Lenina komunistyczne subotniki – wydarzenia dla samego wydarzenia. Nie należy oskarżać ideologii komunistycznej o kłamstwa, gdyż ona tworzy świat, który opisuje. Takie charakterystyczne sowieckie ideologemy jak „kołchoz”, „partyjny charakter literatury” czy „jedność partii i narodu” nie powinny być uważane za przejawy przekłamywania rzeczywistości, ponieważ żadnej rzeczywistości nie odzwierciedlają, lecz ją tworzą. [...] Między ideologią epoki stalinowskiej a jej realnością nie ma prawie żadnych rozbieżności i to nie dlatego, że ta ideologia prawidłowo odzwierciedlała rzeczywistość, ale dlatego, że z czasem w kraju nie było żadnej innej rzeczywistości prócz ideologii<sup>112</sup>.

Rozpad ZSRR, deregulacja przestrzeni myśli poprzez odejście od cenzury, zwielokrotnienie systemów wartości, przekazanie przez literaturę kompetencji innym dyscyplinom (socjologia, psychologia i inne), zwiększenie dostępności różnego rodzaju rozrywek, a także – jak podkreśla rosyjski pisarz i krytyk Michaił Berg – „istotne obniżenie

<sup>110</sup> Tamże, s. 133, tłum. K. Tyczko.

<sup>111</sup> A. Woźniak, *O literaturze rosyjskiej, jej nauczaniu i literaturocentryzmie*, „Roczniki humanistyczne” 2016, tom LXIV, zeszyt 7, s. 50.

<sup>112</sup> M. H. Эпштейн, *Постмодерн в русской литературе*, Moskwa 2005, s. 70, tłum. K. Tyczko.

statusu pola ideologii w przestrzeni społecznej wraz ze zwiększeniem wartości zwykłego życia w porównaniu do różnych sposobów kulturowego modelowania”<sup>113</sup> doprowadziły do utraty przez literaturę swojego dawnego statusu. Ówczesny czytelnik zorientował się, że nie potrzebuje już literatury, która niegdyś wypełniała sobą wiele obszarów jego życia. Status literatury poddawali w wątpliwość również sami pisarze końca dwudziestego wieku:

Dzisiaj nierzadko słyhać utyskiwania na to, że współczesna literatura umarła, nie ma jej, mówi się o „ogólnym kryzysie hierarchicznego systemu rozumienia świata” (M. Lipowieckij). Wielu krytyków pisze z ironią, że nad rosyjską literaturą „zawisła mimowolnie rzucona fraza: U nas nie ma literatury”<sup>114</sup>. Wielu obecnie wydaje się, że wszystko, co mogło być najbardziej interesujące w literaturze, albo już było, albo dopiero ma być. Znamienne, że najnowsza literatura nazywana jest „literaturą epilogu” (M. Lipowieckij), „tułaczą literaturą” (E. Szklowski), „złą prozą” (D. Urnow), „chorym, który raczej jest półżywy niż półmartwy” (L. Anninskij), „inną literaturą” (S. Czuprinin) itd. Wspominane są także słowa Zamiatina z jego słynnego artykułu *Boję się* z 1921 roku o tym, że przyszłość literatury rosyjskiej jest w jej przeszłości. Wytężone życie współczesnej literatury jednak świadczy o czymś przeciwnym<sup>115</sup>.

Co ciekawe, współcześni pisarze, kształtując swoje poglądy na omawianą kwestię, biorą poprawkę na przebytą przez literaturę drogę dekonstrukcji, jednak echa dawnej funkcji dają się słyszeć także dziś i można zapytywać, czy one nie wpisują się w szerszy i popularny ostatnio w Rosji trend rewitalizacji imperium. Tak na przykład wypowiada się na ten temat autor *Sankji* – Zachar Prilepin:

<sup>113</sup> М. Берг, *Литературократия. Проблема присвоения и перераспределения власти в литературе*, Москва 2000, s. 182, tłum. K. Tyczko.

<sup>114</sup> Autorka przytacza słowa Igora Jarkiewicza, który z kolei cytuje Wissariona Bielinskiego. Lokalizacja cytatu to А. В. Крапивина, „Вечная тема” в прозе XXI века: материалы к уроку в 11 классе, „Уральский филологический вестник” 2013, nr 5, s. 235. Na marginesie należy zauważyć, że Krapiwina obejmuje cytatem także kolejne zdanie, które w tekście Czerniak jest wyprowadzone poza cudzysłów.

<sup>115</sup> М. Черняк, *Современная русская литература*, Moskwa 2019, s. 8, tłum. K. Tyczko.

Rosyjski pisarz ma misję. I należy to przyznać, chociaż nie chciałbym przypisywać swojemu istnieniu i pisarstwu wyzszego, mistycznego sensu. [...]

Taka postawa [obojętności społecznej – K. T.] nie była charakterystyczna ani dla Anny Achmatowej, ani dla Mariny Cwietajewej, ani dla Jesienina, Majakowskiego, Puszkina, Dostojewskiego. Oni występowali z trybuny jako ludzie, którzy byli przekonani o absolutnej racji w danym przypadku swojego narodu. Szli z podniesioną przyłbicą i żadna europejska opinia ani osobiste więzi nie miały dla nich znaczenia. To nie były pocziwinki, tylko wojownicy i prorocy. Z kolei całe to dzisiejsze towarzystwo literackie bardzo dba o swoją reputację. To niegodne literatury rosyjskiej. I oni poniosą za to karę. Jeśli nie podzielasz namiętności, bólu albo cierpienia swojego narodu, to znaczy, że nie możesz być jego echem i głosem. Jesteś wtedy po prostu kolesiem, którzy pisze długi wiersz o tym, że ma zadziór na palcu. No i miej go sobie, mój Boże. Są ważniejsze rzeczy. Nikt nie pisze *Poltawy*, *Anny Snieginy*, *Dobrze*, *Scytów*, *Dwunastu*. Brakuje nam rozmachu, jesteście małostkowi<sup>116</sup>.

Przyczyn wyjątkowego statusu pisarza w kulturze rosyjskiej Makanin doszukuje się w nierównomiernym biegu rosyjskiej historii, w której okresy wydłużonego zastoju przeplatają się z chaotycznym i przyspieszonym przeskakiwaniem poszczególnych etapów rozwoju. Pisarz w takich warunkach zmuszony jest do pogłębionego namysłu nie tylko nad minionym, ale i przyszłym zwrotem. I właśnie ta nierównomierność, zdaniem prozaika, warunkuje profetyczny charakter słowa w Rosji, gdzie – jak zauważyła referująca poglądy Makanina Tatjana Spiektor – pisarz „zawsze trafia w pewne naelektryzowane pole, przy czym nie jest ważne, czy on sam czuje się prorokiem, czy zupełnie w to nie wierzy. [...] jego słowo wybrzmiewa z uwzględnieniem tych przełomów”<sup>117</sup>. „Jak nisko by literatura nie upadła, ona

<sup>116</sup> Захар Прилепин: у русского писателя есть миссия, [źródło elektroniczne] <https://prochтение.org/podcast/27954> (dostęp 01.01.2020), tłum. K. Tyczko.

<sup>117</sup> Монахиня Александра, Владимир Маканин и американские слависты в ноябре 1999, [źródło elektroniczne] <http://znamlit.ru/publication.php?id=6862> (dostęp 1.01.2020), tłum. K. Tyczko.

mimo wszystko pochodzi od proroków”<sup>118</sup> – konstatuje z kolei Makanin.

Również w uważanej za *opus vitae* prozaika powieści *Andiegraund, ili Gieroj naszego wriemieni* opisana powyżej kwestia statusu literatury zostaje poddana problematyzacji. Główny bohater – Pietrowicz – dostrzega, iż za odwołaniami do wzorców postępowania z przeszłości stoi uzurpacja lokalnego *rozumienia*:

Literatura jako perswazja. Jak wielki wirus. (Tamta literatura ciągle w nas działa. Jednak nie zabijaj na kartach powieści nie znaczy jeszcze nie zabijaj na śniegu. I nie ujmując nic świętemu autorytetowi Fiodora Michajłowicza, Rosjanin ma pełne prawo cofnąć się z jego dni, z jego cierpiętniczych czasów o trzy dziesięciolecia (jedno pokolenie!) i wejść do świata innych autorytetów. Nie on jeden. Nie on jeden zna życie... Aleksander Siergiejewicz – upadł, gryząc śnieg, lecz jak celował! Ranny, z kulą w brzuchu, czy chciał albo zamierzał prosić o przebaczenie? Ukląkłby na skrzyżowaniu po zabiciu Dantesa? Ani na sekundę. Nawet dziesięć lat później by nie ukląkł. Nawet dwadzieścia. Śmiertelnie ranny, leżąc na śniegu, celował do człowieka i doskonale wiedział, po co to robi. I trafił, przecież trafił!<sup>119</sup>

Buntując się przeciwko „Wielkiemu Kanonowi” literatury rosyjskiej, Pietrowicz problematyzuje przekonanie co do oczywistości eksploatowanego w kulturze wzorca. Sam Makanin z kolei w wywiadach wyjaśnia, że wielkość oraz sława pisarza nie są wartościami bezwzględными i w głównej mierze zależą od aktualnego zapotrzebowania społecznego. Zapytany zaś o różnicę pomiędzy tzw. prawdziwym pisarstwem a grafomanią, prozaik wyraził wątpliwość co do zasadności podobnego podziału i zamiast hierarchii literackiej zaproponował metaforę piramidy lub wielu piramid – jeśli nawet można mówić o technicznej doskonałości czy przewadze jednego autora nad innym, to i tak każdy z piszących ma swój wkład w budowanie przestrzeni duchowości. Wykluczanie kogokolwiek obarczone jest

<sup>118</sup> Зелёная лампа..., tłum. K. Tyczko.

Por. także Владимир Маканин. Литература идет от пророков, [źródło internetowe] <http://moloko.ruspole.info/node/652> (dostęp 28.12.2017).

<sup>119</sup> В. С. Маканин, dz. cyt., s. 100, tłum. K. Tyczko.

ryzykiem opisanym w Ewangelii wg św. Łukasza 6, 37-38. Rosjanin parafrazuje dany fragment w następujący sposób: „Jak tylko zaczynamy sądzić, pojawia się miara. [...] Mogę ich teraz porozstawiać po swojemu, lecz ktoś inny postąpi podobnie ze mną i też będzie mieć rację”<sup>120</sup>. Owo sprowadzenie *Przesłania* do jednego z wielu przesłań przy jednoczesnym zachowaniu jego głębokiego statusu stanowi punkt styku Makaninowskiej rzeczywistości artystycznej i filozofii radykalno-hermeneutycznej.

\* \* \*

Centralną kategorią Makaninowskiej rzeczywistości estetycznej jest „system obrazów”. Jak podkreśla Jadwiga Szymak-Reiferowa:

obraz artystyczny jest sposobem i formą przedstawienia rzeczywistości w sztuce [...]. Semantyka rosyjskiego słowa „obraz” wskazuje na: a) wyobrażone bycie faktu artystycznego, b) jego bycie przedmiotowe, to, że istnieje on jako pewna całościowa konstrukcja, c) jego racjonalność („obraz” czego?, tzn. obraz zakłada praobraz swojego sensu)<sup>121</sup>.

Tak zaś sam pisarz mówił o jądrze swojego stylu:

Na początku pisałem mikropowieści filmowe: *Priamaja linija*, *Biezotcowszczyna*, *Powiest’ o Starom Posiołkie*. Łącznie było ich sześć. W trakcie pojawiły się „sonaty fortepianowe” – niewielkie teksty jak na przykład *Kluczariow i Alimuszkin*, *Antylider*, *Duchówka*<sup>122</sup>, o wiele krótsze i mniej sceniczne, jednak było w nich więcej prozy i pewna ambicja co do objętości. Okres mikropowieści filmowych natomiast dobiegł końca. Następnie wewnątrz nich pojawiła się taka maniera jak „głosy” i ona również zaczęła narastać. Tak naprawdę to nie tyle gatunki, ile okresy. Jak gałęzie na drzewie: na jednej jedno

<sup>120</sup> *Линия жизни*, [źródło elektroniczne] [https://tvkultura.ru/video/show/brand\\_id/20872/episode\\_id/155706/video\\_id/155706/](https://tvkultura.ru/video/show/brand_id/20872/episode_id/155706/video_id/155706/) (dostęp 1.01.2020), tłum. K. Tyczko.

<sup>121</sup> Н. Д. Тamarченко, *Теоретическая поэтика: понятия и определения*, Moskwa 2001, s. 42, cyt. za: J. Szymak-Reiferowa, „System obrazów” i „forma” w metodzie twórczej Władimira Makanina, [w:] *Szkoła moskiewska...*, s. 37, tłum. K. Tyczko.

<sup>122</sup> Zob. W. Makanin, *Antylider*...

jabłko, drugie, trzecie... I kolejna gałąź. Drzewo utrzymuje piętra gałęzi i dlatego są różne owoce. Można je nazwać okresami, ale lepiej patrzeć na to jak na pewien świat wewnętrzny. Moim ulubionym filozofem zawsze był Heraklit z jego wiecznym odrodzeniem w zmieniającej się nowej formie. Styl nie jest dla mnie chwytem czy manierą, lecz systemem obrazów. Mogę pisać i tak, i tak, i tak, lecz system obrazów pozostaje. Forma odnajduje się sama<sup>123</sup>.

Makaninowski „system obrazów” cechuje się granicznym charakterem łączliwości literatury z filozofią. Owo otwarcie literatury na filozofię i filozofii na literaturę, a więc osłabienie granic poprzez połączenie „w jednym tekście pewnego teoretyzowania w określonym języku teoretycznym [...] oraz jakiegoś nowatorskiego, odkrywczego sposobu pisania”<sup>124</sup> zbliża twórczość Makanina, jako oscylującą pomiędzy klarownym pojęciem a niejasnym obrazem poetyckim, z myślicielskim charakterem wypowiedzi artystycznych w rozumieniu Michaiła Epsztiejna<sup>125</sup>. Filozoficzne predyspozycje twórczości Makanina zaś potwierdzają dwaj rosyjscy literaturoznawcy, Naum Lejdierman i Mark Lipowieckij:

To właśnie dyskusja o „czterdziestolatkach” uczyniła Makanina rozpoznawalnym dla szerokiej publiczności. Jego proza jednak uległa poważnej transformacji na przełomie lat 70. i 80. Był to czas powstania nowego jądra jego poetyki. Pod koniec lat 70. Makanin przeżył bardzo ciężki uraz kręgosłupa i przez pół roku był przykuty do łóżka. Trudno powiedzieć, jakie psychologiczne zmiany zaszły w nim w tamtym czasie, lecz to właśnie utwory napisane na przełomie lat 70. i 80. – opowiadania *Kluczariow i Alimuszkin*, *Wartki nurt rzeki*, *Antylider*, *Człowiek świty*, *Obywatel uciekający*, mikropowieści *Duchówka* i *Priedietcza*, powieść *Gołosa* – zapoczątkowały wyraźne filozoficzny, a ściślej egzystencjalistyczny wydzźwięk prozy Makanina<sup>126</sup>.

<sup>123</sup> Я. Свежий, dz. cyt., s. 147.

<sup>124</sup> Cyt. za: M. P. Markowski, *Derrida: filozofia czy literatura?*, „Pamiętnik literacki” 1996, z. 1, s. 108.

<sup>125</sup> М. Н. Эпштейн, dz. cyt., s. 361.

<sup>126</sup> Н. Л. Лейдерман, М. Н. Липовецкий, *Современная русская литература*, Moskwa 2003, s. 627, tłum. K. Tyczko.

Makaninowska definicja stylu koresponduje z ideą *myśloobrazów* Epsztejna, decydujących, jego zdaniem, o „miękości” języka filozofii. *Myśloobrazy*, w przeciwieństwie do „twardego języka myśli”<sup>127</sup> są

półterminami, półmetaforami, których znaczenia są o wiele mniej prawdopodobne i definiowalne niż w języku filozofii, jednocześnie będąc bardziej dyskretnymi niż we właściwej przedstawieniowej twórczości artystycznej<sup>128</sup>.

Myślicielstwo jest dla Epsztejna szerokim terytorium między literaturą a filozofią, włączającym nie tylko przedstawicieli „złotego środka”, lecz również tych, którzy skłaniają się ku jednej z dyscyplin, nie chcąc jednak porzucać drugiej: „Dostojewski jest myślicielem od literatury, Sołowiow – myślicielem od filozofii; i chociaż zaczęli od dwóch różnych biegunów, to spotkali się w przejściowej strefie myślicielstwa”<sup>129</sup> – pisze Rosjanin.

Jeśli więc patronem klasycznej hermeneutyki, która przewycięża *upływ*, jest Hermes jako tłumacz, boży posłaniec i listonosz, „który dostarcza przesyłkę od dającego się zidentyfikować nadawcy do równie identyfikowalnego odbiorcy”<sup>130</sup>, to patronem nieklasycznych, kooperujących z *upływem*, hermeneutyk jest Hermes ujmowany jako „typ spod ciemnej gwiazdy, kłamca, krętacz, kombinator, patron złodziei”<sup>131</sup>. Charakterystyka ta osadzona jest na kategoriach *bezdomności*, *obcości* i *utraty*, bowiem drugi Hermes nie może mieć stałego miejsca zamieszkania, nie jest powszechnie uznawany za swojego oraz funkcjonuje w przestrzeni nieustannego zdobywania i straty – *upływu*.

Za doskonały przykład myśliciela Epsztejn uznaje Andrieja Siniawskiego. To właśnie pasja niewiedzy, świadomość własnej ułomności, błazeństwo i złodziejstwo są tym, co w perspektywie Siniawskiego charakteryzuje doświadczenie twórczości. Gotowość na wydarzenie, a więc wewnętrzna pustka, oczekiwanie na słowo wypowiedziane przez *innego*, a także świadomość obcości w sobości – złodziejstwo – owocują

<sup>127</sup> М. Н. Эпштейн, dz. cyt., s. 361, tłum. K. Tyczko.

<sup>128</sup> Tamże, tłum. K. Tyczko.

<sup>129</sup> Tamże, tłum. K. Tyczko.

<sup>130</sup> M. Januszkiewicz, dz. cyt., s. 80.

<sup>131</sup> Tamże s. 81.



zdaniem autora *Spacerów z Puszkinem* powołaniem skontaminowanego, nowego bycia<sup>132</sup>.

Zdaniem Michaiła Epsztiejna figura myśliciela charakterystyczna jest właśnie dla kultury rosyjskiej. Myśliciel to postać hybrydyczna, poruszająca się pomiędzy dyscyplinami i przekraczającą ustalone ramy:

„Myślicielstwo” jest szczególną skłonnością rosyjskiego umysłu, niepasującą do tradycyjnego podziału kultury na „literaturę”, „estetykę”, „politykę”, „filozofię” itd. Z tego powodu rosyjscy myśliciele rozmywają się w recepcji Zachodu i najczęściej nie trafiają do żadnej kategorii<sup>133</sup>.

Zachodnia filozofia, jak pisze rosyjski kulturolog, zakłada związek myślenia ze swoim przedmiotem i czyni epistemologię – naukę o poznaniu przedmiotu, który koniec końców okazuje się niedosiężnym, Kantowską *rzeczą samą w sobie* albo Derridiańskim nieobecnym *signifié* – podstawą swojego istnienia. Filozofowanie po rosyjsku zaś

po prostu „myśli” swój przedmiot – i mości się w nim, wdziera weń, zlewa z nim, w związku z czym myślicielstwo jest także swoistym zbieractwem myśli, obejmującym świat jako całość w jego otwartości i dostępności [...]”<sup>134</sup>.

Na tyle swobodna charakterystyka rosyjskiego modelu filozofowania nie może nie wywoływać wątpliwości co do jego relatywizmu, bezplanowości i w rezultacie nieprzydatności. Podobne zarzuty stawiane są hermeneutyce radykalnej chociażby przez Włodzimierza Lorenca. Dylemat ten hermeneuci próbują rozwiązać poprzez odwołanie do źródła hermeneutyki – *upływającego* charakteru bycia. To on bowiem ma stanowić wykrywacz autorytaryzmu we wszelkich

<sup>132</sup> Zob. A. Терц, *Мысли врасплох*, [źródło elektroniczne] [https://royallib.com/book/terts\\_abram/misli\\_vrasplokh.html](https://royallib.com/book/terts_abram/misli_vrasplokh.html) (dostęp 1.10.17.). Pouczająca jest również lektura tekstu Terca *Spacerów z Puszkinem* (*Прогулки с Пушкиным*), w którym autor dekonstruuje mity o postaci poety. *Spacery* (polskie wydanie w przekładzie Izabeli Paszt-Kowalskiej, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Szczecińskiego, 2017) są doskonałą perspektywą dla analizy Makaninowskiej powieści *Исны*.

<sup>133</sup> М. Н. Эпштейн, dz. cyt., s. 328, tłum. K. Tyczko.

<sup>134</sup> Tamże, s. 365, tłum. K. Tyczko.

modelach ontologicznych. Ważną rolę odgrywa również Heideggerowski postulat, podnoszony zresztą przez hermeneutykę radykalną, by w myśleniu pozwolić rzeczom być tym, czym są, by nie zniewalać ich w epistemologiczno-pojęciowych chwytach. Nie oznacza to apologii milczenia. Radykalni hermeneuci ów postulat tłumaczą jako zgodę na odwoływalność własnych sądów ze wszystkimi jej konsekwencjami dla konstruowanych pojęć. Na pierwszy plan wysuwa się w tym miejscu także Caputiańska kategoria *tajemniczości* polegająca na nazewniczej dyskrecji, bowiem pojęcie nigdy nie jest w stanie w pełni opisać wszechstronności i wieloperspektywicznego charakteru *wydarzenia*. Amerykański filozof postuluje uczciwość wobec „złożoności, wieloznaczności i niejasności [przedmiotu – K. T.]. Nie proste i stałe pojęcie faktu, lecz wciąż od nowa powtarzane rozumienie”<sup>135</sup>, które ma chronić namysł przed popadaniem w potrzebę rozjaśniania, spajania i cementowania w myśl zatrzymania kinetycznej rzeczywistości. Figura myśliciela z kolei w rozważaniach rosyjskiego badacza związana jest z kategorią odpowiedzialności wobec myśli:

Myślicielstwo nie oznacza epistemologicznej anarchii, chociaż w praktyce wykazuje większą niż filozofia swobodę czy nawet rozpasanie wobec tego, co jest myślane. Filozofia podchodzi do swojego przedmiotu z ostrożnością, stawia granice niepoznawalności między nim a sobą. [...] Oznacza to: myśleć z zaangażowaniem, poszukując podstaw semantycznych zjawisk nie w ogólnej zasadzie, lecz w samych zjawiskach, w jego odrębności i niesprowadzalności do zasad<sup>136</sup>.

Myśliciel według Epsztiejna zadaje pytania i problematyzuje szczególnie te miejsca, które w ramach tradycyjnego dla danej kultury myślenia opatrzone są pewnością i spokojem oraz uznane za rozwiązane bądź nierozwiązywalne<sup>137</sup>. Pomiędzy myślicielstwem opisanym przez Michaiła Epsztiejna a filozofią radykalno-hermeneutyczną zachodzi więc wspólnota ujmowania doświadczenia świata. Nie odbiega od niej także Władimir Makanin. Jak zauważyła Tatjana Czurlajewa, prozaik

<sup>135</sup> N. Leśniewski, dz. cyt., s. 253.

<sup>136</sup> M. H. Эпштейн, dz. cyt., s. 366, tłum. K. Tyczko.

<sup>137</sup> Tamże, s. 360.

świetnie wpisuje się w tę strategię pozbawiania człowieka komfortu pewności własnego obrazu świata. Zaświadcza o tym Pietrowicz, bohater powieści *Andiegraund*...:

Nie lubię myśli do samego końca. Drepcze ona (taka myśl), jakby bała się, że nie trafi do drzwi, gdzie jest wyjście – słabnie, nędznieje i czym prędzej się teoretyzuje. Wartościowa myśl nie ma końca. Jawi się za nią cisza i otwartość. Jawi się step aż po horyzont<sup>138</sup>.

---

<sup>138</sup> B. С. Маканин, dz. cyt., s. 116, tłum. K. Tyczko.



## Kategoria atopii w kontekście książki Zuzanny Dziuban

W 2009 roku nakładem Wydawnictwa Naukowego Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu został wydany tekst rozprawy doktorskiej Zuzanny Dziuban pt. *Obcość, bezdomność, utrata. Wymiary atopii współczesnego doświadczenia kulturowego*. W swojej książce filozofka analizuje kategorię *atopii* i uzasadnia jej znaczenie dla opisu współczesnego doświadczenia kulturowego. Kontekstem filozoficznym jest dla badaczki hermeneutyka radykalna Johna Caputo i Gianni Vattimo. Pomysł Zuzanny Dziuban, by z *atopii* uczynić kategorię do opisu współczesnego doświadczenia, zasadza się na dostrzeżeniu zbieżności tej kategorii z radykalno-hermeneutycznym opisem doświadczenia, w ramach którego nie mamy już do czynienia z bliskością, swojskością i przynależnością do zrozumiałego świata życia, lecz poprzez aktualność inności, otwartości i wydarzeniowości mówimy raczej o poczuciu obcości, bezdomności i utraty.

Jak wskazuje Alina Mitek-Dziemba słowa „átopos” użył Platon na określenie Sokratesa jako czegoś dziwaczного i odbiegającego od normy, niewpisującego się w przyjęte modele, wywołującego niepewność i pozbawiającego komfortu tego, co znane i sprawdzone: „Sokrates tworzy zatem w filozofii [...] nową jakość, która nie daje oparcia i niepokoi, jakość jakby spoza istniejącego świata: Platoński bohater nazywa go półzwierzęcem i dwuznacznym sylenem”<sup>139</sup> – pisze badaczka.

*Atopia* jako opisująca to, co nieustabilizowane i wymagające „utrzymywania się w ciągłej interpretacyjnej aktywności, stałej gotowości rozumienia tego, co w owym niedookreśleniu, w tej luce i nieodmknęciu prześwieca, nigdy nie ujawniając swego prawdziwego (adekwatnego) oblicza”<sup>140</sup>, została przez Łukasza Czajkę, komentatora filozofii Johna Caputo, przeciwstawiona *utopii* jako miejscu doskonałemu, określönemu w szczegółach, lecz nieistniejącemu. Poznański badacz hermeneutyki radykalnej przeprowadza linię demarkacyjną pomiędzy oboma pojęciami w kontekście Caputiańskiego postulatu zwiększania

<sup>139</sup> A. Mitek-Dziemba, (*Filozoficzna*) *sztuka życia dzisiaj? Sokratejsko-nietzscheański wzorzec wychowawcy a edukacja uniwersytecka*, [w:] „antropos?”, red. A. Kunce, Katowice 2013, s. 30-31.

<sup>140</sup> N. Leśniewski, dz. cyt., s. 224.

demokracji we współczesnym świecie. I jakkolwiek zagadnienia polityczno-społeczne nie należą tutaj do kwestii pierwszorzędnych, to poniższy cytat dobrze pokazuje, co oznacza radykalno-hermeneutyczny brak zaufania do konstruowanych przez systemy metafizyczne ideałów:

Odpowiadanie na wezwanie „nadchodzącej demokracji” wiąże się z aktywnym przemienianiem instytucji państwowych i wprowadzaniem do nich coraz to więcej i więcej demokracji, a nie na stopniowym przybliżaniu się do pełnego zrealizowania z góry określonej wizji idealnego społeczeństwa. Jeśli utopia jest jednocześnie doskonałym miejscem i miejscem, którego nie ma, to „nadchodząca demokracja” zdecydowanie nie jest (nie istnieje), lecz przyzywa nas jako widmowa obietnica przyszłości, która nigdy nie zakrzepnie w żadnej doskonałej istocie. Dlatego zamiast o utopii woli Caputo mówić o „nadchodzącej demokracji”, jako o pewnej atopii, którą rozumie jako utopię negatywną, pozbawioną pozytywnego ideału<sup>141</sup>.

Skoro więc, jak argumentuje Dziuban, współczesne doświadczenie kulturowe nie jest doświadczeniem stabilności, lecz wprost przeciwnie – płynności, braku stałego punktu odniesienia, zarezerwowanego miejsca, to hermeneutyka radykalna proponuje oparcie naszych interpretacji na tzw. braku podstawy, tj. na czasowości wszelkich struktur.

Zadaniem myślenia musi być raczej pozostawanie przy tajemniczej sile zawartej w słowach, [sile] która jest czymś więcej niż burzą rozpraszania, [pozostawanie] nie po to, byśmy mogli przebudzić się następnego ranka oślepieni blaskiem Platońskiego słońca, ale raczej po to, by [...] zrozumieć, że nie należymy do siebie<sup>142</sup>

– cytuje amerykańskiego radykalnego hermeneutę Leśniewski.

Interesującą w powyższym kontekście jest powieść Władimira Makanina *Ispug*<sup>143</sup>, w której główny bohater, stary Piotr Pietrowicz Ałabin, utożsamiany w powieści z chthonicznym satyrem, został pomyślany

<sup>141</sup> Ł. Czajka, dz. cyt., s. 108.

<sup>142</sup> J. Caputo, *Supposing Truth to be a woman...: Heidegger, Nietzsche, Derrida*, [w:] *The Thought of Martin Heidegger. Tulane Studies on Philosophy*, vol. XXII, red. E. Zimmermann, New Orleans 1984, s. 9, cyt. za. N. Leśniewski, dz. cyt., s. 239.

<sup>143</sup> В. С. Маканин, *Испуг*, Москва 2011.

również jako projekcja Aleksandra Puszkina<sup>144</sup> w sytuacji, gdyby poeta nie został postrzelony podczas pojedynku i dożył starości. Co więcej, „stary” Puszkina został przez prozaika przeniesiony na początek lat 90. XX wieku.

Motywy przewodnim powieści *Ispug* jest nasilający się w księżycowe noce pociąg głównego bohatera do młodych kobiet. Ałabin przenika na cudze dachy w nadziei na spełnienie intensywnego zewu: „pragnienie... i jeszcze jakby słyszę jej nocne wołanie. Przywołuje. Czuję na odległość, że kobieta i śpi... i nie śpi”<sup>145</sup>. Rosyjski prozaik, podobnie jak to robił Terc, komplikuje i niejako odczarowuje status „słońca poezji rosyjskiej”<sup>146</sup>. Dla niniejszej refleksji zaś najistotniejsze są wariabilistyczne wątki utworu.

Ałabin zawsze przychodzi jako słaba obecność, zawsze pod nocną nieobecność mężczyzn:

Zawsze nagle. Zawsze po ciemku. Zawsze w środku nocy.  
A za dnia ty w ogóle żyjesz... W ogóle chociaż... Trzeba by  
cię uszczypnąć... Ty za dnia istniejesz? W absolutnej ciemności  
cicho kręcę głową – nie!<sup>147</sup>

Punkt odniesienia nocnej tajemnicy głównego bohatera stanowi światło księżyca, które w donżuanowskie, jak chce Klimowa<sup>148</sup>, zachowanie staruszka wprowadza konteksty piękna i boskości. Ałabin uczestniczy w słabo-solarnej prawdzie o braku podstawy – w ontologicznie słabej, niedefinitywnej obecności bytu, ustanawiającej słabą relację przynależności i posiadania<sup>149</sup>. Status odbitego światła księżyca w powieści może być rozumiany jako – z jednej strony – świadomość faktu, że nie posiadamy na stałe tego świata i wszystkich jego bytów,

<sup>144</sup> Por. T. Ю. Климова, *Проекции личности Пушкина в индивидуальном мифе В. Маканина (роман «Испуг»)*, „Вестник Буриатского государственного университета” 2010, nr 10, s. 147-154.

<sup>145</sup> B. C. Маканин, dz. cyt., s. 113, tłum. K. Tyczko.

<sup>146</sup> *Литературныя прибавления къ Русскому инвалиду на 1837 годъ*, 30 stycznia 1837, nr 3, s. 48, tłum. K. Tyczko.

<sup>147</sup> B. C. Маканин, dz. cyt., s. 257, tłum. K. Tyczko.

<sup>148</sup> Na temat donżuanizmu i Puszkiniowskich reminiscencji zob.: T. Ю. Климова, *Проекции...*, s. 147-154.

<sup>149</sup> Por. N. Leśniewski, dz. cyt., s. 238-239.

a o naszym istnieniu decyduje w głównej mierze nasza śmiertelność – tj. świadomość tego, co Caputo określił jako *zimna prawda*. Decydując się na nocne przyjście, Ałabin podejmuje grę przyzwalania i jednoczesnego odpychania oraz za każdym razem pobudzany wołaniem, aczkolwiek nie bez obawy<sup>150</sup> i nabożności, na nowo podejmuje swoje działanie.

Metrykalnie należąc do odchodzącego, upadającego, pokolenia, główny bohater mentalnie znajduje się pomiędzy gasnącą generacją starców a żywiołowym światem młodych. Ową więc pozwala mu zachować to, co stanowi rdzeń ruchu rozumienia – pragnienie uczestnictwa w faktycznych przejawach bycia, na poziomie fabularnym wyrażone duchowym upojeniem, przepełniającym bohatera, gdy ten znajduje się poza swoim domem, a więc przywiązaniem do życia bezpośredniego wobec zdystansowanego przeżywania codzienności, wyrażonego w powieści poprzez siedzenie przed telewizorem (Gosza z rozdziału *Starost', piataja knopka*), a także w moralnej postawie współczucia wobec zdruzgotanego psychicznie po wojnie krewnego i wreszcie w „apokryficznej” (określenie Marka Amusina) modlitwie o pokój do nieznanego Boga na dachu Białego Domu.

Erotyczna strona fabuły przywołuje na myśl koncepcję płciowości Wasilija Rozanowa<sup>151</sup>, jednakże o ile możliwym wydaje się odwołanie do Rozanowowskiej idei i znalezienie analogii na przykład w afirmacji zbliżenia, to solarna symbolika w pisarstwie Makanina posiada przekształconą logikę: to księżyc ze swą grą *a-lethei*, wyłaniania i ukrywania, spełnia tutaj pierwszorzędną i ożywczą rolę impulsu w strukturze świata przedstawionego. Nie jest on wszelako zaprzeczeniem słońca, gdyż powieść nie unika jego obecności, a w motywie lata wręcz ją podkreśla, lecz raczej wyrazem aktualności tajemnicy, bezpośrednim sprzymierzeńcem stawania się, którego centrum – indywiduum – za Rozanowem możemy upatrywać w a-mechanizmie, pluralizmie, zmienności i indywiduacji. Prawda stawania jest prawdą przekraczania:

Indywiduum zaczęło się tam, gdzie prawu natury nagle powiedziano „stop! tutaj nie wejdiesz!” Ten, kto go nie wpuścił, był

<sup>150</sup> M. Amusin używa określenia „przerażenie przed obliczem własnej zuchwałości”. М. Амусин, *Панацея от испуга*, „Вопросы литературы” 2010, nr 1, s. 113, tłum. K. Tyczko.

<sup>151</sup> Zob. В. В. Розанов, *Люди лунного света*, Sankt-Petersburg 1913.



pierwszym „duchem”, nie-„naturą”, nie-„mechaniką”. „Osoba” więc w świecie pojawiła się tam, gdzie po raz pierwszy doszło do „złamania prawa”. Prawa jako jednorodności i stałości, jako normy i „zwyczajności”, „naturalności” i „oczywistości”<sup>152</sup>.

Z kolei zdaniem Iriny Bryliny, badaczki twórczości Rozanowa:

W taki oto sposób dokonało się w naturze przejście do kolejnego etapu rozwoju – od jednorodności do różnorodności, od stałości do zmienności, od ogółu do indywidualności. Na świat przyszedł taki pierwiastek jak osoba, osobowość, „ja” w świecie<sup>153</sup>.

Znajdujący się w ciągłym materialno-duchowym *kinesis* (przemieszczanie się po podmoskiewskiej miejscowości, ruch na linii centrum-peryferia, nieustanne testowanie hierarchii, duchowy ruch wertykalny ku księżycowi oraz ruch mentalny obcowania z innymi) i będąc włączonym w wariabilistycznie opisany szerszy kontekst (fragmentaryczność fabuły, karnawalizacja języka, niedomknięta i otwarta na pomnażanie interpretacji konstrukcja formalna), Ałabin-satyr funkcjonuje także w przestrzeni Bachtinowskiej ambiwalencji nieoficjalnego ciała groteskowego, które poprzez swoją cyrkulację pomiędzy wysokim a niskim dynamizuje rozumienie i utrudnia stabilizację. Sytuacja głównego bohatera jawi się jako swoista egzystencjalna bezdomność, w radykalno-hermeneutycznej optyce opatrzona postulatem otwartości i ekscesywnej, tj. wykraczającej poza standardowe ramy zachowania, gotowości do słyszenia wezwania *innego*. Przy czym *inny* jest nie tylko innym człowiekiem, ale holistycznym wszystkim, światem naszego życia<sup>154</sup>. Gotowość tę wyraża w powieści kategoria *nieadekwatności*, którą lekarze-psychiatrzy stosują do opisu sytuacji zdrowotnej głównego bohatera: „Patologii brak. Jednak czasami wykazuje nieadekwatność w stosunku do realiów życiowych. [...] Nieadekwatność wyobraźni jest zresztą przez pacjenta kontrolowana...”<sup>155</sup>. Charakteryzuje ona

<sup>152</sup> Tamże, s. 30, tłum. K. Tyczko.

<sup>153</sup> И. В. Брылина, *Пол как исток жизни: В. В. Розанов, Л. Н. Толстой, М. И. Цветаева*, „Известия Томского политехнического университета” 2007, nr 7, t. 311, s. 99, tłum. K. Tyczko.

<sup>154</sup> Por. Ł. Czajka, dz. cyt., s. 66.

<sup>155</sup> В. С. Маканин, dz. cyt., s. 57, tłum. K. Tyczko.

głównego bohatera jako znajdującego się pomiędzy marginalizowanym szaleństwem a normalnością i obdziela prawem przekraczania, nie pozbawiając jednocześnie możliwości obiektywizowania tego faktu. Nieadekwatność jest tutaj modusem słabości w stosunku do silnej normy, co szczególnie wyrażają sceny na dachu Białego Domu lub słowa protagonisty: „[...] Nieadekwatny – kamień i moja ścieżka, która *od czasu do czasu* przy kamieniu ostro się rozdwajała: tu? czy tu...?”<sup>156</sup>.

\* \* \*

Prawda w hermeneutyce radykalnej nie polega na *adaequatio intellectus et rei*, nie jest bowiem stabilną, epistemologiczną reprezentacją, lecz, jak chce Vattimo, prawda umożliwia istnienie *otwartości*. I nie jest nawet *otwartością* samą, bowiem przy takim jej pojmowaniu wracamy do sytuacji walk interpretacji o uznanie. Tak pisze na ten temat Leśniewski:

*Otwartość* jest więc rozumiana albo jako historyczno-kulturowy horyzont wspólny dla społeczności mówiącej tym samym językiem (Gadamer), albo jako paradygmat, który bez konieczności utożsamiania go ze wspólnotą językową lub kulturowym uniwersum, posiada jednak reguły rozwiązań własnych problemów i ujawnia się jako *podstawa bez podstawy* (Rorty)<sup>157</sup>.

Problem z obydwoma przywołanymi filozofami z punktu widzenia hermeneutyki radykalnej polega na tym, że definiując prawdę jako otwartość, wpisują w niej zbiór reguł weryfikacyjnych: dla Gadamera jest to rola tradycji strzeżonej przez świadomość społeczną, dla Rorty'ego zaś otwartość stanowi „warunek podtrzymywania konwersacji ludzkości”<sup>158</sup>, przez co *consensus* jawi się jako środek techniczno-użytkowy bez możliwości pogłębienia konwersacji. Hermeneutyka radykalna, będąca zaś namysłem post-metafizycznym, nie stawia sobie za cel maksymalizacji zjawiska pluralizacji dla niej samej, lecz szuka choćby najsłabszych podstaw *rozumienia*. Dla Vattimo więc *otwartość* jest dopiero warunkiem, który umożliwia wszelką działalność człowieka:

<sup>156</sup> Tamże, tłum. K. Tyczko.

<sup>157</sup> N. Leśniewski, dz. cyt., s. 241.

<sup>158</sup> Tamże, s. 241.

Otwartość jako „zamieszkiwanie” w *prawdzie* nie jest też wskazywaniem tego, co obecne. Implikuje ona raczej, jak stwierdza Vattimo, *interpretacyjną przynależność, która pociąga za sobą zarówno consensus, jak i możliwość aktywności krytycznej*. Owa *interpretacyjna przynależność*, czyli *slabo-ontologiczne zamieszkiwanie* umożliwia więc dopiero to, co Gadamer i Rorty uznali za otwartość pierwotną, a więc consensus i aktywność krytyczną<sup>159</sup>.

Warto tutaj przywołać strategię unikania przez Makanina na przestrzeni lat oceniania swoich bohaterów. Ten fakt podkreśla wielu badaczy, w tym Marina Abaszewa w swojej książce pt. *Litieratura w poiskach lica*. Powieść *Andiegraund...* Makanin poświęcił pamięci pisarzy, którzy wraz z rozpadem ZSRR odchodzili w niebyt:

Underground odegrał swoją historyczną rolę. Nie byłem jego członkiem, ale przyjaźniłem się z jego przedstawicielami i widziałem tragedię utalentowanych i mądrych ludzi, odznaczających się duchową odwagą, lecz niemogących niczego zrobić<sup>160</sup>.

Podziemie, jak twierdzi Makanin, tworzyli ludzie początkowo mocno związani z jego etosem, porzucenie go zaś oraz uczestnictwo w świecie „naziemnym” dzięki politycznemu otwarciu i zniesieniu cenzury odsłoniło tę ich mentalną przynależność i jednocześnie osobowościową utratę:

Było wówczas widać, jak wiele oni stracili, jacy wspaniali byli w podziemiu i szarzy, bezbarwni i nieciekawi się zrobili, kiedy wyszli. [...]

To była wielka tragedia, dlatego że oni mieli potężne osobowości. Pisałem swoją książkę dla tamtego undergroundu, który był i został dla mnie na zawsze w podziemiu<sup>161</sup>.

Jak zauważa Abaszewa, Władimir Bibichin i Karen Stiepanian mówią o degradacji w twórczości Makanina tradycji i wartości wypra-

<sup>159</sup> Там же, s. 247.

<sup>160</sup> В. С. Makanin: «Сейчас интеллект не ценится, но терпится», [źródło elektroniczne] <https://eksmo.ru/news/1302657/> (dostęp 28.12.2017), tłum. K. Tyczko.

<sup>161</sup> Там же, tłum. K. Tyczko.

cowanych przez kanon literatury rosyjskiej. Brak skruchy Pietrowicza za dokonane z zimną krwią dwa zabójstwa – handlarza z Kaukazu i donosiciela Czubisowa – jest ich zdaniem oznaką jego moralnego upadku. Dla Bibichina powieść ta jest także porażką samego autora, który nie był w stanie odnaleźć racji bytu dla wyższej instancji, mogącej pełnić wychowawczą rolę wobec człowieka<sup>162</sup>.

Istnieje także grupa krytyków, którzy na głównego bohatera powieści patrzą jak na wyraz idei wyznawanych przez samego Makanina<sup>163</sup>. Tendencja kojarzenia *ideologicznych punktów widzenia*<sup>164</sup> utworu ze światopoglądem autora zdaniem Abaszewej wynika między innymi z zastosowanych przez prozaika chwytów: przekazania postaci głosu narratora, gry zaimkami osobowymi, podobieństwa zewnętrznych cech bohatera do autora i metaliterackiej tematyki.

Przywoływani powyżej krytycy koncentrują się głównie na stronie fabularnej utworu. Beata Pawletko zaś pisze: „Makanin nie sądzi, nie ocenia, nie krytykuje, nie dzieli ich [postaci – K. T.] według opozycji: pozytywny – negatywny, dobry – zły, moralny – niemoralny. Tak jakby chciał podkreślić, że opisuje tylko człowieka. Człowieka i kropka”<sup>165</sup>. Ustalenie postawy autora oraz narratora ma tutaj nie tylko znaczenie teoretyczne, lecz również praktyczne. W wydanym w 1989 roku tomie opowiadań Makanina *Antylider* znalazło się opowiadanie *Połosa obmienow*, które w przekładzie Wiesławy Karaczewskiej nosi tytuł *Wszystko za nic*. Okazuje się jednak, że tłumaczka naruszyła Makaninowską neutralność i wniosła własną moralną wskazówkę do rozumienia wydarzeń opowiadania. „Połosa obmienow” w tym kontekście oznacza okres dziania się czegoś. Jest w języku rosyjskim „czornaja połosa” i „biełaja połosa”, może być „połosa wiezienia” (np. dobra passa) i „połosa nieudacz” (np. zła passa), a więc coś, w czym można upatrywać związków z losem bądź temporalnością. *Wszystko za nic* posiada zdecydowanie bardziej wartościujący charakter i zmie-

<sup>162</sup> Пор. В. В. Бибихин, *Писатель и литература (о романе Владимира Makanina „Герой нашего времени”)*, [В:] Тегоž, *Слово и событие*, Moskwa 2010, s. 387-401.

<sup>163</sup> Пор. М. П. Абашева, *Литература в поисках лица*, Perm 2001, s. 60.

<sup>164</sup> Ros. *точка зрения* – zgodnie z określeniem Borysa Uspienkiego. Пор. Б. А. Успенский, *Семиотика искусства*, Moskwa 1999, s. 19-29.

<sup>165</sup> B. Pawletko, dz. cyt., s. 19.

nia przekaz oryginału. Od „wszystko za nic” pozostaje tylko krok do przekreślenia doświadczenia Makaninowskich bohaterów w stylu, jaki zaprezentowała Anna Stankiewicz. Praktyczne wnioski płynące z radykalno-hermeneutycznej analizy twórczości Makanina mogą więc być aktualne dla tłumaczy.

Z kolei Abaszewa zauważa, że przywołani powyżej krytycy w swoich ocenach prezentują perspektywę zaangażowanych uczestników klasycznej tradycji, z którą Pietrowicz zrywa<sup>166</sup>. Makanin nie wdaje się w walkę perspektyw, będących konkretnymi realizacjami otwartości, a jedynie przygląda się im, interesuje się ich transmisją i żywotnością: „Generalnie nie patrzę na rzeczy porównawczo, moje spojrzenie jest raczej poznaniem niż porównaniem, niż obroną czyichś punktów widzenia przeciwko jakimś innym punktom. [...] Jestem za równą wartością różnych składowych świata [...]”<sup>167</sup>. Podobnie zadania hermeneutyki radykalnej widzi Caputo: dekonstrukcja, mająca być „bramą, przez którą przechodzi radykalna hermeneutyka”<sup>168</sup>, dla amerykańskiego filozofa jest nie tyle maszyną negacji i burzenia na zasadzie młotów Nietzschego czy siekiery Raskolnikowa<sup>169</sup>, lecz pracą „afirmacji pluralizmu różnic”<sup>170</sup>.

\* \* \*

W kontekście przywołanej kategorii ekscesu warto zatrzymać się również na moment przy kwestii radykalno-hermeneutycznej modlitwy. Charakteryzuje ją niewiedza co do jej adresata, bowiem ten, kto się modli, nigdy go nie widział. Z drugiej strony modlący się czuje zagubienie w *upływie*, własną słabość i wynikającą stąd potrzebę zwrócenia się ku czemuś lub komuś większemu. Bóg dla radykalnych hermeneutów pozostaje Bogiem nienazwanym, a nadawane mu przez człowieka imiona opisują tylko wycinek jego ekscesywnego – nieogarnionego – istnienia. Radykalni hermeneuci pozostają w sytuacji ciągłego

<sup>166</sup> Zob. М. П. Абашева, dz. cyt., s. 77.

<sup>167</sup> В. В. Иванцов, *Беседа...*, s. 170, tłum. K. Tyczko.

<sup>168</sup> Ł. Czajka, dz. cyt., s. 56.

<sup>169</sup> C. Wodziński, *Trans, Dostojewski, Rosja czyli o filozofowaniu siekiarą*, Gdańsk 2005, s. 64.

<sup>170</sup> Ł. Czajka, dz. cyt., s. 57.

oczekiwania na przyjście i pragnienia go przy jednoczesnym braku całkowitego spełniania, ostatnie bowiem wiązałoby się z zatrzymaniem *upływu*. Nie pretendują także do metafizycznej pełni wiedzy o tym, do kogo się modlą, zdając sobie sprawę z wycinkowego charakteru własnych kompetencji. Wynika to ze świadomości nieustannej pracy *upływu* i doświadczenia obcości, niezadomowienia i utraty. Tak pisze na temat tej modlitwy Łukasz Czajka:

Dla radykalnego hermeneuty, który wyruszył w duchową podróż modlitwa będzie zawsze przybierała postać modlitwy do nieznanego Boga. Radykalny hermeneuta modli się nie dlatego, że zna adresata, do którego wznoszone są modlitwy, lecz z powodu zagubienia. Nie wie kim jest, nie wie jaki eksces wydarzenia skrywa się za imionami Boga, nie wie nawet czy jego modlitwy są wysłuchiwane. Dlatego jest człowiekiem wiary. Taka modlitwa do nieznanego Boga wcale nie musi być pozbawiona piękna i gorliwej pasji<sup>171</sup>.

W bardzo podobnym stylu modli się stary Ałabin na dachu Białego Domu. Główny bohater jest świadkiem rozpadu starego systemu. W sęnie ostrzału wchodzi nagi na dach i skutecznie modli się o zatrzymanie agresji pomiędzy zwolennikami starego i nowego porządku:

Słowo nie było na początku. Na początku był zachwyt. Boże! – niemo wykrzykiwała moja dusza. – Zatrzymaj tę wojnę! Nadciągającą jatkę...! Nie pozwól tym idiotom nabrać obrotów... Niech się poddadzą od razu. Ci... Albo ci... Co za różnica, Boże...! Zatrzymaj... Popatrz, jakie to głupie, bezsensowne, żalosne... Po co te wyłomy... Po co zabity Sławik... Fryzjer z pistoletem za pasem! Poruta... Żenada... Boże! Wiele w życiu przeżyłem i oczywiście wiedziałem, czym jest modlitwa. To normalne, że w pewnych chwilach człowiek prosi... Na przykład o zdrowie... A gdzie jest prośba, tam są i modły... Ale to i tak była moja pierwsza modlitwa. Pierwsza modlitwa starego sovieticus... Naturalnie, ze strachu. To było przerażenie... I co ciekawe, przerażenie przyszło po szalonych, szczęśliwych, najszcześniejszych chwilach z Daszą<sup>172</sup>.

<sup>171</sup> Ł. Czajka, dz. cyt., 98.

<sup>172</sup> B. C. Маканин, dz. cyt., s. 167, tłum. K. Tyczko.

W pierwszym zdaniu cytowanego fragmentu pojawia się modyfikacja słynnego wersu Ewangelii wg św. Jana: „Na początku było Słowo”<sup>173</sup>. W perspektywie Ałabina to zachwyt, a więc coś głęboko subiektywnego, poprzedza racjonalizację i obiektywizację. *Logos* w wielu popularnych na Zachodzie nurtach filozoficznych utożsamiany był z racjonalnością, dyskursem, władzą logicznej wykładni argumentów, a w chrześcijaństwie – z rozumem sprawczym, Słowem, które zstąpiło na Ziemię<sup>174</sup>. Z kolei dla Kazimierza Mrówki, autora przekładu *Fragmentów* Heraklita, największym wkładem ostatniego w tzw. filozofię wieczystą, inaczej praontologię, będącą „wspólną podstawą mitologii i rodzącej się filozofii”<sup>175</sup>, jest utożsamienie Rzeczywistości z Logosem:

Nazwanie Rzeczywistości Logosem i jednocześnie uczynienie go dyskursem o tej Rzeczywistości jest, po pierwsze, ustanowieniem filozofii jako racjonalnej opowieści o świecie, a po drugie uprzywilejowaniem jej wobec innych rodzajów dyskursu, a zwłaszcza mitologii i poezji<sup>176</sup>.

Racjonalny dyskurs filozoficzny w kulturze Zachodniej, jak zauważa Mrówka, uzyskał wyłączność na dostęp do *Prawdy* i jej transmisję: „Filozofia staje się jedynym słowem zdolnym wyrazić jedno Słowo, prawdziwym słowem wyrażającym *Prawdę Słowa*”<sup>177</sup>.

Pojmowanie *logosu* jako *rozumienia*, będącego czynnością, a nie gotowym przesłaniem, zaproponował Heidegger. W perspektywie fryburczyka *logos* odnosi się do innego greckiego słowa – *legein*, które oznacza zbieranie. Dokonuje się ono w horyzoncie ontologicznym i stanowi *homolegein* – „przyznawanie jedności temu, co rozumiane”<sup>178</sup>.

<sup>173</sup> J 1, 1, *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*, Poznań 2013, [źródło elektroniczne] <http://biblia.deon.pl/rozdzial.php?id=340> (dostęp 14.02.2018).

<sup>174</sup> Zob. Benedykt XVI, *Uczymy się pokory od św. Augustyna*, [źródło elektroniczne] [https://opoka.org.pl/biblioteka/W/WP/benedykt\\_xvi/homilie/pawia\\_orti\\_22042007.html](https://opoka.org.pl/biblioteka/W/WP/benedykt_xvi/homilie/pawia_orti_22042007.html) (dostęp 1.01.2020).

<sup>175</sup> K. Mrówka, dz. cyt., s. 14.

<sup>176</sup> Tamże.

<sup>177</sup> Tamże.

<sup>178</sup> N. Leśniewski, dz. cyt., s. 99.

Jednością tą, w przyjętym przez Heideggera/Levina wymiarze, jest oczywiście bycie, a *logos* jako *legein* (rozumiany w świetle bycia) przyjmuje postać „ruchliwości” – aktywności rozumiejąco-interpretującego „przyswajania”<sup>179</sup>

– pisze Leśniewski. Dla Heideggera, podobnie zresztą do tego, co wyraził Kazimierz Mrówka, łącząc fragment B64 z B32 („Jedno, mądre. Jedynie imieniem Zeusa chce i nie chce być nazywane.”), w *legein* zawiera się *a-letheia*, odsłanianie i zasłanianie, wydobywanie z *lethe* – zapomnienia. Prawda jest więc tutaj aktem, ruchliwością bytów:

[...] hermeneutyczny gest zbierania – *legein* – jest pierwotniejszy od wypowiedzi, a ten, kto wypowiada (*logos*), ten mówi, jak to wszelkie rzeczy stają się według tego *logosu*, tym samym prawda (jako nieskrytość), zawarta w *logosie*, nie tkwi pierwotnie w sądzie (sąd nie jest *locus* prawdy). Prawda jest raczej czynnością, która [...] spełnia się już w realizacji ontologicznych możliwości bycia<sup>180</sup>.

„Ustanowienie” przez Ałabina zachwyty jako pierwotnego ruchu ontologicznego może być więc odczytane jako próba ulokowania w racjonalizmie doświadczenia ekscesywnego, rozumianego nie tylko jako „zakłócenie spokoju, naruszenie porządku; wybryk, wyskok, wykroczenie, awantura”<sup>181</sup>, ale przede wszystkim jako nadmiar, przepełnienie, niezastygające i pozostające w nieustannym ruchu wydarzenie, coś nieoczekiwanego, zawsze niegotowego, niezakończonego, wydarzającego się i ciągle nadchodzącego. Jak pisze Czajka:

wydarzenie Boga jest niezastygłym w żadnej definitywnej określoności ekscesem i przepełnieniem, pozostającym w nieskończonym ruchu. Natomiast imię Boga stanowi prowizoryczną próbę uchwycenia i formalizacji ekscesu kwitnącego w wydarzeniu Boga, jest jego relatywnie stabilną, historyczną

---

<sup>179</sup> Tamże.

<sup>180</sup> Tamże.

<sup>181</sup> Słownik języka polskiego pod red. W. Doroszewskiego, [źródło elektroniczne] <https://sjp.pwn.pl/doroszewski/eksces;5425448.html> (dostęp 10.01.2020), hasło *eksces*.



ekspresją. Samo wydarzenie Boga jest też tym, co różne imiona starają się w sposób niedoskonały nazwać [...] <sup>182</sup>

„Wybryk” Ałabina przykuwa uwagę oponentów i staje się bodźcem do zaprzestania walk pomiędzy zwolennikami dwóch opcji politycznych: komunizmu i demokracji. Główny bohater w tym kontekście patrzy – podobnie do radykalnych hermeneutów – ponad walczącymi i zmieniającymi się paradygmatami w kierunku generującego je upływu:

Jeśli zobaczyłbym tych staruszków teraz, w tej ciemności (z okna?), pomachałbym im ręką: ej, wszystko w porządku... wszystko gra...! Krzyknąłbym im tę swoją myśl, że żadna nowa Rosja tutaj, dziadki drogie, się nie rodzi... Wiem to na pewno... Dlatego że byłem w środku... W samych kischkach i teraz wiem... Dlatego że starucha z wózkiem przejechała nie gdzieś tam, a pod moim nosem... Pod samym nosem! Nie ma nowych Rosji, Anglii, Francji. Ej, dziadki, słyszycie? NIE-MA. Chórem: NIE-MA, NIE-MA...!

A to, że był ostrzał, że pękały ściany... pobite szkło... zabity pod windą z nogami rozstawionymi w kształcie „V”. I to, że krew, że ofiary śmiertelne, ranni. To proste, to bardzo proste... Rodzi się, budzi się nowa Władza. Obudzi się... Nie nowa Rosja, lecz nowa Władza. I już. Nic szczególnego. Zdarza się. Każdemu od czasu do czasu się zdarza. To przerażenie. I tyle. Nic wielkiego <sup>183</sup>.

---

<sup>182</sup> Ł. Czajka, dz. cyt. s. 96.

<sup>183</sup> В. С. Маканин, dz. cyt., s. 207.



## Obcość

Funkcjonujący w klasycznej metafizyce obraz człowieka epistemologicznego, potrafiącego przyjąć obiektywny punkt widzenia i obiektywnie opisać świat, zasadzał się na idei posiadania możliwości jasnego wglądu w rzeczywistość oraz we własną świadomość, a także na gotowości do podjęcia działań emancypacyjnych w stosunku do różnych „zasłon”. Błędne, ukryte przesady mogły być usuwane, a ich miejsce oddawane poglądom właściwym, zgodnym z (aktualną) prawdą i (aktualną) metodologią. *Rozumienie* w tym modelu było narzędziem służącym do wypełniania zadania osvajania nieoswojonych jeszcze obszarów świata.

W sposób odmienny od powyższego przebiega narracja o *swojskości* i *niesamowitości* Freuda, podtrzymana przez Heideggera i hermeneutykę radykalną. Według Dziubana dla austriackiego lekarza zjawisko *niesamowitości* związane było z procesem wyparcia, a więc z operacją przeprowadzaną na czymś już znanym, niejako własnym<sup>184</sup>. U Heideggera z kolei *nierozumienie* rozwija się w łonie pierwotnego *rozumienia* jako podstawowego sposobu bycia w świecie, wobec czego obcość jest nie tylko związana z *innym* jako odrębnym ode mnie, lecz przynależy także mojemu istnieniu. Niemiecki filozof dowodzi, że *bycie-w-swiecie* z racji swego *rzucenia* naznaczone jest obcością w tym sensie, że to dopiero kultura pozwala na osvajanie pierwotnie obcej i przygodnej rzeczywistości. *Się*, opinia publiczna, maskuje i udamawia to, co jawi się w doświadczanej niezrozumiałości i obcości. Przed kulturą działa zatem możliwościowy, konstruktywistyczny, otchłaniowy – *atopiczny* charakter bycia. Swojskość doświadczenia, jego pewność i klarowność są tutaj wypadkową przyjętych założeń kulturowych, Gadamerowskiej tradycji, będącej z tej perspektywy konstruktem ufundowanym na pierwotnej obcości doświadczanego świata.

Czytając utwory Władimira Makanina można zauważyć, że w jego świecie artystycznym niemożliwe jest trwale posiadanie własnego *ja* i pełna znajomość samego siebie, zapewniająca bezusterkowe dążenie do celu lub realizację tak zwanych wielkich idei. Bohaterowie Makanina

<sup>184</sup> Por. Z. Dziuban, dz. cyt., s. 91.

w swoich próbach odnalezienia pewności w świecie, skazani są na wyslizgującą się rzeczywistość. Bez względu na zasięg własnych przewidywań i skrupulatność w planowaniu działań człowiek w ostatecznym rozrachunku wystawiony jest na zagadkowość przyszłości i ruchliwość przeszłości – na wydarzeniowość bycia. Każda postać Makanina, czy dostrzega w sobie cechy „napoleońskie”, czy też jest „zwykłym”, „uprzedziwnionym” Kluczariowem, doświadcza siebie w upływie czasu.

Autorom interesującej mnie w niniejszej rozprawie radykalno-hermeneutycznej koncepcji stawiane są zarzuty, iż w rzeczywistości ustanawiają oni kolejną zasadę metafizyczną, której w następstwie próbują wszystko podporządkować<sup>185</sup>. *Upływ* jednak ma ograniczać apodyktyczny charakter jednej interpretacji wobec pozostałych na rzecz pluralizmu, dialogu i wspólnego wypracowywania przestrzeni teoretycznej i w tym sensie jest słabą podstawą *rozumienia*. *Upływ* tym samym otwiera możliwość istnienia w jego łonie wszystkiego, co reprezentuje sobą człowiek.

Wątek poznania samego siebie ciekawie został zrealizowany przez Makanina także w opowiadaniu pt. *A żyzn' między tym idiot...*<sup>186</sup> Wydawałoby się, że strata dziecka, jakiej doświadczyli Szumiłowowie, umocniła ich małżeństwo: po wydarzeniu tym małżonkowie stali się sobie bliżsi. Żona po czasie zaczęła na nowo nawiązywać kontakty z otoczeniem: poszła do pracy, zapraszała znajomych na wieczorne poczęstunki. W mężu jednak nastąpiła wówczas psychologiczna zmiana. Dowiadujemy się, iż stał się on bardziej zamyślony – możemy przypuszczać, że nowe okoliczności obudziły w nim uczucia, których wcześniej w sobie nie podejrzewał. Pewnej nocy odniósł wrażenie, że w mieszkaniu obecny jest ktoś jeszcze. W efekcie postradał zmysły, a nad ranem zabił swoją żonę.

Opowiadanie *A żyzn' między tym idiot...* odnosi się wprost do idei *niesamowitego*<sup>187</sup> Freuda. Dla Dziuban to, co własne, bowiem niegdyś przeżyte, zostaje wyparte, lecz powraca w formie *niesamowitego*. Freudowska koncepcja definiuje *niesamowite* dwojako: z jednej strony jako coś przerażającego, budzącego lęk, grozę, z drugiej zaś jako to,

<sup>185</sup> W. Lorenc, dz. cyt., s. 385.

<sup>186</sup> B. С. Маканин, *Квази*, [w:] Tegoż, *Однoднeвнaя вoйнa*, Москва 2010, s. 215-274.

<sup>187</sup> Z. Freud, *Niesamowite*, [w:] Z. Freud, *Pisma psychologiczne*, t. III, tłum. R. Reszke, Warszawa 1997, s. 251-258.

„co znajome, swojskie”, lecz także „trzymane w ukryciu”<sup>188</sup>. Tutaj też sytuują się Heideggerowskie koncepty *upadania w Się i trwogi*. *Trwoga* przypomina człowiekowi o jego śmiertelności. *Się* natomiast daje mu poczucie bezpieczeństwa. Zadaniem hermeneutyki radykalnej zaś jest nieustanne odkrywanie tego, co skrywa się za jawnym, przyswojonym przez opinię publiczną sensem poprzez „docieranie do korzenia *radix*, podstaw, założeń lub fundamentów, które dotąd pozostawały ukryte”<sup>189</sup> (destrukcja) oraz „gest zerwania z istniejącym *status quo*, wkroczenie w przestrzeń tego, co nowe, a więc także moment konstrukcji”<sup>190</sup>. Ideą, która przyświeca tak postawionemu zadaniu jest „przywracanie pierwotnej trudności życia bez metafizycznego certyfikatu”<sup>191</sup>, a więc obnażanie mechanizmów stabilizacji doświadczenia na rzecz czasowo-przestrzennej kinetyki bycia.

We wcześniejszej wersji tekstu *Kwazi* (1993) Makanin zamieścił rozbudowane rozważania nad zaproponowanym przez Francisa Fukuyamę pojęciem *końca historii*<sup>192</sup>. Narrator opisuje w nich tęsknotę za dawną teoretyczną klarownością świata i wyraża, będący udziałem wielu Rosjan, żal z powodu jej utraty. W perspektywie narratora *Kwazi* Rosja zbliżyła się w tym względzie do Europy, która również utraciła swą głębię doświadczenia życia:

W NASZYM STRAPIENIU NIE JESTEŚMY SAMOTNI;  
więcej nawet – dopiero teraz dołączyliśmy do wielkiej liczby  
strapionych, gdyż od kilku dziesięcioleci Zachód (a szczególnie  
Europę) trapi ten sam problem spłycenia życia. Inteligencja nie-  
ustannie mówi (i pisze, dużo pisze) o tym, że człowiek przestał  
być homo sapiens i że duchowa głębia życia została bezpow-  
rotnie utracona, a w ślad za utratą – krok za krokiem – zakradło  
się dobrze znana zgryzota: pozbawienie ocen moralnych ich  
dotychczasowych wartości<sup>193</sup>.

<sup>188</sup> Z. Dziuban, dz. cyt., s. 93.

<sup>189</sup> Tamże, s. 53.

<sup>190</sup> Tamże.

<sup>191</sup> Leśniewski, dz. cyt., s. 57.

<sup>192</sup> F. Fukuyama, *Koniec historii*, tłum. Tomasz Bieroń, Marek Wichrowski, Kraków 2009.

<sup>193</sup> B. C. Маканин, *Квази*, „Новый мир” 1993, nr 7, [źródło elektroniczne] [http://magazines.russ.ru/novyi\\_mi/1993/7/makanin.html](http://magazines.russ.ru/novyi_mi/1993/7/makanin.html) (dostęp 1.03.2018), tłum. K. Tyczko.

Wraz z głębią współczesny człowiek w tekście Makanina utracił metafizyczną pozycję władcy:

Człowiek nie jest homo sapiens. Szczerze mówiąc, możliwe, że nawet nigdy nim nie był. A jego myśl tylko wtedy była myślą, gdy dotyczyła spraw produkcyjno-technicznych. To znaczy, gdy była myślą o pracy i naturze, ale nie myślą o człowieku<sup>194</sup>.

Uwagę Makanina można rozwinąć w następujący sposób: nie jesteśmy w stanie sprostać konstruowanym (przez nas) ideom (o nas samych), ponieważ wyciągamy ogólne wnioski z zawsze fragmentarycznych danych oraz w efekcie żądamy responsywności rzeczywistości wobec „podporządkowującego sobie wszystko umysłu”<sup>195</sup>.

W *Kwazi* Makanin diagnozuje społeczeństwa europejskie poddane procesowi uśrednienia jako zajęte podwyższaniem własnego poziomu życia, niezainteresowane tzw. wielkimi ideami i niejako wyalienowane z własnego życia:

Wysoki poziom życia, czyste ulice, przytulne kawiarnie, uśmiechnięci ludzie. Wszystko żyje. Wszystko się rusza. Z całą pewnością życie trwa, ale zarazem jakbyśmy to nie my żyli, a jakieś wspólne biologiczne życie żyje nas, przeżywa nas<sup>196</sup>.

Jednocześnie udziałem Makaninowskich postaci jest doświadczenie przekroczenia. Bohater mikropowieści *Utrata* przez szpitalne okno widzi potrzebującą pomocy w domu naprzeciwko dziewczynkę i od razu rusza w jej stronę. Poruszając się o kulach, przechodzi do przeciwległego budynku, którego klatka schodowa zamienia się w podziemne tunele, prowadzące do zupełnie innych przestrzeni. Nad głową słyszy szum rzeki, widzenie zaś okazuje się snem. Sytuacja powtarza się na jawie, lecz i tym razem nie jest mu dane odnalezienie potrzebującej, gdyż trafia pod ziemię. Bohater, jak wyraziła to Tatjana Czurlajewa, po uświadomieniu sobie absurdu tj. niemożności

<sup>194</sup> Tamże, tłum. K. Tyczko.

<sup>195</sup> B. Waligórska-Olejniczak, *Rosja oczami ekscentryka, czyli „Moskwa-Pietuszki” Wieniedikta Jerofiejewa w kontekście mechanizmów reifikacji*, „Przegląd Rusycystyczny” 2011, nr 4, s. 86.

<sup>196</sup> B. C. Маканин, dz. cyt., tłum. K. Tyczko.

odkrycia jedyne Sensu „wraca do realności, przyjmując pluralizm życia”<sup>197</sup>.

Celem [...] [hermeneutyki radykalnej jest – K. T.] stawienie czoła nieustannej stracie, grammatologicznej nieskończoności, która dewaluje wszystko to co pewne, definitywne i zdecydowane<sup>198</sup>

– cytuje z kolei Caputo Dziuban.

\* \* \*

Abaszewa w przywoływanej tutaj książce poddaje także analizie kategorię *sobowtóra*. Zdaniem badaczki jego obecność, przy czym u Makanina mamy do czynienia z ich zwielokrotnieniem, sprzężona jest z procesem poznawania samego siebie<sup>199</sup>.

Problematykę tę szczególnie w odniesieniu do twórczości Fiodora Dostojewskiego podjął Krzysztof Kropaczewski<sup>200</sup>. Dla badacza postać sobowtóra jest narzędziem Dostojewowskiej krytyki cywilizacji i filozofii zachodnioeuropejskiej. Uznanie zasad racjonalności za nadrzędne i w efekcie uczynienie z kategorii *rozumu* wyróżnika kultury europejskiej wobec innych kultur oraz centralnego mechanizmu organizującego dyskurs kulturowy obróciło się w umocowanie – pod pozorem powszechności *rozumu* – ludzkiego subiektywizmu na miejscu bytu obiektywnego. Jak zauważa literaturoznawca, kultura europejska doszła tą drogą do totalizacji swoich wytworów i dezintegracji jej uczestników. Piastowanemu przez nią wzorcowi człowieka epistemicznego towarzyszyła świadomość, iż w jego mocy jest obiektywny wgląd i niezaangażowany opis rzeczywistości. Przy czym, jak wskazuje

<sup>197</sup> T. H. Чурляева, dz. cyt., s. 225, tłum. K. Tyczko.

<sup>198</sup> J. Caputo, dz. cyt., s. 60.

<sup>199</sup> Por. M. П. Абашева, dz. cyt., s. 59-93.

Na zwielokrotnione zjawisko sobowtórstwa w powieści *Andiegraund...* zwraca uwagę w swojej rozprawie także Jewgienija Krawczenkowa.

Zob. E. A. Кравченкова, *Художественный мир В.С. Маканина: концепции и интерпретации*, Moskwa 2006., s. 95-96.

<sup>200</sup> K. Kropaczewski, *Kategoria sobowtóra Fiodora Dostojewskiego a dwudziestowieczne idee „śmierci człowieka”*, [w:] *Problemy współczesnej komparatyстики*, red. H. Chałacińska-Wiertelak, W. Wasylenko, Poznań 2003, s. 177-193.

Kropaczewski, już Immanuel Kant dostrzegł problemy racjonalizmu związane z uchwyceniem samego siebie: „Jeśli człowiek chce siebie uchwycić, to musi siebie sobie przedstawić, tj. uczynić się przedmiotem”<sup>201</sup>. Tak ustawiona perspektywa doprowadziła do uprzedmiotowienia osobowości i w efekcie do dezintegracji podmiotu. W ruchu tym Kropaczewski upatruje źródeł Dostojewowskiego sobowtórstwa, będącego wcieleniem sytuacji wyalienowanej jednostki oraz efektem załamania się wiary w wybitny charakter rozumu.

Problematyka przemian interesuje także Makanina. Wobec współczesnych kryzysów przedstawianych w literaturze badacz – mówiąc w dużym uproszczeniu – może przyjąć dwie postawy: narracja może być uznana za świadectwo degradacji kultury, a literaturoznawca może próbować poszukiwać w tekście ukrytych bądź nie diagnoz lub podpowiedzi co do tego, jak powrócić do przedkryzysowego stanu; można jednak patrzeć na współczesną sytuację kryzysową jak na świadectwo pewnego niedomagania, wywołanego latami stosowania metod, których potencjał został wyczerpany – jest to perspektywa *Verwindung*, tj. przeboleń pometafizycznej choroby. I jest to również perspektywa powieści *Andiegraund...*, bowiem Pietrowicz, będąc świadomym swojej przynależności do danej kultury, a także do jej sfery literackiej, oraz zdając sobie sprawę z wynikających z niej moralnych implikacji, dostrzega ich umowny i zmienny, a więc historyczny, charakter. Oba zabójstwa, których się dopuszcza, mogą być odczytywane właśnie jako wizualizacja dekonstrukcji kodu literackiego nim samym – poddania w wątpliwość słuszności Dostojewowskich rozwiązań przy pomocy rozwiązań Puszkiniowskich. Pietrowicz ma świadomość nieidentyczności doświadczenia tekstu i doświadczenia życia: „Mało to czytałem (i sam niegdyś pisałem) przekonujących słów, wiedząc doskonale, że wystarczy zacząć rozmyślać poza tekstem, a świat będzie inny”<sup>202</sup>.

O ile sobowtór Dostojewskiego może być odbierany jako przestroga przed ubóstwieniem racjonalizmu, to sobowtór Makanina, jako głos z końca kolejnego stulecia, podejmuje wątek osobowości skontaminowanej. Taką perspektywę potwierdzają słowa Ksienii Szyliny:

---

<sup>201</sup> Tamże, s. 187.

<sup>202</sup> B. C. Маканин, *Андеграунд...*, s. 101, tłum. K. Tyczko.



Każda postać może być uznana za sobowtóra Pietrowicza. Wszystkie one reprezentują różne wymiary powieściowej przestrzeni, z którą bohater jest nierozzerwalnie związany. On łączy w sobie cechy różnych rodzajów przestrzeni, a więc także różnych rodzajów kultur<sup>203</sup>.

W okolicznościach tych aktywnie działa kategoria *innego* sprzężona z kategorią *obcości* wpisanej w *sobość*. Marina Abaszewa definiuje ją jako wyraz możliwych wariantów losu Pietrowicza oraz wyraz pisarskiej potrzeby wmyślania się w losy innych postaci. Przy czym *innym* w powieści nazwany został także sam Pietrowicz:

Znana N. [...] oddawała mi chyba po raz ósmy mój rękopis z negatywnymi recenzjami, z odmową. [...]

Powiedziała, że mi współczuje. Więcej nawet: rozumie, jak i dlaczego będzie mi trudno publikować.

– Jest pan inny – powiedziała młodzieńka N. I to dlatego – mówiła – tak ciężko i karkołomny jest w pana przypadku proces uznania. [...]

Inny – filozoficzne słówko, jeszcze nie modne, ale od niedawna znane, niedawno zasłyszane przez naszych intelektualistów.<sup>204</sup>

Inność Pietrowicza polega na jego literackiej odmienności i przejawia się w braku możliwości zaistnienia jako pisarz, w efekcie czego główny bohater podejmuje decyzję o pozbyciu się wszystkich swoich tekstów i recenzji odmownych oraz rozpoczęciu życia „bez Słowa”. Owa odmienność ostatecznie zostaje przez niego oceniona pozytywnie jako dar możliwości zachowania autonomii własnego *ja* i nie rezygnowania z ważnych dla siebie wartości w zamian za uznanie:

Spróbować żyć bez Słowa, przecież inni żyją, życie w milczeniu to ryzyko czy nie – oto pytanie, a ja jestem jednym z pierwszych. Zrozumiałem, że moje nieuznanie nie jest klęską, nawet remisem nie jest, tylko zwycięstwem. Moje „ja” przerosło teksty. Zrobiłem krok naprzód<sup>205</sup>.

<sup>203</sup> K. O. Шилина, *Поэтика романа В. Маканина „Андеграунд, или Герой нашего времени” (проблема героя)*, Тюмень 2005, s. 6, tłum. K. Tyczko.

<sup>204</sup> В. С. Маканин, dz. cyt., 242, tłum. K. Tyczko.

<sup>205</sup> Tamże, s. 244, tłum. K. Tyczko.

Stosunek głównego bohatera powieści *Andiegraund...* do *ja* jest kolejną płaszczyzną, na której możemy badać zjawisko *obcości* w powieści. Niejednokrotnie Pietrowicz wypowiada się o *ja* jako o pewnym *ty* ulokowanym *we mnie*. Oba morderstwa dokonane zostały właśnie ze względu na owo nie w pełni swojskie *ja*. Tak Pietrowicz uzasadnia zabójstwo Kaukazczyka:

Jak pojedynek. Bronilem. Nie tych drobnych pieniędzy, które on zabrał (zupełnie mało) – broniłem „ja”. On by sobie poszedł, zabrałby i twoja strata, a ja po przeżytych poniżeniu nie mógłbym znaleźć sobie miejsca: rozchorowałbym się!<sup>206</sup>

Pogarda, o której mówi główny bohater, jest pogardą okazaną słabszemu – w tym wypadku inteligentowi, który wraz z przemijającym paradygmatem kulturowym traci pozycję społeczną na rzecz handlarza, który stał się faworytem nowej epoki.

Reakcja Pietrowicza wpisuje się w wyznawaną przez niego filozofię *uderzenia*. Nie jest ona jednak typową ideologią rewolucyjną, usprawiedliwiającą stosowanie terroru w imię wyższej konieczności, lecz polega na przeciwstawianiu się zniewalającym kodom i otwarciu na *wydarzanie się bycia*:

Teraz rozmyślam o tym, że uderzenie jest istotą wszechświata. [...] uderzenie to nie agresja i nie wycelowana w czyjąś głowę rękawica bokserska. Nie i nie, Wienia. Świat uderzenia jest nieskończenie bogaty życiem. Jest bezmierny i plastyczny, właściwie uderzenie jest życiem, światem rządzi piorun. (Piorun rządzi – już Heraklit to powiedział!) Uderzenia-olśnienia, kiedy człowiek nagle zaczyna widzieć. Kiedy zaczyna widzieć ostatni, najostatniejszy i najbardziej zahukany. Duchowy skok, Wienia. Potrzebujesz myśli. Potrzebujesz wybuchowego napięcia ducha...<sup>207</sup>

Ruch Pietrowiczowskiego *uderzenia* zostaje skierowany do wnętrza i polega na podtrzymywaniu w sobie sił vitalnych. A zatem nie samo uderzenie w bezpośrednim znaczeniu słowa staje się tutaj istotne, choć niewątpliwie odgrywa ono ważną – zbawienną – rolę

<sup>206</sup> Tamże, s. 95, tłum. K. Tyczko.

<sup>207</sup> Tamże, s. 62, tłum. K. Tyczko

(np. dzięki zadanemu ciosowi pobity przez sanitariuszy Pietrowicz zostaje odwieziony do innego szpitala i *de facto* psychiatra traci nim zainteresowanie). Najważniejsza dla głównego bohatera okazuje się jednak chęć podtrzymywania w sobie „ruchu” życia.

*Ja* stanowi tożsamościowy punkt odniesienia dla Pietrowicza, bohater troszczy się o nie i chroni przed zbezczeszczeniem ze strony Kaukazczyka oraz Czubisowa. Jako filozoficznie rozdwojony więc, Pietrowicz wpisuje się w zjawisko sobowtórstwa, opisane przez Kropaczewskiego: jego stosunek do *ja* może być rozumiany jako stosunek podmiotu interpretującego własne parametry *obcości* – Heideggerowskiego *rzucenia*: „Moje niepiszące ja posiadało swoje własne życie. Bóg wiele mi dał w tamtych minutach rezygnacji. On pozwolił mi zostać”<sup>208</sup>. Nieprzyjęty przez wydawców, wygnany z obszczaży jako obcy i noszący w sobie cudzy, choć najdroższy mu głos – *ja*, Pietrowicz, oprócz dostrzeżonych przez krytykę i dotychczasowych badaczy konotacji historycznoliterackich, może być uznany za swoiste Makaninowskie laboratorium różnicy: *innym* tutaj staje się nie tylko to, co znajduje się poza przestrzenią naszego mentalnego i kulturowego domu, lecz także to, co mieści się bezpośrednio w nim, przemieniając przestrzeń znanego i oczywistego w nieznane i niepewne.

Z perspektywy bez mała stu lat po przestrobach Dostojewskiego dotyczących zgubnego wpływu racjonalizmu sobowtór okazuje się na tyle zintegrowany z kulturą, że stanowi już raczej nie ostrzeżenie, jak definiował zjawisko sobowtórstwa Kropaczewski, lecz składową sfragmentaryzowanego i skontaminowanego bytu. Zjawisko sobowtórstwa, określone przez Abaszewę jako metoda przedstawienia możliwych wariantów losu Pietrowicza, jest, jak zaznacza badaczka, jedną z cech charakterystycznych metaprozy – popularnej w latach 90. narracji literatury o sobie samej, do której zalicza się omawiana powieść. Wymienione przez literaturoznawczynię cechy tego typu tekstów, a więc artykulacja motywu pisania i spraw bytowych pisarzy, obecność sobowtórów i zwierciadlany charakter narracji, komentarze metatekstowe, otwartość chwytów i autorsko-czytelnicza wspólnota interpretacyjna, noszą wspólną cechę – akcentowanie procesualności, bycia w trakcie, a zatem – niemożliwości przedstawienia gotowej i całościowej wizji

---

<sup>208</sup> Tamże, s. 244.

rzeczywistości<sup>209</sup>. Przy czym jej brak w przypadku tekstów Makanina wynika przede wszystkim z przekonania o ograniczoności ludzkiej perspektywy. W taki oto sposób rozmyśla narrator mikropowieści *Łaz*:

Ziemia oddycha. Wstrząsają nami procesy, natury których nie rozumiemy – jasne już jest, że nie da się przeczekać w ciszy i spokoju. Choć istnieją różnorakie wyjaśnienia naukowe i hipotezy, to przyroda i tak pozostanie przyrodą – tajemnicą. Dziura się zwęża i już, zaciska, schodzi – oto cała prostota ziemskich spraw. A kiedy indziej się rozszerza. (To też się zdarza. Na tym właśnie polega prostota)<sup>210</sup>.

W powyższym cytacie widać wyraźnie, że Makaninowski narrator nie ma niezachwianej pewności co do tego kim lub czym jesteśmy, a to z kolei oznacza, że w perspektywie Makanina człowiekowi przychodzi godzić się z obecnością niezbadanych obszarów, a więc obcych, kontaminacyjnych, zlepkowych i czasowych. Z tej perspektywy całość jest produktem namysłu, konstruktem wtórnej wobec *rozumienia* wykładni. Tak też, jak się zdaje, myśli Pietrowicz w powieści *Andiegraund...* Świadczy o tym na przykład fakt, iż jego filozoficzne rozważania przybierają postać akcydentalnych obrazów, umotywowanych wydarzeniami fabuły. Jako przykład można podać charakterystyczny dla Makanina obraz *korytarza*, którego interpretacji podejmowała się większość badaczy:

Sam obraz korytarza, który się dziś niespodzianie pojawił, rozrastał się teraz do rangi zasady, prawie do ogólnego porządku ziemskiego. Że wszyscy mężczyźni świata, a ja nie jestem tu wyjątkiem, jakby się w tych korytarzach zagubili, zabiegali, zaplątali, nie mając sił, by znaleźć kobietę raz na zawsze<sup>211</sup>.

Narrator pozbawia refleksję konieczności stosowania się do zasad ścisłej racjonalizacji wywodu i pozwala na jej przypadkowe konstytuowanie się, stając tym samym po stronie myślicielstwa. Myślenie obrazami Pietrowicza, uznawane przez badaczy za autorską metodę

<sup>209</sup> М. П. Абашева, dz. cyt., s. 21.

<sup>210</sup> В. С. Маканин, *Лаз*, [w:] Тегоž, *Лаз*, Moskwa 2009, s. 156, tłum. K. Tyczko.

<sup>211</sup> В. С. Маканин, *Андеграунд...*, s. 11, tłum. K. Tyczko.

samego Makanina, jest pokrewne rosyjsko-myślicielskiej metodzie prowadzenia refleksji, funkcjonującej na granicy filozofii i literatury. W obrazach Pietrowicza widoczna jest akceptacja owego zaskakującego charakteru myśli przy jednoczesnym uznaniu jej prawomocności.

Zjawisko pracy *obcości w swojskości* możemy także obserwować w relacji Pietrowicza do brata Wieniedikta. Mówi nam o tym fakt związku obu postaci – Pietrowicz posiada tylko patronim, jego imię jest zapomniane; imię natomiast posiada brat – między innymi na tej podstawie badacze twórczości Makanina uznają komplementarny charakter obu bohaterów. Joanna Kula nieobecność imienia u głównego bohatera tłumaczy w następujący sposób:

Pietrowicz, choć nazwany „bohaterem naszych czasów”, wybiera los outsidera i ze swej strony nie godzi się na najmniejszy oportunizm. Dochowuje wierności undergroundowi i kieruje się prawem wolnego wyboru. Konsternację wywołuje fakt, że Makanin pozbawił swego bohatera-indywidualistę imienia, czyniąc tym samym z bezprecedensowego inteligenta-buntownika *everymana*. Pozwala to wyciągnąć wniosek, że tak kontrowersyjny bohater-outsider staje się typowy dla epoki chaosu i braku stabilizacji<sup>212</sup>.

Na powyższą kwestię można także spojrzeć z perspektywy radykalno-hermeneutycznego postulatu, by w namyśle ontologicznym z ostrożnością nadawać bytom nazwy. Nieposiadanie imienia przez Pietrowicza – „Starzejąc się, prawie z przyjemnością utraciłem, a następnie zapomniałem swoje imię”<sup>213</sup> – i zwracanie się do niego przez innych bohaterów z użyciem patronimikum może nosić charakterystyczne dla języka rosyjskiego znaczenie familiarności, skrócenia dystansu. W tym kontekście Pietrowicz, z jednej strony, jest kimś obcym, z drugiej zaś – kimś bliskim, „swoim”. Nie bez znaczenia jest tutaj także figura psa, do którego często porównuje się główny bohater.

Dla Caputo przypisywanie rzeczom nazw w praktyce metafizycznej oznacza pominięcie ich czasowego – zmiennego – charakteru bytu, a więc próbę sformalizowania ekscesu, czyli okiełznania wydarzenia.

<sup>212</sup> J. Kula, dz. cyt., s. 80.

<sup>213</sup> B. C. Маканин, dz. cyt., s. 24, tłum. K. Tyczko.

W tym sensie brak imienia głównego bohatera może być wyrazem Makaninowskiej niechęci wobec teoretycznych dookreśleń i domknięć.

## Bezdomność

Filozofia późnego Heideggera okazała się obarczona standardowymi problemami metafizyki, polegającymi na próbie uzurpacji władzy w odkrywanych przez siebie rzeczywistościach ontologicznych. W oczach komentatorów problemem późnej myśli Heideggera był również brak zainteresowania ze strony filozofa losem pojedynczego człowieka na korzyść ludzkości i jej dziejowego charakteru. Píše na ten temat Włodzimierz Lorenc:

Perspektywa bycia, którą teraz przyjmuje, nie odwołuje się bowiem do formułowanych przez nas pytań, czy naszego rozumienia bycia. Sam temat rozumienia przestaje być u Heideggera obecny, gdyż zaczyna on przede wszystkim mówić o naszym dziejowym opuszczeniu przez bycie, w związku z czym to, jak aktualnie rozumiemy bycie przestaje być czymś miarodajnym. [...] bycie, czy też jego konieczność, zaczyna nad nami górować<sup>214</sup>.

Lekceważenie przez fryburczyka fizycznej obecności ciała i zwrot ku wymiarowi duchowemu zaowocowały koncepcją, w której człowiek powinien stać się *pasterzem Bycia*, jego *stróżem*. W perspektywie niemieckiego filozofa człowiek od samego początku *upada*, to znaczy pogrąża się w *zapominaniu Bycia*, i winien dokładać starań, by z tego pogrążenia wychodzić. Ważną rolę odgrywają tutaj postacie filozofa i poety – to oni są zdolni do słyszenia głosu *Bycia*. Polski filozof zarzuca Heideggerowi skrajność stanowiska, objawiającą się nieuzasadnioną apologią własnej profesji oraz tym, że „wszystko to, co nie łączy się z byciem pasterzem potraktowane zostaje jako wyzbyte godności”<sup>215</sup>. Z kolei zdaniem Łukasza Czajki *Dasein* w optyce niemieckiego filozofa jest za mocno skupione na sobie, „a swoją relację do innych ogranicza do wyzwalańia się spod dominacji umasowionego «Się»”, które to stanowi zagrożenie dla jego autentyzmu<sup>216</sup>.

<sup>214</sup> W. Lorenc., dz. cyt., s. 67.

<sup>215</sup> Tamże, s. 100.

<sup>216</sup> Ł. Czajka, dz. cyt., s. 50.

Elementy Heideggerowskiej perspektywy w prozie Władimira Makanina dostrzega Anna Skotnicka. Zdaniem badaczki pisarz przeprowadza rozróżnienie pomiędzy aktywnością zewnętrzną człowieka, pogrążaniem się w zjawisku noszącym nazwę *samotiecznost*, czyli „bezmysłna inercja codzienności, banalne istnienie dnia powszedniego, zwykła automatyczność istnienia”<sup>217</sup>, a jego życiem duchowym. Stosując ten podział, krakowska literaturoznawczyni prowadzi rozważania o odnajdywaniu przez Makaninowskiego człowieka sensu własnego życia i wolności. Badaczka analizuje te sceny z twórczości Rosjanina, w których bohaterowie dążą do oderwania się od spraw codziennych i odosobnienia, co ma im pomóc doświadczyć oczyszczenia i stanu uporządkowania wewnętrznego. Okazuje się jednak, że żadnemu z nich nie udaje się spędzić zadowalająco dużo czasu w samotności, do oczyszczenia i wewnętrznego uporządkowania również nie dochodzi – bohaterowie na powrót pogrążają się w troskach dnia codziennego. W opowiadaniu *Pustynnoje miasto* pada wypowiedź, która, jak sądzę, stanowi klucz do zrozumienia mechanizmu tego pragnienia, określanego przez Annę Skotnicką mianem „oderwania się, uwolnienia, transcendowania”<sup>218</sup>: „stan zmiany jest istotą tej zmiany. Jak ułamek sekundy między wdechem a wydechem”<sup>219</sup>. Potrzeba zmiany skojarzona jest w analizie badaczki z tymi scenami z tekstów Rosjanina, które polegały na odchodzeniu, ucieczce bądź odosobnieniu. Z kolei momenty pełnego kontaktu z własnym *ja*, owo-cujące poczuciem integralności osoby, zdaniem narratora, wydarzają się sporadycznie. Co więcej, potrzebę bycia w stanie zmiany kojarzy on z zaopatrywaniem komórek organizmu w tlen, a więc z życiem. Odnalezienie „pustynnego miejsca”, które byłoby wyłączone z kinetyki codzienności i dawało poczucie sensu istnienia w twórczości Makanina jest nierealne.

Warto tutaj także zwrócić uwagę na opracowanie autorstwa Marka Lipowieckiego i Nauma Lejdiermana. Badacze w sposób przekrojowy

<sup>217</sup> М. Липовецкий, *Из плена „самотечности” (В. Makanin)*, [w:] Tegoż, *„Свободы черная работа”. Статьи о литературе*, Swierdłowski 1991, s. 91-128, cytata za: A. Skotnicka, dz. cyt., s. 59.

<sup>218</sup> A. Skotnicka, dz. cyt., s. 59.

<sup>219</sup> В. С. Маканин, *Пустынное место*, [w:] Tegoż, *Пойте им тихо*, Moskwa 2009, s. 186, tłum. K. Tyczko.



poruszają w nim temat Makaninowskiego pomysłu na problematykę *Się* i osobistej wolności. Czytamy tam, że Makanin daje złożoną odpowiedź na pytanie o wolność i życie w społeczeństwie. Na wczesnym etapie twórczości Rosjanin, zdaniem literaturoznawców, postulował zwrot ku nieświadomości, co równałoby się z poszukiwaniem własnej, tzw. autentycznej tożsamości:

Według Makanina wolność od „samoprzepływu” może zostać osiągnięta za cenę świadomego zanurzenia w nieświadomości, na drodze poszukiwania korzeni swojego „Ja” w głębinach prapamięci, w tym, co on nazywa „głosami”<sup>220</sup>.

Strategia ta, jak podkreślają badacze, miała zostać zainspirowana Heideggerowskim konceptem *nawoływania przez Bycie*. Ważna tutaj jest także Heideggerowska metafora *polnej drogi*. Otóż dla niemieckiego filozofa wszelkie ukierunkowane na efekty myślenie, a więc takie, którego metaforą może być dowolna droga prowadząca z punktu A do punktu B, jest myśleniem z zakresu tradycyjnej metafizyki, która technicyzuje ludzką rzeczywistość. Niemiecki filozof proponuje odmienny model, zobrazowany właśnie przy pomocy *polnej drogi*. Tę metaforę dokładnie omawia Hanna Buczyńska-Garewicz:

„Droga leśna” i „droga polna” to przede wszystkim ścieżki niemające wyraźnego ani jasnego celu czy kierunku, są to drogi stale gubiące się, a mimo to niegrożące całkowitym zagubieniem. Są to przede wszystkim „drogi donikąd”, nie w tym sensie, że wyklucza się możliwość osiągnięcia na nich czegoś, lecz przede wszystkim w tym, że nie wiadomo dokładnie, dokąd prowadzą, pełne są niespodzianek i wykluczają oczekiwanie jakiegoś określonego wyniku kroczenia po nich. Zobrazowanie myślenia jako drogi leśnej wskazuje, że nie jest ono śmiałym kroczeniem od jednej „racji” ku dalszej „racji”. Drogi leśne przypominać mogą raczej drogi błędnych rycerzy, choć tego porównania sam Heidegger nie używa. Są to drogi, po których się bardziej błądzi, niż przybija się do celu<sup>221</sup>.

<sup>220</sup> H. Л. Лейдерман, М. Н. Липовецкий, dz. cyt., s. 630, tłum. K. Tyczko.

<sup>221</sup> H. Buczyńska-Garewicz, *Język przestrzeni u Heideggera (cz. II). Droga*, „Teksty drugie” 2006, nr 1-2, s. 226.

Heideggerowskie myślenie jako przebywanie owych ścieżek dopuszcza błędzenie, jednak zakłada też nieoczekiwane wyjścia na polanę – doświadczanie *prześwitów Bycia*, tj. prawdy *Bycia*, niedostępnej nauce i myśleniu rachującemu. Prawda jako *prześwit* oznacza, że jest ona doświadczana w nieinwazyjnym nastawieniu zgody na własny bieg rzeczy, nie będąc jednocześnie owocem myślenia systemowego.

Spójrzmy więc raz jeszcze na tekst *Pustynnoje miasto*. Makaninowskie puste miejsce wykazuje zbieżność z Heideggerowskim *prześwitem*. Główny bohater, zmęczony codziennością, pragnie odosobnienia, a więc, jak możemy zakładać, wyjścia z rachująco-technicznego nastawienia, i szuka dostępu do bardziej autentycznego życia:

Tamtego lata jak nigdy wrywałem się z miasta, z krzątanimy i trosk, dokądkolwiek, aż wreszcie postanowiliśmy pojechać na podmoskiewską wieś. Była tam taka chatka, chałupinka. Wyobrażałem sobie, i już nie mogłem się doczekać tej bezczynności, że będę się włóczyć po odludziu w odosobnieniu. I na pewno gdzieś przydarzy się „pustynne miejsce”, lecz, tak wyczekiwane, nie wydarzyło się ani w polu, ani nad rzeką, ani w lesie, choć były i pola, i rzeka, i las.

Ważkość chwili, jej wypukłość i zapamiętywalność nie wydarzyła się, a dokładniej – wydarzyła, ale w pierwsze półtorej godziny po przybyciu, na strychu chałupy, a w pozostałe dni i miesiące długiego lata nie było już nic<sup>222</sup>.

Jak widzimy, bohater, będący jednocześnie narratorem, musi liczyć się z „kapryśnością” dostępności owych „pustynnych miejsc”, w których mógłby poczuć głębszy niż tylko powszedni związek z rzeczywistością. Momenty wyjścia na pustynię nie dają się zaprogramować i zwyczajnie niemożliwe jest doświadczanie ich „na zawołanie”. Powyższy fragment prezentuje także charakterystyczną dla bodaj wszystkich tekstów Makanina ambiwalencję: „pustynne miejsce” zdarza się niespodziewanie i to nie w absolutnym oddaleniu od ludzi, lecz w pewnym sensie wśród nich – pośród pozostawionych przez nich zakurzonych przedmiotów, a więc w warunkach upływu czasu. Ciekawe też, że owo „pustynne miejsce” daje się zlokalizować w reszcie spędzonych z krewnymi wakacji, gdyż „w pozostałe dni i miesiące długiego lata, nie było już nic”. Wydaje się,

<sup>222</sup> В. С. Маканин, dz. cyt., tłum. K. Tyczko.

że Makanin przy zastosowaniu tego typu chwytów (zob. np. wędrówka chorego na pomoc dziewczynce w mikropowieści *Utrata* lub rozważania Pietrowicza o tradycji i moralności) skutecznie blokuje dążenie do metafizycznego bezpieczeństwa, utrudniając tym samym możliwość wydawania jednoznacznych, wiarygodnych werdyktów moralnych.

Motyw Heideggerowskiego błędzenia został rozwinięty przez Gianni Vattimo: hermeneutyka radykalna „nie powraca do źródła, by uczynić je własnym; tym co czyni, jest podróżowanie wśród wielości ścieżek błędu, które jest jedyną formą bogactwa i jedynym rodzajem bycia, jakie jest nam dane”<sup>223</sup>. Heideggerowska troska o *nieupadanie* w codzienność i nasłuchiwanie *wołania Bycia* pomija kwestię innego, bowiem *Się*, jakkolwiek może być zjawiskiem ograniczającym indywidualność, jest też przecież przestrzenią rzeczywistej obecności człowieka. W tym sensie pisarstwo Władimira Makanina wykazuje ciągłe zainteresowanie sytuacją *innego* – bliźniego bez względu na jego poglądy i status społeczny, a jak zauważają Lipowieckij i Lejdierman:

Wcześniej bohater Makanina uważał, że wolność jest podstawowym warunkiem rozumnego istnienia. Teraz jest przekonany, że tylko odpowiedzialność (uciążliwa, męcząca, niekończąca się) napęlnia życie sensem<sup>224</sup>.

Joanna Kula pisze:

Pietrowicz nie czuje lęku przed ludźmi, wręcz przeciwnie, pogardza tłumem i wielokrotnie podkreśla, że nie wierzy w żadne „rozliczanie się” (отчетность) ze swoich czynów ani przed Bogiem, ani tym bardziej przed zakłamaną ludzkością<sup>225</sup>.

Stwierdzenie literaturoznawczyni może być częściowo uzasadnione niektórymi wypowiedziami bohatera, na przykład:

Bóg...? Absolutnie. Bóg nie zapyta. Nie tak byłem wychowany. Dowiedziałem się o nim późno, z opóźnieniem, uznaję jego wielkość, ogrom, mogę się nawet go trochę bać w momentach

<sup>223</sup> G. Vattimo, *Koniec nowoczesności*, tłum. M. Surma-Gawłowska, Kraków 2006, s. 32.

<sup>224</sup> Н. Л. Лейдерман, М. Н. Липовецкий, dz. cyt., s. 630, tłum. K. Tyczko.

<sup>225</sup> J. Kula, dz. cyt., s. 149.

mroku, jednak... rozliczania jako takiego przed nim nie ma. Nie wierzę w rozliczanie się. I tym bardziej żadnego rozliczania przed ludźmi z tą ich bieganiną. Czym są ludzie dla pojedynczego, jak ja, człowieka...? Co mi do ich zysku i urządzania sobie przez nich życia. To ich problemy<sup>226</sup>.

Jeśli jednak za Wadimem Kożynowem przyjmiemy, że „w [...] sztuce nie ma czysto informacyjnych szczegółów, [...] każdy szczegół [...] jest organicznie związany z całym utworem”<sup>227</sup>, to, mając na względzie poniższy fragment powieści, twierdzenie Kuli traci mocne podstawy:

Nie przemoc fizyczna, nie mordobicie, lecz brak własnej nory, brak miejsca, dokąd można pójść, i... ich miłości. Życie poza nimi – to tu nagle zobaczyłem swój problem. Poza tymi tępymi, głupkowatymi, skrzywdzonymi i biednymi ludkami, których miłość chłonałem i konsumowałem tak naturalnie, jak wchłanianie się i konsumuje bezbarwny tlen, wdychając powietrze. Mieszkalem z tymi ludźmi na co dzień (nagle się okazało). „Ja” puściło tu korzenie i żywiło się<sup>228</sup>.

Mieszkańców *obszczagi* Pietrowicz nazywa „tępymi”, „głupkowatymi”, lecz także „skrzywdzonymi” i „biednymi”. Jeśli przyjrzymy się epitetom, to zobaczymy, że dwa ostatnie są wyrazem uświadomionego współodczuwania i empatii. Główny bohater wypełnia w *obszczadze* rolę psychologa: mieszkańcy odwiedzają go i dzielą się swoimi problemami, a on daje im to, czego potrzebują – uwagę. Co więcej, w oczach bohatera ludzie ci są zdolni do miłości. Ich skrzywdzenie (ros. *trawmirowannost'*) wynika z egzystencji w systemie totalitarnym, który zawładnął nie tylko stroną materialną życia obywateli ZSRR, lecz przede wszystkim stroną duchową, by po ponad siedemdziesięciu latach porzucić ich w nowej, obcej i bezwzględnej rzeczywistości. Obszernie pisze na ten temat Swietłana Aleksijewicz:

Szukałam tych, którzy na stałe przyrośli do idei, wchłonęli ją w siebie tak, że już nie dało się jej z nich wyrwać – państwo

<sup>226</sup> B. C. Маканин, *Андеграунд...*, s. 96, tłum. K. Tyczko.

<sup>227</sup> В. Кожинов, *Три шедевра русской классики*, Moskwa 1971, s. 118, tłum. K. Tyczko.

<sup>228</sup> B. C. Маканин, *Андеграунд...*, s. 166, tłum. K. Tyczko.

stało się ich całym światem, zastąpiło im wszystko, nawet własne życie. Nie potrafili opuścić wielkiej historii, pożegnać się z nią, być szczęśliwymi w inny sposób. Zanurzyć się... rozpląnąć w prywatnej egzystencji, jak to się dzieje teraz, kiedy małe awansowało do rangi wielkiego. Człowiek chce dzisiaj żyć zwyczajnie, bez wielkiej idei. Czegoś takiego nigdy w Rosji nie było, nie zna tego nawet rosyjska literatura. Właściwie to jesteśmy ludźmi wojny. Albo braliśmy w niej udział, albo się do niej szykowaliśmy. Nigdy nie żyliśmy inaczej. To dlatego mamy psychikę żołnierzy. W czasie pokoju też wszystko odbywało się zgodnie z wojskowym rytuałem. Dudniły werble, powiewał sztandar, serce wyrywało się z piersi... Człowiek nie dostrzegał tego, że jest niewolnikiem, kochał nawet tę swoją niewolę<sup>229</sup>.

I znów okazuje się, że w świecie artystycznym Makanina niemożliwym jest jednoznaczne i bezpieczne zadomowienie, a tym bardziej odnalezienie niszy, która pomogłaby się ukryć przed upływającą rzeczywistością: wyznający filozofię uderzenia Pietrowicz wyłamuje się spod wpływu psychiatrów i ich preparatów, Wieniediktowi jednak się to nie udaje, co więcej, posiadający imię brat-geniusz nie podejmuje w tym kierunku zdecydowanych działań. Jego przypadek został zdiagnozowany przez brata jako zbytnia zależność od pocucia własnej indywidualności, a więc jako pewna forma metafizycznej skrajności, próbującej podporządkowywać rzeczywistość z góry ustalonej normie: „Przy całej swojej genialności Wienia nie rozumiał, że nie tyle znalazł się w pułapce czyjegoś donosu, ile w pułapce swojego własnego pocucia wyższości wobec ludzi: w pułapce swojego «ja»”<sup>230</sup>.

Również Kluczariow, główny bohater mikropowieści *Łaz*, przeciskając się kilkakrotnie przez właz w ziemi z pogrążonej w chaosie, mroku i walce o przeżycie ponurej powierzchni miasta do podziemnego, dostatniego i spokojnego świata „wysokich” rejestrów myśli, opuszcza się na dół przede wszystkim po to, aby zdobyć niezbędne narzędzia do wykopania ziemianki na górze. Wykop ma zapewnić jemu i jego rodzinie przetrwanie. W ostatniej scenie mikropowieści zmęczony bo-

<sup>229</sup> S. Aleksijewicz, *Czasy secondhand. Koniec czerwonego człowieka*, Wołowiec 2014, s. 12-13.

<sup>230</sup> B. C. Маканин, dz. cyt., s. 47, tłum. K. Tyczko.

hater zasypia przy dziurze w ziemi. Śni mu się, że wyciąga całą serię lasek dla niewidomych. Budzi go i pomaga mu wstać Dobry Człowiek, który przez badaczy porównywany jest do Chrystusa<sup>231</sup>. W scenie tej dostrzec można pewną odpowiedź na Heideggerowską propozycję poszukiwania *Bycia* poza jego przejawami. Kluczariow, przeciskając się przez właz, zapewnia kontakt między oboma światami – naziemnym i podziemnym. Łączność ta u Makanina wykuwa się w czynie, wśród ludzi, w cierpieniu (zdarte ciało) oraz w odpowiedzialności za bliźniego (Kluczariow nie decyduje się na porzucenie rodziny i pozostanie w komfortowym, choć przypominającym „pulsujący” Zachód z tekstu *Kwazi*, świecie podziemnym). Niezadomowienie bohaterów Makanina, dzięki któremu podtrzymują kontakt pomiędzy różnymi sferami istnienia, zapewnia bytom w ontologii świata przedstawionego mobilność. Makanin odchodzi więc od Heideggerowskiego pomysłu na zbliżenie się ku *Byciu*:

W Heideggerowskim wędrowaniu po polnej drodze myślenie jest rozpisane na trzy głosy: jest tam nauka będąca z istoty swej techniką, jest filozofia z jej humanistyczną i historyczną tradycją, jest tam wreszcie też próba wyjścia poza tradycyjne spory określona jako *Gelassenheit*, czyli jako uspokojenie woli i aktywności pozwalające dostrzec rzeczy ukryte przed zapracowanym programowo umysłem<sup>232</sup>.

Kategoria *Gelassenheit*, jak dalej tłumaczy badaczka filozofii Heideggera, związana jest z wsłuchiwaniami się w *Bycie*, które „wzywa człowieka do myślenia”, bowiem „to ono jest istotnym źródłem myśli, a nie wola czy żądza ludzka”<sup>233</sup>. O swoim projekcie *stróżowania* pisze Heidegger w tekście *Budować, mieszkać, myśleć*. Stróżowanie ma być przebywaniem w nieustannej bliskości i świadomości *Czwórni* (niebo, ziemia, bogowie i śmiertelni)<sup>234</sup>, istotą takiego zamieszkiwania zaś jest – wyprowadzane przez filozofa z etymologii niemieckich słów – bycie

<sup>231</sup> Zob. np. B. B. Иванов, *Пространственно-временная организация...*, s. 213.

<sup>232</sup> H. Buczyńska-Garewicz, dz. cyt., s. 229.

<sup>233</sup> Tamże, s. 231.

<sup>234</sup> Por. M. Heidegger, *Budować, mieszkać, myśleć*, [w:] Tegoż, *Budować, mieszkać, myśleć. Eseje wybrane*, Wybór i oprac. K. Michalski, tłum: K. Michalski, K. Pomian, M. Siemek, J. Tischner, K. Wolicki, Warszawa 1977, s. 331.

zaspokojonym, wprowadzonym w spokój, pozostawanie w nim<sup>235</sup>. Jak zauważa jednak Zuzanna Dziuban:

W konsekwencji proponowane przez autora *Budować, mieszkać, myśleć* interpretacje relacji zachodzących pomiędzy człowiekiem a zamieszkiwaną przez niego przestrzenią powtarzają jedynie ten stabilizujący gest, który każe myśleć dom w terminach bezpieczeństwa, intymności i bliskości. Zamieszkiwanie oznaczać ma zatem znów przede wszystkim relację myślową – zatrzymywanie się i przebywanie przy miejscach-rzeczach, które z powodzeniem przełożyć można na terminy przyswojonych czy właśnie „oswojonych” sensów<sup>236</sup>.

Filozofka zwraca także uwagę na ekskluzywny charakter projektu fryburchyka. Aby prawidłowo zamieszkiwać w świecie należy prawidłowo pojąć *Bycie*, a ostatnie nie jest możliwe bez zwrotu ku *Gelassenheit*. Podobny model w odniesieniu do twórczości Makanina proponuje Stankiewicz. Heidegger zamyka drogę do prawdy tym, którzy nie mają możliwości specyficznej organizacji swojej codzienności (sam filozof mieszkał w oddaleniu w górskiej chacie na południu Niemiec):

Tak rozumiane zamieszkiwanie [...] realizowane może być jednak jedynie poza murami nowoczesnego, a tym bardziej ponowoczesnego miasta (jeśli założyć można oczywiście, że to gdziekolwiek się kończy): w rustykalnym otoczeniu, którego najlepszy model, choćby jako „byłego” zamieszkiwania, stanowić może górską chatę filozofa w Todtnaubergu. To interpretacyjne posunięcie, którego konsekwencje nie są z filozoficznego punktu widzenia w żadnym razie niewinne, stanowić może znów wyraz charakterystycznej dla późnego Heideggera nostalgii, splecionej ściśle z apokaliptyczną wizją współczesnej kultury, która fundować ma hermeneutyczny mit zadowolenia<sup>237</sup>.

Wizja upadku kultury, o której mówi badaczka, polega na uznaniu oddalenia bytu od *Bycia*, do którego doprowadziła technologiczna organizacja świata. Zdaniem Heideggera konieczny jest powrót do źródeł

<sup>235</sup> Tamże, s. 320.

<sup>236</sup> Z. Dziuban, dz. cyt., s. 124.

<sup>237</sup> Tamże.

poprawnego myślenia o *Byciu*, zaprezentowanego w filozofii antycznych Greków. Perspektywa ta zakłada, że im bardziej ludzkość wraz ze swoim kulturowym dorobkiem postępuje w czasie, a więc im bardziej oddala się od źródła, tym bardziej zaciera je i przez to nieodwracalnie degraduje. W taki sposób w filozofii Heideggera narodził się *mit Bycia*, ufundowany na tęsknocie za bliskością źródła i swojskością prawidłowego zadowolenia. „Fundująca heideggerowski mit zadowolenia tęsknota za domem, za «autentycznym» i «prawdziwym» zamieszkiwaniem, poświadcza jednak wyłącznie nieobecność tego, do czego filozof pragnie powrócić”<sup>238</sup> – zauważa Dziuban. *Upływ* w tym kontekście jest czymś niepożądanym, choć przecież nieodwołalnym, bowiem oddala nas od źródła. Zadanie postawione przez Heideggera – powrót do mitycznej krainy interpretatora Greków – okazuje się w efekcie niewykonywalny.

Pytanie o kategorię *bezdomności* w twórczości Makanina, a szczególnie w powieści *Andiegraund...*, jest więc także pytaniem o miejsce nostalgii w świecie przedstawionym. Na pierwszy plan wysuwa się tutaj kwestia *obszczagi* – budynku o niskim standardzie i wielokomórkowym charakterze, przede wszystkim przeznaczonego dla robotników bądź studentów, lecz zaadaptowanego także pod dom mieszkalny. *Obszczaga* cechuje się czasowością lokum. Swoje miejsce znalazł w niej także Pietrowicz: na wszelki wypadek utrzymuje dla siebie kojekę w skrzydle robotniczym, na codzień zaś trudni się stróżowaniem w cudzych mieszkaniach, w których może przebywać pod nieobecność właścicieli. *Obszczaga*, etymologicznie związana ze słowem *obszczyj*, a więc „wspólny”, jest, jak zauważa narrator, „powszechnym mniemaniem”<sup>239</sup>. Poprzez metaforyczne odniesienie *obszczagi* do Rosji w ogóle („żyć w tym genialnym rosyjskim korytarzu z dziesiątkami tysięcy głównianych pokoi”<sup>240</sup>) można patrzeć na ów obraz jak na historyczną konkretyzację Heideggerowskiego *Się*, będącego sposobem współbycia. W terminologii Makanina *Się* to „rój”. Na ową adaptację zwracają uwagę badacze Lejdierman i Lipowieckij:

W prozie Makanina jest kilka stabilnych obrazów „rojowego” społeczeństwa – przede wszystkim jest to osada („Opowieść

<sup>238</sup> Tamże, s. 126.

<sup>239</sup> B. C. Маканин, dz. cyt., s. 270, tłum. K. Tyczko.

<sup>240</sup> Tamże, s. 110, tłum. K. Tyczko.



o starej osadzie”, „Tam, gdzie niebo łączy się z górami”, „Utrata”), następnie pokolenie („Ostawszczyj”, „Odin i odna”), kolejka („Siuzet usriednienija”) i tłum („Łaz”). Każdy z nich, będąc modelem świata w ogóle i duszy ludzkiej w szczególności, ma ogromną moc metaforyczną. W „Andiegraundzie” takim obrazem staje się obszczaga, a raczej obszczaga przekształcona w zwykły dom mieszkalny, który jednak zachował całą nie zewnętrzną, lecz głęboką istotę współ-życia<sup>241</sup>.

Obaj literaturoznawcy zwracają także uwagę na napięcie pomiędzy pierwiastkiem społecznym a indywidualnym w prozie Makanina (tematykę napięć podejmują również inni badacze, często w swoich analizach posługując się kategorią *dualizmu*), a także podkreślają fakt, że autorytet i przewaga *roju* nad indywidualnością jest domeną literatury rosyjskiej – stąd tak wiele w utworach prozaika odwołań do klasyki. Na ów fakt zwraca uwagę Marina Abaszewa:

Makaninowi bliskie są intuicje i sposób przeżywania niemieckiego filozofa [...] Również w podstawowej swojej konfrontacji bohater Makanina znajduje się w sytuacji Heideggerowskiego człowieka: aby dojść do własnego bycia, egzystencji, musi uwolnić się od braku autentyzmu, jak powiedziałby niemiecki filozof „od władzy Się”. Się tutaj to autorytet literatury rosyjskiej<sup>242</sup>.

*Się* nie należy jednak utożsamiać z masą w znaczeniu dużej grupy ludzi i stosować do niej tradycyjnego wartościowania dobry – zły. We wczesnej filozofii Heideggera z okresu *Bycia i czasu* *Się* jest egzystencjałem, a zatem najbardziej źródłowym sposobem bycia. Życie w powszedniości *Się* rozprasza *jestestwo*, które, by zacząć doświadczać obecności swojej osobowości, musi poczynić stosowne wysiłki. *Się* nie jest określeniem pewnego gatunku ludzi, którzy skłonni są do bezrefleksyjnego życia, jest natomiast pewnym spotykanym powszechnie nastawieniem, dla którego konstytutywnym sensem jest to, co uznane powszechnie i potwierdzone poprzez wspomnianą partykułę plus czasownik w formie bezokolicznika (np. „tak się robi”). *Się* w tym dyskursie dane jest człowiekowi jako pierwsze doświadczenie:

<sup>241</sup> Н. Л. Лейдерман, М. Н. Липовецкий, dz. cyt., s. 627, tłum. K. Tyczko.

<sup>242</sup> М. П. Абашева, dz. cyt., s. 75, tłum. K. Tyczko.

*Najpierw* jest faktyczne jestestwo w odkrytym przez przeciętność wspólnym świecie. *Najpierw* „jestem” nie „ja” w sensie własnego Siebie, lecz inni w postaci Się. Od jego strony i jako ono staje się „sobie” po raz pierwszy „dany”. Jestestwo jest najpierw Się i zwykle nim pozostaje. Gdy na własny sposób odkrywa świat i przybliża go sobie, gdy otwiera samemu sobie swe właściwe bycie, to owo odkrywanie „świata” i otwieranie jestestwa następuje zawsze jako usuwanie zakryć i zaciemnień, jako zdzieranie masek, którymi jestestwo odgradza się od samego siebie<sup>243</sup>.

Wczesny Heidegger nie proponuje więc walki z czymś, co nieodwołalnie przynależy jestestwu: „*Właściwe bycie Sobą* nie opiera się na jakimś odciętym od *Się* stanie wyjątkowym podmiotu, lecz *jest pewną egzystencyjną modyfikacją Się jako istotowego egzystencjału*”<sup>244</sup>. Radykalni hermeneuci doceniają ów niekontestacyjny ruch wczesnego Heideggera, tak pożądaną w jego późnej twórczości. Jak czytamy u Łukasza Czajki, refleksja nad faktycznością życia z punktu widzenia Johna Caputo jest najbardziej wartościowym osiągnięciem filozofii Heideggera. Niestety w późnym okresie filozof porzuca ten namysł na rzecz budowania wielkiego mitu *zapominania Bycia* i odrzucenia faktycznej rzeczywistości. Tutaj, jak sądzę, rozchodzą się drogi Heideggera i Makaanina.

Historia głównego bohatera powieści *Andiegraund...*, jak możemy wnioskować ze skąpych wzmianek w toku narracji, może być skojarzona z losami wcześniejszych postaci Makaanina – pracownikami instytutu badawczego bądź pisarzami. Szczególnie sugestywne w tym względzie jest odwołanie do inteligencko-inżynierskiej przeszłości Pietrowicza. Podobieństwo sugeruje także konstrukcja psychologiczna bohaterów: są to często osobowości posiadające skłonności do romantycznego światopoglądu (refleksyjność wespół z wrażliwością i doświadczaniem poczucia winy) i jednocześnie funkcjonujące na uboczu życia społecznego. Na plan pierwszy wysuwa się tutaj główny bohater z debiutanckiej powieści prozaika pod tytułem *Priamaja linija*, będący prekursorem postaci Makaaninowskiego inteligenta. Mam też jednak na myśli bohaterów mikropowieści *Łaz* i *Stół...* Po zwolnieniu z pracy

<sup>243</sup> M. Heidegger, *Bycie i czas*, tłum. B. Baran, Warszawa 2007, s. 166.

<sup>244</sup> Tamże, s. 167.

Pietrowicz próbuje swoich sił w różnych wydawnictwach, lecz z racji swojej odmienności nie osiąga pisarskiego sukcesu: „Miałem ochotę nawet powziąć za zasadę uśmiechanie się przy wyjściu, skoro już jestem inny. Półtorej dekady mógłbym się teraz uśmiechać, piętnaście lat totalnych odmów, rok za rokiem”<sup>245</sup>. Nietrudno jest więc zauważyć, że sytuacja głównego bohatera pod względem bytowym była dramatyczna, pod względem psychicznym zaś co najmniej trudna, gdyż musiał mierzyć się z całkowitym niezrozumieniem ze strony autorytarnie rządzonego społeczeństwa. Możemy więc przypuszczać, że były to okoliczności sprzyjające rozwojowi traumy – rola głównego bohatera i jego aspiracje społeczne zostały poddane bezwzględnej weryfikacji przez autorytarny reżim. Okoliczności te potęgował fakt, że ambicje pisarskie Pietrowicza przerastały jego ambicje zawodowo-naukowe. Poza tym bohater jakoś szczególnie nie sprzeciwiał się, gdy został najpierw osądzony, a następnie wyrzucony z pracy:

Już wtedy zaczynano ją nazywać Lesią Dmitrijewną. Imię do niej pasowało. Podobała mi się. Szczerze mówiąc, jej kobieca uroda podniecała mnie przy tamtym stole znacznie bardziej niż to, że po jej krótkim wystąpieniu i głosowaniu zostałem wyrzucony z instytutu. Zresztą sam miałem zamiar zniknąć. Robiłem już pierwszy tekst<sup>246</sup>.

Nie wiemy, niestety, w jakim instytucie badawczym pracował Pietrowicz. Jeśli jednak zwrócimy się ku debiutowi prozaika, w którym główny bohater, Wołodia Biełow (w wieku, zbliżonym do ówczesnego wieku autora), jest pracownikiem instytutu badawczego współpracującego z wojskiem przy produkcji broni atomowej, to możemy domniemywać, że rezygnacja z roli badacza mogła być w jakiś sposób związana z pracą na rzecz wojska lub rozwoju uzbrojenia. Wołodia Biełow umiera na końcu powieści w samolocie, zaś w późniejszych utworach Rosjanina pojawiają się pisarze z naukową przeszłością. Owo doświadczenie mogło więc przerodzić się w traumę i powracać w późniejszych wydarzeniach w postaci kontestacji nieprzychylniej rzeczywistości, przybierając formę radykalnej krytyki danego ustroju społecznego.

<sup>245</sup> B. C. Маканин, dz. cyt., s. 242, tłum. K. Tyczko.

<sup>246</sup> B. C. Маканин, dz. cyt., s. 134, tłum. K. Tyczko.

Innymi słowy, sytuacja Pietrowicza – odnoszę się tutaj do rozważań Dominicka LaCapra<sup>247</sup> – sprzyjała skojarzeniu faktycznej nieobecności w przestrzeni literackiej z utratą prawa do zaistnienia i w efekcie powstaniem narracji o opuszczonym prywatnym raju, do którego należy powrócić. Niepowodzenia w redakcjach nie doprowadzają jednak Pietrowicza do aktualizacji nostalgii. W postawie głównego bohatera dostrzec zaś można kontynuację doświadczenia ostatniej sceny mikropowieści *Wlaz*, w której Kluczariow we śnie wyciąga z dziury w ziemi laski dla niewidomych, następnie zaś zostaje obudzony przez Dobrego Człowieka. Pietrowicz, będąc stróżem cudzych mieszkań, przyjmuje w nich mieszkańców obszczaga, którzy szukają zrozumienia, a więc i kontaktu ze słowem. Uznawany jest przez nich za pisarza, gdy zaś wyrzucą wszystko z siebie, powracają do traktowania go jako obcego:

Kiedy jestem im potrzebny, żeby mogli się wygadać, wtedy jestem pisarzem. Przyzwyczailem się. A kiedy mnie nie potrzebują, jestem świrem, stróżem, nieudacznikiem, pasożytem, kimkolwiek, starym grafomanem<sup>248</sup>.

Okazuje się więc, że – paradoksalnie – nieuznany przez środowisko fachowe, główny bohater znajduje uznanie wśród mieszkańców *obszczagi*, a więc tych, którzy funkcjonują w przestrzeni *Się*. Zestawiając powyższe wątki powieści *Andiegraund...* z zakończeniem utworu *Priamaja linija*, widzimy, że Pietrowiczowskie stróżowanie ściśle sprzęgnięte jest z obecnością *innego*. Wołodia Bielów umiera w lecącym ku słońcu samolocie, a jego los może być rozpatrywany w kontekście postaci Hioba<sup>249</sup> oraz Chrystusa<sup>250</sup>. Nie ulega jednak wątpliwości, że, jako marzący o rozbrojeniu i pokoju oraz aktywnie sprzeciwiający się autorytarnym relacjom społecznym w ZSRR, jest w ramach tamtej kulturowej konfiguracji postacią romantyczną, choć z dzisiejszego punktu widzenia niepozbawioną ambivalencji (Bielów mimo wszystko uczestniczy w pracach obliczeniowych dla poligonu, a więc, jak słusznie zauważa Iwancow, próbuje naprawiać

<sup>247</sup> Zob. D. LaCapra, *Trauma, nieobecność, utrata*, tłum. Katarzyna Bojarska [w:] *Antologia studiów nad traumą*, pod red. T. Łysaka, Kraków 2015, s. 59-108.

<sup>248</sup> Tamże, s. 4, tłum. K. Tyczko.

<sup>249</sup> K. Tyczko, *Motyw Hioba...*

<sup>250</sup> B. B. Иванцов, dz. cyt., s. 87.

świat poprzez współpracę ze złem<sup>251</sup>). Jego śmierci towarzyszy głębokie osamotnienie właśnie ze względu na inność – kolektyw po wypadku na poligonie postanawia zrobić z niego kozła ofiarnego, chroniąc tym samym lubianego przez wszystkich i darzonego nadziejami Kołę. Jesteśmy więc świadkami zmiany dostrzeżonej przez Lejdiermana i Lipowieckiego: o ile historia Wołodii Bielowa kończy się wraz z jego zagadkową śmiercią w drodze powrotnej z poligonu, to Pietrowicz powraca do *obszczagi* i ponownie podejmuje się pilnowania mieszkań.

Warto w powyższym kontekście zwrócić się ku radykalno-hermeneutycznemu kontekstowi *Verwindung*. Hermeneutyka ta prezentuje dwojaki typ kontynuacji wczesnej perspektywy Heideggera. John Caputo kładzie nacisk na obecność *innego* i troskę, jaką powinno się go darzyć. Pierwszorzędnym zadaniem myślenia, zdaniem hermeneuty, powinna być zatem realność ciał niezdolnych do posługiwania się Heideggerowskimi narzędziami. Z kolei Gianni Vattimo, nie rezygnujący z przeszłościowej perspektywy późnego Heideggera, sugeruje jej aktualizację poprzez nieutożsamianie temporalno-fizycznej degradacji faktycznego bycia (*bycie-ku-śmierci*) z degradacją kultury, a więc nieutożsamianie LaCaprowskiej nieobecności mitycznej krainy z jej utratą. Włoski filozof zwraca się przeciwko melancholijnemu charakterowi późno-Heideggerowskiego przeżywania współczesności i „pozabawia doświadczenie utraty melancholii”<sup>252</sup>. W kontekście kategorii *Verwindung* można dodać, iż spostrzeżenie Caputo, by nie porzucać całkowicie konstruowania mitologii, lecz wymyślać mity nowe, tylko bardziej pożyteczne i ze świadomością ich czasowego charakteru, koreluje z podziemnym charakterem egzystowania Pietrowicza, któremu ów pozostaje wierny, choć okoliczności społeczne ulegają ewidentnej zmianie. Owa wierność może być potraktowana właśnie jako swego rodzaju przynależność do mitu przy jednoczesnej świadomości jego przemijalności. Ostatnia niejednokrotnie manifestowana jest na kartach powieści i znajduje szczególnie wyraz w łatwości, z jaką Pietrowicz oddaje miano Bohatera Czasów następnemu pokoleniu:

[...] rozmawiając z nim [z biznesmenem Łowiannikowem – K. T.], po raz pierwszy poczułem pewną poezję biznesu,

<sup>251</sup> Por. tamże, s. 59-64.

<sup>252</sup> Z. Dziuban, dz. cyt., s. 168.

a zarazem sam problem dużych pieniędzy jako sprawy głęboko indywidualnej, jako talentu. To właśnie on, Łowiannikow, wyjaśnił mi, że zarobienie pieniędzy od zera dzięki własnemu umysłowi i intelektowi jest tak samo trudne jak dbanie o swój talent i „ja”. [...] Nie udawał ani nie kombinował – po prostu pretendował do nowego wieku. Inteligentny. Odważny. Bohater Waszych czasów<sup>253</sup>.

Prezentowana przez bohatera powieści postawa jest szczególnym wyrazem świadomości upływowego charakteru rzeczywistości, który dla Gianni Vattimo wymaga uznania w polu widzenia doświadczenia współczesności, co z kolei stanowi warunek posiadania dostępu do teraźniejszości: „Europejski ideał ludzkości okazał się jednym z wielu ideałów, niekoniecznie gorszym, ale niezdolnym bez użycia przemocy utrzymać się jako prawdziwa esencja człowieka”<sup>254</sup>. Podejście Pietrowicza pozbawione jest żądania, by kolejne pokolenia uznały niepodważalny status literatury i kontynuowały doświadczenie Słowa. Pietrowiczowska *bezdomność* sprzężona jest więc, z jednej strony, z *innością*, a ściślej – z obcością światopoglądową w stosunku do mieszkańców. Z drugiej zaś *obszczaga* jako miejsce z natury swojej niestałego pobytu, przeznaczone dla przyjezdnych, zaadaptowane do zamieszkiwania ciągłego, może być postrzegane jako dom pozbawiony głębokiego zakorzenienia, a więc dom w warstwie teoretycznej wpisujący się poststrukturalne doświadczenie. Co ciekawe, w powieści mamy do czynienia z dwoma rodzajami *obszczagi*: pierwsza – w której Pietrowicz stróżuje, druga natomiast to ta, do której na zimę przenosi się po wygnaniu, wypełniona typami spod ciemnej gwiazdy, gdzie poznaje młodą flecistkę i skąd zostaje zabrany do szpitala psychiatrycznego. To drugie miejsce może być uznane za ekstremalnie *bez-podstawowy* rodzaj organizacji współbycia. Praktycznie każdy każdemu jest tam wrogiem, nie można liczyć na osobiste bezpieczeństwo i już tym bardziej na zrozumienie. Wydobyte w obrazach obu budynków ich charakterystyki teoretyczne ujawniają różnicę w sposobie identyfikacji mieszkańców z danym miejscem: *obszczaga*, gdzie poznajemy Pietrowicza, mimo

<sup>253</sup> B. C. Маканин, dz. cyt., s. 272-273, tłum. K. Tyczko.

<sup>254</sup> G. Vattimo, *Spoleczeństwo przejrzyste*, tłum. Magdalena Kamińska, Wrocław 1992, s. 18.

niebycia domem w tradycyjnym rozumieniu i obecności zdemoralizowanych mieszkańców – robotników, którzy upili przyjaciółkę głównego bohatera z zamiarem gwałtu – posiada pewne wspólnie wyznawane wartości pozytywne, takie jak potrzeba zagospodarowania przestrzeni do użytku mieszkalnego, potrzeba zapewnienia mieszkańcom bezpieczeństwa. Mieszkańcy, choć, jak zauważa Kula, nie są ze sobą głęboko związani, czego oznaką mogą być chwilowe związki miłosne, to jednak w większości zachowują podstawowe zasady dobrego współżycia i nie naruszają drastycznie cudzego prawa do przestrzeni, a wręcz przeciwnie – w sytuacji prywatyzacyjnego zagrożenia wykazują zdolność do mentalnej zgody i bezwzględного wspólnego działania na rzecz pozbycia się intruza (Pietrowicza), który w ich mniemaniu może zacząć rościć pretensje do jednego z mieszkań. *Obszczaga*, do której trafia Pietrowicz po wypędzeniu jest w tym względzie o wiele bardziej niebezpieczna i w związku z tym objęta jest dozorem milicyjnym. Widzimy więc, że w ostatecznym rozrachunku, podobnie jak w sytuacji z bratem Wienią, Pietrowicz nie jest zwolennikiem radykalnego wyobcowania, lecz ceni bliskość drugiego człowieka oraz godzi się na bycie mu potrzebnym. Po wygnaniu wraca do „pierwszej” *obszczagi* i tym samym uznaje w pewnym sensie jej znaczenie:

Wypyuję, jestem rzeczowy, drobiazgowy, ale tak naprawdę ledwo mogę powstrzymać szczęście, wibrację i ból nagłego uczucia – nie mogę w to uwierzyć: *jestem z powrotem*. [...] [...] nie miałem urazy. Było mi tak lekko. Wybaczono mi, i ja wybaczyłem<sup>255</sup>.

Brak ziemi ojczystej, do której można powrócić w sytuacjach kryzysowych jest stałym motywem twórczości Władimira Makanina. Świat opisywany przez niego jest światem, w którym niemożliwym staje się odnalezienie drogi do domu, do tego, co pierwotne – do *arche*. Zamiast tego nieustannie ląduje się w egzystencji, która nie posiada trwałej interpretacyjnej podstawy. Postać Pietrowicza-stróża, chociaż uosabia zjawisko inteligenckiej wewnętrznej emigracji z czasów Związku Radzieckiego, może być rozumiana także jako wyraz swobodnego dialogu z Heideggerowskim *stróżowaniem Byciu*, gdzie stróż,

<sup>255</sup> B. C. Маканин, dz. cyt., s. 255, tłum. K. Tyczko.

jako ten, któremu dany jest mniejszościowy sposób egzystowania (Heideggerowski poeta i filozof) doświadcza głębokiej zależności od tych, których lokum strzeże.

Osadzone w doświadczeniu obcości *ja* głównego bohatera, pozbawiające go metafizycznej pewności i otwierające przed nim przestrzenie bezdomności, może być skomentowane myślą Caputo:

My – my którzy staliśmy się dla siebie problematyczni, którzy nie możemy powiedzieć „my”, [...] którzy nie możemy nazwać siebie „człowiekiem” i którzy uczyniliśmy „humanizm” podejrzanym – jesteśmy miejscem w którym otwiera się otchłań, gdzie wszystko drży, gdzie podstawa się załamuje. My: *per-sona*: otwartość, w której rozbrzmiewa wpływ<sup>256</sup>.

---

<sup>256</sup> J. Caputo, dz. cyt., s. 123.



## Utrata

Heideggerowskie *zapominanie Bycia* i żal z powodu ciągłego oddalania się od źródła w hermeneutyce radykalnej zostają zastąpione wiedzą o nieodwołalności postępującego charakteru owego oddalania i niemożliwości powrotu do zakładanego punktu wyjścia:

Klasyczna hermeneutyka jest zbyt mocno przesiąknięta metafizyką, która chce być policjantem aresztującym wolną grę interpretacji. Gra, w której uczestniczy radykalny hermeneuta jest swobodną grą bez sztywnych i nieprzekraczalnych reguł, bez wyznaczonego i jednoznacznego celu oraz jest pozbawiona możliwości ostatecznego zwycięstwa<sup>257</sup>

– pisze Łukasz Czajka. Źródło, do którego dostępności nawykła metafizyka, w hermeneutyce radykalnej uważane jest za niemożliwe do zidentyfikowania. Każdy powrót do początków jest w perspektywie omawianej tutaj hermeneutyki jedynie kolejną, nie pierwszą, ale też nie ostatnią interpretacją. Hermeneutyka radykalna apeluje o uznanie faktu, że jako ludzie nie mamy doskonałych narzędzi do wielu postulowanych przez metafizykę czynności, w tym do uobecniania przeszłości. Spojrzenie w przeszłość jest tematem wprowadzonej przez amerykańskiego filozofa figury *Żydogreka*, która ma wyrażać wieloźródłowy charakter kultury Zachodu. Caputo, jak zauważa Czajka, zdaje sobie przy tym sprawę z formalnej niedoskonałości zaproponowanego pojęcia, bowiem wpływ na Europę wywarły także inne kultury: arabska, dalekowschodnia, afrykańska. Uczciwość wobec źródeł wymagałaby rozbudowanego pojęcia. *Jewgreek* jest więc kompaktowym symbolem otwartości perspektywy, której ograniczenie, jak wiemy, stało się udziałem późnego Heideggera, faworyzującego Greków i Niemców.

Należałoby się zastanowić, czy możliwa jest analogia pomiędzy radykalno-hermeneutycznymi pojęciami *flow* (ontologiczna postawa poddania się swobodnemu przepływowi), *flux* (upływ)<sup>258</sup> a Makaninowską kategorią *samotiecznost*, którą znawcy twórczości autora *Antylidera* interpretują

<sup>257</sup> Ł. Czajka, dz. cyt., s. 35.

<sup>258</sup> Tamże, s. 32.

jako konceptualizację życia zanurzonego w Heideggerowskim *Się. Flow* w danym kontekście można próbować utożsamiać z tym, co Anna Skotnicka nazwała „bezmyślną inercją codzienności” i „automatyzmem istnienia”. W perspektywie krakowskiej badaczki *samotieczność*’ odnosi się do postawy zgody na to, co się wydarza, bez anonsovania prawa do posiadania własnego głosu. *Flow* natomiast jest postawą nie tyle moralną, ile raczej nastawieniem ontologicznym i oznacza światopoglądową zgodę na obcość, bezdomność i utratę doświadczenia, innymi słowy, na udział w grze, jaką jest życie w rwącym *upływie (flux)*, który stanowi

ponowoczesną wersję strumienia Heraklita. Jest ciągłą zmiennością fizycznego świata, który w żadnym momencie swego istnienia nie jest tym samym światem, którym był przed chwilą. Jest płynnym strumieniem świadomości i permanentną kreacją ludzkiej tożsamości. Jest swobodną zabawą znaczeń, sensów, znaków i interpretacji. Jest także [...] słabo-ontologicznym polem, po którym porusza się radykalna hermeneutyka. Flux jest wyrazem ruchu, płynności i niestabilności otaczającego nas świata życia. Radykalny hermeneuta, który afirmuje taki stan rzeczy poddaje się swobodnemu przepływowi (*flow*) w rwącym upływie (*flux*)<sup>259</sup>.

Makaninowskie przeciwdziałanie *samotieczności*, do którego zdaniem Lejdiermana i Lipowieckiego zalicza się poszukiwanie kontaktu z własnym wnętrzem, może być zatem rozpatrywane nie tyle jako walka z upływem i próba poszukiwania stabilizacji dla niestabilnego bycia, lecz jako dążenie do świadomego wpisania się w ograniczoność ludzkiej perspektywy i *słaby* charakter wszelkich ludzkich dokonań, gdzie:

wybieganie odsłania jestestwu zatrąę w Sobie-Się i stawia to jestestwo wobec, niepopartej na początku przez zatroskaną troskliwość, możliwości bycia sobą, sobą jednakże w namiętnej, wyzbytej złudzeń Się, faktycznej, pewnej samej siebie i trwającej się wolności ku śmierci<sup>260</sup>.

Warto jednak postawić pytanie o sukces i trwałość podejmowanych przez bohaterów Makanina wysiłków wychodzenia z „automatyzmu

<sup>259</sup> Tamże, s. 36.

<sup>260</sup> M. Heidegger, dz. cyt., s. 335.

myślenia”. Dość niejednoznacznym w tym względzie jest artykuł Anny Skotnickiej o metaforach rzeki i błyskawicy w prozie Rosjanina. Autorka dostrzega w utworach Makanina próby okiełznania niepohamowanego upływu. Świadczą o tym stwierdzenia: „Nieumiejętność zaprzestania działania w prozie pisarza staje się przyczyną błędzenia postaci”<sup>261</sup> czy „Przez utratę rozumienia, to znaczy przebywania w myśli, życie zostaje sprowadzone do poziomu wegetatywnego”<sup>262</sup>. Należy jednak zaznaczyć, że „zaprzestanie działania” oraz „przebywanie w myśli” to postulaty blokujące ruch życia i uruchamiające typowo metafizyczną deprecjację znaczenia rzeczywistości fizycznej. Może się więc okazać, że bohater, skonfrontowany z tak sformułowanym systemem oceniania, zawsze będzie w oczach interpretatora na przegranej pozycji. *Wolność ku śmierci* zaś oznacza uznanie słabości ludzkich konstrukcji, fragmentaryczność wiedzy, ułomność ograniczonych czasowo sądów, a także nieostateczny charakter wszelkich osiągnięć natury duchowej. I właśnie taka postawa, jak się zdaje, zajmuje pierwszorzędne miejsce w prozie Makanina. W tym kontekście warto odwołać się do rozważań Lejdiermana i Lipowieckiego:

Poczynając od tekstu „Gołosa”, Makanin gromadzi w swojej prozie sytuacje, pozwalające człowiekowi dostać się poprzez warstwę samoteczności do głosów: jest to i świadomość własnej śmiertelności („Utrata”), i poczucie winy metafizycznej („Za późno”), i krępująca sytuacja („Człowiek świty”) i choroba, szaleństwo („Wartki nurt rzeki” i znów „Utrata”, „Za późno”), beznadziejna samotność („Odin i odna”)<sup>263</sup>.

Jeśli więc uznajemy, że osiągnięcie trwałego stanu duchowego spełniania czy uspokojenia jest w twórczości Makanina praktycznie niemożliwe, a bohaterowie zazwyczaj wytrącani są z podejmowanych prób odosobnienia przez nieokiełznaną kinetykę rzeczywistości, to od krytycznego namysłu nad zabieganą i oddalającą się od źródeł życia współczesnością możemy zwrócić się ku *Andenken* – akceptacji pełni współczesnego doświadczenia, przeboleń i dialogu z arbitralnością kodów kulturowych.

<sup>261</sup> A. Skotnicka, dz. cyt., s. 56.

<sup>262</sup> Tamże, s. 71.

<sup>263</sup> Н. Л. Лейдерман, М. Н. Липовецкий, dz. cyt., s. 630, tłum. K. Tyczko.

Analizując postawę głównego bohatera powieści *Andiegraund...*, a szczególnie wątek stróżowania, nasuwa się wniosek, iż Pietrowicz, mimo sprzeciwu wobec bezmyślnej strony „inercji codzienności” w swoich działaniach jest wyrazicielem postawy zgody na życie w *upływie*. W codziennym nastawieniu zachowanie Pietrowicza zapewne byłoby trudne do zaakceptowania dla większości. Poza tym jest on częścią regionalnej i kulturowo sfragmentaryzowanej narracji o okresie po upadku ZSRR. Jednakże analiza stosunku bohatera do upływu czasu pozwala widzieć w niej koherencję z ideami hermeneutyki radykalnej. Godnym odnotowania jest również fakt znaczenia imienia Piotr, od którego pochodzi *otczestwo* głównego bohatera: kamień, skała. Z jednej strony więc możemy mówić o swoistej niezawodności Pietrowicza jako stróża: „Aaa, to pan jest tym pisarzem! – wykrzyknęła nagle córka i zaczęła szarpać mamę za rękę. – Mamo! Mamo! To on, najniezawodniejszy na świecie!”<sup>264</sup> Z drugiej zaś, co podkreślają w swoich tekstach Joanna Kula i Ksienija Szylina, widzimy, że jest on człowiekiem nieuchwytnym, nieznoszącym więzów społecznego określenia i oczywistości, samodzielnym i samotnym<sup>265</sup>. I taka *ślaba*, niejednoznaczna i otwarta na interpretację konstrukcja bohatera, by zacytować Leśniewskiego:

wzywa już nie tyle do skoku w otchłań bez-podstawności [...],  
ile raczej do odpowiedzi na to, co otchłań ta umożliwia – wzywa  
nie do tańca na jałowym polu bez-sensowności (aktywnego  
zapomnienia bycia), co do otwartego przyzwolenia na skrytość  
i nie-skrytość tego, co możliwe<sup>266</sup>.

W tym miejscu po raz kolejny przydatnym okazuje się spostrzeżenie Mariny Abaszewej o sporze, jaki wiedzie Pietrowicz z klasyczną literaturą, a więc z obszarem panowania *Się*. Jeśli jednocześnie odwołamy się do spostrzeżeń Dmitrija Siegala o nieciągłości rosyjskich procesów społeczno-polityczno-kulturowych (rewolucyjna działalność Piotra Wielkiego, wydarzenia października 1917), a także o wychowawczym statusie literatury:

<sup>264</sup> B. C. Маканин, dz. cyt., s. 278.

<sup>265</sup> Por. J. Kula, dz. cyt., s. 31.; K. O. Шилина, dz. cyt., s. 5.

<sup>266</sup> N. Leśniewski, dz. cyt., s. 243.

Można stwierdzić, że w warunkach rozszczepienia kultury rosyjskiej na dwie prawie niekomunikujące się ze sobą linie – kulturę warstw uprzywilejowanych (kulturę inteligencką) oraz kulturę mas, literatura wyewoluowała ze złożonego systemu semiotycznego o podwójnej funkcji modelowania [...] w semiotyczny mechanizm zachowania, utrwalania i przekazywania w czasie pewnej tradycji kulturowej (kultury inteligenckiej), mechanizm pełniący wyłącznie funkcje modelowania pierwotnego na podobieństwo dowolnego tradycyjnego systemu religijnego.<sup>267</sup>

co oznacza, iż pisarz staje się rękojmnią przekazywania wiedzy o kulturze oraz kimś na kształt kapłana i nauczyciela („To właśnie literatura wyznacza społeczeństwu i konkretnym ludziom modele myślenia, etyczne i estetyczne relacje oraz modele zachowania”<sup>268</sup>), to Pietrowicz, mimo iż uderza w moralne autorytety i może jawić się jako wiarołomny stróż Bycia, który paradoksalnie rezygnuje z pisarstwa na rzecz zachowania własnego ja, stanowi uosobienie postawy uczciwości wobec czasu.

Nie idzie już więc o zgodność interpretacji z interpretowanym przedmiotem, ale o uczciwość wobec jego złożoności, wieloznaczności i niejasności. Nie proste i stałe pojęcie faktu, lecz wciąż od nowa powtarzane rozumienie realizować może podstawowy postulat zradykalizowanego pola możliwego rozumienia: ograniczać, czyli osłabiać ludzkie poznanie do tego, co człowiekowi najbliższe, a więc odrzucać skłonności do przedstawiania interpretowanego przedmiotu w sposób bardziej spójny i mniej niejasny niż jest on w wariabilnej (upływającej) rzeczywistości<sup>269</sup>

– pisze Leśniewski. Sytuacja Pietrowicza, który porzucił tworzenie tekstów i przyjmuje w pilnowanych przez siebie mieszkaniach ludzi potrzebujących wysłuchania może być rozumiana – także w kontekście mikropowieści *Łaz* – jako próba pokazania zależności i uwikłania pomiędzy różnymi warstwami społeczeństwa, a więc różnymi modelami ontologicznymi. Warto w tym miejscu także nadmienić, że nie tylko

<sup>267</sup> Д. М. Сегал, *Литература как охранная грамота*, Москва 2006, s. 56, tłum. K. Tyczko.

<sup>268</sup> Tamże, s. 55, tłum. K. Tyczko.

<sup>269</sup> N. Leśniewski, dz. cyt., s. 253.

świat naziemny w *Łazie* jest problematyczny. Zachowania i rozmowy mieszkańców świata podziemnego, a więc miejsca spokoju i przebywania inteligencji, noszą niejednokrotnie infantylny charakter, szczególnie w konfrontacji z postawą i przemyśleniami Kluczariowa oraz jego przyjaciół. W głosie referującego wydarzenia podziemia narratora wyczuwalna jest także ironia<sup>270</sup>.

W kontekście kategorii *upływu*, która oznacza nieuchwytność teraźniejszości poza ramą jej jednostkowego przeżywania, a więc w stanie permanentnej utraty i zysku (w stanie przepływu), nie bez znaczenia okazuje się także fakt prowadzenia narracji powieści *Andiegraund...* w pierwszej osobie liczby pojedynczej, oraz, mimo refleksyjnego charakteru wielu fragmentów, duży nacisk na działanie: główny bohater praktycznie nieustannie znajduje się w ruchu, ważną rolę odgrywając także czasowniki oznaczające przemieszczanie się (sam obraz Makanińskiego korytarza zakłada przemierzanie go). Co więcej, Pietrowicz jako stróż żyje w ciągłym *flow*, w nieustannej zgodzie na *upływ*:

Nie powiem, że to, co się stało, jakoś bardzo mnie zraniło lub zasmuciło. Nawet się zaśmiałem: co za spryciarz...! Od razu zostawiłem mieszkanko obu Klarom. Nawet uściśnąłem im dłonie i pogratulowałem przeprowadzki. Usunąłem się. Teraz, wychodząc z mieszkania, zerknąłem na portret Marsa, którym się opiekowałem, gdy był jeszcze głupim szczeniakiem. Psy mają wyraziste spojrzenie, oczy. Teraz (oczywiście w milczeniu) żałowałem wizerunku psa – obie Klary raczej go nie zachowują; panie Łowiannikowie, na dniach, przy okazji remontu, one go zeskrobia. Przyszedł Susnin, śmiał się ze mnie, a ja z niego.

To nie była chciwość, i to nie pieniędzy bronił Łowiannikow, dostrzegłem to: on bronił samego siebie. (Nie zabiłem Kaukazyka z chciwości, za mizerne pieniądze). Walczyłem o swoje „ja”, a Łowiannikow o swoje. Jego wytrwałość stała się zrozumiała: walczył do końca. Przegrana z powodu tych wszystkich susinów była dla niego obrazą.

Tak więc jego oszustwo nie było oszustwem, lecz planem, myślą, albo, powiedzmy, mądrym posunięciem, bo stary Petrowicz i tak nic nie tracił. Pisarz. Jak żył, tak i będzie żyć dalej. Nie zdobył, ale i nic nie stracił. Zwycięskie posunięcie i tyle. Chociaż nie

---

<sup>270</sup> Por. E. A. Кравченко, dz. cyt., s. 152-153.

da się ukryć, że przez dwa miesiące pan Łowiannikow robił ze mnie durnia, prawdą jest też, że mógłby za to zapłacić więcej, bo przez ten czas ryzykowałem znacznie bardziej niż zwykły stróż<sup>271</sup>.

Z punktu widzenia filozofii radykalno-hermeneutycznej *utrata* na stałe wpisana jest w ludzkie doświadczenie i wprowadza je w nieustanny ruch, doświadczenie zaś rozumie się po Heideggerowsku jako permanentny dialog pomiędzy świadomością ontyczną a ontologiczną. Pietrowiczowski ruch można odczytywać jako wyraz rozumienia *Bycia* przez pryzmat jego wydarzeniowości („Nie wściekam się z powodu tej tułaczki, to jest życie”<sup>272</sup>), a ontologiczną sytuację Makaninowskiego człowieka jako kinetyczną, określoną poprzez bycie w akcji. Taki też – kinetyczny – rodowód posiadają *obrazy*, będące centralną Makaninowską kategorią estetyczną. Krawczenkowa w tym kontekście zauważa: „W powieści Pietrowicz działa w zgodzie z własną intuicją lub pod wpływem momentu”<sup>273</sup>. Główny bohater niejako odsłania przed czytelnikiem wszystkie karty swojego filozofowania, w którym doświadczenie rozumiane jest właśnie jako dialog doświadczanej rzeczywistości i namysłu nad nią – ontyczno-ontologicznie. Spontanizność ich powstania wprowadza w nie kontekst upływu i odwoływalności, a więc ich stawanie się nierozzerwalnie związane jest z zanikiem (widzimy to szczególnie w pobłażliwości w stosunku do Pietrowicza ze strony otaczających go ludzi, na przykład Łowiannikowa, dzięki czemu czytelnik może skonfrontować perspektywę głównego bohatera z perspektywami innych postaci).

Warto więc jeszcze raz zapytać, na ile w warunkach ciągłej *utraty* w twórczości Rosjanina możliwe jest filozoficzne odzyskiwanie samego siebie, które, jak wskazują badacze, stanowi centralne zagadnienie pisarstwa Rosjanina? Z jednej strony Pietrowicz zacięcie broni własnego *ja*, co dwukrotnie w powieści popycha go do morderstwa, z drugiej zaś żyje w stanie permanentnej *obcości*, bowiem *ja* nie jest jego prawdziwym domostwem, czymś do czego się wraca i co się – jako zagubione – odnajduje. *Ja* istnieje w nim jako skrywający się i odsłaniający *inny*.

<sup>271</sup> B. C. Маканин, dz. cyt., s. 274, tłum. K. Tyczko.

<sup>272</sup> Tamże, s. 246, tłum. K. Tyczko.

<sup>273</sup> E. A. Кравченкова, dz. cyt., s. 104, tłum. K. Tyczko.

Odzyskanie samego siebie, innymi słowy, stan świadomości, jaki zwykliśmy utożsamiać z pojęciami *głębi* i *prawdy* i uważać za niedostępny w powszednim nastawieniu, możliwy jest u Władimira Makanina tylko w ograniczonym zakresie i stanowi raczej formę pewnego lokalnego mitotwórstwa niż posiadania niezbitych pewników. Możemy więc uznać, że motywem konstytutywnym dla twórczości Rosjanina jest nie tyle dążenie do odnalezienia siebie i zbudowania lub odbudowania pełnej tożsamości, ile fakt poświadczania, a więc uświadamiania *utra-ty*. Poświadczanie to – w myśl LaCaprowskich rozważań – pozwala na przepracowanie traumy i wypracowywanie postawy zrozumienia i współczucia. Używając zaś terminologii hermeneutyki radykalnej powiemy, że dzięki poświadczaniu przybliżamy się ku *Andenken* – przeboleń, a także ku *pietas* – szacunkowi wobec przeszłości oraz trosce o nią.

Pojawia się tutaj kolejne pytanie o to, jak te nierewolucyjne z założenia radykalno-hermeneutyczne kategorie, które nie dopuszczają arbitralnej zmiany dyskursu, można pogodzić z wyznawaną przez Pietrowicza filozofią *uderzenia*. *Udar* pod względem semantycznym zakłada przecież użycie siły, a więc oddziaływanie przemocą jednego dyskursu na rzecz podporządkowania innego. Poza tym młody Pietrowicz namawia brata, by ten uderzył śledczego, co miałoby pomóc Wieniediktowi wydostać się spod jego presji: „Wienia, słyszysz... A jeśliby go sprowokować? Pacnij mu w twarz. Właśnie tak! Że niby cię obraził. Uderz go pierwszy...!”<sup>274</sup> Pietrowicz zaleca bratu skorzystanie z metody prostszej niż gra psychologiczna – proponuje odwołanie się do ciosu, co miałoby przenieść spór z płaszczyzny psychologicznej na fizyczną. Wieniedikt jednak:

Drwił, ironizował. I jego śmiech, jeśli już Wienia się z kogoś śmiał, robił z siedzącego naprzeciwko kompletne zero, wesz. Nie do wytrzymania. Oczywiście to nie usprawiedliwia gebistów. Ale gorzka jest wiedzieć, że to, co Wienia zniósł i czego nie zniósł, było nie tyle zapłatą za jego genialne rysunki (i nawet nie za czyjeś karykatury), ile za jego dumę<sup>275</sup>.

<sup>274</sup> В. С. Маканин, dz. cyt., s. 46, tłum. K. Tyczko.

<sup>275</sup> Tamże, s. 47.



*Uderzenie* jest dla Pietrowicza życiem i wpisuje się w zasadę świata, którą obrazuje piorun, błyskawica. Zgodnie z rosyjskim słownikiem etymologicznym Fasmera słowo *udar* związane jest ze słowem *drat'* (pol. drzeć) oraz posiada powiązania także ze staroindyjskim *dāras* (pol. pęknięcie, szczelina, dziura) i greckim *δῆρις* (pol. spór).<sup>276</sup> Ów trop etymologiczny prowadzi ku dekonstrukcji (szczególnie że „świat uderzenia jest bezmierny i plastyczny [...] jest życiem”), która rzeczywistość postmetafizyczną widzi w kategoriach *gry*, *zmienności* i *ruchu*. „Piękno dekonstrukcji na pewno nie polega na stabilności i normie, lecz na zmienności, momentalności, niestałości powiązań. Dekonstrukcja jest dynamiczna i dramatyczna, wytwarza swoistą scenę, odwołuje się do metafory teatru”<sup>277</sup> – pisze Anna Krajewska. *Udar* jest „plastyczny”, a dekonstrukcja „jest akcją, działaniem, ruchem. Dekonstrukcja jest inscenizacją, reżyserowaniem, próbą. Dekonstrukcja jest teatrem, który określa świat jako *performance*. Dekonstrukcja przemawia działaniem, które ustanawia także i plastyczny wymiar konstruowanej sceny. Przez to staje się pewną estetyką”<sup>278</sup> – zauważa badaczka. Szczeliny i przerwy rozbijają monolit i pozwalają wdrzeć się światłu i powietrzu, które z kolei naruszają stabilność i umożliwiają zaistnienie nowego życia. Krajewska zaznacza, że estetyka dekonstrukcji jest estetyką bycia „po-między”<sup>279</sup>, w przerwie, na styku krawędzi, co przecież wprost można odnieść do Makaninowskiego świata artystycznego, choćby tego z mikropowieści *Łaz*. W innym tekście zatytułowanym *Udawszyjsia rasskaz o lubwi*<sup>280</sup> bohaterowie wędrują szczelinami do przeszłości, Piekałow zaś w utworze *Utrata* znajduje się pomiędzy brzegami, łącząc je i tym samym pozbawiając niedostępności. Pietrowicz natomiast balansuje pomiędzy wysoką literaturą i gminem, w żadnej z tych sfer nie osiadając na stałe. Jeśli więc *udar* nosi w sobie znaczenia podobne do tych, jakie dekonstrukcji przypisywał Derrida, to możemy spróbować przełożyć Pietrowiczowską zachętę wobec brata na język myśli: w monolityczną

<sup>276</sup> Por. hasło *удар*, *Этимологический словарь Фасмера*, [źródło elektroniczne] <http://endic.ru/fasmer/Udar-14156.html> (dostęp 10.03.2020).

<sup>277</sup> A. Krajewska, *Dekonstrukcja jako problem estetyki (na przykładzie dramatycznego dyskursu Jacques’a Derridy)*, „Przestrzenie teorii” 6, Poznań 2006, s. 21.

<sup>278</sup> Tamże, s. 26.

<sup>279</sup> Tamże, s. 27.

<sup>280</sup> В. С. Маканин, *Удавшийся рассказ о любви*, [w:] Тогоž, *Удавшийся рассказ о любви*, Moskwa 2010, s. 148-179.

i nieprzenikliwą stabilizację Wieniedikta Pietrowicz próbuje – niestety bezskutecznie – wszcześcić obcy element: *udar*, sprzeciw, działanie, testowanie możliwości, elastyczność i wątpienie.

„Wszystkimi rzeczami rządzi Piorun”<sup>281</sup> – brzmi Heraklityjska maksyma w przekładzie Kazimierza Mrówki. Tłumacz wypowiedzi przypisywanych antycznemu filozofowi łączy przytoczony powyżej fragment z dwoma innymi: „Jedno, mądre. Jedynie imieniem Zeusa chce i nie chce być nazywane”<sup>282</sup> oraz „Jedno mądre – rozumieć myśl – rządzi wszystkim poprzez wszystko”<sup>283</sup>. Dla filozofii Heraklita kluczowymi pojęciami są *ogień* i *logos*. Piorun to „objawiający się w swej potędze tworzenia, zguby i władzy nad wszystkim ogień-Logos kosmiczny, ten, który chce i nie chce być nazywany imieniem Zeusa”<sup>284</sup>. Piorun jest więc miotającym błyskawice bogiem, nieosobowym, wiecznie żyjącym ogniem. Myśl (*gnomen*) zaś to rozum, intelekt, sąd, opinia, życzenie i, jak pisze Mrówka, jest to także synonim *Logosu*<sup>285</sup>. *Zeus-zoe* jest symbolem życia, które „podporządkowuje sobie bogów, ludzi i w ogóle wszystko”<sup>286</sup>. Rozumieć myśl znaczy więc rozumieć życie, które jednak „chce i nie chce”, objawia się i skrywa w nieustannym ruchu istnienia: „chce, bo imię to ujmuje coś z jego istoty [apoliński i dionizyjski pierwiastek – K. T.], nie chce, bo jednocześnie zaciemnia, bo nie jest to imię doskonałe, bo nie ma dla jednego odpowiedniego słowa”<sup>287</sup>. Pietrowiczowska filozofia uderzenia jest więc filozofią gotowości do życia. Kinetyczny i realistyczny charakter udaru zostaje przeciwstawiony stabilizującej percepcji:

To teraz on stał się częścią tego czasu, jego cechą szczególną, nieodłączną, znakiem, który retrospektywnie budzi w nas najnowsze (choć wcale nie nowe) współczucie. Wienia-człowiek nie jest taki ciekawy, ale już Wienia-znak, Wienia-pamięć rozbudza w nas tę wzmoczoną zdolność do współczucia, kochania; do kochania oraz niezgody na kaleczenie się nawzajem,

<sup>281</sup> K. Mrówka, dz. cyt., s. 193 (fragment B 64).

<sup>282</sup> Fragment B 32, tamże, s. 122.

<sup>283</sup> Fragment B 41, tamże, s. 137.

<sup>284</sup> Tamże, s. 193.

<sup>285</sup> Por. tamże, s. 137-138.

<sup>286</sup> Tamże, s. 122.

<sup>287</sup> Tamże, [kursywa zamiast oryginalnego rozstrzelenia – K. T.], s. 123.

i do pamięci, że jesteśmy ludźmi i po co jesteśmy na tej ziemi, itd., itp.<sup>288</sup>

Oczywisty jest ironiczny wydźwięk powyższego cytatu, wzmocniony dodatkowo poprzez użycie wzniosłych określeń w zestawieniu z miejscem autentycznego cierpienia. Komfort zapewnia tutaj kultura: Wienia-znak, Wienia-pamięć. Konfrontacja ta jest podjęciem wątku, wobec którego nie pozostaje obojętna także hermeneutyka radykalna Johna Caputo. Amerykański filozof wprowadził do hermeneutycznego namysłu pojęcie *cierpiącego ciała*, którego realność i naoczność poddaje w wątpliwość wszelkie, w tym Heideggerowskie, rozważania i klasyfikacje filozoficzne. Caputo apeluje o uczynienie przedmiotem codziennej troski realności tych ciał, które nie są w stanie posługiwać się Heideggerowskimi narzędziami<sup>289</sup>. Amerykański filozof mówi także o dwóch porządkach: serca i rozumu. W jego namyśle kluczowym okazuje się nieumniejszenie żadnego z nich na rzecz drugiego. Spotykane w świecie *cierpiące ciała* jako doświadczenie *innego* przyczyniają się do budzenia w nas zobowiązania, które rządzi się logiką *ekscesu* i „pcha ku czynieniu tego, czego się od nikogo nie wymaga”<sup>290</sup> (w przeciwieństwie do powinności).

Z *zimnej prawdy* Caputo nie wyłania się nagłe objawienie lub jakiś szczególny zwrot w grze epok, który mógłby przyspieszyć urzeczywistnienie się filozoficznej „ziemi obiecanej”. *Zimna prawda* jest prawdą szacunku wobec tajemnicy i niepoznawalności Zeusowego świata<sup>291</sup>. Jest to prawda, która

tkwi w uznaniu wycofania rzeczy z naszego pojęciowego chwytu, w odrzuceniu prawdy w sensie oczekiwanym i żądanym przez myślenie metafizyczne i eschatologiczne. Myślenie jest rezygnacją z tych ambicji i pretensji oraz dostąpieniem poczucia czci i przyzwolenia, które pozwala nam doświadczać nas samych jako Śmiertelnych, świat zaś jako czwórniję.

<sup>288</sup> B. C. Маканин, *Андеграунд...*, s. 51, tłum. K. Tyczko.

<sup>289</sup> Por. Ł. Czajka, dz. cyt., s. 43.

<sup>290</sup> Tamże, s. 66.

<sup>291</sup> Na temat *Kwadratu* w powieści *Андеграунд...* także: Н. В. Алексеева, *Семантика реминисцентных заглавий в романе Маканина „Андеграунд, или Герой нашего времени”*, „Уральский филологический вестник. Серия: Русская литература XX-XXI веков: направления и течения” 2012, nr 1, s. 149.

Tak zaś o *Czarnym kwadracie na białym tle* Malewicza rozmyśla Pietrowicz:

Niestety, potrzebujemy perspektywy, przynęty, nagrody, celu, światła na końcu tunelu, i to jak najszybciej. Na tym i na niczym innym polega nasze życie. To jest nasza niewschodnia istota: chcemy przyszłości...! I to dlatego czarny kwadrat Malewicza jest taki genialny: to stop, akurat dla nas i naszych niecierpliwych dusz, to uderzenie i wielkie hamowanie. [...]

I nie mam wątpliwości, że gdzieś za kadrem jest księżyc. Cały efekt polega na braku księżyca. Jest w tym siła i namiętność nocy, tak wypukle wystającej ku nam z kwadratowego, czarnego płótna<sup>292</sup>.

*Uderzenie* jest tutaj – odwrotnie do wcześniejszych aktywizacji – znakiem wyhamowania celowego nastawienia. Pietrowicz łączy czern z nirwaną sowieckiej kolejki, w której *ja* zanika na rzecz milczącego i pokornego *my*. Jednak nawet tutaj, w czarnym kwadracie, dostrzegalna jest „pajęczyna światła”:

Nie raz myślałem o uroku dziwnego płótna. Czarna plama w ramie wcale nie jest aksamitną i lekko (lekuchno) odsłoniętą trzeźwemu oku bezgwiezdną nocą. Nie ma tam żadnego aksamitu. Nie ma mroku. Są za to cienkie, niewidoczne pajęczynki-nici. Błyszczące żyłki. (Powiedziałbym – pajęczyna światła, gdyby nici na czarnym naprawdę choć trochę się świeciły)<sup>293</sup>.

W kwadracie Pietrowicz widzi światło, a ludzie w kolejce mimo tylu lat panowania sowieckiego dyskursu nie są w stanie całkowicie podporządkować swojego *ja* bezosobowej formie oczekiwania na przydzielone dobra: „nie dajemy rady, nie możemy, nie mamy sił na stanie, chuchanie sobie nawzajem w potylicę i ciche przestępowanie z nogi na nogę”<sup>294</sup>.

Radykalno-hermeneutyczna i chyba też Makaninowska *Czwórnica*, a więc niebo, ziemia, bogowie i śmiertelni, nie jest już wyrazem eschato-

<sup>292</sup> B. С. Маканин, dz. cyt., s. 39, tłum. K. Tyczko.

<sup>293</sup> Tamże, tłum. K. Tyczko.

<sup>294</sup> Tamże, tłum. K. Tyczko.

logicznej tęsknoty, lecz uznaniem *upływowego* charakteru przebywania człowieka na Ziemi, który spoglądając w *Noc Świata* widzi przede wszystkim jej „namiętność” i tajemnicę:

Jest to doświadczenie kogoś, kto otworzył się na otchłań, na grę, w którą wciągnięte są wszystkie rzeczy, na ébranler, na drżenie. Ma się on na baczności wobec iluzji leżenia-u-podstaw i szukanania fundamentów; jest otwarty na grę dziecka-króla. I w tej otwartości osiąga on swoiste zrozumienie. Zrozumienie kogoś, kto zdaje sobie sprawę z granic konceptualnego rzemiosła. Przyzwalając na grę świata, wystawiając się otchłani, doświadcza on prawdy samego wycofania prawdy.



## Bibliografia

### Utwory Władimira Makanina:

- Makanin W., *Antylider*, tłum. Gadzinianka Z., Karaczewska W., Rojewska-Olejarczuk E., Walenko A., Warszawa 1989.
- Маканин В. С., *Андеграунд, или Герой нашего времени*, Moskwa 2010.
- Makanin W., *Asan*, tłum. Redlich J., Poznań 2009.
- Маканин В. С., *Испуг*, Moskwa 2011.
- Маканин В. С., *Квази*, [w:] Tegoż, Moskwa, Moskwa 2010.
- Маканин В. С., *Квази*, „Новый мир” 1993, nr 7.
- Маканин В. С., *Лаз*, [w:] Tegoż, *Лаз*, Moskwa 2009.
- Маканин В. С., *Прямая линия*, [w:] *Прямая линия (сборник)*, Moskwa 2010, Moskwa 2010.
- Маканин В. С., *Пустынное место*, [w:] Tegoż, *Пойте им тихо*, Moskwa 2009.
- Маканин В. С., *Стол, покрытый сукном и с графином посередине*, [w:] Tegoż, *Прямая линия*, Moskwa 2010.
- Маканин В. С., *Удавшийся рассказ о любви*, [w:] Tegoż, *Удавшийся рассказ о любви*, Moskwa 2010.
- Маканин В. С., *Утрата* [w:] Tegoż, *Кавказский пленный (сборник)*, Moskwa 2009.
- Makanin W., *Wlaz*, tłum. Kunicka A., [w:] *Pieśni Słowian Wschodnich. Antologia nowej prozy rosyjskiej*, Warszawa 1995.
- Makanin W., *Wygnanie*, tłum. Fast P., „Opcje” 2004, nr 4.

### Opracowania literaturoznawcze:

- Абашева М. П., *Литература в поисках лица*, Perm 2001.
- Алехнович А. С., *Экзистенциальное и антиэкзистенциальное сознание как предмет анализа в романе В. Маканина «Андеграунд, или Герой нашего времени»*, „Научный потенциал: работы молодых ученых”, Moskwa 2011.
- Алексеева Н. В., *Семантика реминисцентных заглавий в романе Маканина «Андеграунд, или Герой нашего времени»*, „Уральский филологический вестник. Серия: Русская литература XX-XXI веков: направления и течения” 2012, nr 1.
- Амусин М., *Панацея от испуга*, „Вопросы литературы” 2010, nr 1.

- Аннинский Л., *Структура лабиринта*, „Знамя” 1986, nr 12.
- Берг М., *Литературократия. Проблема присвоения и перераспределения власти в литературе*, Moskwa 2000
- Бибихин В. В., *Писатель и литература (о романе Владимира Маканина „Герой нашего времени”)*, [w:] Tegoż, *Слово и событие*, Moskwa 2010.
- Черняк М., *Современная русская литература*, Moskwa 2019.
- Чурляева Т. Н., *Проблема абсурда в прозе В. Маканина 80-х годов начала 90-х годов*, Nowosybirsk 2001.
- Domogalla A., *W labiryncie Władimira Makanina*, [w:] *Szkoła moskiewska w literaturze rosyjskiej*, pod red. Fasta P., K. Jastrzębskiej przy współpracy Mrózek A., Częstochowa 2007.
- Эпштейн М. Н., *Постмодерн в русской литературе*, Moskwa 2005.
- Иванцов В. В., *Беседа Владимира Иванцова с писателем Владимиром Маканиным*, [w:] *Szkoła moskiewska w literaturze rosyjskiej*, pod red. Fasta P., Jastrzębskiej K. przy współpracy A. Mrózek, Częstochowa 2007.
- Иванцов В. В., *Пространственно-временная организация художественного мира В. С. Маканина*, Sankt-Petersburg 2007.
- Ефимова Н. А., *Жанр романа Владимира Маканина „Андеграунд, или Герой нашего времени”*, „Вестник московского университета” 2012, nr 6.
- Камедина Л., *Н. В. Гоголь о духовном смысле художественного творчества в русской культуре*, „Гуманитарный вектор” 2010, nr 4 (24).
- Климовна Т. Ю., *Притча в системе художественного мышления В. С. Маканина*, Иркутск 1999.
- Климова Т. Ю., *Проекции личности Пушкина в индивидуальном мифе В. Маканина (роман «Испуг»)*, „Вестник Бурятского государственного университета” 2010, nr 10.
- Кливленкова Д. А., *Черты неореализма в романе В.С. Маканина „Испуг”*, [w:] *II международная научная конференция „Современная филология”*, Ufa 2013.
- Крапивина А. В., *„Вечная тема” в прозе XXI века: материалы к уроку в 11 классе*, „Уральский филологический вестник” 2013, nr 5.
- Кравченкова Е. А., *Художественный мир В. С. Маканина: концепции и интерпретации*, Moskwa 2006.
- Kropaczewski K., *Kategoria sobowtóra Fiodora Dostojewskiego a dwudziestowieczne idee „śmierci człowieka”*, [w:] *Problemy współczesnej komparatystyki*, red. Chałacińska-Wiertelak H., Wasylenko W., Poznań 2003.
- Kula J., *Bohater końca wieku w prozie Władimira Makanina*, Warszawa 2013.
- Kula J., *„Jeniec Kaukaski” Władimira Makanina. Związki intertekstualne*, [w:] *Szkoła moskiewska w literaturze rosyjskiej*, pod red. Fasta P., Jastrzębskiej K. przy współpracy Mrózek A., Częstochowa 2007.



- Кожинов В., *Три шедевра русской классики*, Moskwa 1971
- Лейдерман Н. Л., Липовецкий М. Н., *Современная русская литература – 1950-1990-е годы*, Moskwa 2003, t. 2 1968-1990.
- Липовецкий М., *Из плена „самотечности” (В. Маканин)*, [w:] Tegoż, „Свободы черная работа”. *Статьи о литературе*, Swierdłowski 1991.
- Pawletko B., *Problematyka rodzinna w prozie Władimira Makanina*, [w:] *Szkoła moskiewska w literaturze rosyjskiej*, pod red. Fasta P., Jastrzębskiej K. przy współpracy Mrózek A., Częstochowa 2007.
- Рытова Т. А., „Удар” как концепт романа В. Маканина „Андеграунд, или Герой нашего времени”, „Русская литература в XX веке: имена, проблемы, культурный диалог” 2006, nr 8.
- Сегал Д. М., *Литература как охранная грамота*, Moskwa 2006.
- Семыкина Р. С.-И., *Двойничество в романе В.С. Маканина „Андеграунд, или Герой нашего времени”*, „Культура и текст” 2013, nr 1.
- Семыкина Р. С.-И., „Хочется любить заплаканных женщин”: мотив добровольного самоунижения в романе В. Маканина „Андеграунд, или Герой нашего времени”, „Культура и текст” 2013, nr 2.
- Семыкина Р. С.-И., *Локусы подполья в романе В. Маканина „Андеграунд, или Герой нашего времени”*, „Проблемы филологии, культурологии и искусствоведения” 2008, nr 4.
- Семыкина Р. С.-И., *Типы подполья в романе В. Маканина „Андеграунд, или Герой нашего времени”*, „Культура и текст” 2008, nr 11.
- Середа И. А., *Герой и социум в романах Владимира Маканина 1990-2010-х гг.*, „Веснік БДУ” 2014, nr 1.
- Skotnicka A., *Pejzaż egzystencjalny w opowieści Władimira Makanina Właz*, [w:] *Szkoła moskiewska w literaturze rosyjskiej*, pod red. Fasta P., Jastrzębskiej K. przy współpracy Mrózek A., Częstochowa 2007.
- Skotnicka A., *Przestrzeń myśli. Metafora błyskawicy i rzeki w prozie Władimira Makanina*, „Przegląd Rusycystyczny” 2009, nr 1.
- Smaga J., *Wstęp*, [w:] Dostojewski F., *Bracia Karamazow*, tłum. Wat A., Wrocław 1995.
- Supa W., *Twórczość Władimira Makanina – między realizmem a postmodernizmem*, [w:] *Szkoła moskiewska w literaturze rosyjskiej*, pod red. Fasta P., Jastrzębskiej K. przy współpracy Mrózek A., Częstochowa 2007.
- Станкевич А., *Сакрум в системе пространственных моделей Владимира Маканина – повесть Умпата*, [w:] *Szkoła moskiewska w literaturze rosyjskiej*, pod red. Fasta P., Jastrzębskiej K. przy współpracy Mrózek A., Częstochowa 2007.
- Шилина К. О., *Поэтика романа В. Маканина „Андеграунд, или Герой нашего времени” (проблема героя)*, Тюмень 2005.

- Szymak-Reiferowa J., „System obrazów” i „forma” w metodzie twórczej Władimira Makanina, [w:] *Szkoła moskiewska w literaturze rosyjskiej*, pod red. Fasta P., Jastrzębskiej K. przy współpracy Mrózek A., Częstochowa 2007.
- Świeży J., *Kluczariow, czyli przyczynek do obrazu człowieka w prozie Władimira Makanina*, [w:] *Строитель чудотворный. Szkice o literaturze rosyjskiej*, pod red. Waszkielewicz H. i Świeżego J., Kraków 2001.
- Świeży J., *Żywoł jurodiwego Jakuszkina (Предмеча Владимира Makanina)*, „Przegląd rusycystyczny” 2003, zeszyt 4 (104).
- Свежий Я., *Творческий путь Владимира Маканина*, „Slavia Orientalis” 1996, nr 3, s. 367-383;
- Свежий Я., *Владимир Маканин. Штрихи к портрету*, [w:] *Pisarze nowi, zapomniani i odkrywani na nowo*, pod red. Fasta P. i Skotnickiej-Maj A., Katowice 1996.
- Тамарченко Н. Д., *Теоретическая поэтика: понятия и определения*, Moskwa 2001.
- Tyczko K., *Motyw Hioba w powieści Władimira Makanina „Прямая линия”*, [w:] *Chrześcijańskie dziedzictwo duchowe narodów słowiańskich. Seria III. Język – Literatura – Kultura – Historia*, t. I., *Chrześcijaństwo w literaturze i języku*, pod red. Abramowicz Z., Korotkich K., Białystok 2016.
- Tyczko K., *Radykalno-hermeneutyczne pojęcie „ekscesu” jako świętowanie codzienności. Na materiale powieści Władimira Makanina „Исныг”*, „Studia Rossica Posnaniensia”, red. Kaliszan J., zeszyt XLI, Poznań 2016.
- Tyczko K., „Utrata” (1987) Władimira Makanina – ku hermeneutycznemu radykalizmowi „Przestrzeni Teorii”.
- Успенский Б. А., *Семиотика искусства*, Moskwa 1999.
- Waligórska-Olejniczak B., *Rosja oczami ekscentryka, czyli „Moskwa-Pietuszki” Wieniedikta Jerofiejewa w kontekście mechanizmów reifikacji*, „Przegląd Rusycystyczny” 2011, nr 4.
- Васильева О. Н., *Библейская заповедь „не убий” в контексте творчества В. С. Маканина (к вопросу интертекстуальности)*, „Вестник Челябинского государственного университета” 2013, nr 14.
- Васильева О. Н., *Роман В.С. Маканина Андеграунд, или Герой нашего времени в диалоге с творчеством Ф.М. Достоевского (к проблеме интертекстуальности)*, „Вестник Башкирского университета” 2012, t. 17, nr 4.
- Wodziński C., *Trans, Dostojewski, Rosja czyli o filozofowaniu siekierą*, Gdańsk 2005.
- Woźniak A., *O literaturze rosyjskiej, jej nauczaniu i literaturocentryzmie*, „Roczniki humanistyczne” 2016, tom LXIV, zeszyt 7, s. 50.

## Opracowania filozoficzne i kulturologiczne:

- Aleksijewicz S., *Czasy secondhand. Koniec czerwonego człowieka*, Wołowiec 2014.
- Bronk A., *Rozumienie – dzieje – język. Filozoficzna hermeneutyka H.-G. Gadamera*, Lublin 1988.
- Брылина И. В., *Пол как исток жизни: В. В. Розанов, Л. Н. Толстой, М. И. Цветаева*, „Известия Томского политехнического университета” 2007, nr 7, t. 311.
- Buczyńska-Garewicz H., *Język przestrzeni u Heideggera (cz. II). Droga*, „Teksty drugie” 2006, nr 1-2.
- Caputo J., *Demythologizing Heidegger*, Indianapolis 1993.
- Caputo J., *From the Primordality of Absence to the Absence of Primordality: Heidegger's Critique of Derrida*, [w:] Silverman H., Ihde D., *Hermeneutics and Deconstruction*, Albany 1985.
- Caputo J., *Heidegger i Derrida: zimna hermeneutyka*, tłum. Sieczkowski T. K., [źródło internetowe] <http://www.nowakrytyka.pl/spip.php?article66> (dostęp 22.06.2016).
- Caputo J., *Из любви к самим вещам: гипер-реализм Деррида*, „Койнония” 2011, nr 950, tłum. Шестова Е. А.
- Caputo J., *More Radical Hermeneutics. On Not Knowing Who We Are*, Indianapolis 2000.
- Caputo J., *Supposing Truth to be a woman...: Heidegger, Nietzsche, Derrida*, [w:] *The Thought of Martin Heidegger. Tulane Studies on Philosophy*, New Orleans 1984.
- Czajka Ł., *Święta anarchia. Wprowadzenie do radykalnej hermeneutyki Johna D. Caputo*, Poznań 2014.
- Десятрик Д., *Альтернативная культура*, Jekaterynburg 2005.
- Dziuban Z., *Obcość, bezdomność, utrata. Wymiary atopii współczesnego doświadczenia kulturowego*, Poznań 2009.
- Freud Z., *Niesamowite*, [w:] Tegoż, *Pisma psychologiczne*, t. III, tłum. Reszke R., Warszawa 1997.
- Fukuyama F., *Koniec historii*, tłum. Bieroń T., Wichrowski M., Kraków 2009.
- Гумилев Л. Н., *Этногенез и биосфера Земли*, Moskwa 2012.
- Heidegger M., *Budować, mieszkać, myśleć*, [w:] Tegoż, *Budować, mieszkać, myśleć. Eseje wybrane*, Wybór i oprac. Michalski K., tłum. Michalski K., Pomian K., Siemek M., Tischner J., Wolicki K., Warszawa 1977.
- Heidegger M., *Bycie i czas*, tłum. Baran B., Warszawa 2007.
- Heidegger M., *Ontologia (Hermeneutyka faktyczności)*, tłum. Bonecki M., Duraj J., Nowa Wieś 2007.

- Januszkiewicz M., *O interpretacji*, „Przestrzenie Teorii” 2013, nr 20.
- Jung C. G., *Odpowiedź Hiobowi*, tłum. Prokopiuk J., Warszawa 1995.
- Кабанова Л. И., *Герменевтическая методология исследования феноменов современной культуры*, „Исторические, философские, политические и юридические науки, культурология и искусствоведение. Вопросы теории и практики”, Тамбов 2011, nr 8.
- Krajewska A., *Dekonstrukcja jako problem estetyki (na przykładzie dramatycznego dyskursu Jacques'a Derridy)*, „Przestrzenie teorii” 6, Poznań 2006.
- LaCapra D., *Trauma, nieobecność, utrata*, tłum. Bojarska K. [w:] *Antologia studiów nad traumą*, pod red. Łysaka T., Kraków 2015.
- Leśniewski N., *O hermeneutyce radykalnej*, Poznań 1998.
- Lorenc W., *Hermeneutyczne koncepcje człowieka: w kręgu inspiracji heideggerowskich*, Warszawa 2003.
- Lorenc W., *Możliwości i ograniczenia hermeneutycznego ujęcia człowieka*, [w:] *Analiza i Egzystencja*, pod red. Przyłębskiego A., Szczecin 2012.
- Markowski M. P., *Derrida: filozofia czy literatura?*, „Pamiętnik literacki” 1996, zeszyt 1.
- Mitek-Zięba A., *(Filozoficzna) sztuka życia dzisiaj? Sokratejsko-nietzscheański wzorzec wychowawczy a edukacja uniwersytecka*, [w:] „antropos?”, red. Kuncze A., Katowice 2013.
- Mrówka K., *Heraklit. Fragmenty: nowy przekład i komentarz*, Warszawa 2004.
- Rosner K., *Narracja jako struktura rozumienia*, „Teksty drugie” 1999, nr 3.
- Розанов В. В., *Люди лунного света*, Санкт-Petersburg 1913.
- Scholtz G., *Czym jest i od kiedy istnieje „filozofia hermeneutyczna”?*, [w:] *Studia z filozofii niemieckiej. Hermeneutyczna tożsamość filozofii*, tłum. Domagała D., pod red. nauk. Czerniaka S. i Rolewskiego J., Toruń 1994, t. 1.
- Сидоров А. М., *Деконструкция и теология*, „Вестник Санкт-Петербургского университета” 2009, seria 6, nr 3.
- Соловьев Р. П., *Теопоетика и теополитика Джона Капуто*, „Научный ежегодник Института философии и права Уралского отделения Российской академии наук” 2017, t. 17, nr 3.
- Терс. А., *Spacery z Puszczy*, tłum. Paszt-Kowalska I., Szczecin 2017.
- Терц А., *Мысли врасплох*, [źródło internetowe] [https://royallib.com/book/terts\\_abram/misli\\_vrasplokh.html](https://royallib.com/book/terts_abram/misli_vrasplokh.html) (dostęp 1.03.2018).
- Узланер Д., *Введение в постсекулярную философию*, „Логос” 2011, nr 3.
- Vattimo G., *Koniec nowoczesności*, tłum. Surma-Gawłowska M., Kraków 2006.
- Vattimo G., *Spółczesność przejrzysta*, tłum. Kamińska M., Wrocław 1992.
- Vattimo G., *Utopia, kontrutopia, ironia*, [w:] Tegoż, *Spółczesność przejrzysta*, przeł. Kamińska M., Wrocław 2006.
- Zawadzki A., *Kres nowoczesności: nihilizm, hermeneutyka, sztuka*, „Teksty Drugie” 2005, nr 4.

## Wywiady i inne:

- Benedykt XVI, *Uczymy się pokory od św. Augustyna*, [źródło internetowe] [https://opoka.org.pl/biblioteka/W/WP/benedykt\\_xvi/homilie/pawia\\_orti\\_22042007.html](https://opoka.org.pl/biblioteka/W/WP/benedykt_xvi/homilie/pawia_orti_22042007.html) (dostęp 1.01.2020).
- Большой толковый словарь русского языка под редакцией С.А. Кузнецова, [źródło internetowe] <https://gufo.me/dict/kuznetsov/удар> (dostęp 14.02.2018).
- Линия жизни, [źródło internetowe] [https://tvkultura.ru/video/show/brand\\_id/20872/episode\\_id/155706/video\\_id/155706/](https://tvkultura.ru/video/show/brand_id/20872/episode_id/155706/video_id/155706/) (1.01.2020).
- Литературные прибавления къ Русскому инвалиду на 1837 годъ, 30 stycznia 1837, nr 3
- Монахиня Александра, Владимир Маканин и американские слависты в ноябре 1999, [źródło internetowe] <http://magazines.russ.ru/znamia/2018/3/vladimir-makanin-i-amerikanskije-slavisty-v-nojabre-1999.html> (dostęp 29.12.2018).
- Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Poznań 2013, [źródło internetowe] <http://biblia.deon.pl/rozdzial.php?id=340> (dostęp 14.02.2018).
- Роман Асан, [źródło internetowe] <http://echo.msk.ru/programs/kazino/569027-echo/> (dostęp 27.09.2017).
- Российский писатель получил Европейскую премию по литературе, [źródło internetowe] [https://kino.mail.ru/news/36506\\_rossijskij\\_pisatel\\_poluchil\\_evropejskuju\\_premiju\\_po\\_literature/](https://kino.mail.ru/news/36506_rossijskij_pisatel_poluchil_evropejskuju_premiju_po_literature/), tłum. K. Tyczko (dostęp 8.12.2018).
- Słownik języka polskiego pod red. W. Doroszewskiego, [źródło elektroniczne] <https://sjp.pwn.pl/doroszewski/ekscs:5425448.html> (dostęp 10.01.2020).
- Słownik języka polskiego PWN, [źródło internetowe] <https://sjp.pwn.pl/slowniki/absurd.html> (dostęp 1.03.2018)
- Владимир Маканин. Литература идет от пророков, [źródło internetowe] <http://moloko.ruspole.info/node/652> (dostęp 28.12.2017).
- „В конце мы с андеграундом разругались” Владимир Маканин о войне, больнице и рыбалке, [źródło internetowe] <https://lenta.ru/articles/2017/03/13/makanin/> (dostęp 12.02.2019)
- Владимир Маканин: Литература ничего не должна, [źródło internetowe] <http://www.ug.ru/old/02.46/t25.htm> (dostęp 12.02.2019).
- Владимир Маканин: литература – та же жизнь, [źródło internetowe] <https://utro.ru/articles/2009/03/13/802854.shtml> (dostęp 28.12.2017).
- Владимир Маканин: «Сейчас интеллект не ценится, но терпится», [źródło internetowe] <https://eksmo.ru/news/1302657/> (dostęp 1.03.2018).
- Захар Прилепин: у русского писателя есть миссия, [źródło internetowe] <https://prochтение.org/podcast/27954> (dostęp 01.01.2020).

*Зеленая лампа. Литературный дискуссионный клуб. Владимир Маканин,*  
[źródło internetowe] <http://herzenlib.ru/greenlamp/detail.php?ID> (dostęp 3.12.2018).

*Этимологический словарь Фасмера,* [źródło elektroniczne] <http://endic.ru/fasmer/Udar-14156.html> (dostęp 10.03.2020).

## Резюме

Настоящая монография носит название *Река с быстрым течением* – идеи радикальной герменевтики в творчестве Владимира Маканина и она посвящена анализу произведений Маканина в контексте современной философской концепции радикальной герменевтики Джона Капуто и Джанни Ваттимо. В исследование включена также категория *атопии*, которую польский философ Зузанна Дзюбан предлагает использовать в качестве маркера современного культурного опыта. *Атопический* опыт современности подразумевает, по мнению Дзюбан, универсальность таких явлений, как *чуждость*, *бездомность* и *утрата*. Последние, в свою очередь, близки к интересам радикальных герменевтов.

В монографии на защиту выдвигается тезис о сходстве организации Маканинского художественного мира и радикально-герменевтических онтологических положений.

В ходе исследования проводится анализ присутствия элементов философии Мартина Хайдеггера в творчестве автора *Ключарева* и *Алимушкина*. Писатель неоднократно одобрительно высказывался об идеях немецкого философа. Исследователи творчества Маканина выявили в нем немало отсылок к автору трактата *Бытие и время*. Однако при подробном анализе очевидным становится факт присутствия в художественном мире Маканина положений, относящихся лишь к ранней стадии философии Хайдеггера. То, что связано с так называемым мифом Бытия, где утверждается упадок современной культуры и ее постоянно увеличивающаяся отдаленность от некоего источника бытия, в творчестве Маканина заменяется заботой о ближнем. Художественный мир Маканина лишен тоски по утраченному единству; не предлагается в нем возврат к незыблемым истокам так называемой настоящей жизни и нравственности. Человек, ищущий непоколебимого знания о себе и мире, в процессе жизни приобретает знание лишь о своем погружении в *течение*, где настоящее ускользает в прошлое, а на смену ему приходит неизведанное будущее. Будущее и прошлое – подвижны и не гарантируют стабильности опыта. Однако писатель

не отвергает установок старой метафизики и не заменяет их современной философией как новой Истиной. Он отдает себе отчет в том, что актуальная на сегодняшний день точка зрения, даже если в данный момент она выполняет свою функцию, в относительно скором времени потеряет свою актуальность.

На занимающий исследователей вопрос о причастности Владимира Маканина к определенному философско-художественному течению следует ответить двояко. С точки зрения эстетики произведений, прозаик несомненно близок к постмодернизму, что подтверждают многие литературоведы. Но учитывая заложенную в его текстах онтологию, мы видим, что Маканин прежде всего обращен к человеку с его индивидуальным пониманием происходящего. В настоящей монографии доказывается, что Маканин близок к установкам радикальной герменевтики, балансирующей между старой метафизикой и деконструкцией Жака Деррида.

Данная книга поделена на две части. Первая часть – теоретическая, в ней оговаривается ситуация с доступностью произведений Маканина на польском языке и приводится история исследований творчества Маканина польскими и российскими литературоведами. В этой части дается также подробный ответ на вопрос почему в качестве теоретической базы была выбрана именно радикальная герменевтика. Маканин характеризуется здесь как мыслитель (в противовес типу философа); также анализируется атопическая черта творчества автора повести *Лаз*, включающая такие составляющие современного опыта как *чуждость*, *бездомность* и *утрата*. Личность в творчестве русского прозаика не может рассчитывать на стабильное знание о себе. Кроме того, она является неизведанным до конца для самой себя сгустком воспоминаний о том, что ею испытывалось на протяжении всей жизни. Явление *бездомности* заключается в потере метафизического дома, в котором человек понимался как несвергаемый хозяин природы и субъект познания. Герой Маканинской повести *Лаз* утверждает: «Земля – дышит; нас сотрясают процессы, природы которых мы не понимаем; [...] природа остается природой – тайной». Капуто же пишет: «мы – есть место, где обнаруживается бездна, где все дрожит, где рушатся фундаменты. Мы – *пер-сона*, открытость, в которой раздается течение времени».



Маканинский герой представлен как находящийся между подвижным прошлым и набегающим, но сразу же превращающимся в настоящее, а затем в прошлое, будущим. *Утрата* в творчестве Владимира Маканина, по моему мнению, понимается как присущее человеку состояние, и любые попытки ее преодолеть с целью закрепления за собой непоколебимых знаний выводят героя в темные коридоры, где тот слышит лишь шум реки, текущей над головой. Здесь показательна сцена повести *Утрата*, в которой герой, увидев тревожно машущую ему в соседнем здании девочку, направляется к ней с помощью. Оказавшись в доме напротив, герой начинает блуждать, коридоры становятся подкопами и ведут совершенно не туда, куда ему нужно. Итак, если вода или река – это бытие, поиски нужного пути в коридорах – стремление героя побороть *утрату*, а значит, герой, наподобие позднего Хайдеггера, прислушивается к Бытию, чтобы отыскать утраченное направление, то все, что он слышит и что подсказывает ему дорогу – это радикально-герменевтическое *течение* времени-реки.

Во второй части представлены публикуемые впервые на польском языке две повести Маканина – *Отставший* и *Утрата*. Оба текста непосредственным образом связаны с первой частью монографии, так как в них, а особенно в *Утратах*, по моему глубокому убеждению, на первый план выдвигается именно радикально-герменевтический – временной – характер действительности. Гибридная – теоретико-художественная – форма монографии, с одной стороны, задумана как попытка преодоления языкового барьера и побуждение новых польскоязычных исследователей к изучению текстов прозаика, с другой – представляет практическую функцию герменевтических размышлений над творчеством Маканина, заключающуюся во влиянии на подход переводчика, который, например, должен учитывать Маканинское нежелание давать в своем творчестве однозначные нравственные оценки. Последнее, и мы видим это в работах некоторых польских переводчиков, не всегда для них очевидно.



## CZĘŚĆ II



Władimir Makanin

## *Za późno*

tlum. Krzysztof Tyczek

### 1

Sen męczy staruszka – mojego ojca (mama zmarła, ojciec jest sam, i gdy przyjeżdżam w odwiedziny, ojciec ze szczegółami opowiada mi ów męczący sen; a gdy nie przyjeżdżam, dzwoni i opowiada mi go przez telefon – to żałośnie, to gniewliwie).

Nie mogę mu pomóc w jego snach, to oczywiste. Jednak mogę go słuchać.

Ojciec opowiada, jak wybiega w samej koszuli za bramę (nie zdążył jej nawet wpuścić do spodni), pasek w biegu lata, pospiesznie naciąga czapkę na głowę. I oczywiście ledwo co wybiegł, a już wie, że ulica jest pusta i że nie nadążył za swoimi. „Wybiegając, wiedziałem już wszystko na pewno”. – „Poczułeś?” Tak, zawczasu poczuł, wiedział: ciężarówka (łomocąca burtami półtoratonówka onych lat) już odjechała. Jest sam...

Śni mu się, że ciężarówka jest już daleko i że ludzie tam, w samochodzie, na pace, też są na wpół ubrani, a jednak zdążyli wskoczyć, wgramolić się, że coś do niego krzyczą, machają, auto zaś jedzie coraz szybciej, i z jakiejś ważnej przyczyny, z nieprzejeżdżania jakiegoś nie może zatrzymać się choćby na pół sekundy, przyhamować, żeby zabrać ze sobą ojca – to nieszczęście i nieprzejeżdżanie zapóźnienia stanowią, jak się zdaje, główne uczucie jego powtarzającego się snu.

Czy to dla niego udręka, ból? Bez wątpienia. Jednak czy prócz bólu jest tam chociażby jakaś płynność snu, znieczulenie w postaci powolnego szybowania w powietrzu, a więc choćby mizerna, ale zawsze godność, skoro i tak zostaje się w tyle...? Możliwe, że nie. Nie ma nic prócz strachu. Widzi swoją scenkę jeszcze raz i jeszcze: ciężarówki zrywają się z miejsca, pędzą, ludzie krzyczą, szoferzy odpyskują i wczepieni w kierownice gazują, koła zgrzytają – jedna, druga, piąta,

zaryczała ostatnia, i dopiero w tym momencie, z izby, senny, ślizgając się na śniegu, wybiega mój ojciec, wybiega jako jeden z ostatnich. „Ludzie! – krzyczy, a mroźne powietrze podrażnia mu gardło. – Ludzie...!” Lecz ciężarówka nabrała już rozpędu; ojciec widzi ostatnią i dlatego biegnie, w luźnej koszuli i przekrzywionej na ucho czapce. Nie dogoni jej, to jasne. Nie może, po prostu nie jest w stanie. W każdym razie rozumie już, że nie nadąży; senny, w półnegliżu, rozumie to coraz wyraźniej. Jednak biegnie, wciska, upycha koszulę w bieliznę i biegnie – bez nadziei, a mimo to z nadzieją. Lecz oto został w tyle. Szary, bezsłoneczny, mroźny poranek. Pojazd jest daleko. Jest sam pośrodku drogi.

Żalił się, że sen męczy go przede wszystkim tą swoją monotonią, a przecież nie zasłużył na coś takiego. „Dużo i uczciwie pracowałem, uczciwie walczyłem! Nie zasłużyłem sobie!” – krzyczy, tracąc oddech już nawet w środku dnia. Skarżył się, chciał z powrotem do lekarza. Przecież to nie jest jakiś tam pierwszy lepszy paskudny sen, przecież w środku nocy on się męczy, zamęcza, wyskakuje z łóżka, otwartymi ustami łapie powietrze. O palpitacjach nawet nie wspominam – co za ból, co za ściskający strach! Jak ono, biedne serce, wali w żebra.

(Pod Moskwą brak telefonu to nic nadzwyczajnego. Żeby do mnie zadzwonić, ojciec wychodzi z domu i idzie plus minus dwieście kroków na pocztę, przy której stoi koślawa budka z automatem.

Dzwonił o drugiej w nocy. Ledwo go uspokoiłem).

\* \* \*

Golę się, spoglądając w lustro na swój siwiejący zarost: nieogolony wyglądam na starszego. Dzwoni telefon, wiem, że to ojciec, nie spieszę się, ponieważ dzwoni teraz codziennie. Trel dzwonka staje się coraz bardziej nerwowy, odkładam maszynkę, odchodzę od lustra, jednak to nie mój stary ojciec, a córka: „Tato...! Dlaczego tak długo nie odbierasz? Nie słyszysz? Siedzę tu cała w nerwach...!” Okazuje się, że jestem potrzebny. Jej szkolnego kolegę, niejakiego Witię, spotkały nieprzyjemności (coś z wydaniem paszportu), sprawa jednak przerodziła się w pyskówkę na komisariacie, w efekcie czego trzeba było teraz temu młodemu i zapalczywemu Witii jakoś pomóc. Paszport to paszport.

– Tata, ja czekam, denerwuję się. – W jej głosie słychać łzy.

Znów się gołę, z tym że teraz wpuszczam w siebie niby drobne, ale mimo wszystko nowe zmartwienie. Telefon ojca (z pokolenia przede mną) i telefon córki (z pokolenia po) wyciszają się nawzajem niby sunące na siebie z przeciwnych stron fale. Wpierw jednak na jakąś sekundę oba trele nakładają się, spotykają na moim „ja” i wybrzmiewają w obu moich uszach jednocześnie, jak daty ponad zawartym między nimi życiem, i dlatego przyćmiewają, a „ja” jest jak proste spięcie dwóch przeciwległych sygnałów z przeszłości i przyszłości.

\* \* \*

Wyobraziłem sobie, jak on wstaje z łóżka i idzie, żeby zadzwonić do mnie w środku nocy – zdenerwowanie od razu ustąpiło. Telefon jest dwieście kroków od domu, niedaleko, chociaż trzeba się przecież jeszcze ubrać, ocenić pogodę, trzeba zdecydować, czy coś przegryźć i dopiero potem iść czy też iść od razu, w pośpiechu, póki sen jest jeszcze gorący i bije, stuka w serce, serce zaś wali, skacze i nijak nie wraca do normy; po przekazse, kto wie, może się odechce i dwieście kroków to jednak będzie zbyt dużo. Tak, tak, idąc od razu, nie trzeba pokonywać wstydu i drażliwego charakteru nocnego telefonu – na świeżo można wszystko.

Bierze zapaliki, żeby nie zapomnieć. Numer pamięta, ale trzeba jeszcze widzieć, kręcić tarczą, a w budce jest ciemno. Trochę z zapalnikami, trochę na wyczucie – tak ojciec wybiera mój numer.

Stary już jest, przygarbiony, stoi taki w podmoskiewskiej budce (jest brudno i śmierdzi) – oto błysnęła i prędko wypaliła się zapalika. Naokoło noc. Człowiek stoi, wrzuca piętnaście kopiejek i cicho, uważnie kręci tarczką. Ten stary człowiek to mój ojciec.

\* \* \*

Kto to był mały Losza...? To był chłopczyk, wpierw chłopczyk, następnie wyrostek i młodzieniec, który włóczył się za artelem poszukiwaczy złota i żywił dzięki ich litości.

Czasy to były dawne. Artel dużo chodził – góry, doliny, znów góry. Losza zaś, mimo szybkich nóg i mocnego serca, ciągle pozostawał w tyle, nie nadążał, był wątyły i młodziutki, a jego oczy od czasu do czasu

zasnuwał niezwykle błękit, dziecięca, błękitna mgła, o której mówiono, że to cichy bzik. Chłopak jak chłopak, a tu nagle takie coś w oczach. Jak łuski. Fiediaicz, najstarszy w artelu, kiedy okazywało się, że mały znów gdzieś zginął, tylko się opędział: przepadnie to przepadnie, szat rwać nikt nie będzie...!

Swoją samotność mały Losza tradycyjnie uświadamiał sobie gdzieś w dolinie. Od razu zaczynał biec, spieszył się, krzyczał:

– Hej...! Heeej!

I jeśli byli blisko, odpowiadali mu krzykiem.

Częściej jednak Losza orientował się, gdy poszukiwacze byli już daleko. Szedł wówczas sam. I nocował sam. Gdy się ściemni, odszuka, wypatrzy w oddali nocne ognisko artelu i idzie całą noc w jego kierunku. Częściej jednak ognisko Fiediaicza i współtowarzyszy zobaczy z góry w takiej dali, że tylko – maluch – załka: co za ludzie teraz są na tym świecie! I w łkaniach, żeby nie marznąć, rozpali swój ogień. Siedzi. Trochę się zdrzemnie, a z pierwszym porannym chłodem pójdzie dalej.

Przyjdzie koło południa, kiedy cały artel zajęty jest pracą. Siądzie obok, patrzy. Jeśli taki wyczerpany zacznie pracować, pada z nóg.

Poszukiwacze to krzepkie, robotne chłopcy, mały zaś miał dwanaście, trzynaście lat. Nie osiadali w jednym miejscu, tylko szli, szli, pozostawiając na swojej drodze to tu, to tam szałas, chatki, ziemianki.

\* \* \*

Zdarzało się, że znajdowali jakieś złoto (zazwyczaj mało, choć było) i kiedy już dogrzebali się do pustki, Jegor Fiediaicz ważył żółty proszek, zawiązywał w kapciuchu i po szybkim obiedzie ogłaszał: zbieraj się, ruszamy! Wysyłali wtedy jednego przodem dla odszukania starej drogi. Reszta szła w ślad i czekała, aż nadjedzie wóz albo jakiś tabor. Siedzieli na trawie przy drodze. Fiediaicz palił. Wolno płynęły nad nimi obłoki. I dopiero tutaj mały Losza odnajdywał ich, doganiał.

– Patrz, znalazł się! – śmiał się Fiediaicz.

A jego pomocnik, młody i rzutki Szyszow, cały w żółtej glinie, jakby wymawiał:

– Czego żeś podwożył nam po drodze nie wypatrzył, w sam raz by było!



\* \* \*

Lera – tak miała na imię dziewczyna, którą kochałem, gdy byłem studentem.

\* \* \*

Pewnego razu poszukiwacze kazali Loszy popilnować (pobyć obok) niezwyklego malachitu. Chcieli zabrać głąz w drodze powrotnej, rozbić na kawałki i gwoli zarobku odwieźć kamieniarzom do osady.

Po powrocie znad strumyka nie mogli go jednak odnaleźć. Krzyczeli, wrzeszczeli, gwizdali na Loszę w dwa palce, lecz wszystko na nic. Strawili darmo mnóstwo czasu, postanowili ruszyć wreszcie w rozciągniętym szeregu i dopiero ostatni z nich cudem natrafił, wpadł. Losza spał. W głazie była duża, nierówna szczelina, mały ześliznął się na jej dno (zapewne, aby schronić się przed upałem) i tak zasnął. Wobec ich krzyków i wściekłych wyzwisk nie miał, rzecz jasna, nic na swoje usprawiedliwienie. Poszukiwacze byli spracowani, wymęczeni i głodni.

Fiediaicz tak się wściekł, że zabronił go karmić. Nienawidził tych, co śpią za dnia. Na domiar złego ochrypl, wołając go (bał się stracić taki profit – w dodatku ze szczeliną, która ułatwiała oględziny i dawała dostęp do rysunku, do naturalnej gry zielonych żyłek). Ochrypli i zły, zabronił dawać mu jeść, a po obiedzie wypędził. Jednak go uprosili. Trafił się im na drodze jakiś ubogi: zarośnięty, o siwych kudłach, z ogromnym krzyżem na piersi. Posiedział z nimi na postoju, odmówił kaszy i wrzątku, zjadł suchego chleba i poszedł dalej. A zanim poszedł, wstawił się za Loszą.

Fiediaicz przepędzał małego Loszę kilka razy.

\* \* \*

Istnieje osobliwa pokusa, by łączyć czasy. Widać szukałem w danym momencie jakichś pocieszających słów. I nie znajdowałem. Wtedy powiedziałem przez telefon zestarzałem, dręczonemu snami nienadążania ojcu: „A pamiętasz starą, uralską historię o małym Loszy? O poszukiwaczu złota? Pamiętasz?”.

Pytanie to zapewne wymagało od niego zbyt dużego wysiłku pamięci. Ojciec nie zachwyił się ani nie zakrzyknął, a jednak nasza zwyczajowa rozmowa się zachwiała, a ojciec wyteżył uwagę – jaki to może mieć związek (tak, tak, była taka historia!) z jego snami, w których tak dramatycznie nie udaje mu się nadażyć za ciężarówką...? Żadnego związku nie było. Czas na chwilę tylko się przemieścił, do nałożenia jednak nie doszło. Słusznie nie pojmując, ojciec zapytał: „A co ja niby mam tam pamiętać?” – I nawet powtórzył pytanie, jakby chciał uściślić.

Lecz ja też nie wiedziałem, co pamiętać, mało to nienadążających było? Uśmiechnąłem się:

– Tak tylko powiedziałem, przypomniało mi się.

\* \* \*

Ojca jednak to przejęło: co za historia? Jaki to ma związek?

– Żadnego nie ma. Żadnego, po prostu przypomniało mi się! Chciałem kiedyś napisać o tym opowiadanie. Jak jeszcze byłem studentem.

– Opowiadanie?

W końcu jednak uwierzył, że moje słowa naprawdę były niezamierzone, przypadkowe wspomnienie, które wkradło się do naszej rozmowy, uwierzył i poskarżył się: coś za często odbiegamy od głównego tematu, niepotrzebnie. A jednak dziwnym trafem ten chwilowy zwrot ku przeszłości nagle go uspokoił. Ojciec westchnął i chicho powiedział:

– Spać mi się chce, pójdę już.

## 2

Rzutki, młody i rezolutny był Szyszow, potrafił myśleć i podejmować decyzje – takiego pomocnika Fiediaiczowi, rzecz jasna, zazdrośczone, próbowano go przeciągnąć na swoją stronę, nie spuszczano z oka. Pewnego razu krzepcy Wołgarze przez kilka dni uparcie deptali artelowi po piętach (było ich czterech; chodziły słuchy, że zawistnicy najęli ich za niemałe pieniądze). I pod nieobecność chorego naówczas Fiediaicza napadli na artel, użyli broni palnej. Senni poszukiwacze pochowali się w krzakach. Wołgarze ciągli za włosy tych, komu nie udało się uciec: małego Loszę i jeszcze jednego nowego pomocnika. Na dodatek poprzetręcali obu ręce, groząc tym samym Szyszowowi

i jakby sugerując, aby pofolgował z robotą. Widzisz teraz, czym się to może skończyć. Włożyli w tę drobną sprawę wiele swojego wołańskiego doświadczenia. Pogwizdali na pochowanych w krzakach poszukiwaczy, poubliżali im, rozbili na odchodne jeden z czerpaków, zabrali prowiant i odeszli.

Poszukiwacze, gdy powyłazili, wszczęli kłótnię, oskarżali się nawzajem, i nie wpadli na to, żeby nałożyć połamańcom łub – nowemu nałożono wieczorem, kiedy zaczął głośno jęczeć, a Loszy ręce obłożył dopiero sam chory Fiediaicz u siebie w domu, trzy dni później, po powrocie artelu do osady, gdy przyszedł do niego i siedzieli w kole przy wieczery. Ręce Loszy zrosły się krzywo, koślawo. I tak zostały.

Wówczas Fiediaicz znów go przepędził, ponieważ z koślawymi rękoma mały nie nadawał się ani do pracy, ani do pomocy.

\* \* \*

Przez jakiś czas Losza kręcił się koło osadowej cerkwi, podmiał tam i wynosił śmieci, sprzątał, modlił się, potem przez pół roku włóczył się z koniarzami, następnie zaś wrócił i z powrotem przywarł do artelu Fiediaicza, aż wyszło, że Bóg dał mu niezwyklej dar odnajdywania złota.

\* \* \*

Poszukiwacze szli przez góry, od strumyka do strumyka, a nie-nadążający Losza dzień za dniem próbował ich dogonić. I doganiał zazwyczaj dopiero na samym końcu drogi, przy strumieniu, gdzie robili ostatnie długie płukanie i ostatni przystanek. Następnie zawracali do domu. W drodze powrotnej zaś zatrzymywali się (musieli gdzieś przenocować) w tych samych miejscach, gdzie nocował doganiający ich Losza, i zazwyczaj znajdowali tam złoto. Gdzie zanocuje w samotności – tam złoto. Piasek. Czasem samorodki. Kiedy się spostrzegli, zaczęli to wykorzystywać. Zdarzało się, że droga powrotna otrzymywała nawet nazwę *droga Loszki*, na której odnajdowali cztery, pięć razy więcej złota niż w tamtą stronę. Dla pewności wsypywali malcowi do kieszeni drobnego łyszczyku, aby ów mimowolnie go rozsypywał, znakował miejsca, wierząc się we śnie u swego małego ogniska. Dzięki świecącym kruszynom przy strumyku poszukiwacze z dużą dokładno-

ścią mogli zlokalizować miejsce noclegu. Często też sam Losza dobrze je pamiętał, bywało jednak, że próbując sobie przypomnieć, długo dreptał wzdłuż strumyka i drapał się po głowie: „Tu...? A może tu?”.

Z czasem jego nienadążanie stało się dla nich nieodzowne. Nic więc dziwnego, że artel szedł lekko i szybko i że Losza nie mógł go dogonić, za to w drodze powrotnej zmęczeni poszukiwacze szli bez pośpiechu i bez pośpiechu stawali na płukanie piasku. I nie doznawali zawodu.

Poszły słuchy, które, rzecz jasna, mocno wyolbrzymiały i przejawskrawiały jego zdolności. Pojawiła się sława. Wpierw ukradkiem, następnie zaś całkiem jawnie Loszę zaczęły śledzić także inne artele. A on się nawet nie domyślał. Spostrzegł tylko, że dostawał teraz lepsze jedzenie. Doszło do kłótni między artelami, do bójki. I gdy Losza włókł się po górach i dolinach za swoimi, coraz bardziej i bardziej nie nadążając, poszukiwacze z różnych arteli nabierali do siebie z jego powodu coraz większej wrogości. Aż pewnego razu po takiej kłótni jedni, jak to bywa wśród ludzi, nie chcąc ustąpić drugim, zabili go.

\* \* \*

Byłem studentem jednej z moskiewskich uczelni technicznych i, jak zresztą wszystkim przybyłym z Uralu, dokuczała mi nostalgia. Nic więc dziwnego, że czasem chciałem, by dookoła stanęły góry wraz z przyległymi stepami. Temu, kto znalazł się w wielkim mieście, z początku chce się siebie (i swojego bohatera) żałować. Ujmowało mnie to, że Losza był mały, że biegał po górach i zupełnie nie zdawał sobie sprawy ze swojego daru.

W tamtych starych opowieściach szczególnie podobała mi się nieprzejrzystość zakończenia. Nie było tam mowy o tym, co się stało z zabójcami, choć nad ich dziećmi zawisło przekleństwo – pozamieniały się w kamienie. Baśniowość ta jednak ani nie była w pewnym momencie objaśniona, ani usłużnie naszeptana. Uralskie babki nawet teraz mogłyby wskazać kamienie na zboczach gór. Sterczące, brzydkie, nierówne kamieniska, *już idzie, oddam cię zaraz, zaraz cię oddam, oho, jakie wielkie... Będziesz słuchał babci czy nie?!*

Pokój w akademiku dzieliłem z trzema studentami matematyki; wychodząc po zajęciach do publicznej biblioteki, tłumaczyłem się przed nimi, że po prostu lepiej mi się tam pracuje. W naszej, studenckiej, jest za dużo znajomych. Lera (była Moskwianką) nie mieszkała w akade-

miku i też przychodziła tam od czasu do czasu – pojawiała się w sali, a ja, ledwo ją dostrzegłem, chowałem swój zeszyt z mikropowieścią w stertach książek i konspektów z wykładów.

Często szliśmy od razu na spacer i (płynność przejścia!) zaczynałem opowiadać jej o tych czy innych moich uralskich krewnych, o ładnych, zielonych kamieniach (leżą wprost pod nogami), górach, ścielących się u nóg pachnących stepach. Lera lubiła to, wzdychała:

– Zazdroszczę ci, takie to inne!

\* \* \*

Częściej jednak, jak i wielu innych studentów, w duchu tamtych czasów mówiłem o konsekwencjach kultu Stalina, o tym, ile, jak się okazuje, było nadużyć, taki Tuchaczewski, Jakir i inni, i tylu innych, i jak to dobrze, że wszystko wreszcie zostało ujawnione i zwyciężyła sprawiedliwość. Byłem impulsywny, porywczy, ze szczególną żarliwością wypowiadałem się o ofiarach wśród prostych ludzi:

– Spróbuj sobie tylko wyobrazić ogrom ich goryczy!

Lera zaś milczała.

Zauważyłem milczenie, gdy ono już było, trwało, lecz nie zauważyłem, kiedy się zaczęło. O ile z uczuciem słuchała moich uralskich opowieści, to tutaj dawało się w niej wyczuć pewną ostrożność, jakby nie dorosła jeszcze w pełni do śmiałości takich rozmów. A może i nie chciała dorosnąć? Szliśmy wokół budynków naszej uczelni. Jodły ze szmerem zsypywały śnieg ze swoich wygiętych i symetrycznych gałęzi. Świeży śnieg skrzypiał pod nogami. Opodal była nasza aleja zaśnieżonych, młodych topoli.

– Tylko pomyśl, tyle lat walczyć o rewolucję, całą młodość oddać rewolucji, najlepsze swoje lata, myśli, duszę, i co – i zostać skazanym za nic! Co za ból, co za cierpienie!

Lera milczała. Nie oponowała, lecz i nie potwierdzała.

\* \* \*

Odprowadzałem ją do metra, czasem odprowadzałem aż do domu, następnie wracałem do akademika. W pokoju współlokatorzy prowadzili swoje późne rozmowy, ale zdarzało się też, że wszyscy trzej już spali.

Ze sportowej walizeczki (były wówczas w modzie zamiast teczek) przekładałem do biurka zeszyty, konspekty. Zeszycik z opowiadaniem po cichu ukrywałem na swojej półce w szafie, w kątku, w którym leżały złożone trzy moje podkoszulki.

\* \* \*

*Biezimianka-góra* – raczej niewielki płaskowyż, monotonne wzgórze, które pamiętałem jeszcze z dzieciństwa. Góra-zmieja, Zajac-góra i po prostu Kamień, a była jeszcze słynna góra Glinka o biało-żółtym boku, gdzie, jak tylko przeszło po ulewie, bez końca skrobano i ściosywano rozmiękłą glinę. Spośród nich tylko jedna, ciągnąca się i mozolnie wznosząca tak, że góry wcale nie przypominała, pozostała bezimienną. Mimo to była górą. I gdy ktoś się po niej wspinał, wystarczyło pół godziny, aby poczuł w nogach i plecach, że to nie wzgórze i nie pochyłość, lecz właśnie góra.

Pewnego razu nienadążający mały Losza nagle się rozpromienił – zobaczył wspinającą się pod górę grupkę ludzi, artel. I pospieszył.

Ludzi jednak tam nie było. Znana była za to ułuda tej góry, będącej nie tylko połągą, lecz także falistą, w takim stopniu równo-falistą, że od razu przypominała nachyloną, niekończącą się tarę. Pomiędzy grzbietami tej falistości rosły tu i ówdzie krzaki, których wahlliwe, ostre wierzchołki tworzyły wrażenie idących ludzi. Wydawało się, że ludzie idą i idą, wchodzi na Biezimiankę. Kołysanie podczas marszu również sprawiało wrażenie, że wierzchołki dalekich krzaków się poruszały – odchylały się, by następnie szybko odbić z powrotem. Człowiek przystawał, nie wierzył własnym oczom. Wszystko zamierało razem z nim: nie było nikogo. I tu pojawiał się miraż. Falistość góry zapewne sprzyjała ruchom nierównomiernie nagrzanego prądu powietrza, które opływało, zaginało się na żywych wierzchołkach krzaków. Znow się zdawało, że są tam ludzie, artel.

Losza gnał, artel jednak się oddalał. Szli jeden za drugim. Mały stanął. Stanęli poszukiwacze. Krzyczał: „Heeej! Heeej...!” – lecz nikt się nie odwracał. Stali. Gdy tylko mały ruszał, ruszali i oni.

Tak szczegółowo opisywałem stan, w którym mały Losza próbuje dogonić fantom artelu, a miraż to zamiera, to znowu idzie, tak współ-odczuwałem, że to uczucie człowieka, który został w tyle i próbuje

dogonić, weszło we mnie niezauważalnie i najprawdopodobniej głęboko i istotnie. (I o wiele wcześniej, niż to sobie uświadomiłem. Uczucie przyszło zawczasu. Tak bywa.)

\* \* \*

Losza nie rozumiał, że stał się im potrzebny. Nie widział siebie ani ze swojej przeszłości, ani z teraźniejszości, a znakomitym swoim darem nie mógł i nie potrafił (dziecko ciałem i umysłem) ani się wzbogacić, ani urządzić. Niemniej karmili go teraz lepiej, dobrze ubierali, dostał buty. Jegor Fiediaicz chętnie brał go do artelu i gdy tylko topniał śnieg i nastawała sprzyjająca pogoda, szli przez góry, szli dookoła dolinami, szli z nim ramię w ramię, pomagali mu nawet, kiedy napotykali stromość albo bród. A wczesnym rankiem rozluźnionego ciepłym snem (w drodze męczył się, mordował) porzucali i odchodzili do przodu. Rozbudzony biedaczek wpadał w przerażenie, bo przecież miał już być swój, przecież jest już dobrze, dobrze się już do niego odnoszą – dlaczego znów go porzucili? Za co?! Nabrał spokoju i jak wszyscy słabi duchem uwierzył, że od teraz już go kochają i kochać będą zawsze, a tu budził się nagle, rozglądał ponad wystygłym ogniskiem i serce zaczynało mu łomotać: znów zostawili, znów sam!

Nie wiedział, że musieli go porzucić, uważano bowiem, że jego rzadki (i na razie jeszcze słaby) dar rozbudza się właśnie w samotności, w zasypiającym i zziębniętym ciele. Zrywał się przestraszony i, przeklinając swój wahlwy los, na nowo puszczał w dziecięcą swą pogoń. Przez cały następny dzień jednak nie udawało mu się ich dogonić, trzeba było nocować, rozpalić ognisko, nie wiążąc zupełnie swojego noclegu z faktem, że w drodze powrotnej właśnie tutaj się zatrzymają i prawie zawsze odnajdą tu jakieś złoto. Złoto przyciągało go, choć mógł sobie tego nie uświadamiać. Samo przyciągało. Niektórzy mówili, że Losza czuje je swoimi krzywymi rękami. Bliznami swoich krzywo zrośniętych rąk.

Choć odnalezienie noclegu po nieumiejętnym ognisku nie stwarzało większej trudności, to mówiono mu: kiedy nocujesz, zapamiętaj miejsce albo zrób znak na krzaku, albo chociaż wsadź w ziemię gałązkę, kołek przy strumyku, żeby lepiej trafić. „A po co?” – pytał, podnosząc swoje oczy pełne błękitnej mgły. „Nie pytaj, tylko rób!”

I rzeczywiście: zagarniali złoto już z pierwszym, lekkim piaskiem. Od czasu do czasu mały Losza czuł też samorodki. W opowieściach uralskich babek niekiedy kwestionowano, a przynajmniej poddawano w wątpliwość rolę jego rozbitych rąk. Na przykład znany uralski samorodek *Oleń* (353 gramy; kształt jakby jelenia zastygłego w pozie wysokiego skoku, z odwróconą w lewo głową) został znaleziony przez jedenastoletniego Loszę jeszcze przed napadem Wołgarów; mały wydłubał bryłkę kijem podczas jednego z postojów, gdy się zapomniał i odeszedł od artelu w dół strumienia.

Inne opowieści kwestionowały także to, że Loszę zabito. Zaczaili się na niego, ale nie zabili, tylko *na nowo utracili* (już wcześniej krzywe?) ręce, aby były na nich nowe szramy i aby na nowo zrosniętymi rękoma więcej złota już nie czuł. Lecz Losza czuł. (Postępowanie dorosłych stawalo się dlań coraz bardziej zrozumiałe, jednocześnie coraz mniej rozumiały stawał się dla siebie on sam. Czuł. I tyle.) Opowieści miały także bardziej zwyczajne zakończenie, w którym nienadążający Losza pewnego razu po prostu pozostał z tyłu na zawsze. Zabłądził nocą w górach i w artelu już się nie pojawił. Przeszedł lasy za przełęczą i niby trafił na chutor starowierców. Mieszkał tam rok. Następnie chyba latem widziano go na spławie drzewa przy Listiuganach. Dalej ślad się urywa.

Mógł trafić do ludzi, którzy nie wiedzieli ani o jego czułych rękach, ani o poszukiwaniach złota, i logiczne jest, że słuch o nim zaginął.

\* \* \*

Po jego śmierci (czy też zniknięciu?) zaczęto to tu, to tam odszukiwać i na nowo sprawdzać te miejsca, w których kiedyś nocował, a także te, gdzie jeszcze jako zupełny malec włóczył się za artelem Fiediaicza. W wydobywaniu nastał czas nowych narzędzi, pojawiła się technika przesiewu, pojawili się nowi ludzie, którzy z rozmachem i bez krępacji powtórnie płukali przepłukany już piasek i kopali głębiej tam, gdzie już kopano. Byli drobiazgowi: wypytывali dawnych poszukiwaczy, och, niemowy jedne, ile wiorst mógł w ciągu dnia machnąć ten Losza, ile przez noc, i czy nie pamiętają przypadkiem, z której strony ogniska lubił spać.

Nagle zaczęto mówić, że na miejscu wyniesionego malachitu (Losza zasnął w jego szczelinie), po jeszcze głębszym wkopaniu się w i tak już



głębokie wgniecenie, znaleziono samorodki. Tak oto „szlich” (czarny, żelazisty piasek po płukaniu) stał się znakiem. Poszła fama, że ten młodzik, Losza, wcale nie był z natury senny, ślamazarny i leniwy i że nienadążanie za Fiediaiczem i jego artelem wcale nie było związane ze słabością i lenistwem. Wzywało go złoto, nieustannie wzywało, przyciągało, wabiło, przyćmiewało umysł i usypiało. To dlatego zasypiał podczas marszu, dlatego nie nadążał.

Mijały lata, a cwani kupcy i poszukiwacze nieustannie kusili swoich starych już poprzedników podarkami, co lepszymi trunkami i pieniędzmi: no, kochany, przypomnij sobie, niech dziadek pomyśli, gdzieście chodzili ze świętej pamięci Jegorem Fiediaiczem i z waszym najmłodszym pomocnikiem Loszą...? Jeśli nie miejsca noclegów, to chociaż ścieżkę – i to dużo, i to dawało nadzieję na powodzenie i sukces. I jakiś dziewięćdziesięcioletni starzec ledwo widział i kompletnie nic nie kojarzył, ale go oprowadzano, a nawet, jeśli – po przeszło pół wieku! – nogi odmawiały mu posłuszeństwa, noszono na rękach czy naprędce zbitych noszach po trudno dostępnych miejscach... Szemrze strumyk, przechodzą przez niego w dziesięciu, piętnastu, a dwóch, oblewając się potem, niesie na wpół ślepego starca, który jak wódz plemienia podnosi rękę i czasem porusza słabym palcem: tam, a może tam, niech wspomnę...

Stoją i czekają. Szemrze strumyk. Starzec leży na prostych noszach i jęczy. Zapomniał, kim jest i dlaczego się tu znalazł. Myśli o nowej uszatce. Nie rozumie, dlaczego ciągle go dokądś niosą, taszczą, chce do domu, mówi: „puśćcie mnie”. I płacze.

\* \* \*

Opowiadałem Lerze, że na Uralu – w Rudiansku, Kajmyku, na Jezowej Górze – mieszkają niesamowici ludzie, mocni, prości, silni duchem. Przenosiłem legendę do teraźniejszości i zasiedlałem okolicę to chwackimi, zuchwałymi szoferami, to (jeszcze lepiej!) strzałowymi, którzy bez zastanowienia oddawali życie za swoich towarzyszy, ginęli, płonęli, dusili się na przodkach. Lera, dziecię tamtego romantycznego okresu, zachwycała się w swoim cichym stylu:

– Jak wspaniale, jak cudownie!

Czasem przychodziliśmy do nich do domu i Lera mówiła: mamuś, mamuś, posłuchaj, jak on opowiada; Anna Romanowna zatrzymywała

na mnie swoje surowe spojrzenie, a ja znów zaczynałem o Uralu i znów z uczuciem. I znów szare kontury gór, znówu tuż obok. To, że słucha mnie mama Lery, wprawiało mnie w przejęcie, w wyniku czego dobie- rałem jakoś dziwnie słowa, chaotycznie, czerwieniłem się nadmiernie i bez powodu, wpadałem w tkliwość.

Anna Romanowna już wtedy była siwa, miała pięćdziesiąt pięć lat. Była małomówna. Jedliśmy czasem wspólnie kolację: ciepło małej rodziny, Anna Romanowna nakrywa stół, posiedzi z nami pół godziny, po czym niepostrzeżenie wychodzi.

Tym razem jeszcze nie wyszła, a ja nie przestawałem mówić, jacy to fantastyczni ludzie (charaktery!) są u nas na Uralu, jacy silni, jak poszukują złota i rudy, a jakie tam są sosny, kamienie, zakola rzek...! Cykoria z mlekiem, tak smacznie przygotowana przez Annę Roma- nowną, ostygła. Przede mną leżał nietknięty ser. Mówiłem. Mimo woli znosiło mnie w nieznane i niepomierne koryto. Tam to są ludzie, prawdziwe ręce do pracy, a my...

– A my – studenciki, gaduły. Co my możemy? – W tym miejscu podniosłem swoje ręce, które w wieczornym świetle wydały mi się delikatnymi i słabymi, jeśli nie żalonymi. – Co my możemy?!

Nostalgia ścisnęła mnie za gardło. Zapłakałem. Zapłakałem otwar- cie, ze łzami, całkiem nieoczekiwanie (również dla siebie samego). Naturalnie, zaszlochałem nie więcej niż dwa razy, ale dla ogólnego wrażenia to wystarczyło. Nastąpiła pauza. Siedziałem przy stole w ciszy i patrzyłem na swoją filiżankę ze stygnącą cykorią. Anna Romanow- na powiedziała:

– Giena, dziwny z ciebie chłopak...

Domyśliła się, że trzeba mi jakoś pomóc wybrnąć z tego milczenia:

– Sera nawet nie ruszyłeś. – I podała, prawie włożyła mi do ręki ser i świeżutki biały chleb.

Przeżuwałem; z wdzięczności za jej wyrozumiałość łzy chwyciły z nową siłą, chociaż teraz już je opanowałem, powstrzymałem. Wes- tchnąłem z ulgą. Podniosłem głowę. I nawet się uśmiechnąłem: bywa i tak...

– Dziwny jesteś. I taki jeszcze nieopierzony.

Anna Romanowna była powściągliwa i była dobra.

\* \* \*

Pewnego razu Lera pojechała do koleżanki pod Moskwę i powinna była wrócić późnym wieczorem; dzwoniłem raz, drugi – od Anny Romanowny w odpowiedzi słyszałem, że Lery jeszcze nie ma. Dzwoniłem co godzinę.

O pierwszej w nocy, kiedy głos zaczynał mi się rwać coraz bardziej, Anna Romanowna powiedziała:

– Nie denerwuj się. Pewnie została na noc u cioci Weroniki.

– Jak mam się nie denerwować?! Przecież ona jest taka... taka... – nie mogłem dobrać słowa.

Na co Anna Romanowna spokojnie, pewnie i po matczynemu odpowiedziała:

– Lera jest bardzo samodzielna.

Uderzyło mnie to: byłem przekonany, że Lera jest krucha, delikatna, łagodna, nieśmiała w rozmowie – taką ją znałem i taką widziałem – a tu nagle się okazuje, że jest *samodzielna*. Następnego ranka jak zwykle przebiłem się przez cały rząd studentów i usiadłem obok niej. Wykład już się zaczął, choć studenci jeszcze hałasowali, rozsiadali się. Lera dotknęła mnie swoim ramieniem, szepnęła – dzień dobry, ale mnie tego szeptu i dotyku było mało, surowo zapytałem: dlaczego nie zadzwoniłaś i nie powiedziałaś, że będziesz nocować u ciotki? Odpowiedziała:

– Nie mogłam się zdecydować: jechać do domu czy nie jechać. Dzwoniłam do mamy po ostatnim pociągu.

Okazuje się, że jesteś samodzielna! – powiedziałem z ironią, po czym słówko to stało się jednym z naszych ulubionych.

Słówko weszło w użycie także wśród moich kolegów-studentów, z którymi mieszkalem.

Jeżeli któryś z nas absolutnie niewinnie mówił, że idzie się przejść albo zjeść obiad: „Proszę bardzo, jaki samodzielny!” – rzucałem ja, lub któryś ze współlokatorów i całą naszą czwórkę, z wychodzącym włącznie, ogarniał głośny i niepohamowany śmiech, chociaż nie wiem, co było w tym śmiesznego.

\* \* \*

W przerwach między wykładami (i szeptem na wykładach) studenci dyskutowali o gorzkim artykule publicystycznym, który akurat ukazał się w „Nowym mirze”. Byłem jak wszyscy – wzburzyłem się tego dnia

do niemożliwości i nawet wieczorem, gdy odprowadzałem Lerę do domu, nie mogłem się uspokoić. To było olśnienie: poznaliśmy przeszłość, lecz przeszłość poznała także nas i jakby tylko czekała. (Nie za poznanie czegoś nam będzie oddane, lecz podług naszej spóźnionej wiedzy o nas samych).

Szliśmy jakąś długą uliczką. Ciemną. Mówiłem o represjonowanych i o trwającej – ciągle jeszcze! – rehabilitacji. Powtarzałem szczegóły poławowych losów byłych więźniów, przytaczałem zasłyszane pogłoski, następnie moje serce załomotało, zaćmiło, i zacząłem mówić o ludzkich cierpieniach: o twardych dechach, kipiszach, apelach w środku nocy – mówiłem, pałałem, chciałem ją wprowadzić, wciągnąć w przeżycia, jednak Lera pozostawała Lerą, milczącą jak zawsze.

Tego wieczoru nagle się wściekłem. I zapytałem wprost, żądając odpowiedzi:

– Dlaczego milczysz...? Jedno z dwóch: albo sądzisz, że jestem nieszczerzy, albo zupełnie cię nie obchodzi, co mówię. Nie, nie, odpowiedz: obchodzi czy nie?

Lera nagle przytuliła się do mnie, przycisnęła. W uliczce było ciemno. Staliśmy tak i nie widziałem jej twarzy, za to słyszałem – szepnęła: – Obchodzi.

I rozluźniła objęcia.

Znów szliśmy obok siebie. Byłem wstrząśnięty tą naszą pierwszą bliskością, nie mogłem powiedzieć ani słowa.

\* \* \*

Lektura artykułu w „Nowym mirze” odbywała się również następnego dnia na wykładach. Pamiętam, jak lekko spóźniony siedziałem na samym szczycie sali. Widok miałem doskonały. Na moich oczach niebieska książeczka czasopisma trafiła do Szytowa, lewa strona sali, szybki Szytow w ciągu pięciu jeśli nie trzech minut przeleciał oczami i podał dalej Kozłowej, która pod ukosem czytała razem z Młynarową; do tego z góry, wyciągając długą szyję, czytał Gawriłow. Przekazywali książeczkę w dół. I znów do góry. Raz po raz też wyrywali sobie z rąk. Twarze jednak pozostawały nieprzeniknione. Przekazali Todolskiemu, potem Siergiejewowi...

Drugi egzemplarz, na prawej stronie, zauważyłem nie od razu. Czasopismo zawinięte było w zwykły poliniowany papier. Podawano

je sobie ostrożnie. Kiedy je zlokalizowałem, było wprost pode mną. Przemieszczało się ściśle po przekątnej przez Ranienską, Kożyna i Głuchowcewa. Można było nawet wyznaczyć jego dalszy ruch: Rogow – Syczew – Ola Stawskaja. Wzajemne przemieszczanie się obu książeczek już wtedy próbowało naśladować dwa uproszczone losy. Lewy egzemplarz miotał się jak błękitny motylek w tę i w tę, podczas gdy prawy, niepozorny, jakby założył, że cicho i bez świadków przetnie morze studenckiego audytorium, nieugięcie, krok po kroku dążąc do przeciwnego brzegu. Lektor tymczasem czytał. Następnie zmienił go inny lektor. Tego dnia mieliśmy w sumie sześć godzin zajęć, z których cztery w tej samej sali, co było dużym udogodnieniem.

\* \* \*

Niektórzy z najstaranniejszych naszych kolegów z roku, a właściwie koleżanek, prowadzili dziennik. I on się zachował, dzięki czemu mógłbym spróbować teraz bardziej wyraziście odtworzyć tamte dni (z punktu widzenia studenta), gdybym tylko nie obawiał się, że kronikalność i sam duch tamtych znamiennych czasów wyprą Lerę i moją miłość do niej. Było jednak na odwrót: to miłość wyparła.

Jeden obrazek.

Widziałem, jak Twardowski wychodzi z redakcji i siada do samochodu – przyszliśmy tam, pod redakcję, całą watahą studentów i widzieliśmy: wyszedł, wsiadł do pojazdu. I odjechał. Do pełni zachwyty nie potrzeba nam było nic więcej – tylko zobaczyć. Powiedział coś do kierowcy, który od razu ostro ruszył z miejsca. Staliśmy w odległości pięciu kroków. Twardowski wsiadał do samochodu zatroskany, trochę nieobecny, jednak, jak się dowiedziałem już później, te jego przyciężkawe ruchy i takie zamachowe rzucanie swojego pełnego ciała na poduszki siedzenia było uwarunkowane chorymi nogami.

Był chory i zapewne blady. Nam z kolei, młodym, wydawało się, że ma bardzo jasną cerę.

\* \* \*

Było to podczas kolacji. Lera chyba milczała. Anna Romanowna zaś na moment wyszła do pokoju, wróciła i podała mi fotografię mężczyzny, niedużą, w ramce z lekkiego, białego drzewa:

– To jest nasz Innokientij Siergiejewicz – mój mąż i tato Lery. Już nie żyje. Zmarł *tam*. Całkiem niedawno został zrehabilitowany.

Pamiętam, że się zaczerwieniłem – takie beznadziejne wydało mi się (wobec ich godnego milczenia) moje nieskończone i natrętne gadanie o ludzkich cierpieniach. Wstydliwie obracałem fotografię w palcach. Byłem zdezorientowany, zdaje się, że chciałem położyć ją na stole, na okruchach chleba i sera, wtedy Anna Romanowna spokojnie i tak po prostu wzięła ją ode mnie i odniosła. I mimo wszystko zdążyłem powiedzieć, chociaż już po wyciągnięciu z rąk fotografii i do odchodzącej Anny Romanowny, ale mimo wszystko powiedziałem: „Przepraszam was...”.

\* \* \*

Mąż Anny Romanowny, ojciec Lery, umarł mniej więcej rok temu. Po wyjściu z obozu został bezterminowo umieszczony w domku jakiegoś dróżnika (pokazano mi jeszcze jedną fotografię). Tam też zmarł. Lera go nie pamiętała. Anna Romanowna mówiła, że proces rehabilitacji jest skomplikowany, archiwa ogromne (i zapuszczone), dokumenty zaś analizowano po kolei i dokładnie; tak wyszło, że Innokientij Siergiejewicz zmarł akurat, gdy zakończono pracę nad jego materiałem. Akt rehabilitacji przyszedł na dniach. I przyszedł miły list od tych, u kogo Innokientij Siergiejewicz mieszkał, że pamiętają i że dbają o grób.

A w najbliższe lato, jak tylko nastanie dobra pogoda i Lera zda sesję, Anna Romanowna pojedzie w te strony, chce pobyć tam, gdzie mieszkał i zmarł jej mąż. Lera ma jej towarzyszyć.

Byłem zapewne wstrząśnięty: w ciągu kilku minut podczas zwykłej, cichej kolacji zmaterializowało się i skonkretyzowało całe rozemocjonowane wielosłowie, wzniosłe frazy i płomienne rozmowy – moje i mojej studenckiej braci. Nabrzmiałe już wcześniej poczucie winy, również moje i nie moje, nieostre, teraz się wyklarowało. Pora była późna. Wracałem do akademika, poliki mi płonęły.

Byłem poruszony z jeszcze jednego, w istocie błahego, powodu. Miejsce, gdzie mieszkał i został pochowany ojciec Lery, nazywało się

Chonia-Diesnowaja – od nazwy rzeczki. W opowieściach i opowiadaniach uralskich babek o czującym złoty piasek Loszy wśród wielu innych miejsc wspominana była także rzeczka Chonia. I nawet jeśli rzek i rzeczek Choń, tym bardziej Diesnowych (to znaczy będących po prawej ręce), jest mało, to jednak nazwy się zgadzały, a miejsca, gdzie Zachodnia Syberia styka się z Zauralem, tak czy inaczej były bliskie, pasujące.

Mały Losza i Lera – *wszystko moje* nagle się jakoś zbliżyło.

\* \* \*

Miały już wyznaczony dzień odjazdu. Ja też szykowałem się na wakacje do swoich rodziców. Ja – na Ural, oni – na Zaurale. W różne dni, ale przecież w tym samym kierunku.

\* \* \*

Pozostający w tyle za wszystkimi i jednocześnie jako pierwszy czujący i odnajdujący złoto, Losza mieścił w sobie te skrajne stany, chociaż się w nich plątał, nie zdając sobie z nich sprawy. Jego życie było niezwykle, nie wiedział jednak o jego niezwykłości i zazdrościł zwykłym ludziom, maszerującym ramię w ramię w artelu i jedzącym o czasie swoją zasłużoną kaszę i chleb.

Początkowo myliły go zapachy. Tamtego ranka (wszystko pamięta!) uderzył mu w nozdrza zapach koziej ścieżki, usłanej ciemnym groszkiem; jeszcze nic nie widział na oczy, a zapach już napierał, dusił. Zboczył bardziej na lewo, lecz tam z kolei sączył się aromat obłamanych gałęzi dzikiej róży, a jeszcze bardziej na lewo poprzez rozpostarty step bił zapach dalekiej nory susła i pierwszego miotu, delikatny zapach nowego stworzenia z domieszką mlecznego kwasu i spierzchłych matczynych sutków.

Losza oślepl. Widział i nie widział, cały pogrążony w zapachach. Aż wreszcie, gdy wzrok jego zaczął się już przejaśniać, dostrzegł w oddali postacie – siedmiu poszukiwaczy idących pod górę. Jeden z nich się odwrócił. I po raz pierwszy krzyknął mu tym słowem:

– Zapóźniony jesteś!

I nawet go, spowalniającego ogólny marsz, nie złążał. Tylko krzyknął.

\* \* \*

Pewnego dnia Lera mnie zaprosiła. Lekko zmieszana, powiedziała:  
– Przyjdź do nas z mamą.

Zazwyczaj odprowadzałem ją, a potem tak długo staliśmy pod klatką, że oboje, przemarznięci, szliśmy do góry na herbatę. Tym razem jednak było to zaproszenie. Nie powiedziała „przyjdź do mnie” albo „przyjdź do nas”, a właśnie tak, trochę nieprawidłowo i bardzo po moskiewsku: „przyjdź do nas z mamą”. Było oczywiste, że ile razy bym u nich nie był, ile filiżanek herbaty nie wypił, to po raz pierwszy padły tam na mój temat ważne słowa. Nie byłem gotów na rozmowę. Na to proste „do nas z mamą” zapewne wpływ też miały prawie dwa lata naszego całkiem czystego związku – przejąłem się i po drodze do nich paliłem jednego papierosa za drugim. Siedzieliśmy przy herbacie, przy smacznej herbacie, i to nie w kuchni, a w dużym pokoju przy okrągłym stole, nakrytym odświętnym obrusem z zawczasu przygotowanymi trzema filiżankami na spodkach i smacznymi, maślanymi ciastkami w misce. Nad stołem wisiał duży abażur. Lampa zwisała niżej niż zwykle, jakby intymniej. Oświetlenie było przyjemne. Siedzieliśmy i Anna Romanowna zapytała: „Gienia, Lera mówiła, że jesteś z Uralu. Tak?”. Potwierdziłem i jeszcze raz opowiedziałem skąd dokładnie, kim są moi rodzice. Często im opowiadałem o Uralu – czyżby nie wsłuchiwała się zbyt w moje podniosłe opowieści...?

– Opowiedz mi, proszę, o tamtych miejscach – poprosiła. – Mój mąż, tato Lery, był swego czasu represjonowany. Mieszkał i umarł akurat tam, na granicy Syberii Zachodniej i Zaurala. Znalazłam wczoraj te miejsca na mapie.

Po krótkiej pauzie powiedziała:

– Został rehabilitowany. Ale późno się dowiedzieliśmy.

Powiedziała to spokojnie, po prostu. Powiedziała tak, jakby mówiła o herbacie i ciastkach na naszym stole. Zaczerwieniłem się, poczułem się jak jakiś gołowąs, który tyle napaplał o ludzkim cierpieniu (dobrze chociaż, że nie jej, tylko Lerze, Lera wybaczy). Tym samym równym głosem Anna Romanowna powiedziała teraz o herbacie:

– Ostygła? Może doleję gorącej?

A potem przyniosła fotografię męża.

\* \* \*



Po otrzymaniu wszystkich niezbędnych dokumentów – „teraz mam pełne prawo” – Anna Romanowna pojechała na Zachodnią Syberię, do miejscowości Nowostrojnyj, z której, jak jej powiedziano, Chonię-Diesnową będzie miała na wyciągnięcie ręki. Pojechała, aby „zrobić przy grobie i trochę tam po prostu побыć”. Lera pojechała razem z nią.

Przed wyjazdem Lera była jak dawniej: miła, skromna, milcząca nawet, dziewczyna, z którą chodziłem do teatru i kina i którą czasem w drodze powrotnej obejmowałem w mroku uliczki. Na objęcia pozwalałem sobie również w półmroku kina, chociaż robiłem to bardzo rzadko, i od tej rzadkości obojgu nam zapierało dech w piersiach. Lera zaczynała delikatnie drżeć, a jej dreszcz udzielał się i mnie. Byliśmy razem, złączeni, nic nie widzieliśmy, choć nie przestawaliśmy patrzeć w ekran.

Otrzymała pozwolenie na zdanie sesji w przedterminie, po czym pojechały.

Pojechały na dwa tygodnie, jednak minął miesiąc, drugi (był czerwiec, ja też już wszystko pozdawałem), a ich wciąż nie było.

\* \* \*

W dni ich odjazdu tak bardzo z nimi współodczuwałem, że gdy tylko odprowadziłem je na dworzec, od razu zamówiłem rozmowę z domem. Przyszedłem do rozmównicy i gdy nastąpiło moje pięć minut, w pierwszych słowach obwieściłem ojcu, żeby mamie na razie nie mówił, mamie później, ale tobie już teraz powiem, że się zakochałem. W delikatnej i cudownej dziewczynie, Lerze, Walerii, kocham ją i się ożenię, ponieważ ona też mnie kocha. Dopiero tutaj poczułem, jak ścisnęło, zabiło.

W odpowiedzi mój ojciec (także miał wówczas koło pięćdziesięciu pięciu lat, lecz w odróżnieniu od Anny Romanowny był krzepkim, silnym, pewnym siebie i swojego życia mężczyzną) zaśmiał się głośno i wesoło. Nie wiedziałem, o co chodzi. Początkowo myślałem, że to szumy na linii, ale jednak nie – ojciec śmiał się i śmiech jego był dla mnie bardzo dotkliwy.

– Dobrze, już dobrze – powiedział. – Nie obrażaj się. Po prostu młodziak jeszcze jesteś...

Sens był jasny – przyjedź to pogadamy, jeśli do tego czasu się nie rozmyślicie.

\* \* \*

Zdałem sesję i przyjechałem. I gdy na spokojnie i prosto w oczy, z powagą powiedziałem, że chcę się ożenić, ojciec nic nie odpowiedział – wyszedł tylko zapalić. A mama poprosiła, żebym przypomniał imię narzeczonej.

\* \* \*

Minęły lata, mama zmarła; minęły kolejne lata. Ojciec został sam i przeprowadził się pod Moskwę. Mieszkamy niedaleko siebie, nie kłócimy się; jeżdżę do niego od czasu do czasu i podtrzymuję na duchu. Kiedy tak go wspieram i kiedy powtarzam, że człowiek powinien być dzielny, ojciec mi odpowiada: a ty wiesz, ile mam lat? Właśnie.

Wczoraj znów mu powiedziałem: a pamiętasz, jak byłem studentem, smarkaczem, i jak próbowałem napisać mikropowieść? Była taka stara uralaska legenda, pamiętasz? Chłopczyk, poszukiwacz złota, który dokładnie jak ty budził się w środku nocy z walącym sercem w strachu, że go porzucili i że znów został w tyle... Ale ojciec nie pamięta. Co ty znów wymyśliłeś? Jaka mikropowieść? Jaki chłopczyk?

Przypominam: chciałem się też wtedy żenić, powiedziałem ci o tym, a ty się śmiałeś. Do śmiechu to ty byłeś pierwszy, pamiętasz...?

– Przecież ty już dawno masz żonę – mówi ojciec. Dzieci masz już duże. Ile lat przecież masz już żonę.

Nie pamięta.

– Cholera jasna, co za legenda znowu. Na każdym kroku legenda. Jakaś bajka? – denerwuje się.

– No tak, bajka, chciałem po prostu ładnego słowa użyć, wybaczyć. Bajka oczywiście.

(Lekarze radzili mi jak najwięcej rozmawiać z ojcem o jego snach, omawiać je, pozbawiać tajemnicy).

### 3

Za dnia ojciec trzyma się dość dobrze. Dużo gorzej jest nocą.

Co zrobić, znów zaczęliśmy chodzić po lekarzach: tam chodziliśmy, chodziliśmy i tu, nabieraliśmy stertę recept, którą wymieniliśmy na górę

lekarstw – na uspokojenie, na sen, na życie. Ojciec zasypia, jednak w nocy, w tej krótkiej chwili, kiedy środek nasenny przestaje działać albo gdy słabnie, sen-nienadążanie czyha, atakuje, przytłacza; ojca ze strachu zalewa pot, cały robi się mokry, krzyczy, woła. Znow zapropomowałem mu, aby się do mnie przeprowadził na jakiś czas, lecz on znow odmówił: nie chce krzyczeć po nocach wśród śpiącej mojej rodziny.

Płatny profesor, do którego ojciec chodził przede mną w tajemnicy, dał mu radę (tę samą, co mnie): jak najwięcej opowiadać o śnie bliskiemu człowiekowi, cały swój sen wypowiedzieć. Nic innego w istocie wcześniej nie robiliśmy. Teraz jednak rozmawiamy przez telefon i pół godziny, i godzinę, i jeśli by ktoś posłuchał nas z boku, mógłby pomyśleć, że jesteśmy nienormalni.

Lekarz sądzi, że jesteśmy na dobrej drodze.

\* \* \*

Ojciec zawsze żył, pracował, budował (jest budowniczym) poza snami, jego życie w żaden sposób się z nimi nie stykało. I kiedy to życie zaczęło dobiegać końca, sny po prostu musiały go jakoś dotknąć. I dotknęły.

– Czym sobie zasłużyłem takie męki! – oburza się.

Duchowa natura każdego nienadążania zapewne zakłada normę; zakłada, że jest gdzieś wyznaczona i istnieje norma, która nie dopuszcza wątpliwości, że tylko ona ma sens. I tak nieprzekonywająca jest racja wyjątków. Jednakże czy to bycie w normie, bycie jak wszyscy tak nas przywołuje i wabi?

Odpiera ataki snów, myśli o jednym: za późno, za późno, za późno... I może mu się nie podobać ta nocna właściwość, może mu się wydawać przypadkową bądź nieprzypadkową, niemniej ona już jest z nim, a on na zawsze już jest związany z tymi snami.

I gdyby się teraz dowiedział, że od najbliższej nocy znow będzie jak wszyscy, gdyby sny przestały go męczyć i prześladować, ucieszyłby się, na jakiś czas podniósłby głowę, lecz wkrótce by posmutniał, ucichł, może nawet zatęsknił. Gdzie są moje sny, powiedziałaby.

\* \* \*

Co jest prawdą mojego życia? To, że przez całe życie budowałem? Czy to, że koniec końców zawładnęły mną i wszystkimi moimi budowlami sny? – pyta już zapalczywie, kategorycznie.

Ale przecież tutaj nie ma dylematu.

\* \* \*

Dom w Choni-Diesnowej, gdzie mieszkała rodzina kolejarza, mąż, żona i dorosłe dzieci, był duży i solidny. Po upływie dwóch tygodni od przyjazdu Anna Romanowna znów rozmówiła się z panią domu, że jeśli nie mają nic przeciwko, to ona chętnie zostanie na dłużej.

Po śmierci męża Anny Romanowny mały pokój stał wolny, pusty. Jakiś czas mieszkał w nim drugi syn kolejarza, lecz akurat wyjechał na budowę do pracy w ślad za starszym. Zawsze tak wyjeżdżali – jeden za drugim. W taki oto sposób Anna Romanowna zamieszkała tam, gdzie samotnie żył, a następnie umarł jej mąż. Jego rzeczy starała się w pokoiku nie ruszać. Popielniczka. Nóż, walizka, książki. Chodziła na jego grób i długo, godzinami tam siedziała. Zrobiła się milcząca. Przestała myśleć o wyjeździe. I się zadomowiła.

Lera przestraszyła się, że mama dostała jakiegoś cichego pomieszczenia. Próbowала rozmawiać i z nią, i z kolejarzem, z żoną kolejarza, ale skończyło się na kilku westchnieniach i decyzji, że niech będzie, jak jest. Emerytura będzie przychodzić tutaj, a z pracy zwolni się korespondencyjnie. Co więcej, kolejarz dużo jeździ, więc jak będzie kiedyś w Moskwie, to spróbuje załatwić Annie Romanownie emeryturę po mężu, nawet jeśli nie będzie ona duża. Teraz już się jej należała, Anna Romanowna miała komplet dokumentów.

Jedyny problem stanowił drugi syn kolejarza, narwaniec o ekspansywnym charakterze. Wrócił pewnego dnia i szalał cały wieczór: jakim prawem zajęli jego pokój. Ale poszalał i wyjechał. Napisał jeszcze dwa groźne listy, następnie zaczął się gdzieś na budowie, osiadł tam i ostatecznie ucichł.

Minął miesiąc, drugi. Lera nie mieszkała z mamą w Choni-Diesnowej, mieszkała w osadzie Nowostrojnyj, w odległości mniej więcej czterdziestu, pięćdziesięciu kilometrów. Chciała tam podjąć pracę i nie zamierzała wracać na studia. Jak się okazało, nie tylko dlatego, że chciała być przy samotnej i nagle postarzałej matce.

Nie przejąłem się, gdy Lera nie odpowiedziała na mój list, który wysłałem na poste restante do Nowostrojnego. Spokojnie czekałem, aż zaczną się zajęcia, przyjadę do Moskwy, jak zwykle precyzyjnie się przez rzędy kolegów i koleżanek z roku, usiądę obok Lery i wówczas wypytam ją (szepem), co i jak, a po zajęciach odprowadzę do domu – i oto obie przy herbacie z ciastkami w szczegółach opowiedzą mi o Innokientiju Siergiejewiczu, o tym, co tam widziały i czego dowiedziały się o ostatnich latach jego życia... Zdaje się, że nawet przeczuwałem, jak przyjemnie będzie wówczas pić herbatę, siedzieć przy okrągłym stole pod nisko wiszącą lampą o miękkim świetle i raz po raz sięgać do zdobnej, niewielkiej miski po ciastko.

Pewnego dnia jednak otrzymałem od Lery list, krótki zupełnie i raczej dość szorstki. Pisała, że w końcu „prawdziwie żyje”. I że miałem absolutną rację, po stokroć rację, mówiąc, że jako specjaliści jesteśmy tak naprawdę z góry zaprogramowanymi i żalnymi ciemakami, podczas gdy prawdziwe, pachnące, dźwięczne, barwne życie toczy się z dala od nas.

Na tym list się kończył, jak gdyby urywał; na samym końcu było jeszcze króciutkie PS, które mnie boleśnie uderzyło: spotkałam tu prawdziwą miłość! – dopisała z bardzo wyrazistym wykrzyknikiem.

Tego samego wieczoru popędziłem na nasz mały dworzec i ruszyłem do Nowostrojnego. Według mapy (z Uralu na Ural, na Zaurale) odległość była stosunkowo nieduża, jednak trzeba było jechać osobowym z przesiadką oraz dodatkowym oczekiwaniem związanym z parzystymi i nieparzystymi dniami, co powodowało, że to wcale nie było tak blisko. Jechałem prawie dwa razy dłużej niż do dalekiej Moskwy.

Serce bolało. Starałem się oderwać, nie myśleć, w bólu tym próbowałem skupić się (i jakby pocieszyć) na myśli o udziale – tak czy owak, podobnie do Lery, będę tam i będę uczestniczyć w życiu tych ludzi, w ich cierpieniach. Stary wagon ciężko stukał, następnie jakoś niechętnie zgrzytał przy rozpędzie, a gdy nabrał już prędkości, huczał żeliwnie, groźnie. I rzeczywiście: spieszyłem do Lery, a wybrany przeze mnie na bohatera mały Losza spieszył przez góry za swoim artem. Spieszyliśmy obaj, każdy w swoim czasie.

Już pierwszego dnia pobytu w Nowostrojnym mogłbym zrozumieć, że dla Lery wybór w miłości był określony i w jakimś sensie przygo-

towany przez moje żarliwe perory. Mężczyzna, którego wybrała, był niespokojnym trzydziestolatkiem po odsiadce w łagrze, w osadzie zaś pracował jako kierowca. Już tamten list świadczył, że Lera jakby przemogła samą siebie. Młody rozrabiaka, ordynarny i o spierzchniętej, miedzianej twarzy, był nawet przystojny. Wydawał się nam (podług naszych studenckich lat i horyzontów) człowiekiem znającym życie, dorosłym i bez wątpienia cierpiącym. Dla pozostałych mieszkańców kolonii zaś był po prostu zwykłym wyrokowcem Waśkiem.

My, rzecz jasna, zwracaliśmy się do niego per Wasilij.

\* \* \*

Gdy przyjechałem, Lera spieszyła się tylko trochę. Nie kryła się, cała pochłonięta była swoją nową pasją i z zachwytem opisywała mi Wasilija i jego życie. Wasilij co prawda nie był represjonowany, ale przecież spędził kilka lat w obozie, a więc cierpiał – racja...? Przekonywała mnie, że zrozumie ją, kiedy tylko go zobaczę. Jej uwielbienie było absolutne, uczucie – szczere, a nad przeszłością (nad naszą wspólną przeszłością) była postawiona gruba krecha.

– Aaa... to twój przyjaciel – powiedział Wasilij. Wysiadł z kabiny i podszedł do umywalki, aby umyć ręce po kilku godzinach szoferowania.

I dodał (stamtąd):

– Przyjaźń – święta rzecz.

A my, przestępując z nogi na nogę, staliśmy przy jego ciężarówce. I rzeczywiście! Ja też już patrzyłem na Wasilija jej oczami. Zachwycała mnie spierzchnięta twarz, czarna od słońca szyja i w szczególności mocne ręce, krzepkie kości palców, odciski, chwytna dłoń – cała jego postać kierowcy w wysokich butach i waciaku była zachwycająca. Odrobinę załatywało od niego albo wczorajszą gorzałką, albo nieodłączną machorą, ale to tylko podkreślało jego status prawdziwego mężczyzny, mocnego chłopa.

\* \* \*

Lera opowiedziała mi pierwszą rozmowę z Wasilijem po tym, gdy ten podwiózł ją swoją ciężarówką. Była noc. Wasilij, dawny aresztant,

obecnie od pół roku osiedleniec bez prawa dalszego wyjazdu, podwiózł Lerę i wysadził przy swoim baraku: tutaj mieszkał i tu nocował po skończonym kursie. A ona, pełna zachwytu i chętna do rozmowy, o noclegu nawet jeszcze nie myślała. Noc. Ciemny barak. Dwoje przy aucie.

Lera:

– I spał pan na deskach?

– Na odsiadce...? No. A gdzie miałem spać?

Lera

– O Boże! Wasilij, jak ja panu współczuję...! Jest pan prawdziwym człowiekiem!

On:

– Wasiek, szofer Wasiek jestem.

Ona:

– Nie, niech pan tak nie mówi. Wasilij.

Co rusz ziewał, pokazywał, gdzie ma te wszystkie ą i ę i że jest absolutnie wyzuty z sił (kurs rzeczywiście był długi i trudny).

– Panna, bierz lepiej kierunek na te swoje stolice, nie masz tu nic do roboty...

Rozmawiał tak, jak rozmawia z młodą i inteligentną kobietą (nauczycielką literatury albo korespondentką, która postanowiła napisać o nim artykuł) w kinie pozytywny robociarz, przystojny, w pełni sił.

On (powtarza z naciskiem):

– Panna, zmykaj stąd.

Lera (uśmiecha się, czule powtarza jego imię):

– Wasilij...

On:

– Wasiek.

Ona (jeszcze bardziej miękko, jeszcze czulej):

– Wasilij.

Stoją obok ciemnego baraku. Nad głowami mają gwiazdy, nocne niebo. Ona nie chce iść. Nie chce się tak rozstać. Jednak silnik jest zgaszony. Drzwi zamknięte. Wasilij postukał butem w opony, obejrzał auto i nie żegnając się, bez żadnych „do widzenia” poszedł do siebie. Gdzieś ma to wszystko. Bo i rzeczywiście ledwo stał na nogach.

– Wasilij... Pan... dokąd?

– Spać.

Lera jak stała przy aucie, tak została. Nawet nie zapytał, gdzie ma zamiar nocować. Niech nocuje, gdzie chce. Odszedł, oczy mu się kleiły.

\* \* \*

Tę noc Lera spędziła w miejscowym urzędzie. Długo chodziła naokoło stróża z berdanką, patrzyła, patrzyła, aż w końcu poprosiła żałośnie o nocleg. Przespała noc na krześle, na siedząco.

Opowiadała o sobie, z zachwytem opowiadała o Wasiliju, a jednak coś za nią stało, za jej plecami, jakieś cienie. Tak jakbym się zorientował. Zapytałem:

– A jak Anna Romanowna?

– Mama...? Mama jest w Choni-Diesnowej. – I (osłabłym głosem) opowiedziała, jak Anna Romanowna z początku zamieszkała tam tymczasowo, ale szybko się zadomowiła i nie zamierza wyjeżdżać, nie da się jej stamtąd zabrać – cały czas chodzi na grób. Lera ją tam odwiedza. Od czasu do czasu zostaje na dzień, dwa, trzy, ale w gruncie rzeczy nie jest tam jej potrzebna.

Tego samego dnia pojechaliśmy do Choni-Diesnowej. Wpierw przyszlismy do domu kolejarza Chrapowa, lecz Anny Romanowny tam nie było. Wówczas od razu i bez cienia wątpliwości Lera, jak w doskonale znane miejsce, poprowadziła mnie przez mostek i w góry. Szliśmy z pół godziny. U rozpoczynającego się wzniesienia zobaczyłem cztery ogrodzone groby, a przy jednym z nich – siedzącą na pościelonej gazecie staruszkę. Dostrzegłem ją już z oddali. Potem bliżej. Staruszka siedziała i coś szeptała. (Anna Romanowna bardzo się postarzała). Gdy podeszliśmy, kiwnęła – poznała mnie, przywitała się. Lecz nie powiedziała więcej ani słowa.

Później poszliśmy, staruszka zaś została przy mogile.

\* \* \*

Podkrążone oczy, czarni z wyczerpania. Płukali piasek bez powodzenia, drugi, trzeci, czwarty dzień – ciągle nic i nic. Dlatego, gdy tylko zobaczyli zbliżającego się bzika, stękającego i uśmiechającego się z radości, że ich odnalazł, zaczęli go przepędzać. Złość (jak to bywa)



znalazła proste ujście. Jeden – w plecy, drugi – w plecy, przepędzali go szturchańcami, kopniakami; mały uciekał, zakrywał rękoma twarz, głowę. „Ała! Aaaa! – już nie jęczał, tylko krzyczał. – Za co! Aaaa!” Przepędzili go za pagórek. Tam usiadł, był pięćdziesiąt kroków od nich i cicho biadolił:

– Za co, co ja takiego zrobiłem, sierota jestem.

A oni pracowali, płukali piasek. Nastawał wieczór.

Był zachód. On ciągle tam siedział i wył (i doprowadzał ich do szału) – przecież nie zawiniłem, nic takiego nie zrobiłem, będę płukać piasek jak wszyscy, Jegor, przebac w imię pana naszego – wył, skomlał.

„Paszoł won!” – jeden z młodych artelników nie wytrzymał i ruszył nań z kijem. Losza widział, że ów się zbliża, i skomlał, skomlał, myślał, a niech bije, niech zabije, żadna strata, nie on, to wilki. Jednak gdy poszukiwacz zbliżył się z podniesionym kijem na odległość dziesięciu kroków, Losza zerwał się, pisnął ze strachu i zaczął uciekać.

Biegł, wymachując wiszącą przez ramię torbę; ta przeszkadzała, lecz było w niej trochę jedzenia, nie mógł jej porzucić – tyle już rozumiał. Prześladowca z kijem odpuścił, lecz Losza biegł, nie przestając zakrywać się swoimi pokrzywionymi rękami, biegł daleko, gdzie oczy poniosą, pochlipywał, płakał, mamó, mamó, mamó moja, powtarzał, niech tak będzie, niech mnie wilki w nocy zeżrą, nie chcę więcej żyć, mamó, usłysz mnie na niebie, mamuś kochana, powiedz coś. Bolało ramię, bolał zadek, w który dostał kirzowym buciorem. Wiedział, że ból przejdzie. Wiedział też, że mama nie usłyszy. Nie wiedział jedynie, czym zawinił, jego mały umysł nie ogarniał, że dla poszukiwaczy cenny jest tylko wtedy, gdy nie nadąża, kiedy rozpali gdzieś swoje małe ognisko, zanocuje i tym sposobem pomoże odnaleźć złoto, którego tak im w życiu mało.

\* \* \*

Późnym wieczorem pastuchy rozsiadali się u świeżo rozpalonego ogniska. Pocierali zmęczone nogi, rozkładali jedzenie przy ogniu i nagle oglądali się na szmer w krzakach i oddalony hałas (niby przebiegający zwierz – dzik, wilk?) – wpatrywali się w gęstą ciemność doliny. A gdy wypatrzyli, zatrzymywali spojrzenie na oddalającej się na wzgórzu figurze wyrostka.

– Aaa... To ten, co czuje, z artelu. Znów od swoich odpadł – mówili. Patrzyli. Współczuli. I wygodniej rozsiadali się przy ognisku.

Lecz Losza nie odpadł. Szedł za artelem już trzeci dzień, uparcie i twardo szedł z dyndającą przy boku sakwą. Nie był już chłopczykiem. Nie pamiętał urazy. Nocą rozpałał ognisko, ścielił świerczynę, jadł – niezawodnie robił, jak było mówione, nacięcie na krzaku (albo u strumyka wbijał badylek, albo wreszcie układał trzy, cztery kamienie w stronę Gwiazdy Polarnej) i dopiero wtedy padał, umęczony.

Lecz sen miał niespokojny, nerwowy, z okrzykami, z miotaniem głową w obie strony – i oto nagle budził się wśród nocy, z nagłym strachem myślał, że znów (Boże jedyny, znów!) jest sam, znów w tyle, tak, tak, przemarnie, przepadnie z głodu. W jakimś takim osobliwym splocie psychiki odrzucało go na kilka lat wstecz, z wyrostka, z czującego młodzieńca zamieniał się znów w nienadążającego chłopczyka, który może zginąć. I chociaż w sakwie, w torbie zazwyczaj miał chleb, słoninę, ogórki, to pośród nocy wydawało mu się, że jest głodny, bardzo głodny, nagle był w dzieciństwie, we wczesnym swoim dzieciństwie, i dlatego się zrywał, zdeptywał ognisko, brał tobolek i umierając z głodu, nie mogąc złapać tchu przez nocny strach i samotność, biegł, biegł, ze wszystkich sił chciał dogonić – i właśnie w tę niespokojną noc (trzecią czy czwartą!) wbiegał na górę i dostrzegał wreszcie ich ognisko. Resztkami sił schodził z góry. Podbiegał bliżej – śpią. Noc jak noc. I tylko dyżurny przy ognisku drzemie, czuwa.

Podchodził do śpiących i wewnętrznie cichł, uświadamiał sobie, że nie jest już chłopczykiem, tylko młodzieńcem, że w sakwie ma zapas jedzenia i że po co było tak bez tchu biec i doganiać. Szedł spokojniej, niby zwyczajnie odnalazł swoich. Podeszedł bez pośpiechu. Zamienił kilka słów z drzemiącym na siedząco dyżurnym:

– Zobaczyłem ognisko, myślę, że nasi. Ciepła noc jest!

– Będziesz jadł?

– Tak. Daj mi trochę kaszy...

– Kulisz jest.

Zjadł, uspokoił się zupełnie. Poszukał miejsca przy ognisku. Rzekniesz, że nie jest zimno, noc jest ciepła. Ognisko się tli. Dyżurny z powrotem się przykuł. Słysząc chrapanie śpiących. Losza zamarł na moment w znajomej powtarzalności bycia niby w strumieniu po-

wietrza: może tutaj, na uboczu? A serce w odpowiedzi postukiwało mocniej i mocniej: nie tu, nie tu.

W artelu w stosunku do Loszy nie było jakiejś tam szczególnej niechęci czy brutalności: wychodzili przede wszystkim na poszukiwania, coraz dalej i dalej, w trudzie drogi nie pamiętając i nie myśląc o jego darze – szli sami, sami szukali, sami kopali, sami wydłubywali złotonośny kwarc, kruszyli, płukali i nie utyskiwali na los, może tylko pod wieczór, pod koniec dnia klęli, że droga cała z gliny, że zaczęły się choroby, i gdzie ten, taka siaka, śnięty, znów go nie ma, zapóźnia się, czy go przypadkiem wilki nie pożarły, szkoda by było biedaka...! Zazwyczaj przypominali sobie o jego darze dopiero w drodze powrotnej, kiedy wszystkich w artelu już łamało w krzyżu, kiedy bolały pokancerowane nogi, ręce, kiedy chciało się do domu, do rodziny; nagle nachodziła ich wiara w czyste, dziewicze złoto, że leży u strumienia i czeka. I ktoś się odzywał – a może spróbujemy tam, gdzie spał Loszka? I tak wracamy tą samą drogą, a mówią, że mu kulasy czują!

\* \* \*

Senny, ciepły kłębek zmęczonych ciał zaczął się ruszać, przewracać z boku na bok, słychać było gniewliwe głosy i pojedyncze krzyki: „Toż to matoł jest, durak pospolity...! Nie rozumie...? A gdzie ciepło, to rozumie?” – niezadowoleni, że rozbudzono ich w samym środku nocy, wrzeszczeli na siebie nawzajem i, rzecz jasna, na Loszę, racząc go przy tym szturchańcami to w bok, to w głowę. A najwięcej tej nocy awanturował się sam Jegor Fiediaicz: myślę, kto do baby mojej lezie? Hyś – i prosto do serca, głową, taran jeden, przez kozuchy. „Szukałem, gdzie cieplej...” – tłumaczył się Losza. Nawet nie zamierzał ich budzić, jesień, wiatr gwizdze, przedzierał się, zziębnięty, w gąszcz ciał, póki nie przywarł do ciepłego. „A pewnie, cieplej u baby już nie znajdziesz” – i nakryło ich falą śmiechu, a Losza nie rozumiał, chciał spać.

#### 4

Anna Romanowna pytała otyłą i nieruchliwą kolejarkę, czy nie ma może czegoś do zaszcycia, zacerowania, i gospodyni, kobieta litościwa, wyszukiwała i dawała jej wpierr coś swojego albo męża, następnie

koszule i podkoszulki swoich synów. Zaczęło się od tego, że Anna Romanowna zamieszkała w pokoiku, chodziła na grób, oddychała powietrzem, jakim oddychał tutaj przez wiele lat jej mąż, wszystko było mniej więcej oczywiste, następnie zaczęła szyć (z początku to też było zupełnie normalne, oczywiste), jednak z czasem okazało się, że Anna Romanowna szyje nieustannie: cerowała pończochy, skarpety, przyszywała jakieś kieszenie, po czym orientowała się, że coś źle przyszyła, ech, nie tak, spruwała i szyła na nowo.

Lera tymczasem chodziła zakochana za swoim Wasilijem. „A co ciebie to interesuje?” – zapytała. Nawet jej nie wypominałem, i co ciekawe, w zupełnej zgodzie z tą miłością do cierpiących nie tylko nie próbowałem wynajdywać w Wasiliju ciemnych stron, ale wręcz szanowałem, a nawet zachwycąłem się nim.

Wasiek jako taki nie był ani zły, ani dobry. Wyrokowiec jak wyrokowiec, wyraził od razu szczerą skruchę, następnie jako osiedleniec połapał się, że to już, wolność, było minęło, i sobie pofolgował; przy okazji trochę się rozzuchwiał.

W Nowostrojnym, nie bacząc na romantyczną nazwę, budowano niewiele. Była tam odkrywka, była praca na odkrywce i było sześć sztuk baraków plus pół setki prywatnych domów. I tyle. Fakt, była jeszcze restauracyjka z głuchawą radiolą tamtych lat, w istocie knajpa z szyldem „restauracja”, mizerna i niepożywna, do której puszczano mieszkańców z prywatnych domów, a barakowych – wyrokowców – już nie. Wasilij potrafił jednak zdobyć alkohol bez pomocy miejscowej gastronomii: prześlizgał się przez kontrolę gdzieś na wjeździe. Na gazie zaś wojował z miejscowymi i milicjantami (było ich tutaj kilku dla nadzoru), milicjantów nie lubił szczególnie i nazywał intelektualistami, co wprawiało mnie i Lerę w nieopisany zachwyt. Słowo to poznał oczywiście dzięki Lerze.

Zamiast przywitania krzyczał:

– E, wy, intelektualisty!

Lera bała się o niego i jak tylko mogła łagodziła jego wojowniczy charakter. Trzęsąc się niby listek, wchodziła w sam środek bójki. Zawisała na rękach, wyciągała z barakowej albo ulicznej scysji na bok, upraszała: „Wasilij, przecież ty taki nie jesteś. Po prostu się rozeźliłeś. Już, Wasilij!”. Albo: „Jesteś mądry, wrażliwy, Wasilij. Po prostu za bardzo się rozeźliłeś, zostaw już!”. Na co on, wedle zwyczaju, odpyskiwał: „A idź w cholerę!”.

Lubił urządzić sobie szybki romansik z kucharką albo nagle zniknął z mięsistą agentką związku konsumentów, Lera odnajdywała go, wyciągała pijanego z zadymionej nory, zabierała od tych kobiet z prostacką i niewyszukaną powierzchownością, poila herbatą, przywracała do przytomności i powtarzała: „Wasilij, znów się rozeżliłeś? Musisz nabrać więcej dobroci, Wasilij...” – żyła, oddychała nim. Potrafiła nie tylko pokochać, ale i się zmienić.

Na drodze kłęby kurzu – to Wasiek. Rozbił się kilkakrotnie, lecz ani na chwilę nie zwalniał na tych paskudnych drogach, jakby mიაռł się na ograniczonej przestrzeni bez prawa wyskoczenia choćby na dziesięć minut za granice Nowostrojnego, poza odkrywkę i zakład wzbogacania sto kilometrów dalej. Półstepowa okolica kurzyła się po horyzont – to pędził wyrokowiec Wasiek. A Lera na niego czekała. Często razem z Lerą, na owalnym wzgórku z krzakami dzikiej róży, czekałem i ja.

– Ech, Gieszka – wyskakiwał z kabiny i zwracał się do mnie – psia twoja mać, czy ty w ogóle wiesz, co to znaczy sobotni kipisz!?

I ścisnął mi rękę swoją szoferską prawą. Lewą zaś obejmował Lerę.

\* \* \*

Szczególnie ciekawe były opowieści Wasilija o odsiadce.

O tym, jak powoli mijają dni i jak straszliwie się człowiek męczy na dechach – bardzo wyraźnie pamięta się tam rodzinne miasteczko, znajome miejsca, twarze, piwiarnię i najlepszych przyjaciół. I jak z tym żyć? A nijak – masz harować i tyle. Patrzysz innym razem na konwojenta, wiatr wyje, a on, znudzony, wodzi karabinem w tę i nazad; też mu jest zimno, kuli się, a tu śnieg, śnieg, i psy chodzą dookoła zony...

Lera:

– Jeszcze w Moskwie przeczuwałam. Widziałam, jak leżysz na dechach, nie potrzebowałam ani szkoły, ani tej studenckiej gówniarzerii, ani festiwalowych filmów z Włoch... Wiedziałam, że jest śnieg i że właśnie wyglądnąłeś z baraku, patrzysz na szare niebo...

On:

– Zlezę czasem z dech. Przypomni mi się piosenka „czornyj woron”. Smutno. Myślę, ech, woron, woron...

Wasilij był pijackim rabusiem, raczej przypadkowym niż umyślnym. Pijany z rzadka napadał na nocnych przechodniów w swoim rodzinnym mieście, ściągał z nich zegarki i pierścionki. Dostał osiem lat. Cztery odsiedział w łagrze, a kolejne cztery odpracowywał w Nowostrojnym bez prawa wyjazdu.

Tutaj też lubił podokazywać, powrzeszczyć, puścić w ruch kułaki, co jednak nie wychodziło poza osadową normę.

– To mój przyjaciel – tak Lera przedstawiła mnie Wasilijowi. Uściśnięliśmy sobie dłonie z całych sił.

Wasilij powiedział:

– Przyjaźń jest ważna. Przyjaźń – święta rzecz.

Otworzył maskę i zaczął grzebać wewnątrz swojej okropnej, niemożliwie brudnej i porozbijanej ciężarówki. Chciał się jej pozbyć. Chciał wałnąć z całej siły w przydrożny słup, ale tak, aby samemu zdążyć otworzyć drzwi i wyskoczyć. „Co myślisz, dadzą nową? Prosto w słup, ale za to trzeźwy jak lza? Dadzą?” – Wasilij pytał, a ja basikiem w tym samym tonie odpowiadałem: „Powinni dać”.

W ogóle żyłem wówczas w tym samym tonie. I to nie tylko dlatego, że naśladowałem Wasilija, nie, że sama sytuacja jakby zobowiązywała mnie do niekonfrontowania się i zgody, skoro chciałem przy nich być. Byłem młody, porywczy. Dlaczego miałbym się nie przyznać – naprawdę chwyciły mnie za serce te jego opowieści z łezką w oku o dechach i kipiszach.

\* \* \*

Był tam pagórek, łysawy, pokryty niewysokimi krzakami dzikiej róży (dziesięć minut piechotą od baraków) – otwierał się stamtąd widok, szeroka i kluczowa panorama, dzięki której Lera mogła już z oddali dostrzec pędzącą ciężarówkę Wasilija. Tam też na niego czekaliśmy. Kręciliśmy się po pagórku wśród krzaków dzikiej róży o drobnych owocach i co rusz zerkaliśmy w tę stronę.

Rozprawiałem:

– Tak, dopiero tutaj w osadzie jest życie, tu są prawdziwi ludzie. Powinniśmy postarać się, żeby tu zamieszkać. Ale trzeba się też zastanowić, czy nie lepiej byłoby wpierw zdobyć wykształcenie, skoro i tak już mamy za sobą dwa lata.

Sarknęła:

– Bzdury pleciesz! Do bycia wagową nie potrzebuję więcej żadnych studiów. Te, co mam, to i tak dużo.

Lera pracowała już jako wagowa (na razie dorywczo), otrzymywała pieniądze, była z nich dumna, szastała nimi, raz nawet całą co do rubla wypłatę oddała Wasilijowi, aby ten ją „przepuścił z przyjaciółmi”. Nieźle jak na początek. Stałą pracę wszakże miała na razie tylko obiecaną.

– ...Może jednak lepiej byłoby wprawdzie skończyć szkołę i dopiero potem tu wrócić? – mówiłem.

– No to na co czekasz – kończ.

– A ty?

– A ja będę tutaj, dopóki tutaj będzie Wasilij. Poczekam i przyjedziemy razem. Tym samym pociągami! I wtedy będzie można pomyśleć o książkach i o wykładach. Ty się akurat wtedy też przydasz, panie docencie!

Słowo „docent” było dla nas wtedy jakby przekleństwem.

Odpowiedziałem:

– Ale przecież bardzo możliwe, że Wasilija *wypuszczą* nieprędko. – Miałem na myśli, że za niepokorny charakter i śmiałe słowa Waśkowi mogą wlepić jeszcze parę lat. Lera rozumiała, o czym mówię.

Tutaj trzeba wyjaśnić: i dla niej, i dla mnie ówczesne słowa i postęпки Wasilija wydawały się niesłychanie śmiałymi. Wpadaliśmy w zachwyt, gdy na głos wybrzmiewały takie słowa jak „dechy”, „wiertuchaj”, „kapo”, „zona” – upijaliśmy się słowami i jak gdyby zachłystywaliśmy tym nadmiarem. (I własną, chybotałą, śmiałością, bowiem zapytując – kapo? zona? – wypowiadaliśmy te słowa na głos. Sercu było lubo, słodko. Pewnego razu przez cały wieczór szeptaaliśmy z Lerą na temat: „Na pewno Wasilija śledzi kapo. Taki człowiek nie może nie mieć swojego kapusia!”. I zgadywanie: „Ale kto...? Myślisz, że stary Michieicz?”).

Obejrzałem się na drobnoowocową różę, na wszelki wypadek niżylem głos i powtórzyłem:

– Możliwe, że Wasilija wypuszczą stąd nieprędko.

– W takim razie do Moskwy oboje przyjedziemy później. Ciebie wtedy już na pewno zrobią docentem i przyjmiesz nas na ulgowych zasadach, po znajomości.

Powtórnego „docenta” można już było uważać za umyślny przytyk. Przemilczałem. Zamknąłem się w sobie.

Oboje przez pewien czas milczeliśmy; ani słowa, cisza dookoła, krzaki dzikiej róży, i oto Lera, tym czułym, tym dawnym, zdumiewającym, czułym głosem, który coraz rzadziej u niej występował, poprosiła – chwyciła mnie za rękaw i poprosiła:

– Jedź już, dobrze?

Czysty dźwięk; po tylu latach moje serce niewiele pamięta: ani samej miłości, ani jej utraty. Pamięta jednak ten czysty, kamyczkowy, dźwięczny głos.

\* \* \*

Pagórek z jednej strony porósł niewielkimi krzewami, ale z trzech innych stron był tysy i obły, co dawało dobrą widoczność na dwie dojazdówki, skrzyżowanie i odchodzący za nim w dal sznureczek drogi. Zataczaliśmy nieduże koła w oczekiwaniu na pojawienie się kurzowej komety – „Wasilij! Wasilij! To on, czuję, jak pędzi, nie mylę się!” – czasem jednak Lera się myliła, mało to było pędzących i kurzących aut, i wówczas dalej krążyliśmy i krążyliśmy po pagórku; przy każdym nowym kole zauważałem (prócz głównej dzikiej róży) co raz to nowe iglaste krzewiny, na uboczu zaś – niezwykle drobną leszczynę. Krzak leszczyny był szczególny: od lewej obłamany i pomięty, niby ścięty, prawą połową zaś rósł jakoś tak w bok, niepewny siebie i pokaleczony. Cały czas patrzyłem na tę jego niezwykle pochyłość.

Teraz myślę, czy nie było to przypadkiem sprawką Wasilija, a raczej sprawką jego ciężarówki – czy przypadkiem nie wleciał kiedyś (z radości, gdy zobaczył czekającą nań Lerę) prosto na ten pagórek, uszkadzając na szczęście tylko ten jeden krzak? Byłoby to w jego stylu. Wleciał. Wyhamował. Powoli i ciężko, *ze zmęczeniem* szedł po ziemi w swoich kirzowych butach – szedł do Lery. „*Ze zmęczeniem*” – jeszcze jedno słowo, które tak wówczas uwielbialiśmy. Lera zrobiła ku niemu krok. Ale nie objęła, tylko surowo spojrzała mu w oczy i spytała:

– Kurs był trudny? Naharowałeś się, Wasilij?

Wasilij splunął w bok gorącą śliną i odpowiedział, że tak, lekko nie było, słodko nie było, ale i tak to przyszcz, na dechach było gorzej.

Obecnie jasne jest, że współczucie, współodczuwanie z poszkodowanymi, którym byliśmy wówczas zaabsorbowani, tak nas przepełniało, że czasami (i właśnie z powodu obfitości) aż się z nas wylewało,



wypełniając i zasnuwając wszystko dookoła jak powietrze, które wypełnia i zasnuwa sobą przestrzeń i wszystkie formy – powierzchnie, bryły, wagony-tiepluszki, jeszcze pełne, jak się wydawało, odgłosów dawnych przesiedleń, pozostałe na oknach baraków kraty, ale i same poobdzierane baraki, a wokół nich wzgórza i lasy, przez które nie da się uciec. Jednak co by tam nie mówić, pragnienie, by przyjść do poszkodowanego, przyjść ze skrucą, pragnienie nieuświadomione (i w obecnej perspektywie poniekąd farsowe), by przyjechać z miasta i współcierpieć wraz z niejakim Wasilijem było bardzo ludzkie.

Obiekt uczuć mógł być nie wart samego uczucia, mógł nie być godnym, uczucie wszak było szczere.

\* \* \*

Gdzie zamieszkiwał Wasiek? (A właściwie, mówiąc prościej, gdzie Wasiek spał, ponieważ mieszkał i toczył życie w granicach, określonych przez kopalnię i drogi dookoła fabryki). A spał Wasilij i miał przydział w baraku numer „jeden”, w pokoju z trzema takimi byłymi wyrokowcami jak on, dwóch z nich to byli młodzi mężczyźni (około trzydziestki albo trochę ponad), trzecim był, wydający się nam wówczas starcem, a niekiedy i konfidentem, pięćdziesięcioletni Piotr Michieicz.

Żyli w zgodzie i lubili powspominać dawne czasy, powoli organizowali sobie na tę okazję wódkę i tak samo powoli ją pili. Zamykali się i na długo zatapiali w dymie.

Byłym więźniom chwile wspomnień wydawały się najwyższym szczęściem i jeśli Lera chciała wówczas pobyc z Wasilijem, to jej nie puszczał. „Nie masz tu nic do roboty” – wypędzał ją, szczerze zamykając drzwi. Lera chodziła dookoła baraku, cierpiała. Trudno powiedzieć, czy mu to schlebiało, czy może wydawało się zbędnym. Następnie znów skrobała w drzwi, żałośnie wypytywała, po czym wychodził i straszył, przepędzał bez ceregieli: „Idź stąd! Mężczyźni tutaj siedzą, a jak nie to w obroty zaraz pójdziesz. Długo prosić nas nie trzeba...!”. Pomrukiwał przy tym pijacko i wieloznacznie, co miało znaczyć, że jeszcze nie znasz, jaskółeczko, naszego brudnego życia... Lera robiła się blada jak ściana. Jej serduszko zamierało, naprawdę bała się trafić do tego ich pijackiego pokoju. Słyszała już o takich przypadkach. W osadzie była knajpa, były kucharki, pomywaczki – kobiet było niewiele, ale były.

Podczas gdy dawni więźniowie za zamkniętymi drzwiami rozmawiali o życiu i niespiesznie wznosili graniastymi szklankami swoje toasty, Lera cierpliwie czekała opodał. Starła się nie płakać, choć czasem płakała; starała się go rozumieć.

Na samym końcu baraku numer „jeden”, od czoła, był pokój zawalony starymi czajnikami (pięć), siatkami i oparciami łóżek zapasowych (trzy), połamanymi szafkami (trzy) i wszelkimi innymi atrybutami barakowego bytu aż po nieme, staromodne, talerzowe reproduktory czarnego koloru. W magazynku tym prawie że do samego sufitu piętrzyły się także jeden na drugim stare, przetarte materace, niektóre wypełnione nie watą, lecz sianem. Na te właśnie materace Lera się wdrapywała (wykorzystywała do tego jedną ze starych szafek) i tam spała. Wasilij do niej przychodził. Jakoś szczególnie jej nie rozpieszczał, tłumaczył, że przywykł do męskiego towarzystwa, do męskich zapachów, przekleństw, do dosadnych słów – schamiał tam, łagrowa znieczulica kaleczy dusze i dlatego nie może ciągle z nią ćwierkać.

Lera powstrzymywała łzy:

– Ja wiem, Wasilij. Wiem, że jeszcze długo będziesz musiał odwykać od tych *dech*.

Wierzyła w to. (Bardzo starała się go rozumieć). Możliwe, że i on w to wierzył.

A teraz myślę, że może naprawdę tak było.

\* \* \*

A gdzie spałem ja...? Byłem tam praktycznie nikim, gościem, który przyjechał niedawno i w dodatku bez zaproszenia.

Miejsca nie było, była za to młodość i był przecież składzik węgla, dobudówka, wyglądająca jak przedłużenie ich baraku i przystawiona akurat do tej ściany, za którą na dwudziestu sfatygowanych i stęchłych materacach spała Lera. W dobudówce były resztki węgla z niedawnego okresu, gdy paleniem w barakach zajmowali się sami mieszkańcy (dopiero w zeszłym roku w osadzie zaczęła dymić niewielka kotłownia). Na tym skamieniałym węglu i na trzech wydanych mi przez Lerę materacach każdej nocy układałem się do snu. Dobudówka była nieduża, do pasa. Wchodziłem do niej prawie jak pies. Wciskałem się. Właziłem. Śmiech bierze na wspomnienie – pewnego dnia zmarznięty wleciałem

tam na czworaka i z rozpędu trafiłem prosto w wierzchni, rozerwany materac, w samą słomę. Drżałem cały z zimna i nawet nie próbowałem się z niego wydostać albo chociaż zmienić położenia ciała – tak też zasnąłem. A co za różnica!

W baraku po lewej były pokoje, po prawej – ściana z szeregiem malutkich okienek. Pierwszy pokój to wspólna umywalnia. Następnie „rodzinny”, czyli pokój byłego więźnia, który założył tu rodzinę. Dalej był jeszcze jeden „rodzinny”, następnie inwalidzi, następnie zaś pokój dwóch mocno postarzałych, białogłowych byłych więźniów, mówiono na nich „dziadki”, i dopiero po nich był niespokojny pokój zamieszkiwany przez Wasilija i trzech jego kompanów, a już za nimi – ostatni pokoik, magazynek, pakamera, w którym na materacach spała Lera. I pół metra dalej, za ścianą (wejście było z innej strony, z dworu) była dobudówka, skład z węglem, gdzie spałem ja.

Za naszym stało jeszcze pięć baraków z wyrokowcami, a za nimi w półkolu pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt prywatnych domków. W centrum półkola była poczta, knajpa, salka kinowa i posterunek milicji. To była osada Nowostrojnyj. Opodal stał komin kotłowni. A jeszcze dalej ciągnęła się duża wiatła, gdzie parkowały ciężarówki – zastał mnie tam pewnego razu mocny, letni deszcz, ulewa, dudniąca w blaszany dach.

\* \* \*

Nocami myślałem o Lerze, Lera zaś o Wasiliju. Gwoli uporządkowania (i pewnego uproszczenia) naszych uczuć można przyjąć, że nocą marzyłem, by przyjść do pokoiku-magazynku Lery, Lera pragnęła być z Wasilijem, a Wasilij siedział ze swoimi koleżkami i cicho pił, wspominając minione dni.

Przychodziłem do Lery dopiero rano – rozmawiałem z nią; stałem w drzwiach, ponieważ nie dawało się wejść do załadowanej szafkami i resztą gratów skrytki. Odpowiadała mi z góry, z wysokości swoich dwudziestu ugniecionych materaców, że przyszedłem za wcześnie i że nie, nie, ona jeszcze trochę pośpi, albo odwrotnie – tak, tak, właśnie się obudziła, zaraz zejdzie, tylko się przebierze, i pójdziemy sobie pochodzić. „Poczekaj na mnie na dworze, Giena”.

Po czym godzinami chodziliśmy po pagórku koło krzaków dzikiej róży.

Mogłem pogrzebać jakiekolwiek nadzieje. Gdy Lera była w pracy (codziennie jeździła na wagę), następowały dla mnie całkiem już nieznosne chwile. Przyjeżdżała późno, od razu zasypiała, a skoro świt jechała z powrotem. Z kolei byli więźniowie nagle poważnieli, rzucali swoje niedopałki i szybko się rozchodzili. Wałęsałem się po osadzie. Byłem sam. Zżerała mnie tęsknota. Próbowałem grać w domino z dyżurnymi milicjantami, ale i oni mieli swoje sprawy do załatwienia, więc znów łąziłem. W taki sposób znalazłem się pod wiatą dla ciężarówek, gdzie zastał mnie bębniasty deszcz o grubych kroplach, który zamienił się w ulewę. Ulewa szybko się skończyła.

Wtedy też po raz pierwszy rozmawiałem z Kostikiem.

Kostik namawiał mnie na wypad. Dowiedziałem się od niego, że w odległości około dwustu kilometrów jest barak z osiedlonymi więźniarkami. Oczy mu błyszczały. Opowiadał, że są w średnim wieku, jurne, ale są też młode. Kostik był filut i obibok, dzień za dniem szlajał się po osadzie, chociaż do odpracowania miał tylko rok. Namawiał na wspólny wyjazd do kobiet, we dwóch to zawsze weselej, a ja się wahałem – młodzieńcze (i takie dręczące!) wątpliwości, poszukiwanie odpowiedzi na pytanie, czy powinienem być wierny Lerze i miłości do niej, skoro ona już żyje z Wasilijem. Kostik nalegał i koniec końców dałem swoją zgodę. Jednak nie zdążyłem – kiedy tak walczyłem z samym sobą, gadatliwego i wścibskiego Kostika zabito.

Pijaniusieńki, chwalił się: „Na koniec miesiąca się *u nich* zamelino-wałem, dwudziestego szóstego i aż do pierwszego. Słyszysz – do samego pierwszego!”.

\* \* \*

Namawiał, żeby jechać okazją do jakiegoś tam przysiółka, a stamtąd kursuje autobusik do skrzyżowania, a od skrzyżowania godzina piechotą i już, cały barak twój, babeczki – palce lizać! To co, siadamy i jedziemy, na co czekać, nie?

Przejmował mnie gwałtowny niepokój, oblewał pot, tłumaczyłem sobie, że przecież życie trzeba poznawać, jakim by ono nie było. Odpowiedziałem Kostikowi z powagą: „Dobra, postanowione”. I nawet zadowolony uśmiechnąłem się pod nosem. „No, o to chodzi” – Kostik poweselał. (Również później, po decyzji, ciągle jeszcze sobie

tłumaczyłem, że każde doświadczenie jest trudne, ale przecież jakże potrzebne!) Kostik był młody, raczej nie był starszy ode mnie. Od czasu do czasu stawaliśmy między barakami na papierosa i omawialiśmy nasz plan.

A potem był samochód. Siedzący do mnie plecami milicjant wstał, zostawił domino na stole i podszedł do otwartej (przed chwilą, z trzaskiem) burty i krzyknął. Zeszli się mężczyźni, pytali: „Jak? Gdzie to się stało? Gdzie go znaleźli?”. Dwóch ściągnęło ze skrzyni, położyli i zobaczyłem trupa z rozbitą czaszką, krew już przyschła; kilka osób stało dookoła, nikt więcej nie krzyczał, mówili mało. Na twarzy Kostik miał przestrasch, spojrzenie było całkiem jasne, jakby zatrzymane dosłownie przed chwilą, i też wystraszone, nie martwe. Odwróciłem się i poszedłem przez osadę, a potem bezwiednie wyszedłem na krzaczasty pagórek, chodziłem, czekałem na Lerę i Wasilija. Dwa małe auta na linii horyzontu – jedno i jeszcze jedno – ciągnęły za sobą szare ogony kurzu. Słyszałem głos zabitego: „Od końca miesiąca, Giena, i aż do pierwszego...!”.

\* \* \*

Mówił mi: „Grun to się tam nie spieszyć. Pamiętaj. Trzeba się skupić. Przyjdiesz, to najpierw herbatka, a jak która dobra, to cię czajem poczęstuje... Grunt to spokojnie. Rozejrzeć się, ale za mocno nie przebierać, bo je zeżłisz... Najlepiej, jak są w robocie i jak w baraku zostaną dwie albo trzy” – i ze słodyczą mrużył oczy.

\* \* \*

Mówiłem Lerze:

– Tak wyraźnie to widzę – oto Wasilij schodzi z dech, smród niemiłosierny wszędzie, siedzą zbici w kupę, łeb w łeb. I krzyk: „Wstać!” – zaczyna się kipisz. Wszyscy stają w szeregu. W kałesonach. Stoją na dworze, jeden za drugim – czekają... Dopiero teraz sobie uświadomiłem, jak poruszającą Wasilij ma twarz: cierpienniczą, ale jednocześnie silną, nie do złamania. Prawda?

Lera (leniwie):

– Prawdziwa, sterana twarz. Życie go nie rozpieszczało.

Ja (z zachwytem):

– Tak, tak! Nie rozpieszczę! Czasem myślę, że...

Lera (przerywa, nie lubi, gdy o Wasiliju mówi ktoś inny niż ona):

– Co ty, gówniarzu, możesz myśleć w tej swojej studenckiej główce!

Ja (zmieszany):

– Ale przecież ty nie jesteś lepsza.

– Zamknij się!

Lera robiła się coraz bardziej ordynarna, przeobrażała się na moich oczach, coraz bardziej czuła w sobie kobietę, jednak jeszcze bardziej wyzywała się wszelkiej wstydlivosti i delikatności. Lubiła, gdy mówiono o niej „baba”. Baba Waśka. Podobało się jej, że otwarcie z nim żyje i nie kryje się z tym. Kolejny krok – lubiła opowiadać o sobie z rozmachem i bez hamulców.

Śmiała się:

– Chcesz, opowiem ci o naszej miłości.

Milczałem.

Ona:

– Oj, niewinność ty moja! A wiesz, jak fantastycznie (i widząc, że oblewam się pąsem)... No dobra, dobra, nie będę już!

I bez tego miałem wyostrzone zmysły – od Lery oddzielała mnie jedynie drewniana ścianka, niby mocna, stabilna, ale nie dźwiękoszczelna. Na początku, gdy Wasilij do niej przychodził, wcale nie mogłem spać. Mimowolnie się przysłuchiwałem; nietrudno było rozróżnić, że raz był przeziębiony i głośno kaszłał, innym razem się usprawiedliwiał, a kiedy indziej był hałas i jego zdenerwowany krzyk – upadł z materacy na stare reproduktory. Głosu Lery jednak nie słyszałem ani razu, nawet wówczas, gdy ich miłość nabrała obrotów i Wasilij zostawał na całą noc.

Pamiętam, jak uświadomiłem sobie, że on tam właśnie został – zostawał zapewne wcześniej, ale wówczas doszło to do mnie po raz pierwszy. Poliki stanęły mi w płomieniach. Słuch się mimowolnie wyostrzył. Czułem straszliwe łomotanie w piersi, a później długą, nagłą słabość.

Tutaj też Lera wykazała się krzepnącym charakterem, jej milczenie było jakby umyślnie i tym bardziej surowe, że czasem, choć nie często, słyszałem w nocy cieniutki pisk Wasilija, nie tyle męski, ile dziecięcoko-żałosny, rozluźniony. A potem jego głos, nocne trzaśnięcie drzwiami i kroki na korytarzu śpiącego baraku. Było jasne, że to mówił Wasilij

i drzwiami trząsał Wasilij, i oddalające się, donośne kroki na korytarzu też należały do niego. Lera zaś nawet nie pisnęła.

Milczenie Lery w moim psim kącie, wypełnionym zapachem skamieniałego węgla i prawie skamieniałego materacowego siana, pomagało mi przetrwać noc. Mogłem myśleć, że jej tam nie ma. Słuchałem pojawiających się odległych barakowych hałasów i hałasików niejasnego pochodzenia. Tak mocno i boleśnie przeżywałem to tylko na początku, później zaś uspokajałem się i już świadomie przekonywałem, że Lery tam nie ma – słyszysz, jak tam jest cicho, nie ma jej tam, nie ma, nie ma, oczy miałem mokre od łez, a jednak nauczyłem się zasypiać.

\* \* \*

Na zakolu rzeczki Choni, na początku wzgórza, przy mogile siedziała staruszka. Pewnego dnia znów ją odwiedziliśmy. Pamiętam, jak utyskiwała, jakby skarżyła się na samą siebie, że rozmawia tutaj, przy mogile, z mężem jak z żywym, dla niej to już normalne, ale niezbyt dobrze byłoby, gdyby ktoś obcy akurat przechodził i usłyszał, Bóg wie, co sobie pomysłi.

\* \* \*

Lato dobiegło końca, a na uczelni rozpoczęły się zajęcia. Okazało się, że ja też tu powoli ugrzązłem. Wydaje mi się, że bez końca chodziliśmy dookoła dzikiej róży, prowadziliśmy nasze dysputy, ugrzęźliśmy i jakby czekaliśmy na jakiś zwrot naszego wspólnego losu, lecz żadnego zwrotu już nie było. I zdarzeń nie było. (Wasilij był zjadłym szoferem, lecz i on wyrznął tylko raz, ściał po drodze dwa słupy i na tydzień pozbawił całą osadę prądu. Tłumaczył, że chciał przeskoczyć normę i *zaliczyć premię*).

To właśnie ów bezruch i bezsens dalszego przebywania w osadzie, męcząca beczynność i nawet monotonia naszych rozmów trzymały mnie tutaj. Bo przecież nie tylko o stratę miłości tu chodziło. Tak, tak. Otóż zazdrościłem Lerze, że odnalazła swój nowy los i nowy charakter, jakby samą siebie odnalazła. Miałem cichą nadzieję, że mi też się poszczęści i też spotkam tutaj nagle, przypadkowo, jakiegoś

rehabilitowanego (może być niedawny, spóźniony, jakiś ostatni, zapomniany, może się przecież taki zdarzyć!) – prawdziwego, autentycznego człowieka, o wiele bardziej cierpiącego od tego przeciętnego tak naprawdę wyrokowca Waśka. Będzie to zapewne starzec, sędziwy człowiek, zaprzyjaźnię się z nim, przecież oprócz grabieżców są tu inni ludzie, przecież ojciec Lery tutaj mieszkał, mieszkali i inni! – wykrzykiwałem (milcząc) i absolutnie nie chciałem uwierzyć, że się spóźniłem, odłączyłem od czasu.

Pewnego dnia Lera jakby przejrzała mnie na wylot i wprost, ordynarnie powiedziała:

– Wynoś się stąd. Spadaj...

I dodała:

– Chcę tu być sama, sama chcę współczuć. Ty tylko wszystko psujesz.

\* \* \*

Więc wyjechałem.

I to w gruncie rzeczy tyle. Tak wszystko dobiegło końca. Minęło wiele lat. Moja córka niedługo będzie w wieku Lery, będzie miała kochającego męża, będą razem studiować. (A ja będę cicho i po mieszczańsku się cieszyć, że wszystko jest u nich zwyczajnie, dobrze, zrozumiale i nie tak jak, powiedzmy, u Lery).

\* \* \*

Płotków wówczas jeszcze nie stawiano. Tutaj ważne jest, z której strony się patrzy: wały równomiernie staczały się z góry albo – na odwrót – jeden za drugim uciekały w dal, do góry, a za wałami były tylko rzadkie, zwodzące spojrzenie krzaki. Żadnych krzyży, gwiazd – same wzgórki, jakby ogromne artele zostawiały tutaj swoich nienadążających w drodze powrotnej z gór.

Gdy góry się kończyły, czuć było oddech bliskiego stepu; ludzie grzebali swoich, a schodząc, już jakby byli w domu i spieszyli do ponownego wstąpienia w relacje wymiany i podziału; rok od roku jednak się różnił. Losy ochraniających i tych, którzy ochraniali, na nowo spletały się i rozplatały.

Wzgórze – a jaka niezwykła, równa pochyłość! Swoich odnosili tylko do wzgórza, tu im się wydawało, że odeszli już daleko i że można



spokojnie chować. Stromizna wałów nie pozwalała nieść dalej. Wszędzie tutaj są groby. A po lewej – białe ospyska. Tam też, rzecz jasna, nauczyli się grzebać: wały jak grobowe wzgórki, wszystko ukrywają, i ziemia nie taka żelazna jak w górach, nie trzeba kuć, to nie kamień.

\* \* \*

Rozmawialiśmy wczoraj z neuropatologiem. (Ojciec jest drażliwy. A ja między nim i lekarzem jak tłumacz, pośrednik – co rusz ustawałem kontakt i łagodziłem słowa). Neuropatolog trochę się puszył:

– A co za różnica, jaki sen! Ważne, że on pana męczy. Mój drogi, poza tym od snów ludzie uwalniają się za dnia, a nie nocą.

Mój postarzały, siwy ojciec się oburzał:

– Jak to nie ważne, jaki sen? (Sądził, że lekarz zamierza zabronić mu opowiadać sny!) Niech pan słucha. Leżę sobie spokojnie w swoim mieszkaniu, tak, mieszkam sam, żona umarła... I nagle jestem jakby nie w mieszkaniu, ale w jakiejś chacie. A na ulicy, za ścianą, jak oszalała trąbi odjeżdżająca ciężarówka...

Psychiatra z kolei mówił mu coś zupełnie przeciwnego: bardzo ważne jest, jaki sen się śni i jak często. Naciskał jednak na podświadomość i chciał jakichś specjalnych szczegółów z życia ojca, a ojciec nie miał żadnych tajemnic, nie rozumiał i wpadał w złość – jakie znowu szczegóły?

\* \* \*

Dziś jest wyjątkowo kiepska pogoda. Niskie niebo. Sny w taką pogodę zapewne już za dnia gromadzą siły na noc.

Dzwonił ojciec. Zazdrościł K. (dawnemu swojemu koledze z pracy).

Wiosną tego roku ojciec wziął działkę. Normalnie nigdy by się nie wystarał, ale znalazła się tam jedna *wybrakowana*, działka-ogryzek na cztery (i jedną dziesiątą) ara, nikt jej nie chciał, ponieważ reszta była po sześć. Tym bardziej, że nie wchodziło w grę poszerzenie – działka leżała na samym skraju, a dalej stały już wysokie płoty bogatych, pół-hektarowych i hektarowych dacz.

Ojciec zaczął entuzjastycznie, przekopał fragment, dookoła posadził krzaki porzeczki, rokitnika i... zobojętniał.

Pewnego dnia, gdy tak nie wiedział, co ze sobą zrobić, zobaczył, że naprzeciwko dużej (hektarowej) daczki ktoś, pewno dzieciak jakiś, powolutku odchyła na bok szeroką deskę płotu. Patrzył. Ćwierkały ptaki. Ojciec powiedział, że myślał akurat o dzieciństwie. Deska trzymała się na górnym gwoździu – bujała się coraz bardziej, aż w końcu poszła w bok. Zrobił wielkie oczy: zamiast dzieciaka był tam staruszek, trochę starszy od niego.

Staruszek ostrożniutko wyszedł przez dziurę w płocie, rozejrzał się. I powiedział z miłym uśmiechem:

– Ale przestrzeń tutaj!

Był to K. Ojciec przyjrzał się i rozpoznał w nim bardzo sprawnego swojego kolegę z pracy, który później zrobił błyskotliwą karierę. Teraz K. był, rzecz jasna, na emeryturze: szanowany, z daczką, samochodem i innymi wygodami. Nie poznał ojca. Nie poznawał już zapewne nikogo, taki cichy i szczęśliwy miał ten uśmiech.

\* \* \*

– Że też mu taki kant przeszedł! – oburzał się ojciec. – Wiadomo, ludzi można oszukiwać ile wlezie. Ale żeby naturę? Dwa razy w jednym życiu mieć dzieciństwo! – oburzał się mój postarzały ojciec po wyczerpującej nocy.

Bo z jakiej racji taki sprytny urzędnik i czarujący intrygant (pretensje nie do daczki i nie do społeczeństwa, krzyżyk im na drogę! – pretensje do natury, lasów, pól, gwiazd) – dlaczego sprytny urzędnik K. nawet pod koniec swojego życia otrzymuje bez troskę i pogodę, a on, uczciwy budowniczy – okropne sny, kołatanie serca, strach nienadążania, po stokroć bardziej przerażający niż strach przed rozpadem i śmiercią.

\* \* \*

Co za noc...! Ojciec dzwonił o czwartej i piątej. Biedny staruszek. Moje serce skrzypi z bólu, ale co zrobić. Dochodzi siódma. Żeby tylko zasnął.

\* \* \*

K. się uśmiechał. Był cały czyściutki, białutką główkę pokrywały delikatne, srebrzyste włoski. Oczy miał czyste, odrobinę może tylko wypłowiałe. I nawet twarz pokrywała delikatna skóra, jakby bez zmarszczek. Ubrany był schludnie: w niebieściutką koszulkę i krótkie spodenki. Tak, to było ono – szczęśliwe dzieciństwo.

– Zwrócił pan uwagę, jak tu dziś dużo jaskółek? – z uśmiechem zapytał mojego ojca.

\* \* \*

Oni budowali i budowali, zdaje się, że stracili już nawet cel i sens tego budowania. Wszystko gotowi byli stracić, byleby tylko móc budować. To była jedyna rzecz, której się trzymali, i ta konsekwencja stała się obecnie ich główną i najbardziej dostrzegalną cechą.

Zdumiewająca była ich wytrwałość i nawet ofiarność, wszystkimi siłami trzymali się tej ostatniej swojej umiejętności. (Tylko dlaczego ona przybrała postać uczucia nienadążania? Dlaczego w ogóle coś przybiera postać czegoś innego?) Wspominając młodość, wspominam wszakże postać, jaką przybrały moje młodzieńcze rozmowy o męczennikach i prostych ludziach, nieoczekiwanie ziszczone (zmaterializowane) w wyrokowcu Wašku. I gdy z zawodowego chyba przyzwyczajenia wchodzę w analizę, w spóźnioną i już nie w pełni wiarygodną rewizję mojego *przepostaciowionego* związku z Lerą, to przede wszystkim pamiętam (z bólem! z pełną jasnością!), jak spadły na mnie moje własne słowa. Pamiętam; myślę, że nie szukam sensu, na co mi teraz tamten sens, szukam uczucia owych dni, chociaż na co mi teraz i tamto uczucie? Po co, skoro nie potrzebuję nauczki, a przeżywane na nowo uczucie tylko drażni, mami swoją niezwykłością, gdy próbuję wejść nie tyle w czas, który już upłynął, ile w moje nienadążanie za nim. Kocham nie tyle Lerę, Wasilija i samego siebie, ówczesnego (choć całą *trójkę kocham*), ile tamten czas, za którym nie nadążyłem.

Myśl, rzecz jasna, jest uproszczona. Lecz to w taki właśnie sposób, ślizgając się na mojej młodości, z niczego pojawił się żywy Wasiek ze swoją ciężarówką, z wiecznymi dechami, i właśnie tak Lera kąsała mnie moimi własnymi słowami, a gdy straciłem jej sympatię i żądałem sprawiedliwości, to sprawiedliwość być może właśnie wtedy trimufowała we wzniosłym sensie słów, które wróciły do mnie niczym bumerang.

\* \* \*

Pamiętam, jak pewnego razu (już na samym końcu mojego pobytu) w rękach Wasilija pojawiła się gitara. Zaśpiewał i okazało się, że nie ma ani słuchu, ani głosu. Było mi tak przykro, że jest niemuzyczny. Strapiłem się, przygąsłem. Pamiętam, że odwróciłem się i wyszedłem. Przecież to symbol! Był dla mnie człowiekiem, który cierpiał.

\* \* \*

Lera (dzieląc się ze mną):

– ... Wasilij opowiadał o swoim życiu. Wiesz, co było tam człowiekowi potrzebne w pierwszej kolejności? Ręce. Mocne i czepne ręce.

Ja:

– Praca to praca. Dopóki jest jedzenie, człowiek haruje.

Lera:

– Jedzenie jest, ale zwróć uwagę, że kierownictwo oskubywało ich nie tylko z paczek. Szczególnie to pośrednie.

Znów Lera (z jakiegoś powodu tym razem już kłótliwie):

– Mylisz się: tam nie można było tak po prostu sobie chodzić. Tylko w grupie ich prowadzali. Tak łatwiej było pilnować. Do kibla...? Też ich mieli na oku. Organizowali ich w grupy po trzy, cztery osoby i prowadzili. Dlaczego...? A dlatego, że zawsze i wszędzie mają być pod nadzorem.

– Ale można przecież nie chcieć samotności.

– Niczego tak się nie chce jak samotności! Właśnie samotności, choćby pięć minut samotności. Nie kłóć się... Zapytaj Wasilija.

– Właśnie że zapytam!

– No i zapytaj!

Tak nasze polemiki zbliżały się do najbardziej napiętego i prawie że magicznego momentu „*zapytaj Wasilija*”... Jednak ponieważ nie było go z nami, wbijaliśmy spojrzenia z naszego pagórka w esowatą nić drogi. Ach, jakże biała była ta droga. Wydawało się nam, że nasze spory to sprawa życia i śmierci, a naiwności ich zapóźnionego i w efekcie parodyjnego wydźwięku, rzecz jasna, nie słyszeliśmy – niech tylko Wasilij przyjedzie i zobaczymy, dowiemy się wszystkiego z pierwszej albo prawie pierwszej ręki.

Jednak chwilę później znów się kłóciliśmy, tym razem o to, ile może znieść w łagrze silny człowiek. Czy na dechach indywidualność jest skazana na zgubę? A jeśli tak, to jak się ratować...? Tak, on jest silny, energiczny, ale przecież został wciągnięty w ogólną bezwolę. Pozostawanie w samotności jest dla niego bolesne i straszliwe, ale przecież nie mniej straszne jest rozpułnięcie w ogólnej uległości.

Samemu nie dają pobyc. Lecz nawet w kolumnie, nawet wśród wszystkich człowiek potrafi być niezawisły, sam. Po to właśnie się pali. Tak, palenie bez zakłóceń jako szczególnie, intymny proces. Jak książka. Wiesz, Lera, jak wielkich triumfów kino by nie święciło (wtedy jeszcze nie mówiono o błękitnym ekranie!), książka pozostanie niezastąpiona dlatego, że jest czynnością intymną. To nauka i spowiedź w jednym...

Oj, przestań już! Może to dla *was* (Lera z miejsca się odcięła!), dla tych wszystkich mądrałów książka jest nauką i spowiedzią, a w rzeczywistości książka to tylko imitacja spowiedzi. Prawdziwa spowiedź to żywy głos. Nie, Lera, i książki, i papierosy, i inne atrybuty wymyślono wcale nie dla, jak ty to nazywasz, mądrałów. Palenie i książka to wejście w rytm. Palenie jest proosobowościowe. To przede wszystkim moja i twoja odrębność. Wyobraź sobie, że idę w kolumnie. Prowadzą nas na roboty. Przychodzimy. Przy czym ochroniarz (i tutaj popełniasz błąd) to też osobowość. To przecież też człowiek. Tak wiem, zły. Tak wiem, dobrych tam nie potrzebują, a z każdego dobrego i tak zrobią złego. Wiem. Jednak nawet taki zły przychodzi na stanowisko i wyciąga papierosa. Tak, chce zapalić. Tak, on też. I zanim chwycę łopatę albo kilof, ja też, *też*, Lera, biorę papierosa, kręcę ciasno, zapalam i z pierwszymi łykami dymu cały wszechświat, lądy i światy, całe niebo i trawy, Tiutczew, Awwakum i Sartre – wszystko to wchodzi w moją świadomość. I nikt – nikt! – mi w tym nie przeszkodzi.

Lera:

– Ale to przecież nie tłum zabija. I znów zapominasz – skąd ty tam niby wytrzaśniesz machorkę? Oni jej nie mają.

– Jak to skąd – przecież palą!

– A jeśli przed paleniem zmuszają ich do pracy...? Albo jeśli im ją ograniczają? Można tak w nieskończoność gdybać – *zapytajmy lepiej Wasilija*.

Po czym naszą kłótnię na temat swobody palenia w łagrze kończyliśmy we względnym spokoju.

– Paskudny mądrała z ciebie. Palisz, ile dusza zapragnie, i wydaje ci się, że Wasilij i inni mogli tak samo... Wyobraź sobie, że leżysz na dechach.

– No.

– No, schodzisz. I co, zapaliłbyś...? Nie, czekaj, czekaj! Ale czy można palić w baraku – oto pierwsze pytanie!

Nie mówiłem jej o miłości, w naszych młodzieńczych latach ten temat się omijało – wstydziliśmy się, krępowali słów, za to mówiłem nagle o tym, że jestem dziś nieswój, że ciężko mi na sercu, że nie chcę stąd odjeżdżać (kocham cię!), a ona odpowiadała, że Wasilij wiele wycierpiał, że ma szramy na plecach i ucho złamane, że żebra do tej pory nie mogą mu zarosnąć mięsem, do tego stopnia są stłuczone i odleżane (kocham go!) – tak mówiliśmy, ile się nam chciało, a nawet więcej, niż obojgu się chciało, mówiliśmy, a dookoła kapał drobny, ciepły deszczyk. Szliśmy w stronę pagórka z dziką różą.

Następnie, aby załagodzić bolesny temat, Lera opowiadała o swojej pracy na drugiej odkrywcze, siedem kilometrów stąd. Siedziała tam w malutkiej budce z szeroką szybą, a przed jej surowymi oczami na ruchomą platformę wjeżdżały ciężarówki – z wagowej strzałki Lera spisywała tyle to a tyle ton i tyle to a tyle set kilogramów, odliczała masę własną pustego auta i otrzymywała netto.

Brakowało słów, nie potrafiłem wyrazić tego, że przyjeżdżając tutaj, kochając i codziennie, co noc będąc krzywdzonym jej bliskością z Wasilijem też przecież jestem – na wyciągnięcie ręki! – nieszczęśliwy, też jest mi ciężko w klitce na skamieniałych grudach węgla. Też chciałbym współczucia, i dlatego ona nie wspiera, nie ratuje mnie? Zresztą moje uczucia nie były aż tak wyraźne, poza tym zdawałem sobie sprawę z tego, że moja miłość, i druga taka, i trzecia jest niczym w porównaniu z dechami, przez które Wasilij nie może nabrać z powrotem ciała.

\* \* \*

Do dobudówki-skrytki wbiegł pies, obwąchał wyleżany materac i pewno nawdychał się paprochów, bo zaczął kichać i wyleciał precz.

Akurat przechodziliśmy obok.

– A jemu co? – zapytała Lera.

Zmilczałem.

Musiała jednak coś nagle poczuć, jakby wyrzut, chciała przecież cierpieć sama. Powiedziała:

– Słuchaj, dosyć. Zabieraj się stąd.

## 5

Wyjechałem. Lecz przedtem było jeszcze jedno spotkanie, jakże podobne do tych moskiewskich z okresu naszej miłości.

Strapiiony, pojechałem raz jeszcze do domku nad rzeką Chonią. Przyjechałem wcześniej, przed południem. Dowiedziałem się, że Anna Romanowna już wyszła i poszedłem za nią. Cztery ogrodzone mogiłki. Wszystko bez zmian. Przy jednej z nich na ziemi, na złożonej gazecie siedziała Anna Romanowna. Milczała. Dzień był taki przyjemny, ładny.

Nie przeszkadzałem. Ulokowałem się opodal, parę kroków od niej. Siedziałem na kamieniu i wolno paliłem. Krzaki dawały cień. Niedaleko było źródło z niezmiennie stojącym na kamieniu żelaznym kubkiem. Przelatywały jerzyki.

Minęło z pół godziny. Obok nas przeszła jakaś sędziwa babunia, zgarbiona i tak stara, zgrzybiała, że bardzo postarzała po przyjeździe Anna Romanowna w porównaniu do niej wydawała się jeszcze dostatecznie krzepka i żwawa. Pamiętam, jak babuleńka obejrzała się na nas i zapytała: „Na Biezimiankę którą?”. W odpowiedzi wzruszyłem ramionami, a Anna Romanowna, która słyszała to pytanie nie po raz pierwszy, wyciągnęła rękę w prawo, pokazując oddalony cel.

Spojrzałem tam i jak w dzieciństwie zobaczyłem równe wzgórki. Za czterema przyzwoitymi ogrodzeniami (wewnątrz jednego była Anna Romanowna), za krzakiem dzikiej róży i dalej za źródłem zaczynał się zdumiewająco równo wznoszący się i jakby pustyнный obszar. Nie wiedziałem jeszcze, że jest to góra.

Zlewające się koniuszki wysokiej trawy i niewysokich krzewów jakby się poruszały i wydało mi się, że tam, pomiędzy wzgórkami, wspina się grupka ludzi – możliwe, że artel. Góra wnikała we mnie swoją obrazową zrozumiałością (poprzez dzieciństwo), naciskała powoli odsłaniającym się ogromem, ciężarem, oddychała i wchodziła we mnie, ja zaś nic sobie nie uświadamiałem. Tylko siedziałem i patrzyłem na zgarbioną, wiekową babulkę.

Ta była już daleko. Szła pośród równych wzgórków jak wśród mogił, jakby chciała odnaleźć tę bliską sercu, swoją. Tak długo patrzyłem na nią, że płaskie wzgórze przestało być wzgórzem, a stało się górą niezliczonej i nie wiadomo kiedy pogrzebanej rodziny ludzkiej – ludzi samotnych, zmarłych w opuszczeniu, zaginionych, zapomnianych albo prawie zapomnianych. Pośród nich szła ta babunia. Szukała swojego wzgórka, im dalej, tym uważniej i wolniej, jakby coraz bardziej wyczerpana. Widziałem nagle jej główkę, siwiutką w czarnej chustce, a za wałem odsłoniła się do pasa cała jej szczupła figurka. To znikwała, to z powrotem pojawiała się tylko główka. Była malutka. Płamka ciemnej chustki nad falującym mirażem niezliczonych wzgórków-mogił była już ledwo dostrzegalna.

A za nią, zdawało się, ruszyli ludzie; jakaś siła wiodła ich wszystkich w jednym czasie (jakby zadusznym). Pojawili się od strony drogi i ciągle szli, szli, bez liku – w kapeluszach, cyklistówkach, chustkach, bez nakryć, męskie, kobiece twarze i drobniutki w oddali twarzyczki dzieci. Strumień, ale bez ciżby. Nawiedzili swoich, posiedzieli przy wzgórku, pomilczeli, odpoczęli i chcieli wstać, ruszyć w drogę powrotną, gdy góra nagle sama się nachyliła, zwiększyła swój i tak już odczuwalny kąt i nie rozróżniając ani ich dawnych win, ani współudziału zsyłała ich ze swoich równych wałów, strząchnęła i wypchnęła z powrotem w terazniejszość, nie przyjmując zapewnień ani słów skruchy. Taka ułudna góra. Spojrzałem – i nikogo już tam nie ma, a były tysiące.

Tylko babulka. (Tylko samotna płamka jej ciemnej chustki).

\* \* \*

I ciepły dzień...

Dopaliłem kolejnego papierosa, kiedy Anna Romanowna wstała z ziemi. Zauważyła mnie, kiwnęła. Uśmiech jej był ostrożny, ślepy: „Dzień dobry”. Zrównałem się z nią i odpowiedziałem: „Dzień dobry, Anno Romanowno!”.

Wróciliśmy oboje do domu.

Po drodze chciało mi się coś powiedzieć i zacząłem mówić o Lerze, co dla mnie samego było zaskoczeniem. Tyle czasu milczałem, a tu przed samym odjazdem nagle powiedziałem:

– Dobrze by było, gdyby Lera kontynuowała naukę. Po co ona tu siedzi, zaczął się rok akademicki.



Powiedziałem to po prostu, jak powiedziałaby nieobojętny krewny. Anna Romanowna cicho odpowiedziała:

– Tak, dobrze by było.

Po przyjeździe zastaliśmy w domu czekającą na nas Lerę – przyjechała i przygotowała herbatę z obwarzankami.

Usiedliśmy. I znów wszystko odbywało się po cichu, z pewnym przygłuszeniem. Tyle dobra było w tej ich ciszy. Lera napełniła nam filiżanki. Obwarzanki lerzały na okrągłej plecionce na środku stołu. Milczałem. Miałem nadzieję, że lada moment zaczniemy rozmawiać. Lecz nie zaczęliśmy. Piliśmy herbatę, a po zmierzchu Lera przyniosła od gospodarzy świeczkę na niziutkiej podstawce. Jak gdyby powtórzyło się to nasze spotkanie w ich moskiewskim mieszkaniu, tylko zamiast domowych ciastek były obwarzanki; tak samo nieśmiało i ostrożnie sięgałem ku środkowi stołu do plecionki. Płomień świecy chwiał się nieznacznie. Lera cicho opowiadała Annie Romanownie o tym, że umyła podłogę i przywiozła z Nowostrojnego prowiant, położyła tam i tam.

Znów poczułem chęć choćby napomknięcia o rozpoczynających się w Moskwie zajęciach. Widziałem jednak, jak dostojnie Lera nalewa herbatę, jej spokojne ręce, spokojne, złączone usta Anny Romanowny, jej cichą, ukojoną twarz – i się zawstydziłem. Było im dobrze. Wtrącanie się było niepotrzebne. Poprosiłem jeszcze herbaty. Lera nalała i zapytała, czy mam już bilet i czy niedługo wyjeżdżam – odpowiedziałem: „Niedługo”.

Na moment zajrzała gospodyni, żona kolejarza, i powiedziała, że włączyli już prąd i że nie musimy siedzieć przy świecy. I wyszła. Lera jednak światła nie włączyła. I wtedy doszło do mnie, czego jeszcze tutaj brakowało – portretu, który pewnego dnia pokazała mi Anna Romanowna. Szepnąłem: „Jeśli chcesz, to mogę wam za jakiś czas przywieźć portret ojca” – „Nie trzeba. Poradzimy sobie”.

\* \* \*

Zapewne sny dawno już (zawsze, przez całe życie?) skromnie stały na progu jego świadomości, wstydlive, nie śmiały wejść. Niekiedy zaglądały przez drzwi tylko na moment, pokazywały się, lecz ojciec, jak to zwykli robić ludzie silni, nie przypisywał im znaczenia („Co za bzdury...!”). Śmiał się, był wówczas pełnoprawnym gospodarzem tego dużego mieszkania.

Lecz gdy się postarzał, one odnalazły swoje wejście. I teraz noc za nocą ojciec cierpi katusze.

Za dnia, rzecz jasna, zaprowadza w sobie porządek. Co więcej, sam przywołuje te paskudne myśli, próbuje dojść z nimi do ładu, problem w tym jednak, że one nie uznają jego gotowych, dziennych rozmów, czekają nocy, słabości, by wtargnąć. Niech się uspokoi. Niech tylko przylgnie do poduszki. Gdy już wtargną, zaczynają się panoszyć, pieklić, wyć, krzyczeć, awanturować, szaleć w środku nocy, a on nic nie może na to poradzić.

Skoro wtedy nie nawykł do liczenia się ze swoimi snami, to teraz one nie będą się z nim liczyć. Tak, myśli już, że to musi być pomsta, tyle że pomsta właśnie zaczyna się od świadomości, że to za coś.

Ojciec niekoniecznie musi być moim protoplastą, mojej przyszłości, starości. A jednak myślę o tym. W pokrewieństwie jest pewien cień, ciemna strona: rozpoznawanie samego siebie. Żałowałbym ojca o wiele bardziej, o wiele bardziej (i zrozumialej) bym jemu współczuł i kochałbym go klarowniej, gdybyśmy nie byli spokrewnieni, zbyt spokrewnieni.

Moja miłość do niego ma za to twarz, ma wyraz twarzy i oczy na twarzy.

\* \* \*

Pewnej nocy, szukając śladu artelu, Losza uczepił się uciekających rabusiów. Szedł za nimi całą noc, nie wiedząc w istocie, za kim idzie i kogo goni. Po prostu szedł. Cerkiewni złodziejaszkowie (było ich dwóch) tymczasem uwierzyli, że ktoś im depcze po piętach – zwiad, pogoń, a za zwiadem jak zwykle idą rozwścieczeni chłopci z pałami. Uciekali coraz szybciej. Na drugą noc ogarnął ich silny strach, gdyż nie mogli pojąć tego zapamiętania, zaciekleści, z jaką tamci chcą ich, zwykłych opryszków, dopaść. Podczas tej drugiej, a szczególnie trzeciej nocy prześladowań uwierzyli, że to anioł-mściciel. Malec biegł za nimi z góry na górę z rozpostartymi rękoma i rozwiewającymi się białymi włosami. Byli doświadczeni, więc na jakiś czas udało im się zatrzeć ślady. Zaszyli się w niewidocznej stróżówce, siedzieli tam w ciemności o samych sucharach, nie palili ognia. Mały anioł-mściciel zaś krążył opodal, czując, że są blisko. Nawoływał coraz głośniejsze: „Czekajcie! Czekajcie na mnie!”. Mistyczny strach wreszcie zmógł

ich i obaj sfiksowali. Nieustannie słyszeli wołający ich głos; to tu, to tam nocami pojawiało się nieduże ognisko ogrzewającego się małego Loszy – strzegący ich ogień.

Nawet nie ważyli się pomyśleć o tym, aby przejść od strony Loszy, po drugiej stronie zaś mieli górę. Zaryzykowali i weszli, jednak zejście już było po pionowej skale. Roztrzaskali się. Spadli, lecz nie na ziemię, a na inną (niżej położoną) skałę, na jej kwadratową półkę – aż taką stromość przyszło im pokonać, związanym jednym sznurkiem, oszalałym. Zakończyli życie na niewielkim, skalnym tarasiku, na stopniu, w mękach i krzykach z bólu w połamanych żebrach i kończynach. Przyjęli to jako karę za zbezczeszczenie świątyni. Dwa szkielety wymyte przez deszcze leżą tak w tej rozpadlinie na pokaźnej wysokości do naszych dni.

Wejść tam nie ma jak, można je za to zobaczyć z wyższej (lecz bardziej dostępnej) góry, co też często robiliśmy w dzieciństwie, strasząc się nawzajem. A już za naszych dni podczas przelotu regularnym helikopterem w kierunku elewatora nad rzeczką Arachówką, niedaleko przełęczą i nagich skał, jeśli pilot będzie w dobrym humorze, na pewno pokaże skalną półkę z prawej strony i dwie kupki wybielonych przez wiatry kości. Piloci lubią pokazywać tę osobliwość.

Pasażerowie często sami wiedzą, kiedy należy wyglądnąć. Powstała legenda, historia-przylepa, o tym, że nie wszystko jest tutaj takie jasne i oczywiste i że jeden szkielet należał do kobiety. Legendy o miłości są najbardziej żywotne, choć może i nie najsilniejsze. I oto już ktoś dopowiedział ckliwą historię o dwóch kochających się sercach, które uciekły z katorgi albo z chutoru staroobrzędowców. Miłość przejmuje śmierć, przeorientowuje, dostosowuje do siebie, napęlnia zmysłowymi detalami (triumf życia?!) tak, że mało kto już chce słuchać o jakimś tam Loszy, zdolnym dłońmi, łokciami, a szczególnie szramami koślawych swoich rąk odnajdywać złotonośny piasek.

\* \* \*

Wersja bardziej prozaiczna. Mały Losza przez pomyłkę gonił grabieżcę, a ten był konno, kobyła jednak, zupełnie wynędzniała, może chora, ze żrebakiem, ledwie szła, przez co nie odeszli daleko. Dokąd spieszył się grabieżca i co popełnił – nie wiadomo. Mały Losza dogonił go na trzeci dzień i dopiero zobaczył, że się pomylił, że to wcale nie

artel szedł po wzgórzu, głośno kołysząc krzakami, a jeden człowiek, przy czym człowiek zły. Uciekał przed pogonią, nie miał za wiele czasu.

W złości rzucił się na Loszę, chciał go zabić, lecz mały mu powiedział: nie rób tego, mnie Bóg miłuje, dręczy, ale miłuje. Tak powiedział. „Bóg?” – z drwiną spojrział mu w oczy, lecz nie zobaczył tam żałośliwej łzy (łzom akurat nie wierzył), a ową błękitną mgłę, białawo-błękitną zawiesinę, co tak dziwiła i przerażała. Cofnął rękę. Wściekłość jednak pozostała, więc podszedł do swojej słabowitej, zaszczutej kobyły i uderzył ją. I jeszcze dwa razy. I zatłukł. Ta upadła i już się nie podniosła. Złodziej zabrał worek i poszedł swoją drogą, żrebak zaś został przy kobyle. Ta rzęziła, wierzgała i po konwulsjach ucichła. Żrebak lizał jej boki, mordę, pysk. Lizał martwe oczy, które otwierały się i na moment ukazywały błękit, po czym zamykały się z powrotem.

Losza kucnął obok i patrzył na kobyłę, na żrebaka. Śmierć widział często i nie bał się jej. Był tylko bardzo zmęczony, nie mógł nadążyć, tak długo przecież biegł, a tu się jeszcze okazało, że w złą stronę.

\* \* \*

Mały Losza był średniego wzrostu. Nawet trochę wyciągnięty (podłotek), chudy, o ładnej twarzy, prostym nosie, opadających ku przodowi jasnych włosów, niewielkiej ilości zębów. Trochę się jękał. Z trudnością wypowiadał pierwsze, początkowe słowa.

\* \* \*

Istnieje rodzaj samodawolenia, polegający na uważaniu się za przynależącego do oddziału, kolumny, artelu, które docierają się wewnątrz i maszerują prawidłowo oraz w miarę szybko. A tamci, inni, są zapóźnieni.

„Sen dokucza, dlatego że dokucza pamięć? Jest pan pewien? Tylko co on takiego szczególnego miałby pamiętać, czego nie chciałby mi powiedzieć?” – powtórzyłem cicho.

„Ale! Nie zna pan starszków!” – odpowiedział psychiatra, poruszył ustami, szepnął, gdy wychodziliśmy z gabinetu.

Przed nami szedł mój ojciec, stary człowiek, który niczego nie taił i nie ukrywał, który jednak stracił coś bardzo ważnego, miłosiernego

(stracił może dawno, lecz pojął to dopiero teraz, na swoje stare i słabe lata).

I znów dzwonił przez całą noc. O drugiej i czwartej. Później w pół do szóstej. Do końca swoich dni będzie doganiał tę przepełnioną ludźmi ciężarówkę.

Taki wspaniały wieczór! Przyjechałem, kiedy skrobał ryby – dwie rybki, które „sam złapał”, przesiedział cały ranek z wędką i obłowił sąsiada (to on zawołał go na ryby, pochwalił się po drodze, w efekcie złapał tylko jedną).

Z tymi dwoma rybkami, ręce w łuskach, nóż w łuskach, nawet szyja w poprzyklejanych łuskach, ojciec był wspaniały, dobry, ludzki. Powiedział, że po drugiej rybie nie mógł więcej łowić i tylko wspominał żonę – moją mamę. I mgła, mgła nad rzeczką...

– Ty chociaż rozumiesz? Choć ty mnie rozumiesz? – pytał, a ja rozumiałem tak jasno, czysto, tak niewyraźalnie (słowami), że tylko kiwałem. Ojciec w tym czasie rzucił swoje rybki na patelnię. Zapach gorącego oleju wypełnił jego kuchnię, uśmiecaliśmy się w milczeniu, i wszystko to razem było szczęściem, lecz z jakiegoś powodu wydawało się szczęściem nie dla nas, nie u nas – zdawało się, że to dawne nasze szczęśliwe dni.

\* \* \*

Krzaków porzeczeki K. u ojca nie dostrzega. Wydaje mu się, że tak dużo jest tutaj wolnej ziemi. W porównaniu do jego dachy wszędzie tu pusto. (A tam są brzozy. Cały hektar różnorodnych kwiatów ogrodowych i innych użytków z warzywami, truskawkami, dziesiątkami jabłoni.)

– Jak tu swobodnie! – mówi ojcu.

\* \* \*

W ostatnie noce przed odjazdem z Nowostrojnego spałem czujnie. Za moją dobudówką cicho, aczkolwiek wyraźnie pohukiwał wiatr, ciągnął po barakowej podłodze i owiewał talerzowate głośniki, mysz tam drapała i raz, czasem dwa razy na noc słysząc było cieniutkie i zmysłowe pokrzykiwanie Wasilija.

\* \* \*

Wyjeżdżałem; wpierw długo jechałem ciężarówką, potem pociągiem. Siedząc w wagonie, cicho wpatrywałem się w przemykające za oknem sosny i wzgórza; podparłem ręką głowę i sączyłem pachnącym dymem herbatę, czując Losza tymczasem (w swoim wymiarze czasowym) spieszył za brodatymi poszukiwaczami złota. Pociąg nabierał prędkości. A gdy wdrapałem się już na swoje górne łóżko i zasnąłem, Losza też wreszcie dobijał do śpiącego artelu i w środku nocy, zziębnięty, bez kolacji, wsuwał się pomiędzy ciepłe ciała.

Tak się złożyło, że Fiediaicz sprowadził i trzymał przy sobie babę, przekonał ją jakoś i ciągał wszędzie, karmiąc, naturalnie, na koszt artelu. Poszukiwacze byli niezadowoleni, ale nikt nie ważył się pisać – łapsko miał ogromne... Tym bardziej brodaci i masywni chłopcy odbijali sobie teraz za swoje uległe milczenie i nawet drwili, kiedy okazało się, że ta zapalała nagle litością do biedaczyny (zrozum tu babę i jej litość!), a szczególnie, gdy Fiediaicz w środku nocy zorientował się, że u jego boku ona śpi z wymęczonym i zziębniętym małym Loszą w objęciach, przy czym „mały” miał już za sobą szesnaście wiosen. Wściekł się. I wydarł w środku nocy. Poszukiwacze poprzebudzali się i również w krzyk. Losza zaś tylko mrugał i nic nie rozumiał. Tłuc go, przydatnego dla sprawy biedaczka, był, rzecz jasna, grzech, można mu było najwyżej spuścić trochę krwi, więc pacnął go niemocno swoim sążnistym kułakiem.

Rozumiał, że malec przyszedł z zimna, półsenny wlaźł i się przycisnął, do chlewa też by wlaźł, byle do ciepłego. Towarzysze jednak sobie pokpiwali, więc nie należało tego tak zostawiać.

– Aaa... Bo-oli... – Losza wycierał rozbity nos.

\* \* \*

Szczególnie wielu tego typu ludzi przychodziło z okolic Wołgi, rudowłosych, szerokolitych i natarczywych. Lubili się pośmiać, a śmiech ich był kaskadowy, gromki i niekłamany. „Ha-ha-ha-ha...” – przy czym oczy zupełnie się nie śmiały, usta rozwarte, promyki dookoła oczu, a w jasnych oczach pusto. Chodzili z kilofami, łopatami, z czerpakami i z jednym jedynym pytaniem:

– Gdzie?

Za nimi szli miejscowi, nasi, najgorsi z naszych, co za lokalizację z samorodkami sprzedaliby kości swojej starej matki.

Wszystkich ich – tak przybyszów, jak i tubylców – interesował ów wyciągnięty podłotek, biegający za artelem, szpetny, ale czujący. Obawiali się jego rąk.

\* \* \*

Gdy nie mogąc nadażyć siedział sam w górach, podeszło do niego trzech mężczyzn. Zmierzchało, choć było jeszcze jasno; siedział na pagórku (zmęczony) i patrzył w dół na wijącą się drogę. Było ciepło. Zachód. „Szczęść Boże, Aleksiej” – „Bóg zapłać”. Przysiedli z boku na kolację, Losza zaś położył się po całym dniu biegania z góry na górę.

Wypili. Wyciągali prowiant z toreb. „Jak złoto? – pytali. – Widzą twoje cudne rączki złoto?” Jedzenia Losza miał ledwo ledwo, więc go nakarmili. Dali bałyku i ikry. A potem nagle pojawił się sznurek; mały się zerwał, lecz ten z prawej zdążył go przytrzymać za nogi; gdy go wiązali, udało mu się schwycić kamień – uderzył raz, drugi, trzeci, ucho i potylicą w krwi, jednak tamten utrzymał jego wierzgające nogi, krzepki był, zalewał się krwią, ale trzymał. „Nie mam złota, mili bracia, nic nie mam!” – krzyczał. „Wiemy, że nie masz”. Związali go, po czym łomem przebili mu czujące ręce.

Cała trójka działała sprawnie. Dla pewności jeszcze naciskali i macali aż na wylot – przebite są? – te same, niegdyś krzywo zrosnięte i czujące – przebite? – a gdy się upewnili, powbijali jeszcze nożyk w mięso, żeby na wszelki wypadek porozcinać ścięgna. Losza stracił przytomność. Rozwiązali go i odeszli. Zostawili jedzenie. Bałyk i ikrę. I wodę. Żeby nie umarł.

\* \* \*

Na jakiś czas przygarnęła go pewna babka. I wyleczyła. Tamci trzej nie chcieli brać na siebie grzechu, nie chcieli zabić. Chcieli tylko, żeby przestał wreszcie z tym złotem, sami chcieli szukać i znaleźć, a jak można znaleźć coś po nim? Jak można znaleźć, gdy idzie się tą samą ścieżką i gdy ma się przed sobą człowieka, który czuje? Mieli

nadzieję, że kości może zrosną się na nowo i utracą swoje złotonośne zdolności. Oni też chcieli móc coś znaleźć.

Na swej drodze Losza szczęśliwie natrafił na stanicę. Był umordowany, ledwo szedł; stanica była mała, gdzieś po Kosyrtem. Przy samej drodze zaś stała wiekowa staruszka, znachorka. Wystraszyła się, gdy Losza zbliżał się do jej domku. On jednak zaczął się uśmiechać, jak tylko mógł. Był wczesny ranek. Zobaczyła, że jest zupełnie jeszcze młody i że oczy ma dziecięce, błękitne. Ledwo szedł. Wystawił przed siebie zdruzgotane kości, aby nie trącać ich podczas marszu. Zapytała:

– Kto taki?

I jeszcze, nie mogąc dojrzeć:

– Co niesiesz tam?

– Swoje ręce. – I uśmiechnął się, aby staruszka przestała się bać.

\* \* \*

Wasilij miał w zwyczaju pogardliwy zwrot.

– A żeby cię...! – rzucał, besztając amatorów domina. W szczególny sposób kleił się właśnie do graczy i jedną z rozrywek upatrzył sobie w tym, by iść wzdłuż baraku ku dwóm zestawionym stolom i groźnie wymyślać tym, którzy w sobotni, spokojny poranek przy nich nieruchomieli i cicho dostawiali kamień do kamienia: A żeby cię...!

Właśnie w sobotni poranek, nie mogąc wysiedzieć w czterech ścianach, Wasilij wychodził na dwór i od razu zaczynał: kolistym ruchem miewał kamienie, a któryś z graczy wówczas zamachiwał się (albo wyzywał), na co Wasilij też się zamachiwał i wygrażał (i wyzywał). Do bójki jednak nie dochodziło. Mogli zwiększyć, jak to oni mówili, *odklepkę*, a komu to było potrzebne, skoro został im jeszcze rok, góra dwa, i do domu!

Wasilij paradował bezkarnie przy stołach i dokazywał, jednak gdy dochodziło do bójki, wszystko odbywało się szybko, prawie błyskawicznie i zawsze wieczorem, w ciemności (po stronie, której nie obejmowało światło dwóch barakowych lamp). Wracał wówczas do baraku z ogromnym siniakiem na twarzy i przez pół nocy szalał: „Szujka jedna, po żebrach bił. Jutro go po śliwie poznam. Też go podbiłem...”.

I tak przez całą noc z soboty na niedzielę. Wtedy jeszcze bardziej pragnął porozmawiać o życiu, powspominać – całą noc zza uchylonego



okna baraku donosiły się jego pijackie (niekiedy wzruszające) perory i śpiewy z koleżkami z pokoju, z prostymi wyrokowcami, którzy może go właśnie pobili. Takie to życie. Możliwe, że Wasilij peszył się, nie wiedząc, skąd i za co spadł mu z nieba taki cud jak Lera. Nie wiedział, co z tym cudem zrobić. Nie oszczędzał jej w swoich perorach: „Chcesz, to ci ją oddam na jeden raz! Co mi tam! Co jakaś baba ma do naszej przyjaźni i tylu wspólnych lat! Suche skórki żeśmy razem gryźli! Pół skręta na dwóch! A Lerka nawet nie musi pić, powiem jej, że jesteś moim przyjacielem i że też cierpiełaś. Ona to zrozumie, umie współczuć. A jak przytuli...”.

\* \* \*

– Nie mamy najmniejszego prawa mówić o jego przewinach w przeszłości! – wołałem.

– Ani trochę! On był na dechach. Rozumiesz? Na dechach! – wołała Lera.

\* \* \*

Wasilij w marynarce narzuconej na ramiona według mody ówczesnych lat podchodził do grających i mówił:

– A żeby was...!

A my (Lera i ja) wstrzymywaliśmy oddech. Śledziliśmy jego silną, masywną rękę, krążącą nad kamieniami domina. Pomiesza? Oj, żeby nie! Gracze są zawsze poddenerwowani... Ręka krążyła w powietrzu nad dominem, nad prymitywną grą, równiutką linią kamieni, a jeden z wyrokowców (czasem był to zabijający czas przy grze milicjant) mówił:

– Wasiek, uspokój się.

Czasem ręka nie mieszała kamieni: po tym jak pokrążyła w powietrzu i postraszyła grających, wywołując w nich tym samym dodatkową irytację, wznosiła się nad stołem, lecz nie po to, aby dać im święty spokój – Wasilij nagle ściągał, zrywał (obiema rękami) z głów czapki i zamieniał je miejscami. Głowy były różnej wielkości, więc na solidny łeb naciągał za małą, zwykłą cyklistówkę, a drobna łepetyna siedzącego naprzeciw więźnia z kolei tonęła w ogromnej czapce milicyjnej.

– A żeby was...! – mówił Wasilij i odchodził (w stronę swojej ciężarówki). To sobotnie widowisko z czapkami było ostatnią rzeczą, którą tam zapamiętałem.

W sobotę wyjechałem.

O świcie wsiałem do kabiny ciężarówki, za kierownicą usiadł Wasilij, a z drugiej strony, trzymając na kolanach moją walizeczkę, siedziała Lera. Jechaliśmy tak we trójkę, zgodnie podskakując na wybojach i dotykając się nawzajem ramionami. Każdy wyrokowiec albo miejscowy, który szedł wówczas po ulicy, mógł oglądać ową tradycyjną scenę końcową – trzy twarze za szybą pędzącej ciężarówki. Auto podskakiwało na wybojach i trzy twarze za przednią szybą przesuwały się w tę samą stronę, trzy głowy równocześnie wciskały się w ramiona, przy czym jeden z tych trzech (Wasilij) kręcił kierownicą.

\* \* \*

Gdy pociąg ruszył, widziałem przez okno, jak oboje, Lera i Wasilij, zostali na peronie („Więcej nie przyjeżdżaj” – szepnęła mi Lera). A razem z nimi pozostały wyciągnięte wzdłuż torów sosny i pagórki oraz wspaniały płaskowyż, który miałem przed oczyma pół godziny później. Nie miałem wrażenia, że zostałem przepędzony. Wyprawiono mnie w swoją drogę. I więcej już mnie nie było w wymiarze czasowym Lery, Wasilija i pochylonej nad mogiłą Anny Romanowny.

Po powrocie do Moskwy, pełen goryczy i nie wiedząc, od czego zacząć, siadłem z powrotem do pisania. Było to zrozumiałe. Uczucie straty (i zagubienia) monotonnie, tępo dręczyło mnie dzień za dniem. Mały Losza w moim zeszytyku zrobił się kimś o wiele większym niż tylko nienadążającym młodzieńcem. Żyłem nim. Praca szła – zapisywałem stronę za stroną jak opętany. Rzadko chodziłem na wykłady; nie żyłem, lecz jakby ślizgałem się z dnia na dzień swoim jeszcze mało ważkim ciałem, marzyłem o chwili, kiedy przyniosę opowieść do „Nowego miru”, a przyjmie ją sam Twardowski.

Jako tako zdałem zimową sesję. (Tak, tak, w twardym, maksymalistycznym nastroju przyniosę mikropowieść do działu prozy i powiem, że chcę, aby to Aleksandr Trifonowicz ją przeczytał, słyszałem, że on sam czyta debiutantów. Tak, wiem, że jest bardzo zajęty, ale jestem gotów poczekać).

Jak każdy początkujący literat, spieszący odnieść swój pierwszy tekst do czasopisma, sądziłem, że moja mikropowieść na pewno nie jest zła, ba, jest dobra, i że zostanie zrozumiana, odpowiednio oceniona, wydana, a ja, iksiński, zostanę przyjęty w poczet ówczesnych nazwisk „Nowego miru”.

Ale to przecież niemożliwe, istne szaleństwo! – mówiłem sobie, zupełnie młody i początkujący – to przecież niemożliwe, co by to było za szczęście...! Ale dlaczego niemożliwe, dlaczego szaleństwo – mówiłem sobie, zupełnie młody i posiadający swój pierwszy tekst – właśnie tak to się odbywa, życie literackie to też jest życie, przynależność i udział muszą się przecież skądś wziąć.

W tamtym okresie zamówiłem też międzymiastową z ojcem i długo opowiadałem mu o „Nowym mirze” i w ogóle o śmiałej, bezkompromisowej sztuce. Ojciec, wówczas krzepki, silny i z poczuciem humoru, zapytał: „Ty co, za darmo tam dzwonisz?”. Pamiętam moje oburzenie: „Tato, o pieniądzach teraz będziemy rozmawiać...?”.

Mikropowieść była na ukończeniu, dopisywałem ostatnie strony. Nocą nie mogłem zasnąć i wychodziłem z akademika. Chodziłem aleją z młodymi topolami (teraz to monstrealne iglice, rosnące do samego nieba i niemożliwie zasypujące całą okolicę puchem) – chodziłem zmęczony, przepełniony, w myślach rozmawiałem z Lerą, skarżyłem się, wypominałem jej niewierność, po czym zapewniałem, że to ty, ty, to ty dałaś mi siły.

Rozmawiałem z nią, opowiadałem, jak po trochu powstaje mój tekst, jak za artelem poszukiwaczy z góry na górę spieszy czujący podlotek, a Lera mi odpowiadała, tamta Lera, niegdysiejsza – tak, mój drogi, tak, tak.

\* \* \*

Spieszyłem się, jakbym przeczuwał, że w dotychczasowym kształcie czasopismo niedługo przestanie istnieć. Nie chcę ani potęgować, ani nawet podwajać wrażenia opowieścią o tamtym okresie, mam skromniejsze, bardziej kameralne zadanie, wspomnę tylko o poczuciu zagubienia i przytłoczenia (stosunkowo typowym dla rozentuzjasmowanego młodego człowieka owych dni), którego doświadczyłem, gdy wreszcie przyniosłem tekst do „Nowego miru” i gdy dowiedziałem się,

że Twardowskiego już tam nie ma. „Jak to nie ma...? Przecież był!” „Słuszne spostrzeżenie” – usłyszałem w odpowiedzi. Wy tłumaczono mi. Wyszedłem, trzymając w dłoniach teczkę z mikropowieścią, nie pomyślałem nawet, żeby ją tam zostawić.

Poczucie straty od razu złączyło się ze stratą Lery, ból stał się ostry, osobisty – i oto szedłem, szedłem, szedłem, przeszedłem boczną uliczkę, skręciłem i przy śmietniku zacząłem rwać pierwszą swoją mikropowieść. Byłem w wieku, gdy teksty się pali albo rwie wprost na ulicy, a że rwało się trudno – albo ręce osłabły, albo papier był zbyt gruby – to ją po prostu wyrzuciłem.

## 6

Umęczony całodzienną bieganią Losza ledwo co położył się nad strumykiem na odpoczynek. Rozpalił ognisko, położył się, lecz nawet nie zdążyło mu się nic przyśnić, jak zza pagórka powyskakiwali ludzie, jacyś obcy poszukiwacze – wyrwany ze snu nie rozróżniał tych brodatych twarzy, wiedział tylko, że są obce.

Wystraszył się, choć tym razem go nie pokaleczyli, nawet nie pobili, nie potrzebowali go, potrzebowali tylko miejsca, na którym spał. Schwycili go, odrzucili na bok. I zaczęli kopać, kopać, płukać, płukać. Porozpalali duże ogniska, spieszyli się. Z początku mały stał w oddali, drżał z zimna. Potem położył się między dwoma ogniskami i zasnął; miał ogień na przedzie i za plecami, było mu ciepło. Morzyło go tutaj, przyciągało!

A tamci kopali, rozdrabniali i płukali. Jakiś czas później przesunęli się i znów go przepędzili. Wynocha! Kysz! Nie przeszkadzaj w robocie!

\* \* \*

Baba przez sen usłyszała, jak przykładał się to tu, to tam, a następnie przycisnął do niej, zziębnięty taki – położyła jego głowę na piersi, tuliła: „Śpij, śpij...” – drżał całym ciałem, dygotał bez ustanku. I taki głupi on, ubogi, że ofiarowując mu ciepło i tuląc, swoim nocnym zwyczajem z litości zapragnęła dać mu wszystko, Losza jednak odcinał się, nie rozumiał, nie przestawał drzeć, na moment niby miękł, robił się cieplejszy, lecz zaraz stygł z powrotem, ona zaś trzymała go już mocniej, za ramiona,

przyciskała, aż w końcu poczuła, tak, mój słodki, zaraz ci będzie dobrze, bidulek ty mój malutki, psina ty zbita, wygłodzona; zaczęła nim kołysać, przyciskać i przydawać mu tym kołysaniem siły, choć oczy miał zamknięte i nic nie rozumiał; rozkosz z minuty na minutę rosła, chciało się jej krzyczeć – jęknęła słabo, ale od razu zacisnęła usta, w imię ojca i syna, wszyscy wokoło spali, było cicho, nikt nic nie słyszał, lecz ta przypadkowa rozkosz się nie kończyła, Losza zaś wciąż spał. Słodko jej było i tak nie do opisanego, młodziutki taki, podłotek, a jednak wyrosnięty, nie wiedziała, co robić, zaczęła cicho charczeć, byleby zdławić gardło (to jej ustabilizowane charczenie mniej więcej zlewało się z chrapaniem całej reszty), jeszcze pomyślała, jak to zręcznie i zmyślnie się ukryła, zamaskowała, aż nagle wyrwał się jej mimowolny okrzyk, ryk, że wszyscy, śpiący, senni pozrywali się ze swoich miejsc. Zdążyła go tylko odepchnąć i tym samym nadać trochę inny sens ich nocnym objęciom. Wyrwani ze snu krzyczeli: „Zdurniałaś, czego się drzesz po nocy!”. Brodaty Jegor Fiediaicz, który spał obok, również wrzasnął: „Czegoś ty się do niej dostawił?” – i uderzył Loszę. Kobieta z kolei darła się na Fiediaicza:

– Nie widzisz, że biedak zmarł?

Loszę, skulonego i pozbawionego ciepła, przejęły wcześniejsze zimne dreszcze, szczął zębami, cały się trząsł. A przy tym oczy jego pozostawały zamknięte, spał, przez cały czas spał.

\* \* \*

Słońce już grzało.

– Patrz! – krzyknął Fiediaicz, główny w artelu, którego cała reszta, czy tego chciała, czy nie, szanowała.

Z wrzawą obstąpili go przy strumyku. Ona zaś (z szalasu) tylko na moment jeszcze raz zobaczyła jego siwą głowę. I krzywy, wymuszony uśmiech.

Pomocnik wiadrami lał wodę na czerpak.

– Patrz znów! – zakrzyknął raz jeszcze Fiediaicz.

I znów podniosła się wrzawa, zaczęli mówić na raz – tak, twoja racja, szczęście ci dopisuje, Fiediaicz!

Słyszała, jak oznajmił im uroczyscie: „To teraz do roboty...!”. Milknąc, zaczęli się rozchodzić po swoich stanowiskach wzdłuż strumyka,

jedni na piasek, drudzy do wody. Pomocnik opłukiwał piasek drewnianą łopatką. Z powstałej jamy wydobywali go teraz cebrem, podciągając na sznurku. Fiediaicz podszedł do pierwszego, szczęśliwego czerpaka. Stał z minutę i patrzył w niebo. Na pasie kołysał mu się kapciuch podobny do tego od machorki, tylko że wisiał tak ciężko, bogato – ciemny, zawilgocony przez pot poszukiwacza, duży taki kapciuch, wypełniony mokrym, żółtym, ziarnistym piaskiem.

– Och! – powiedział i wytarł pot, nie przestając patrzeć w niebo, zadowolony i wdzięczny.

Zapalił.

Okolicę wypełniały odgłosy piasku, łomotanie. Kobieta obejrzała się na śpiącego przy szałasie małego Loszę. Wyczerpany nocną bieżaniną nie budził się, nie miał siły, aby się podnieść ze swojego złotego miejsca. Przytulił się wprost do ziemi, ubogi, bidulek z niego, bez matuli, bez dachu nad głową, przepadnie z kretelem... Zawołała cicho: „Loszka, jedzenie gotowe”, lecz on nie słyszał.

Miała przy sobie klasztorne ziele, które dawało długie życie i odpędzało choroby. Wahała się: aż jakby oderwała je od siebie i z szeptem, z modlitwą wlała mu do ust dwa łyki, Losza jednak, senny, odkaslnął, a cenny płyn wyskoczył i ściekł strumyczkiem po policzku do zagłębienia na piersi. Spróbowała raz jeszcze, lecz i tym razem bez skutku. Pożałowała, przylgnęła do piersi i głośno wessała razem z powietrzem. Przełknęła.

\* \* \*

Gdy pod wieczór ugotowała kaszę, Losza jeszcze spał, ale już zaczynał go dręczyć jego codzienny bzik: nagle zrywał się w strachu ze snu. Kobieta akurat podrzuciła do ognia i wróciła do szałasów.

Losza zerwał się na równe nogi

– Nie poszli jeszcze? Nie poszli...? Nie zostawili?

– Nie – twardo odpowiedziała.

– Noc...? Dzień...? Nie zostawili?

– Dzień, dzień jeszcze jest. Śpij... Tam są, złota szukają. Śpij.

Pokiwała głową, westchnęła: nieszczęsny... Trochę później było to samo:

– Nie zostawili?

– W łeb cię pacnę, to popamiętasz! Leż i śpij! Skaranie boskie...

Trąciła go. Położyła. Zaczął oddychać spokojniej. Zasnął.

Znów zrobiło się jej go żal, wzięła przebite i czujące dłonie, partryła na nie. Jedna ręka we śnie się wyprostowała, dłoń się rozwarła. „Łoj!” – krzyknęła i puściła. Tak dziwnie ona teraz leżała: równo przy ciebie, choć przebita dłoń była dziwnie wykręcona, jakby i tutaj, we śnie czegoś szukała, jakby cicho prosiła Boga. Wyciągnięta ręka jakby zastygła. Kobieta jeszcze raz, delikatnie, trwożnie jej dotknęła.

\* \* \*

Dzwonił ojciec; mówił, że ostatniej nocy było już całkiem bezna-  
dziejnie – we śnie cały czas biegł, biegł i grzął, potykał się w śniegu,  
a serce waliło jak oszalałe. Jest pewien, że pewnej nocy ono nie wy-  
trzyma, dlatego że brakuje już sił, bodajbym się wreszcie odłączył raz  
na zawsze, wykitował, byleby mi się to już więcej nie śniło.

Opowiadał, że we śnie pojawiły się nowe szczegóły: biegł  
po łagodnie wznoszącej się górze, wszędzie krzaki pokryte śniegiem,  
kamienie, ciężarówka była już daleko; zatrzymał się, chcąc złapać oddech,  
i oto zobaczył dookoła siebie jeszcze kilku innych tak samo nienadążają-  
cych jak on. Tak, zobaczył ludzi! Jeden siedział przy kamieniu. Drugi leżał  
przy samej drodze. Obaj pogodzili się i byli spokojni, obaj już nie biegli.

Pomyślałem we śnie: gdybym mógł jak oni... – I głos mu zadrżał.

\* \* \*

Powiedział:

– Ciągle opowiadam tylko o tych swoich snach, a nic nie mówię  
o mamie. Zapominałki jestem, co?

– Ale mówiłeś przecież, że czasem za nią bardzo tęsknisz. Po drodze  
do sklepu.

Ojciec kiwnął (tam, u siebie, w budce telefonicznej):

– Tak, tak...

\* \* \*

– Na dechach – Lera powtarzała za Wasilijem – życie jest całkiem inne.  
Szczególnie ważne tam jest poczucie koleżeństwa. Trzeba na przykład

coś przemycić... albo obejść kipsisz. Krzyk – i w jednej chwili ludzie się zbierają. Bez gadania i zbędnej filozofii (krótko, jak przed ucieczką) każdy opowiada, co wie i co umie. Krótko i na temat. Bez koloryzowania i kombinowania. Doświadczenie to święta rzecz. Wspólna rzecz!

\* \* \*

– Wczoraj Wasilij i Edward, jego stary herbatnik, wnieśli szkło. To dopiero są prawdziwi mężczyźni, słyszałam ich rozmowę: słowa proste, groźby krwawe. Wzięli od razu cztery butelki. Powiedzieli, że sami ukryją i wniosą, a ja mam tylko odciągać uwagę. Dali mi torbę (pustą!). Chcieli wnieść, kiedy mnie będą przeszukiwać i macać na punkcie. Aż stchórzyłam. A potem mówię – co mi tam, niech macają, jak mus to mus. I wyobraź sobie, że ten, co stał przy wejściu, aż się zawstydził. Miał brudne ręce. Spojrzał nawet na zlew, żeby wpierw je umyć. Ale odpuścił... Przeszli bez kłopotu. A później poszliśmy z butelkami na grób jakiegoś ich trzeciego fumfla, który tutaj już umarł...

\* \* \*

Kiedy chodziliśmy w Moskwie wąską alejką z topolami i kiedy mówiłem o niezłomnych (i tych złamanych) ludziach, o powietrzu, które przy wystrzałach uderza w potylicę, o drucie kolczastym, dechach, braterstwie, nocnej piosence, to Lera szła obok i cicho słuchała. Milczała. Czasem nieśmiało kiwała na znak, że się zgadza. Cicho szeleściły młode topole, chociaż szelestu właściwie jeszcze wtedy nie było, był bezdźwięczny ruch maleńkich liści.

I oto znaleźliśmy się w Nowostrojnym i nad Chonią-Diesnową, tam, gdzie Ural lekko obraca swój masywny i kusy grzbiet i zaczyna przechodzić w Syberię, i gdzie pośród innych gór stała góra zdumiewająca, wznosząca się równo i o podłużnych pagórkach.

Lera mówiła:

– No co? Czego żeś się tak naburmuszył? Ale żeś mi się (nam) już naprzykrzył! Twoja smutna gęba psuje cały krajobraz! Uralczyk od siedmiu boleści...

I znów:

– Czego ty tu jeszcze szukasz? Spadaj stąd wreszcie!



I szczególnie ordynarnie:

– No czego się gapisz! Idź stąd, chcę się wysikać. Idę za górkę, bo tu z barakowego kibla śmierdzi. Nie odprowadzaj mnie! Ej, głuchy jesteś?

A ja rzeczywiście byłem głuchy, czasem nie widziałem i nie słyszałem. Bolało. Wydawało mi się, że lżej byłoby mi ulec życiu i patrzeć na jej zniekształcone rysy, chorobę, nawet śmierć niż na to przeobrażenie. Nie znajdowałem wyjaśnienia dla jej okrucieństwa i ordynarności. Milczałem, sztywniałem tylko. W piersi czułem ukłucia prosto w serce – było mi jej żal, czułem, że ją tracę, tracę.

\* \* \*

– ...Wiertuchaj?! – opowiadała. – A czy ty w ogóle wiesz, jak się pojawił wiertuchaj?

Ów spór, w którym roztrząsa się wszystkie możliwe i niemożliwe objaśnienia słowa, właśnie trwał i początkowo Lera sama utrzymywała, że sens wyrażenia jest ewidentny: strażnik na swojej wieżyczce, jak każdy strażnik, obraca się, *wiertitsia*. Przytaknąłem. Dodałem też, że strażnik może krzyczeć do więźniów: nie wiertuchajs! – co znaczy nie kręć się, stój równo, idź równo, oddychaj równo, nie obracaj się. I biorąc początek od częstego (nagminnego?) okrzyku, słówko przylgnęło na zawsze. Lera nagle z zapałem powiedziała, że ma pomysł – że może wiertuch to karabin, poręczne przy strzałach do nieodległego celu, krótkie, łatwe w operowaniu (w obracaniu) uzbrojenie strażnika! Tak, tak, to fetyszyzowanie przedmiotu, fetysz broni, kult wystrzału...! Myśl jak myśl, też spekulatywna i domorośla, lecz Lera groźnie już przy niej obstawała, i spróbuj jej coś powiedzieć – była bladła, jej wargi drżały. A ja, rzecz jasna, miałem już swój model: na wieżyczce był reflektor obrotowy, omiatający kolczaste ogrodzenie...

– *A żeby cię...!* – Lera nie wytrzymała. – Ty znów o tych swoich reflektorach, mądrała od siedmiu boleści. Weź tu jeszcze jakieś twierdzenie powiedz o załamywaniu się światła!

– Ale ty wcale nie jesteś lepsza ze swoim kultem wystrzału, Wasilij zresztą też nie wie wszystkiego o łagrach...

Tutaj zbłądła:

– Jak śmiesz się z nim równać! On kilka lat przespał na dechach!

– No i co?

– Ty... Ty... Wynoś się stąd!

Dyszała.

– Lera – poszedłem po rozum do głowy. – Lera, przepraszam.

– Wynoś się stąd! Na oczy cię nie chcę widzieć!

\* \* \*

Przez cały dzień próbowałem odzyskać jej sympatię, lecz Lera kręciła tylko głową: nie.

Kajałem się, prosiłem o wybaczenie. „Samo tak wyszło, język to mój wróg, wybaczyć...” – usprawiedliwiałem się, odwoływałem do naszej długiej przjaźni, przecież półtora roku, prawie dwa lata ją kochałem, siedzieliśmy razem na wykładach, spacerowaliśmy aleją wśród młodych topoli, nikogo tam z nami nie było, tylko ptaki. Głos mój drżał.

Lera była nieugięta:

– No dobra. Nie gniewam się... Ale zabieraj się stąd.

\* \* \*

(Barak, mosiężną umywalkę, górę Biezimiankę, dwóch milicjantów grających w domino po cienistej stronie, krzaki dzikiej róży – wszystko to trzeba było zostawić. I później długo jeszcze odczuwać szczególną więź. Przyjechałem do cudzego, a odjeżdżałem ze swojego). Lera powtarzała bez ceregieli:

– Ile tu jeszcze będziesz kwitł? Zawracasz gitarę...

I jeszcze:

– Chcę tu mieszkać i współczuć Wasilijowi. Sama, bez towarzystwa, kapewu?

Lecz ja nie rozumiałem.

W tej bolesnej obcości wobec siebie nawzajem wchodziliśmy na pagórek. Zdaje się, że coś jej akurat wytykałem, ona zaś patrzyła na niebo, szerokie, niebieskie, patrzyła długo, a potem powiedziała: czego ty znowu beczysz? Dobra, chodź... – i tam, na cudownej, niedużej polance, pod młodymi iglakami z jednej strony, i krzakami dzikiej róży z drugiej, w ciągu dziesięciu minut dostałem to, na co tak długo i gorąco czekałem przez ostatnie dwa lata (bez przesady, tylko na to?)

i czemu oddałem tyle młodych sił, myśli, nerwów i niezliczoną ilość słów. Następnie znów szliśmy pagórkami. Lera powiedziała:

– No co? Pasuje? To teraz się zabieraj. – Niesłuchanie szybko przejęła ich mowę. Co więcej, zrobiła się o wiele bardziej ordynarna od Wasilija.

\* \* \*

Nie rozumiałem. I znów żyłem dzień za dniem. Coś się jednak we mnie ugięło, to tak, to owak, aż w końcu cicho pękło jak miękki drucik. Pewnego dnia powiedziałem: „wyjeżdżam” – i zacząłem się zbierać. Odprowadzili mnie spokojnie i przyjaźnie, jakbym sam ich o to poprosił. Z początku jechaliśmy ciężarówką. Następnie Lera niosła moją lekką sportową walizeczkę; uścisnęliśmy sobie z Wasilijem ręce i on niósł mi na drogę kilka butelek domowego piwa; ja zaś szedłem między nimi bez obciążenia.

Pociąg ruszył. Stałem przy oknie. Odjeżdżałem, a za szybą, na mizernym peronie, zostawało powściągliwe, piękne oblicze Lery i machający, złagodniały Wasilij ze swoją ciężarówką, dechami i żebrami, które nie mogły obrosnąć mięsem. Zostawała ziemia, pagórek, dzika róża na nim i baraki, i pełna wody rzeczka Chonia.

Jak każdemu, kto wygląda przez okno pociągu, wydawało mi się, że to wszystko – rzeczka, ziemia, baraki i pagórek z dziką różą – pędzi coraz szybciej, ucieka, a ja zostaję z tyłu, coraz bardziej z tyłu.

\* \* \*

Pół godziny później, na trzydziestym dziewiątym kilometrze od Nowostrojnego pociąg przeciął rzeczkę Chonię, gdzie była wyciszona Anna Romanowna i gdzie wśród bezimiennych grobów stoi grób jej męża.

Chonia – rzeczka nieduża, ale dość głęboka i wypełniona wodą po same brzegi. Wydawało się nawet, że nie ma brzegów – tak równo płynęła z ziemią.

\* \* \*

Nie nadążałem za czasem, a nie za Lerą, nie za pagórkiem z dziką różą, nie za mogiłami nad Chonią-Diesnową, nie za „Nowym Mirem”, ani za uznaniem pierwszego tekstu.

Nie mogąc złapać tchu przez nocne strachy, w ciemności biegnie mały, nienadążający Losza. Ma dosyć. Nie chce więcej żyć. Robi parę kroków, siada bez sił na ziemi i siedzi, obejmując głowę i przyciskając zmarznięte uszy. Tutaj będzie umierać? A czy będzie mógł na przykład zakrzusić się na śmierć w strumyku jak ów pijany poszukiwacz? Co będzie dalej...? Siedzi przy strumyku, ziębnie. Przyjemnie jest myśleć, że się umrze. Mama się tam za niego pomodli. Kres wszystkiemu. Nie będzie trzeba więcej się zrywać, chwycić naprędce płóciennej torby i biec, biec. Choć jeden raz chciałby zasnąć i obudzić się bez strachu. Umrze – będzie to spokojny i nieprzerywany sen, ale co dalej? A dalej aniłowie sami już powinni wszystko wiedzieć i wszystko tam zrobić.

Nieogarnione jest nocne niebo. Niezliczona ilość gwiazd. A jeśli na tamtym świecie, w niebie, gdzie wszystkim dan raj i cisza, jeśli te gwiazdy będą mu przeszkadzać i mylić, przecież one tak przypominają odległe ogniska. Nie zazna spokoju i będzie biec, biec, od jednej do drugiej, od drugiej do trzeciej... Boże jedyny Jezu Chryste! Jaki strach...!

Miał przed oczami, jak chudy, głodny podłotek biegnie po gwiazdistym polu w strachu, że nie nadąży. Czy tam też będą na niego krzyczeć? Może nie? „Boże, czy nawet umrzeć spokojnie nie można, a po śmierci odpocząć, ja chcę odpocząć, odpocząć” – powtarzał, bijąc maleńką piąstką po strumyku i rozpryskując wodę.

\* \* \*

Pewnego dnia Losza siedział przy skale i obserwował swój cień. Potem odwrócił wzrok i zobaczył jeszcze jeden cień. Żadnego człowieka obok nie było, w ogóle dookoła nie było żywej duszy. Nikogo. A cień był. Wystraszył się i pomyślał: kto to? Czy to aby nie zmarły kuzynek, nie Kola przypadkiem?

Nie nadążali kiedyś razem i jeśli krzyczano, to na obu, jeśli był głód, to też w obu żołądkach.

\* \* \*

Kola zaczął zjawiać mu się coraz częściej. Pojawiał się takim, jakim był za życia, usta tylko miał spieczone. Podchodził i niby siadał opodal, niby co rusz dotykał tobołka. I wytykał:

– Nie żałujesz mnie, Loszka, nie płaczesz po mnie.

Losza się usprawiedliwiał:

– Nie płaczę, ale i po mnie nikt nie będzie płakał. – Kola wzdychał ciężko. Dotykał tobołka. Siedział przy ognisku i mówił o swoim niedługim życiu – całe zeszło mu na doganianiu. Na męczarniach. Bez jednej nocy odpoczynku.

– A ja? – pytał Losza. – A ja odpocząłem?

– Racja. I ty też – trapił się Kola i tajał, tajał i znikał.

Losza patrzył na ogień, oczy mu się kleiły. Lecz nie można było spać, trzeba było iść. Wstawał.

\* \* \*

Ognisko. Noc. Siedzą pasterze... Nagle słysząc, jak ktoś biegnie. Jeden z nich chwytą za broń, lecz odkłada – kroki są bardzo lekkie, nie, to nie żrebak, leszcze lżejsze, nie koza... Aż w przestrzeń światła wbiega chudziutki podłotek Losza.

– E...? – rozgląda się, patrzy, rozumie, że się pomylił. Rzuca krótki okrzyk i biegnie dalej.

Pasterze rozmawiają:

– Pomyłony...

– Tak biega po nocach, biedak. Został w tyle, dogania swoich.

W tym czasie Jegor Fiediaicz wraz z innymi poszukiwaczami znaleźli sobie innego ubogiego: prowadzali go po brzegach rdzawych od rozkopów, po strumykach, dolinach, lecz na próżno. Marszczył czoło, niby szukał, wpadał w długą zadumę: w bardzo podobny sposób tracił wyraz twarzy, jak gdyby wstępował w kontakt z siłami wyższymi, wszystko było tak samo, było bardzo podobnie, z tą tylko różnicą, że nie odnajdywał żadnego złotego piasku. Nie mówiąc już o samorodkach.

## 7

Każdego wieczoru kręciłem się pod „Nowym Mirem” i z przejęciem wyobrażałem sobie, jak kończę moją wspaniałą mikropowieść,

jak ją przynoszę i jak Twardowski czyta; przemierzając plac w sporej odległości od redakcji, której sama nazwa wywoływała we mnie święte drżenie, niezauważalnie dla samego siebie coraz bardziej zaokrągląłem jego przestrzeń: przybliżałem się.

Przystępowałem. (Dostępowałem miejsca.) Za pierwszym razem przeszedłem obok budynku redakcji, nie podnosząc oczu i najszybciej jak umiałem. Tłumaczyłem sobie, że nawet jeśli ktoś mnie zobaczy, na przykład redaktorka, która niedługo otrzyma ode mnie mój tekst, to przecież w tym moim krążeniu nie ma nic złego. Mogłem przechodzić tędy przypadkiem. Poza tym nie zapamiętają twarzy. Tylu tutaj jest ludzi, piekarnia, sklepy. Pomnik Puszkina. Może po prostu idę sobie do kina i akurat skręciłem za róg. Nabierałem śmiałości i znów się zbliżałem. (I przecież przychodziłem po pracy nad tekstem: przerwa, rodzaj odpoczynku).

W tym chodzeniu dookoła czasopisma, jak nietrudno się domyślić, było jeszcze dużo niespożytkowanej miłości, która nie minęła, nie skończyła się. Lery nie było, a jednak była. Nastąpiła zmiana miejsca, lecz za tą zmianą jeden stan duszy na razie tylko próbował zmienić się, wymienić na drugi. O ile w alei młodziutkich topoli, po której spacerowaliśmy, otaczała nas głównie zieleń, gałązki, liście, domów zaś i budynków raczej się trzeba było domyślać, to tutaj, przy redakcji, wszystko było na odwrót – budynki kleiły się do siebie ścianami, a zieleń, drzewa bulwaru Strastnego były między nimi ledwo dostrzegalne.

Był tam jeden budynek – już go nie ma – z podłużnymi pasami na ścianie, zaciekowato-czerwonawymi, jeśli patrzeć z bliska, i jednolitymi, niby pokrytymi połaciami ciemnej trawy, jeśli patrzeć z oddali. Nie podnosiłem oczu i nie pamiętam góry budynku, nie pamiętam liczby pięter, doskonale pamiętam za to same pasy i elewację na wysokości moich oczu, guzowatość czerwonawej sztukaterii bardzo dobrze pamiętam. I za każdym razem obok tego budynku na widok idącego z naprzeciwka człowieka (od strony redakcji), który choćby muskał mnie tylko swoim spojrzeniem, cały od wewnątrz wystrzeliwałem drobnym potem, pokrywałem się jasnymi, drubniutkimi kropelkami jak świeżo otwarta butelka Borjomi.

Widocznie nie uświadamiałem sobie stopniowej podmiany uczucia i to mnie męczyło. Lecz możliwe też, że w swojej naiwności żywiłem poniekąd nadzieję, iż publikacja powoli wyprze Lerę. Jak? W bardzo

prosty sposób: dzięki mojemu uczestnictwu w znanym czasopiśmie nowe wydarzenia, nowi, ciekawi ludzie i rozmowy o wielkiej sztuce ją wyprą. Klin klinem – i oto Lera usuwa się, odchodzi w zapomnienie, coraz dalej, jak pewna wystraszona ptaszyna (sójka?), która wpadła nagle do korytarza młodych topoli, leciała to do przodu, to do tyłu i nie potrafiła albo nie chciała po prostu skręcić. Trzepotała skrzydełkami, leciała jak na powietrznych torach pomiędzy drzewami, nie skręcając ani w prawo, ani w lewo. Obejrzałem się wówczas i powiedziałem: „Patrz!”

\* \* \*

Lera, ta, z którą rozmawiałem w myślach, była tą, która studiowała ze mną, trzymała mnie za rękę i szła tuż obok topolową alejką, cicha, zamyślona. Mówiła jak dawniej. I jak dawniej uważnie milczała. Była ze mną, co, rzecz jasna, najlepiej świadczyło o tym, że ów czas minął i że jej nie ma.

\* \* \*

Krok za krokiem przybliżałem się do budynku, lecz nie od placu, a od ulicy Czechowa, ze strony znanej cerkwi po lewej stronie. W oknach było ciemno – i na parterze, i na piętrze. Założyłem, że Twarowski (jego gabinet) musi znajdować się na pierwszym piętrze i w tym momencie w jednym z okien tego piętra dostrzegłem słabe światło. Nie wiem, co to był za gabinet i dlaczego się świeciło. Może to stróż nocny, na w pół zasypiając, siedział gdzieś tam przy oknach wychodzących na drugą stronę (a do mnie dochodziła tylko korytarzowa poświata), lecz jak zahipnotyzowany nie potrafiłem oderwać się od tego bladego czaru ożywionego okna. Podeszedłem pod samo wejście, przeczytałem tabliczkę czasopisma, wyciągnąłem rękę i dotknąłem. Obejrzałem się, czy nikt nie widzi.

Nie wiem, czy rzeczywiście tak gorąco pragnąłem wtedy publikacji swojej mikropowieści – pragnąłem współuczestnictwa. Jak i inni, setki czy nawet tysiące młodych i początkujących literatów, na próżno wiążących, jak w zadaniu, czas z czasem – swój ze wspólnym. Rzecz jasna, gdy wieczorami krążyłem przy tych budynkach, istota przeżycia, nawet jeśli jej nie rozpoznawałem, nie sprowadzała się tylko do tego, że młodzi ciągną tam, gdzie pachnie sławą.

Pewnego późnego wieczoru pozwoliłem sobie wreszcie na to, by podejść i postać dłużej przy śpiącym budynku redakcji, zapalić przy samych drzwiach – chciałem się uwolnić od kompleksu osoby, która przestępuje próg po raz pierwszy (i aby być, jak wówczas myślałem, bardziej przygotowanym na pierwszą rozmowę). Bałem się być śmiesznym i początkującym, chociaż, naturalnie, byłem i śmieszny, i początkujący.

A następnego dnia nabrałem śmiałości i podszedłem pod samą redakcję, gdy jeszcze byli tam ludzie: trafiłem akurat na ów moment końca dnia w urzędzie. Koniec pracy. Pracownicy, a może i członkowie komisji redakcyjnej, rozchodzili się do domów. A może nie do domów, tylko na jakieś pilne konsultacje na górze, dokąd zostali wezwani przedwieczorną porą w związku z pozwoleniem (albo jego brakiem) na niepokorną publikację... Czego ja tam sobie wtedy nie wyobrażałem...! Zalewały mnie emocje.

Stałem plecami do Strastnego i z odległości pięciu kroków patrzyłem na wychodzących z redakcji pracowników. Dochodziły mnie urywki ich rozmów. Jeden z nich aż mnie sparzył – usłyszałem, że Twardowski ma ponoć problemy z nogami i może w tych niespokojnych naszych dniach, lada dzień, trafić do szpitala. „Coś poważnego?” – zapytał z niepokojem urzędnik, na co drugi odpowiedział coś o stanie chorych nóg i chorego serca, był jakiś związek, lecz wiatr uniósł słowa.

Kręcąc się dookoła redakcji i pod nią, niewątpliwie jakby kręciłem się, krążyłem dookoła swojej utraconej miłości, ale też próbowałem łagodzić ból. Mimowolnie chciałem wznieść swoje nienadążanie w miłości na pułap, do którego przykłada się zdecydowanie wyższą miarę, bardziej ogólną, powiedzmy, ogólnoludzką. W próbie tej ukryta była próba (po części uświadomiona) złączenia swojego uczucia z uczuciami innych i tym samym znieczulenia, bowiem wspólny ból, nawet jeśli cięższy, jest mniej ostry.

\* \* \*

Możliwe, że krok, który odwoził mnie od Lery, czyli krok od miłości ku pisaniu, był tylko metodą, tak dobrze i od tak dawna przecież znaną człowiekowi.

A to, że zataczałem koła i widziałem domy, piekarnię, drzewa, cebulki z krzyżami naprzeciw siedziby czasopisma, i to, że je obchodziłem,



też było zrozumiałe; to moje krążenie było standardowym krążeniem zakochanego wokół ukochanej, tak, tak, ono wchodziło w metodę zapomnienia, rozpuszczenia bólu w powszechności, gdyż zakochany wymyślił (znalazł!) sobie społeczne zadanie i chodził dookoła miejsca, gdzie jego ukochanej naturalnie nie było, on zaś, jak zahipnotyzowany, wmawiał sobie, że była.

Możliwe, że to krążenie jakoś łączyło się z krążeniem małego Loszy, gdy ten doganiał artel, błąkał się przy zagajniku, a następnie wybiegł na pagórek, gdzie wprawdzie błysnęła łyszczkowa tasiemka strumyka – Losza nagle zmarł. Zatrzymał się. Ojej! Doszło do niego, że wcale nie trzeba tak się spieszyć, gonić, że na jakiś czas można się zatrzymać, zanocować w miejscu, w którym go tak kołuje i męczy, i gdzie tak słodko będzie przywrzeć do ziemi. Nie będzie szukał ani grzebał w ziemi łopata. Po prostu położy się, będzie spał, a złoto od wewnątrz, od strony ziemi, będzie delikatnie grzać mu boki i plecy. Połamane ręce – dłońmi w dół – położy na trawie. Pod trawą, pod darnią jest żółty piasek, ciepły, żółty piasek, i ręce lekuchno się odezwą: tutaj.

\* \* \*

Pewnego dnia Losza i braciszek Kola odłączyli się od artelu i całkiem blisko, na wzgórku, zobaczyli wilka. Szerokie przedpiersie, silne, niemrugające oczy. Stał i patrzył. Chłopcy przeszli obok. Kola pół żartem mówił: „Dobry piesek. Dobry piesek nas nie ruszy, bo on nie zaczepia małych chłopców” – mówił, jakby nie wiedział, kto tam stoi; „dobry piesek” – oszukiwał i siebie, i Loszę, i wilka na wzgórku, i dolinę, kamienie dookoła i obłoki.

\* \* \*

Przy skrócie z Naryszkńskiej na bulwar Strastny wpadłem na kolegę z roku, który siedł do kina i sądząc, że przecież nie może być tu nic do roboty, z rozpędu ryknął: „Ty też na ósmą trzydzieści?” – to znaczy na najbliższy seans. Odpowiedziałem: „Też, też” i oddalając się, machnąłem mu ręką, że niby uniósł mnie tłum, napierający w owej godzinie szczytu.

\* \* \*

Nie interesowało mnie dołączenie do grona zakochanych, którzy ponieśli miłosną porażkę: ich liczba (ogromna) nie przynosiła mi ulgi – nie interesowało mnie rozplynięcie się w ogromnej masie niekochanych, za to o wiele bardziej pociągające było dla mnie rozplynięcie się choćby wśród odrzuconych debiutantów. Po cichu liczyłem zapewne, że jeśli dostanę odmowę, to ta odmowa plus tamta pograży mnie w pewnego rodzaju usypiającym smutku wszystkich początkujących autorów, owych piórek na wietrze.

Nie więc dziwnego, że był też zewnętrzny zbieg, gdy po wielogodzinnym chodzeniu po bulwarze Strastnym, bez sił, z drżącymi kolanami siadałem na ławce, aby odpocząć, i przyglądając się sznurom moskiewskich aut, nagle widziałem ciężarówkę, nawet rejestracja była taka jak u Wasilija – przy żeliwnym ogrodzeniu bulwaru Wasilij zatrzymywał swoją potłuczoną ciężarówkę, wychodził (wszędzie rozpoznam ten kaczy chód) i odzywał się do milicjanta: „A żeby cię...!” – po czym naciągał mu czapkę na uszy, podchodził do mojej ławki i nerwowo rzucał: „Ale żeś się rozsiadł. Wstawaj, jedziemy, Lerka czeka w szoferce...!”.

\* \* \*

I tam, i tu, w redakcjach grubych i cienkich czasopism, redaktorki działów, z zasady kobiety w średnim wieku, przyjaźnie się do nas uśmiechały, jakby znały (a może i na prawdę znały) całe to wielowiekowe doświadczenie przechodzenia, przeradzania się odrzuconej miłości w nieodrzucony (bądź odrzucony tylko na początku) rękopis początkującego poety albo prozaika. Czułe, wyrozumiałe i cierpliwe spojrzenie tych kobiet łagodnie rozluźniało i uspokajało: wszystko minie, wszystko w tym życiu minie.

\* \* \*

„Jak to nie ma...? Przecież *był?*” – powtórzyłem tylko moje pytanie o głównego redaktora, a w odpowiedzi usłyszałem: „Słuszna uwaga”.

W jakiejś uliczce, wstrząśnięty, chciałem porwać rękopis, ale się nie rwał, więc go po prostu wyrzuciłem. Wówczas nie wiedziałem jeszcze, że nienadążanie ma wiele postaci, choć przeczuwałem, że ono jest zawsze osobiste i że tak łatwo nie odpuści, że będzie mi smutniej i ciężiej na sercu, jeśli u samego kresu czasopisma, jeszcze nie wymieniony, ale i tak już bez znaczenia, kierownik działu prozy (dobroduszny pan albo sympatyczna pani w średnim wieku) nie przepuści tekstu.

Dopiero po trzech latach pojawiłem się pod domem, gdzie mieszkała Lera z mamą, gdzie piłem herbatę pod niskim abażurem lampy, która roztaczała takie ciepłe i domowe światło. Krępowiałem się pytać sąsiadów. (Wyobrażałem sobie, że doskonale pamiętają, jak godzinami wystawaliśmy z Lerą pod wejściem). Nabrałem jednak odwagi, wbiegłem na piętro i zapukałem do drzwi.

Mieszkali tam inni ludzie. Lampa z abażurem wisiała w dużym pokoju i zdaje się, że przez cały czas tego mojego kłopotliwego dreptania w przedpokoju nie odrywałem od niej oczu. Mieszkańcy powiedzieli, że Lera była tutaj raz, szybko zebrała rzeczy i wyjechała. Meble rozdała sąsiadom. Spakowała tylko dwie walizki. Zaszła się pożegnać.

\* \* \*

W osadzie Losza bywał rzadko (jakby zatrzymywał się pośród wiecznego swojego biegu). Nie rozumiał tamtejszego życia. Szczególnie zdumiewał go widok kobiet: bez wątpienia było coś wspólnego między nimi a litującą się nad nim babą, taką ciepłą, czułą, kiedy go ogrzewa i lekko kołysze, a potem jeszcze zaczyna cicho pojękiwać albo nagle się śmieje i zatyka sobie usta ręką (raz się pomyliła i przyłożyła sobie do ust jego dłoń – poczuł delikatne ugryzienie, zupełnie bezbolesne, to mocniej, to słabiej, a gdy ścisnęła słabiej, przez zęby i usta wychodziło ciche: ee-ee-ee-ee...).

\* \* \*

Wczoraj ojciec powiedział:

– Kocham cię i właśnie dlatego na ciebie krzyczę!

W iluż to wariantach i odcieniach słyszałem w minionych latach to sławetne słowo, a jednak powiedziane w podmoskiewskiej budce tele-

fonicznej z powybijanymi szybami, w ciemnościach, o trzeciej w nocy, w udręce bezsenności, w dodatku powiedziane własnemu synowi, ciągle jeszcze ma znaczenie.

\* \* \*

Ojciec zaczął kuleć. Dżdżystą nocą (jest już jesień), w rozwiewającym się podczas marszu płaszczu spieszy do budki, kuleje, potrząsa pudełeczkiem zapalek. Na miejscu wpierv zapali (niedosięgly dla deszczu), a potem zadzwoni.

\* \* \*

Ma przekonanie, że jest mu teraz dobrze, w gościach u syna, w jego dużym mieszkaniu, że tak dobrze i ciepło jest mu na sercu. Kolacja, rozmowa..., syn, synowa, wnuczka. Przed snem ma jeszcze parę chwil na końcowe sceny niezłego, starego filmu, który jeszcze przed wojną, za młodu, oglądali razem (ze zmarłą żoną) i który ich wówczas do siebie zbliżył. Nie chce rozstawać się z tą odrobiną radości. W wyniku wybuchu doznał wtedy kontuzji na budowie, był nerwowy, a jednak jakoś im się poukładało i przeżyli razem wiele dobrych lat. Żona umarła wcześniej niż on. Tak wyszło.

– Tak, już się kładę. Dziękuję, dziękuję – mówi do synowej.

Tak szybko powskakiwali do łóżek. Młodzi! On też się położył w przygotowanym pokoju. Jest miękko, ciepło. Myśli o dawnym swoim rodzinnym szczęściu, o teraźniejszym szczęśliwym życiu syna.

W mieszkaniu jest ciemno, ojciec leży i jakby wychwytuje dla siebie moment zasypiania – jutro oni pójda do pracy, mają swoje sprawy, lecz on i tak wstanie przed wszystkimi. Co za wieczór! Jaki spokój...! Gasi lampkę. Mieszkanie pogrąża się w ciemnościach.

Jest mu dobrze. Jednak nagle czuje jakby pchnięcie pod sercem. Trochę (ale nie mocno) się boi. Co to jest, skąd ta trwoga...? Nagle sen się ulatnia, patrzy, oczy ma otwarte, patrzy w ciemność.

W tym momencie przeszywa go potworny, do niczego nie podobny strach, który jakby ściera, przekreśla całe jego życie. Nagle ogarnia go obrzydzenie do wszystkiego. Strach nie ma przyczyny. Przytłacza go ogólny bezsens życia przed obliczem wcześniej czy później zjawiającej

się śmierci – bezsens wszelkiego, nie tylko jego życia. Jak trudno. Niedobrze. Jest zahartowany, próbuje odciągnąć uwagę myślami o synach, wnukach, o wykonanej pracy, o budowach, nawet o dawnym swoim uczuciu do uśmiechniętej, młodziutkiej dziewczyny na pocztce, przysłej żony, jeszcze nieociężałej, nieotyłej i bez zmarszczek; wspomina ją, używając w charakterze zasłony, podsuwa ku tej przepaści jej młodość, świeże oblicze, usta i blond włosy, ale nie, nie, ani długoletnia praca budowniczego, ani minione radości i świeżość świata nie mają teraz w nocy żadnego znaczenia, absolutnie żadnego, nawet nie odciągają uwagi: to, o czym myśli, przebija wszystko.

Aby zneutralizować to opętanie próbuje – klin klinem i atak – myśleć o złu, o czerni, lecz nawet zło tego świata, kryminał i wszystkie nieszczęścia, ślepe uliczki ludzkości, totalne katastrofy i nieszczęścia nie są w stanie odciągnąć go od tego w istocie maleńkiego bólu w duszy, nawet nie bólu, a pewnej prapodstawy wszelkiego bólu, *prabólu* – przerażenia, które skuwa i mrozi, życie życiu odbiera.

Łóżko jest twarde. Przewraca się z boku na bok. Słyszysz głos zmarłej żony: „Piotrze, Pietia, jak tam pogoda?” – zaskakująco czuły, życzliwy głos, jeszcze o coś pyta, udręczona niepewnością, coś o dniach i nocach na ziemi, jej głos jest ciemny, ciemne są słowa. Ojciec zapala lampkę – i tak już po śnie – i gasi.

Pukanie do drzwi. Pewno ktoś z domowników: syn albo wnuczka zaniepokojeni zamieszaniem w pokoju, szelestem pościeli pukają na wszelki wypadek (może czegoś potrzeba?). Dobra, powiem, że to przez bezsenność, napiję się od razu zimnej wody. Wstaje, zapala lampkę, uczucie strachu trochę odpuściło, dobra... Pukanie jednak przestało być pukaniem, teraz to już walą w te drzwi. Nie no, kto się tak zachowuje wobec rodziny. Niezadowolony, podchodzi – i po co tak walić? – zapala górne światło i niczego nie poznaje. Cudze mieszkanie, nie mieszkanie, a chata. Jak to? Skąd on się...? Jest senny, szybko zakłada spodnie i wychodzi w koszuli, wybiega tam, gdzie nikt już nie wali, nie tarabani, lecz zamiast ludzi głośno stuka silnik. Ciężarówka ruszyła... Jedna, druga! Jest i ostatnia. (I tak dużo ludzi na pace). Łyka zimne powietrze, biegnie. Wcisną koszulę w spodnie. Jest ślisko, szreń, i tak trudno jest biec, i auto już jest tak daleko, i jak tu je dogonić.



Władimir Makanin

## *Utrata*

tlum. Krzysztof Tyczeko

### 1

Wszyscy wiedzieli, że Piekąłow to pijaczur i golas i że cały ten jego plan bez dwóch zdań był i jest głupi. A jednak, zakała, łąził, łapał każdego za rękaw i nudził:

– No, który ze mną, bo pod Uralem podkop robię!

I znów:

– Pod samym Uralem!

W karczmie narastało niezadowolenie. Ponieważ Piekąłow nie przestawał jazgotać, jego pomocnik nazywany Jarygą wpierw dawał znaki, a później już tylko dłonią przymykał mu jadaczkę: milcz, żeś sobie moment wybrał. (Piekąłow szarpał się, mamlął, lecz Jaryga trzymał go wystarczająco mocno). Pokazywali im już palcami: wynocha stąd obaj!

Więc się wynieśli. Przy wyjściu pijany Piekąłow wpadł ramieniem na lustro – nie spadło, chociaż wyrysowało się na nim pęknięcie. Wszyscy, którzy akurat jedli i pili w karczmie, wydarli się, żeby od teraz Piekąłow jadł i pił wyłącznie w sieni i aby ani jego, ani tym bardziej Jarygi dalej nie puszcząć.

– Na mielenie ozorem to też teraz nie moment – karcił go Jaryga.

Szli w stronę rzeki. Piekąłow co i rusz się potykał. („Łojoj – po-krzykiwał – łojoj!”) Kolanami padał na piasek, wstawał, jęczał, że mu ciężko. Niósł ze sobą wódkę, Jaryga zaś niósł świeżo uwędzony udziec.

Dzień się nagrzewał. Jaryga mówił ściszym głosem:

– Bo znowu mamy wesoło: jest trup.

– O Boże.

\* \* \*

Nieboszczyk leżał przy samym podkopie – nierównomiernie rudowłosy, rozwichrzony, z krwią zaschłą na twarzy. Do polików i oczu przykleił mu się piasek. Ręce by mu chociaż złożyli, antychrysty. To już drugi taki, czy aby nie za dużo?

„Jak padł?” – zapytał Piekałow, na co, podobnie jak za pierwszym razem, szybko i obojętnie mu wytłumaczyli, że biedak dostał w ciemności od kogoś łomem. Przez przypadek albo porachunki. „Jak to w ciemności...? Przecież dałem wam pieniądze na smolaki. Już wypalone?” Na co, naturalnie, odpowiedzieli mu, że tak, wszystko wypalone. A świece? A świece spadały i siłą rzeczy się je w tej ciasnocie i grzebaninie deptało. Czego ty taki dzisiaj jesteś, nie wierzysz, czy co...?

Tłumaczenia były zagmatwane. Trzęsło ich: nie odrywali oczu od wódki. Obstąpili teraz nie Piekałowa, a Jarygę – pierwszy dał znak, drugi zaś nalewał po pełnej. Skamlali o jeszcze, Jaryga jednak twardo odsyłał do roboty:

– Dobra, idź kopać.

Albo prościej:

– Idź kopać.

Albo całkiem prosto:

– Już!

Następnie kopacze, zbiedzy z więzień, ginęli w otworze nory na godzinę, dwie, nieraz trzy, i kopali z ochotą. Całkiem nieźle kopali. Z czasem jednak ich entuzjazm słabł. Spośród dwudziestu zbiegów pracujących w podkopie tylko Jaryga mógł pokazywać się w osadzie, reszta lepiej żeby siedziała cicho i piła właśnie tu, w odosobnieniu. Jako złodzieje i gwałciciele kopali wyłącznie z braku alternatywy.

Kopali w parach wysuniętych do przodu: jeden walił kilofem z prawej, drugi z lewej, później się zamieniali. W ciasnocie podkopu trzeba było się mocno wyginać, kulić. Za przodkowymi po jednym, rzadko po dwóch, w rzędzie stali odgarniacze i przerzucali ziemię od siebie do następnego. W szczękę kilofów i zgrzycie łopat Piekałow podchodził to do jednego, to do drugiego, i szeptał: „Kto zabił? Jak myślisz...?”, a ów wzruszał tylko ramionami: nie wiem. Pracowali przy ogarkach, było ciemnawo, wilgotno. Piekałowa aż dreszcz przeszedł, gdy wyobraził sobie, jak ten rudy tutaj zginął. I co to za mroczna swawola. Najstraszniejsze jednak było to, że skoro taki rezun już się pojawił,



to się nie zatrzyma. Będzie zabijać i zabijać, powoli, aż w podkopie zostanie ich zupełnie niewielu i wszystkich przejdzie strach – dla mordercy to marzenie.

Piekałow przeciskał się między nimi skulony i widocznie przeszkadzał w kopaniu, do tego przypadkowo zdeptał jeden ogarek.

– Czego partaczysz?! – krzyknął przodkowy, niby nie rozpoznając Piekałowa w ciemnościach, i kopnął go w stronę odgarniaczy.

„Hehehehe!” – zarechotał potężny odgarniacz, schwycił go za koszulę i portki i odrzucił jeszcze dalej. Zabawę sobie znaleźli. To kopany, to popychany, Piekałow trafił do wyjścia, strząchnął z siebie ziemię i usiadł przy trupie. Tego już nic nie zaboli. Po policzku wędrowała mrówka, przeszła na czoło, potem na policzek pokryty przyschniętą krwią. Nie bardzo przejmował się samym zabitym, ale jednak to para rąk mniej. Był żywy, jest martwy, co zrobić.

O wiele bardziej przejmował się pieniędzmi: popisywał się, szarżował, pokazywał, że pieniądze jeszcze są, ale to przecież do czasu.

\* \* \*

W ciągu dwóch kolejnych dni stracił Aloszkę. Prócz napływowych szumowin i popaprańców potrzebny był ktoś choć trochę znający się na robocie, dlatego też przyjął i bardzo cenił sobie tego drobnego, białowłosego chłopka, którego wszyscy inni przeganiali za niepomamowane pijaństwo. Aloszka jednak zaczął bać się zawalenia. Upijał się szybko i mocno, z miejsca zasypiał. Akurat tak wyszło, że leżał obok trupa, byli do siebie podobni – śpiący i martwy. Ten leżał i tamten też, aż tu nagle z krzaków wyskoczyła jego żona – typ, przed którym mężowie z zasady się chowają, nie zorientowała się nawet, że obok leży martwy. Obszturchała męża, schwyciła za kołnierz i w krzyk:

– Do chaty marsz! Tam odeśpisz, ochlajtusie jeden!

Miała na sobie porządną bluzę i jasnoczerwoną chustkę. Piekałow próbował zaprotestować, lecz trafił na wilcze spojrzenie i zamachnięty kułak. Mogła zatłuc, był przy niej jak patyczek. Chwyciła męża, popychała, szturchała, szarpała za uszy. Prowadziła ze sobą i krzyczała:

– Bieda moja, że poszłam za moczymordę!

Aloszka potykał się. W końcu doszedł do siebie i się wyrwał, pozostawiając w jej rękach połowę swojej koszuli.

Odchodząc, krzyczała:

– Ochłajtusie ty! Znalazłbyś sobie porządnego kupca i byś się trzymał. Byłby z ciebie majster! – I oczywiście wymyślała mu: zakało jedna, tylko cię zabić i od nowa chować!

Na hałas z podkopu powychodzili pijani robotnicy. Piekałow polecił im zakopać ciało: we dwóch odnieśli je za ręce i nogi w odległe krzaki, trzeci zaś skoczył do podkopu i wywlókł z niego łopaty. „Ty, zuchu, na miejsce tylko odstaw!” – krzyknął Piekałow, w odpowiedzi zaś usłyszał śmiech: nazbyt już oczywiste, zbędne, były dla nich jego uwagi.

Jaryga zaczął zapędząć hałastrę do nory:

– Chłopcy, czas...! – i krzyknął Piekałowowi, żeby ten zabrał z oczu wódkę.

\* \* \*

Słońce paliło. Trzylitrowy gąsior z resztkami wódki stał w cieniu przykryty mokrą szmatką. Piekałow zorientował się, wstawił butlę do kuferka i zamknął: trzeba było tutaj mieć oko i znać miarę.

Schował klucz do kieszeni, zabił komara na szyi i odezwał się do wciąż jeszcze sennego Aloszki:

– Wejdź do wody, wykąp się!

– A racja – odpowiedział Alosza.

Pływali we dwóch, parskali i co rusz spoglądali na tamtą stronę. Brzeg był odległy. Piekałow wypytywał, kiedy nastanie moment, że nie będą musieli się więcej zagłębiać, i czy to prawda, że jak tylko przejdą połowę rzeki, to można będzie kopać poziomo.

Aloszka się nadymał:

– Jak dojdziemy do połowy, to wtedy pogadamy.

A gdy całe to szemrane towarzystwo po trzech godzinach wyszło na światło na papierosa, Piekałow z Aloszą zostali pod ziemią. W ciemności, w kiszce podkopu, Aloszka wbijał pod nogi łomik-sondę, Piekałow zaś trzymał świeczkę. Wbijał co pół kroku.

– Słyszysz, jaki kamień pod nami? Nie pójdziemy niżej.

– A jak wyżej?

– To rzeka na nas poleci.

Piekałow śmiał się: czego ty się boisz, nawet głupi wie, że przejdziemy akurat między kamieniem a rzeką. Niespokojny Aloszka ciągle

jednak wbijał łom. „Jak nie poleci, mówię ci, bydlaku, że jak szczury, jak szczury tu potonimy”. W tym momencie Piekałow, już podminywany, uderzył Aloszkę – nie lubił, kiedy ludzie z osady, a za nimi byle moczymorda, nazywali go bydlakiem. Alosza złapał go za wsiarz:

– Kupczyk poroniony, jeszcze raz rękę podniesiesz, to cię nożem przywitam!

Świeczka zgasła. Niecierpliwy Piekałow wykrzykiwał w ciemności:

– Dobra! Daj spokój! Wielka sprawa! Oddaj mi i cześć pieśni, a nie od razu nooożem – przedrzeźniał.

Gdy wyszli, krzyknął:

– Do roboty! A jak Aloszka będzie straszyć, to go nie słuchajcie. Wszystko, łajzy, mam przemyślane: smyrgniemy pod rzeką jak nitka w igłę.

Aloszka zmilczał.

Teraz z kolei zaczął lamentować Timka, którego za kradzież i ukrycie wódki Piekałow pozbawił porcji na cały dzień:

– Dno na nas siada...!

Timkę tak paliło pragnienie, że prawie nie wychodził z wody. Wstrzymywał oddech i z kamieniem w rękach opuszczał się na dno nad samym podkopem, odbijał, wypływał i z powrotem opuszczał, jakby tam z tym kamieniem tańczył. Głupoty wykrzykiwał – na dnie była zwyczajna roślinność i to normalne, że ona się pod nogami rozstępuje. Szukając wsparcia, Piekałow obejrzał się na Aloszę, ten jednak milczał, wychodziło, że zgadza się z krzykliwym głupkiem.

– Dno siada! – darł się Timka.

A pijaczury porozsiadali się na brzegu i też zaczęli głądzić:

– Dokąd ty nas, Piekałow, posyłasz, na pewną śmierć nas posyłasz?

Po raz pierwszy jakby przyszła im wtedy do głów myśl, że dno osiędzie i ich w podkopie zaleje. „Chłopy, co za gadanie, strach was obleciał czy co?” – Piekałow śmiał się i nieszczerze dodawał im otuchy. Był wystraszony. Z tego przejęcia nie od razu się połapał, że kombinują – strachu było w nich niewiele, wiele za to było owego wiecznego pragnienia, by dolał wódki. Niemożliwy ludek, wydziwiali teraz i kręcili. Trafili na dobry moment. Piekałow nie miał wyjścia i pod wieczór podwoił porcję wódki. Butle z wódką i wałówkę z karczmy ledwo dotaszczyli.

Wtedy też Piekałow wziął Aloszę na bok i wprost zapytał:

– Odejść chcesz?

– Chcę.

– A ty miernota jesteś – rozeźlił się nagle. Był dotknięty, stracił głos, syczał. – A wal do tej swojej żolży, przytuli cię. Już!

I nawet się z nim nie rozliczył. Oszczędzał teraz w dwójnasób.

\* \* \*

Pechowy, pusty i ugrzęzły w małej osadzie Piekałów był pijusem i nikiem więcej: bez pieniędzy, bez imienia, bez wstydu. Pił nawet bez jakiegoś szczególnego rozpasania czy brawury: szarość we wszystkim. I żołnierka Nastia była przy nim szara, nijaka.

– Nastia, a ja tak zawsze myślę... – snuł swoje wywody. – Bo jak minie dużo lat, to czy ludzie się zastanowią, że w naszych czasach też tak dobrze było sobie leżeć i popijać?

Oparty na poduszce, nalewał sobie wódki, a jej – czerwonego wina; półleżąc, pili, po czym Piekałów ze smakiem palił. Podśmiewał się, ona zaś wstydliwie naciągała na siebie okrycie.

– Czego ty się chowasz w taki gorący?

– Sromno tak – powiedziała cicho.

Od paplaniny łatwo przechodził do labidzenia. Pomyślał o robotnikach, których w podkopie było coraz mniej. Pijany nagle zapłakał:

– Pójdą w diabły, Nastia, mówię ci, pójdą... Nic z tego nie wyjdzie.

– No i dobra.

– Póóójdą...

– No i dobra. Choć się pokochamy.

Pierzynę nawet zrzuciła, a ten ciągle płakał: wypity przypomniał dziecko.

\* \* \*

Bez Aloszki, bez choć trochę znającego się na robocie człowieka, Piekałów czupurzył się i dodawał sobie otuchy, jednak pod koniec dnia z podkopu dały się słyszeć stłumione głosy, hałas, a gdy tam zaglądnął, zobaczył biegnących swoich pijaczków.

Pojawił się przeciek. Jeden z przodkowych poczuł nagle, jak go parzy – kropla, która na niego spadła, była zimna, ale wydało mu się, że to był wrzątek. „Ludzie! Kapie!” – krzyknął, po czym zaczęła się

panika. Piekałow zatrzymywał ich, krzyczał, zapewniał, że to wymyśli, potracili go, upadł, deptali mu po rękach, darł się w niebogłosy, a napierający z ciemności pijacy, krzyczeli: „Sam zobacz!”. Cały drżąc, przedostał się do przodu, wsunął się i też poczuł na czole jakby gorące. I jeszcze raz. Tu i ówdzie kapą.

Teraz do wyjścia rzucili się wszyscy, Piekałow razem z nimi – w żadnym razie nie można było ich zostawić samym sobie.

Od rzeki i od ziemi wiało chłodem. Na na wieczorne niebo naciągnęły deszczowe chmury.

„Wody nie widział jeden z drugim! – wykrzykiwał Piekałow. – Kapie mu! O, z nieba też kapie!” Nikt już jednak pracować nie chciał: czekamy do jutra i się zobaczy. Na niebo nawet nie popatrzyli. I, rzecz jasna, znów dali mu do zrozumienia, żeby nie skąpił wódki, żeby dołożył. Piekałow obiecywał, co tylko chcieli. Cały jeszcze drżał. Jaryga też namawiał: ziemia leży warstwami, teraz jest miękka i to przez nią kapie, a dalej znów twarda, no, chłopcy, do roboty.

Ci jednak nie odpuszczali:

– Jutro się zobaczy.

Deszczyk się skończył i nastał łagodny zachód. Gdy Piekałow przechodził uliczkę, gdzie mieszkała żołnierka, ta była już w ogrodzie. Zgięta w pół, grzebała się w rozmiękłych grządkach. Gwizdnął – obejrzała się, on zaś poszedł dalej. Dostrzegła.

\* \* \*

Przyszedł do swojej chatynki, gdzie ściany się już starzały, a dawne życie zewsząd toczył rozpad, bieda i brak pieniędzy. I mimo wszystko to był dom. Zerknął na portret rodzica: farciarz! Mówią, że bratu też się w Astrachaniu nienajgorzej wiedzie. A jemu, szalaputowi, nawet podkopać nie idzie. Ech, gdyby tak się udało, mogłaby wyjść wspaniała sprawa – na tamtą stronę Uralu i fajrant! Poza „fajrant” myśl Piekałowa nie wychodziła: nie wiedział zupełnie, po co przekopywać się na tamtą stronę i po co tam ludziom ten jego „fajrant”, i gdzie w ogóle – na bagnach?

Zostawił otwarte drzwi dla Nastii i poszedł do Sałkowa, bogatego chłopca. Ów mieszkał niedaleko.

– Mebelki nie chcesz kupić? – powiedział na wejściu.

– Nie chcę.

Sałkow nie wiedział jeszcze co i jak, za to wiedział doskonale, że Piekałow jest miła kreatura, golas skończony, a od takich można póldarmo kupić nie tylko meble.

– I pół mojego domu? – zapytał Piekałow, samemu rzucając zanętę.

– Pół domu?

Ruszyło się, a kiedy doszło do ceny, Piekałow, odwracając się, powiedział:

– Żadne pół domu, sprzedaję od razu cały, bierzesz czy nie?

– A pieniądze?

– Pieniądze w tej chwili – Piekałow odkrył karty: pieniądze teraz, a papiery można nawet jutro.

– Kupuję.

Potargowali się trochę, a następnie zawołali świadka, po czym Sałkow od razu znalazł i wyłożył całą sumę – jaki bogaty! Dał pieniądze i zapytał: wyjeżdżasz? Pewno do ojca i brata?

– Tak jest – do ojca i brata. Interes tam mam.

– I słusznie robisz, mój drogi. Tam wyjdiesz na swoje. Nie to, co tu, dziadostwo i tępota naokoło, a tam na swoje wyjdiesz! – pochlebiał.

A gdy drzwi się zamknęły, Sałkow, naturalnie, pomyślał, że może i wyjdzie głuptak, kreatura jedna, ale prędzej nogami do przodu.

Piekałow wysłał jakiegoś chłopaczka po wódkę i jedzenie, a sam poszedł do domu. Nastia już na niego czekała. Siedziała i gryzła koniuszek chustki, korpulentna, znużona, ale urodziwa. Miała figurę. A jak sobie dziabniesz, to nic więcej nie trzeba – uważał młody jeszcze Piekałow.

– Ach śliczności ty moje! – wpadł w zachwyt, ponieważ jedzenie i picie było już na miejscu i nikt im teraz nie przeszkadzał, przecucia również były dobre. – Śliczności moje! Zapomnisz o mnie, jak tylko pieniądze się skończą, co? Zaśmiał się: ale to jeszcze nie jutro, patrz – i wyciągał paczuski z pieniędzmi, potrząsał, chwalił się.

A ona milczała. Gryzła chustkę. Skromnisia. Widocznie rozumiała, że źródółko Piekałowowi wysycha i że po tej rozrzutności została mu tylko ona, żołnierka Nastia – całował ją, a ona się krępowała, póki wreszcie siłą jej nie rozebrał, ględząc, jak to nam jest dobrze, jak wspa- niale, i czyż w przyszłości ludzie nie dostrzegą w nas tego dobrego...

Po zmroku zaczął się zbierać, wyprowadził Nastię i pospiesznie wyszedł. Był pijaniutki, ale domy obchodził na pamięć. Na krańcu wsi przyspieszył, prawie że biegł. Dopiero gdy doszedł nad rzekę, połapał

się, że jest noc i że nikt, rzecz jasna, o takiej porze nie kopie – i czego on się tak spieszył, ach tak, sprawdzić!

Głośno szedł po nadrzecznych otoczakach, rękoma rozchyłał krzaki, a gdy tylko wyszedł na gardziel podkopu, natknął się na Jarygę.

– No? Są?

– Są. Śpią w krzakach.

– Bogu dzięki!

Przeszedł na wzgórek, siadł na kamieniu i zapalił, odpoczywał po szybkim marszu. Jaryga stał obok i patrzył na rzekę.

– Tak myślę, żeby nas tu jutro nie zatopiło. A jak nie jutro to pojutrze.

– Też! Żeby utopić takich durniów jak ty i ja na co Bogu rwać rzekę, na co jemu, że tak powiem, łono niszczyć.

– Co racja to racja – zgodził się Jaryga.

Siedzieli teraz obok siebie. Jaryga zawinął się w podarty półkorzuszek i od razu zasnął. Piekąłow czuł się pijany i radosny, nie spuszczał oczu z księżycowej poświaty: ponoć mieszkają tutaj rusalki, pomacałby jedną. Dopalił, napatrzył się na rzekę i wszedł do podkopu. Kilka razy upuszczał i rozpałał na nowo świeczkę. Wreszcie doszedł do miejsca, gdzie wgryzali się w ziemię, podszedł bliżej: kap, kap, kap... – kapało mu na wyciągniętą dłoń. Sący się. Ech, rzeczko, rzeczko.

\* \* \*

Następnego dnia strach obleciał wszystkich nie na żarty. Wykopali na pięć kroków, ledwo się wgłębili, jak znów zaczęli krzyżeć: „Kapie!”. A w odpowiedzi: „I tu też!”. Stanęli oniemiałi. Jeśli we wcześniejszym miejscu kapało, to tu już leciało ciurkiem. Pobłyskujący w świetle świec sznureczek kropel leciał jak deszczówka z dachu na ziemię. Piekąłow przecisnął się do przodkowego. Ten walił. Po gołych plecach płynęły strugi.

– To nic, chłopcy, przejdziemy i znów będzie twarda ziemia – zapewniał.

Ten ze strugami na gołych plecach opuścił kilof, wytarł pot i zapytał:

– A od góry twardo jest?

– Co?

– Mówię, żeby u góry było twardo, to będzie dobrze. – I wetknął pięść w sklepienie nad głową.

Wetknął niemocno, niby mimochodem, jednak ręka do łokcia ugrzęzła w miękkim błocie, a gdy tylko ją stamtąd wyciągnął, w ślad za nią jak z kilku przedziurawionych miernych wiader na raz chlusnęła woda. Szum leżącej wody wystraszył wszystkich: popychając się i niecierpliwiąc, pospieszyli do wyjścia, pędzili, wpadali na upadających, na łopaty i kilofy, deptali świeczki, biegli w całkowitych ciemnościach.

Zebrał się u wyjścia. Piekałow ich dogonił, namawiał, wystawił butlę: naleję, zaraz wszystkim naleję.

– Chłopy, panowie! – apelował, lecz to nie pomogło.

„Gdzie indziej też nam naleją!” – krzyczeli, odchodząc, Piekałow zaś powstrzymywał tych, którzy się jeszcze wahali:

– Co wy! Sam tam zaraz wleżę i wam pokażę! – Trzęsącą się ręką zapalił świeczkę i włożył, nie miał wyjścia; kopacze czekali na powietrzu.

Dogonił go Jaryga. Oslaniając świeczkę dłonią, Piekałow płaczliwie rzucił:

– Czego ich zostawiłeś, odejdą.

– Nie odejdą – odkorkowałem im, żarcie mają: póki nie wyżrą, nie odejdą.

– Strach, co?

Podeszli do miejsca, skąd połała się woda. Teraz ciekł tam o wiele słabszy strumyk. Przodkowy zrobił pięścią dziurę, woda musiała stać tam już wcześniej, zebrała się w ziemi i wylała jak z worka. Naradzali się, a strumyk ciekł. Piekałow przysunął świeczkę, Jaryga podstawiał dłonie, które w jednej chwili napełniły się wodą.

– Strach jaki – powiedział Piekałow. – A jakby mocowanie postawić?

Jaryga kiwnął: jeszcze pijaczur Aloszka mówił, że ziemię w podkopie można umacniać na przykład blachą dekarską, nawet odprowadzenie dla wody można zrobić.

– Robimy – powiedział Piekałow. – Wiadomo, że rzeki to nie utrzyma, ale choć strachu takiego nie będzie.

– O to chodzi.

Piekałow wetknął hak świecznika w ściankę, przytwardził świeczkę. Wziął kilof – dawaj, Jaryga, aż strumyk za plecami będzie. Jaryga wziął drugi kilof. Piekałow bił z prawej, Jaryga z lewej strony, pół godziny później zamienili się miejscami. Kopali bez pośpiechu – lepiej już oni, przezorni, przejdą to ryzykowne miejsce, niż ta rozpita hałastra narobi tu jeszcze rabanu. Przesunęli się o krok, obaj byli mokrzy od stóp



do głów. Na przedzie jednak kapło. Ośmielili się i rozszerzyli gardziel. I usłyszeli kroki z tyłu: hałastra mimo wszystko ruszyła do podkopu, może chcieli popatrzeć na topielców, na martwych. Jaryga i Piekałow spokojnie postukiwali kilofami. Nie odwracali się. Ludek tymczasem poprzez pas kropli zobaczył, że na przedzie jest sucho i spokojnie.

– Zmieńcie nas – powiedział Jaryga.

Chwilę milczeli, po czym któryś z nich wyraził zgodę:

– Mhm.

Piekałow i Jaryga wyszli, przykazując wcześniej, aby przy pracy nie walić w sklepienie, a górę ścinać po trochu łopatą. Woda się trzyma na glinie, nie rzeka, a woda. Rzeka na razie jest wyżej.

Na pagórku otworzyli butlę, wypili. Powoli przeżuwali.

Piekałow dał pieniądze i wysłał Jarygę po arkusze blachy, odrzynki i deski – chciał wysłać kogoś innego, ale było ryzyko, że ów zabierze pieniądze i ucieknie. Teraz liczyła się każda para rąk. Po tym jak lunęło, odeszło pięciu.

– To nic – Jaryga rozmyślał na głos. – Za to zostały same bydłaki z kozakami, katorgą i sznurkiem na karku.

– Ciebie pewno też to czeka, chociaż chodzisz do osady.

Jaryga nie odpowiedział, uśmiechnął się tylko pod nosem.

\* \* \*

Rano po kolejnej libacji zaczęli zbijać pod ziemią piony tak dla umocnienia, jak i dla spokoju. Jaryga i Timka ciosali pale na podpory, pozostali umacniali i objali blachą. Praca w podkopie szła teraz weselej. W najbardziej krytycznych miejscach nie tylko zrobili podpórki, ale też obili deskami sufit i boki sklepienia.

A w przerwie nawet zaśpiewali, dawno już nie śpiewali. Ociosując żerdź, Jaryga zawołał do siebie Piekałowa, a gdy ten podszedł, w ogólnym hałasie picia i śpiewów szepnął mu, że znalazł w końcu zabójcę, tego, co ukatrupił dwóch naszych.

– Łyczow – powiedział szeptem. – Ścierwo jedno. Widziałem, jak teraz ostrzył łom z tylnej strony. Machnie ręką niby do tyłu, a człowieka już nie będzie.

– Porachunki? – szepnął Piekałow, obserwując Łyczowa wśród leżących na trawie.

Jaryga mruknął: „Jakie porachunki. Po prostu lubi”. I obaj się zamysłili, co poradzić i jak zrobić tak, żeby nikt nie stawiał do kopania w parze z Łyczowem.

I rzeczywiście: po wódce, z rozpalonymi oczami, nagi do pasa i brudny, Łyczow wstał pierwszy z trawy i zawołał: „No, kto ze mną...? Idziemy!”. I wtedy bez pośpiechu i bez słowa, ale zdecydowanie, poszedł Jaryga. Tylko mrugnął Piekąłowowi: przytrzymaj resztę, napij się jeszcze z nimi. Nie było w tym nic trudnego, ponieważ nikt się do podkopu, czy, jak mówili, do nory, nie spieszył. Pili i wrzeszczeli. Timka i jego kompan tak się upili, że aż zasnęli.

Jaryga pojawił się po godzinie i głośno powiedział:

– Łyczow, ścierwo jedne, chyba zwiął! Nigdzie go nie ma!

– Ale!

Zaczęli go szukać, krzyczeli, wołali – nie ma. Któryś z nich go w złości zwyzywał.

– A taki był pierwszy do roboty. – Jaryga rozkładał ręce. – Myślałem, że będzie pracować najdłużej ze wszystkich.

– My też! – mówili pozostali.

Gdy zeszli do podkopu, Jaryga i Piekąłow wpierw odgarniali, po czym Jaryga powiedział „Tutaj” i pokazał boczne sklepienie.

– Cuchnąć nie będzie?

– Nie powinien. Zakopałem go prawie na krok. Jak w grobie. I z deską z wierzchu.

– Co, Jaryga, dużo masz na sobie krwi?

– A czy to krew...

Przecisnęli się do przodu na zmianę i wzięli kilofy. Jaryga kopał aktywnie, nawet z wesołością. Kucie i kopanie stało się nadspodziewanie łatwe, trafili na drobne kamyczki.

\* \* \*

Kamykom tym nie było końca, kopanie szło lżej, ale ziemia zaczęła się osypywać, poza tym strach brał na widok drobnego żwiru i otoczków: wydawało się, że dno rzeki jest tuż nad głową, odsłania się, i że lada moment wszystko to się zawali, a tysiące pudów wody rzecznej luną niby lawa, i że oni nie tylko nie uciekną, ale nawet się nie podniosą, tak ich przyniecie. Każdego dnia dochodziło do suchych

oberwań: ziemia trzęsła się głucho, opadała. Skończył się materiał na mocowania. Piekałow dodawał otuchy: kupimy, kupimy więcej, aż Jaryga go powstrzymał:

– Głupot nie gadaj. Wiem, że nie ma pieniędzy.

Pieniądzy mogłoby wystarczyć, ale po jednym z takich suchych ob-sypań odszedł Burow, a wraz z nim jeszcze jeden delikwent z bliznami na głowie i nierosnącymi włosami. Odeszli w nocy. Rozłupali zamek na skrzyni, wzięli napoczętą butelkę, reszty nie brali – bali się złości i pościgu. Oprócz butelki wyciągnęli też spod śpiącego Piekałowa węzelek i zabrali pieniądze.

Licząc z pijącym coraz więcej Timką, w norze zostało ich teraz czterech. Pracowali w parach: para kopała, para odpoczywała. Następnie wszyscy czterej się rozsuwali i odgarniali, odrzucali ziemię jeden do drugiego. Piekałow całkowicie podupał na duchu. Położył się na wzgórzu i wpatrywał w stronę, na której były bagna.

– Młody jestem. Nieudolny – mówił, ocierając łzy.

– Właśnie o to chodzi, żeś młody – zaśmiał się Jaryga.

I wtedy zaczął się zbierać: odchodzę i ja. Piekałow krzyknął: nie! Przeklinał na czym świat stoi. Leżąc, bił pięścią w ziemię i ryczał do Jarygi: nie trzeba było deskami podkopu objąć i wydawać tylu pieniędzy, nie trzeba było Łyczowa zabijać, to przez to Burow z koleżką uciekł. Jaryga śmiał się: dureń jesteś, uciekli, bo ziemia się sypie. Jeśli już jemu, Jarydze, śni się w nocy obsypująca się ziemia, to co ma być z innymi?

– A mnie się akurat nie śni! – krzyknął obrażony Piekałow, na co Jaryga tylko powtórzył:

– Właśnie o to chodzi, żeś młody.

Już by odszedł, ale przed drogą chciał jeszcze zapalić, ociągał się, aż nagle z podkopu wyskoczył cały umorusany Kutyr, wymachiwał swoimi i bez tego trzęsącymi się rękami i krzyczał:

– Jest połowa! Jest połowa! Połowa...! Połowa...!

– Skąd wiesz?

Nie ścisząc głosu, Kutyr krzyczał, że właśnie odmierzył dwieście kroków! Jeszcze Aloszka, kiedy wypłynął łódką z rozciągniętym sznurkiem, dostrzegł swoim sokolim okiem, że do obu stron rzeki jest tak samo daleko, po czym policzyli, ile było na sznurku, i wyszło im, że dwieście, czyli połowa rzeki...! Piekałow, kiedy to do niego doszło, również krzyknął. Zbladł, cały drżał.

– Chłopczy! Pijemy! Pijemy – połowa roboty!

Piekałow robił zamieszanie, otworzył skrzynię, pobiegł do podkopu, wrzasnął: „Chłopczy! Hej...! Rzucaj robotę, pijemy! – chociaż był tam tylko Timka. Ten gdy wyszedł, rzucił się od razu do wódki, a Piekałow cały czas nawoływał w głąb podkopu: „Hej, hej, chłopcy!” – aż Jaryga podszedł i schwycił go w ramię.

– Czego się wydurniasz! Czterech nas tu tylko jest! Liczyć umiesz? – Odciągnął kupczyka, który cały czas podskakiwał i krzyczał.

– Chłopczy! – Szarpał się. – Wódka teraz wasza! Nie zamykam! Chłopczy! – Łomem wyłamał zawiasy, a przy okazji też niedawno naprawioną kłódkę, i odrzucił je do wody, że tylko było słychać plusk.

Wieczorem zaś wybrał się do osady – *pieniądze, pieniądze znajdę...!* Aż dreszczy dostawał na myśl, że może mu ich zabraknąć.

W domu było ciemno. Bogaty chłop Sałkow nie zakwaterował tu jeszcze nikogo ze swoich, chociaż zdążył zamontować nowe rygle. Piekałow znał otwierające się od zewnątrz okno – wszedł, po omacku, poruszał się w ciemnościach. O ubraniach w umowie nic nie było, więc zebrał w tobołek lepszą odzież, wziął osobistą szkatułkę i dobrą broń. Wszystko to sprzedał szybko: chodził po podwórzach, śpieszył się, był podekscytowany, nieważne, że był wieczór, nie było przynajmniej widać, jaki jest brudny; ludzie nie patrzyli mu w oczy i cenę dawali szybko jak za kradzione.

Gwizdnął w ciemności pod oknami na Nastię, a kiedy wyjrzała jej matka, obdarty i brudny schował się za drzewem. Oddychał głośno. Potem wyszła Nastia.

– Ale jesteś... – powiedziała i zamilkła, gryząc tylko róg chustki.

Zaprosił ją nad rzekę. Tłumaczył jej:

– Nie mam już swojego domu.

– Wiem.

Przeszła z nim w tych ciemnościach zupełnie niedaleko. Po chwili powiedziała, że się pożegnają, ponieważ chadzać teraz razem to tylko niepotrzebny wstyd. A ona musi jeszcze żyć, na męża z wojska czekać... Chciał się do niej zbliżyć, chociażby objąć, jednak nawet w ciemnościach widać było, że ma brudne ręce: jeśli nie rękoma, to umorusa ją ubraniem, a Nastia była czyściutka i w szarej sukience. Powstrzymała go. Zbliżyła usta. Pocałowała. Powiedziała: do widzenia, kochanie, dobrze się nawzajem kochaliśmy, ale wychodzi, że już czas. I odle-

ciała, szary, czysty wróbelek... A on cały czas ścisnął pieniądze – dać jej na ostatni prezent czy nie. I nie dał. Miał ich mało. Stał teraz sam w ciemności i po raz pierwszy w życiu ponuro czuł się jak skąpiec.

\* \* \*

Posuwali się teraz płynnie, pracowali dwóch na dwóch; przeszli piętnaście kroków za połowę, aż nagle pojawiły się kłopoty z Timką. Piekałow i Jaryga odgarniali, a Kutyr z głębokości przodka krzyknął, zawołał. Pośpieszyli. Kiedy się przecisnęli, w migającym płomieniu świeczki zobaczyli, że Timka siedzi z głową zadartą do góry, patrzy i nagle maca rękami zwisającą ziemię. Dotykał górnego sklepienia i mówił: „Rzeczka brzęczy... Słyszycie?”. I znów dotykał. Przysłuchiwali się, nic jednak nie brzęczało.

Powiedzieli mu, żeby poszedł na górę odpocząć, ale on ciągle powtarzał, że woda brzęczy i rzeczka brzęczy. Wtedy wyprowadzili go z podkopu. Usiadł na piasku. Wódka stała niedaleko, a kiedy w ciągu godziny wygrzebali nakopaną ziemię i wyszli odpocząć, okazało się, że Timka wszystko wypił – oszalał po cichu i bez najmniejszego krzyku. Właściwie nawet nie wypił – w butli było dwa i pół litra – wlewał sobie do ust, a ona się wylewała, wlewał, a ona strumieniami ciekła mu po gardle na pierś i kolana. „Czego marnujesz?” – jeszcze z oddali krzyknął ze złością Jaryga, a on łał i się uśmiechał. Kiedy zabrali mu butlę, zaczął nabierać sypką ziemię w garści i przesypywać z ręki do ręki. Bawił się piaskiem jak dziecko. „Rzeka – mówił – rzeczka... brzęczy!” Wszyscy trzej stanęli przy nim, słysząc w ciemności szelest piasku przesypywanego w tę i z powrotem.

– Dojdzie do siebie – powiedział Jaryga.

Kutyr dodał:

– Za dużo wypił. Dojdzie.

Lecz nie doszedł. Wstał, gdy siedli do jedzenia. Wydawało się, że stoi z trudem. Stał za krzakiem. A gdy się połapali, Timka był już na środku rzeki: płynął na drugą stronę i tonął. Zimne wiry, które przez tak wiele lat nie puszczały na drugą stronę ani ludzi, ani nawet ich łódek, zabierały teraz Timkę. „Rzeka – krzyczał, zachłystując się. – Rzeeczkaaa!” Jaryga w try miga rzucił się na pomoc, ale nie zdążył. Timka poszedł na dno. Nawet ciała nie znalazł: szukał, lecz stracił

pewność siebie, gdy tylko zbliżył się do zimnych wirów. Złapał go skurcz w plecach, więc popłynął z powrotem. Płynął powoli, długo. Piekałow i Kutyr wpatrywali się i nie mogli pojąć, dlaczego ma taką siną, skrzywioną twarz. Dopiero gdy był w odległości dziesięciu kroków, potem pięciu, na płyciźnie, zobaczyli, że nie może wstać. Na nic zdały się jego wysiłki – wypełzł jakoś na brzeg, szamotał się, ale nie wstał. Piekałow i Kutyr chwycili go, wyciągnęli, położyli na suchym piasku. Długo tak leżał, potem wstał i ostrożnie skierował się w stronę skrzyni. Nie pił: zakładając rękę za plecy, wcierał wódkę w kręgosłup. Kutyr i Piekałow podeszli, położyli go na brzuchu i na zmianę natarli mu plecy do czerwoności.

A gdy tylko trochę odsapnął, odszedł.

Piekałow nie chciał go puścić: „Czekaj! Kto tak robi?”. Nie mógł uwierzyć, że wszystko tak po prostu się skończyło. Biegł za nim, prosił, błagał, a gdy chwycił Jarygę za ręce, ten go odepchnął. Zamachnął się i pacnął mu między oczy. Kiedy zaś oczy Piekałowa zaczęły widzieć, Jarygi już nie było.

Z Piekałowem pozostał tylko Kutyr, stary, niemrawy złodziej, który już nie mógł i nie umiał kraść, ponieważ od pijaństwa i bójek trzęsły się mu ręce. Ten nigdzie nie pójdzie. Był wieczór. Pobity Piekałow płakał. Pocieszając go, Kutyr wyciągnął trzęsącą się rękę do przodu:

– Patrz.

– Na co?

– Tam jesteśmy – widzisz? – I wskazał pewien punkt na Uralu, na fali – tam udało im się już dojść. Punkt był oddalony, nieuchwytny, fala goniła falę.

Bili teraz ziemię po kolei i tylko trochę rozszerzali, oszczędzając siły. Podkop się zwęził: nora jak nora. Wpierw bił Piekałow, a Kutyr odgarniał, następnie się zmieniali. W jednym miejscu z góry nagle zaczęło kapać, jednak nie zwrócili uwagi. Przyzwyczaili się.

\* \* \*

Było głośno: na środku drogi trzech ślepców tłukło chłopaczka, przewodnika, który doprowadził ich pod sam monaster.

– Aj! – krzyczał. – Aj, nie chciałem!

Kurzyło się, jakby trojka dopiero co przejechała. Nie wiadomo, jak przejść obok, gdy ślepcy kręcą się po drodze i wymachują rękami. Oberwany i brudny Piekałow obszedł ich i zniknął w karczmie.

– Ja w kącie posiedzę, z brzeżku – powiedział od razu posługaczowi, żeby ten go nie wygnał.

I nie wygnał go. Ludzi było niewielu. Piekałowowi okropnie chciało się czegoś gorącego, jednak na kapuśniak z mięsem się nie odważył (oszczędzał resztki pieniędzy). Pił szklankami herbatę. Oberwaniec z zapadłymi polikami. O niczym nie myślał. Trząsał się i dygotał.

– Deszcz będzie – powiedział do niego posługacz, podając od samowaru kolejną szklankę i zawiązując rozmowę. Piekałow kiwnął: „Tak. Deszcz...”. Wystraszył się: a co jeśli wraz z wilgocią zwiększą się wody gruntowe, co będzie z rzeką?

Gdy wyszedł z karczmy ślepcy wciąż tłukli małego: bili go, wykręcali uszy, a on wrzeszczał. Wreszcie wyrwał się i odskoczył na bok.

– Sami sobie teraz życie, ślepe kury! – złośliwie krzyczał, oddalając się. Zagniewani ślepcy również krzyczeli i nawet przysięgali na Boga, że nigdy nie wybaczą mu tego wstrętnego wybryku.

– „Hej, ojcie!” – zawołał Piekałow, a ponieważ ci byli ewidentnie głodni i bez dachu nad głową, obiecał im wikt i nawet trochę wódki. A praca jak to praca – kopanie pod ziemią.

Ślepcy słuchali.

– Boże to dzieło? – zapytał najstarszy, dawno już po czterdziestce.

Piekałow odpowiedział, że boże. Żadne złodziejstwo czy inna ohyda. Nie powiedział tylko, że podkop idzie pod rzeką – wydało mu się, że w ciężkiej chwili, gdy został tylko z Kutylem, Bóg przykazał mu milczeć. Po co mają wiedzieć, że nad nimi jest rzeka, niech kopią w spokoju... Ślepców było trzech i jak tylko się dogadali, Piekałow ich pospieszył:

– Idziemy, gołąbki, raz dwa.

– A gdzie się tak spieszysz?

– A jak deszcz się zacznie? – poganiał w obawie, że mały przewodnik wróci, poprosi o wybaczenie i tym samym wszystko zepsuje.

Z niewidomymi i dlatego nieustraszonymi Piekałow kopał jeszcze trzy tygodnie. Co każde dziesięć wykopanych pod rzeką kroków ślepcy przerywali pracę, klękali i gorliwie się modlili:

– Gospodi, pomóż nas.

I po kolejnych dziesięciu krokach:

– Pomiłuj nas!

I jeszcze:

– Gospodi, pomiłuj...!

Minęli osypujący się żwir, pokonali dźwięczną i przerażającą warstwę otoczków, następnie glinę, potem znów żwir, aż w końcu dokopali się do ogromnego głazu, za którym były krzaki nieuczęszczanego, błotnistej brzegu. Wyszli na górę. W starej, uralskiej legendzie było to szczególnie zaskakujące: niewidomi lepiej i pewniej od innych potrafili zakończyć pracę.

\* \* \*

Jeden z wariantów historii podkopu pod Uralem kończył się tym, że ojciec i zamożny brat złapali Piekłowa i dożywotnio ulokowali w jakiejś chatynce z pilnującą go staruszką jako na swego rodzaju wygnaniu, aby nie kłał imienia. Albo na leczeniu. I tam dokonał swoich dni. Czasami wychodził i wpatrywał się (podczas burzy, gdy wiatr niósł wilgoć), tonął spojrzeniem: jak daleko jest Ural? Był zupełnie sam.

Na końcu tej długiej historii miało miejsce uświęcenie kupczyka Piekłowa, a nawet jego wniebowzięcie. Bóg wie za co – chyba za zawziętość, (jak powiedzieliby teraz „za wolę walki”), nie odkrył przecież po tamtej stronie żadnego źródła, nie wmurował kamienia węgielnego pod budowę cerkwi. Poza tym był człowiekiem całkiem żywym i grzesznym. I dopiero w finale legendy pojawia się literatura, która podjęła próbę jakich wiele: ulepienia obrazu *świętego*, a nuż się przyjmie.

\* \* \*

Ślepcy – ludzie żyjący w *utracie swojej*, tak to było wytłumaczone. W tamtych czasach niewidomi brali ze sobą chłopca, zwykle spośród sierot, zupełnie małego, karmili go i poili, za co on prowadził ich po bożym świecie. Dobrymi ślepcy nie byli, pogardzali malcem, co dzień za dniem się w nim odkładało, nawet jeśli nieświadomie. Poza tym chłopiec dorastał: zaczął odczuwać świat, pyskował, a nawet potrafił być wyjątkowo mściwy w sytuacjach, gdy po długiej drodze ślepcy chcieli załatwić swoją potrzebę. „Chłopcze nasz miły – prosili



go – znajdź nam jakiś kątek”, a on prowadził ich pod okna i mury monasteru, niekoniecznie nawet żeńskiego. Miejsce było takie, że nie dało się wyczuć podstęp, całkowita cisza i odosobnienie, żadna ulica czy targ, i nietrudno sobie wyobrazić scenę, jak się rozsiadają, dochodzi do profanacji, po czym są krzyki i wyskakują na nich z pałami. Chłopek obserwował sytuację z oddali, związał się ze śmiechu, a po pobiciu ślepych przez widzających stawał znów przed nimi i usprawiedliwiał się, że przyciągnęła go cisza, że to był przypadek i że on sam, Bóg mu *świadkiem*, był razem z nimi.

\* \* \*

Obecnie w tym miejscu nad Uralem stoi most, a do niedawna znajdowała się tam kaplica. Przy wejściu do niej, po lewej, widniała na wpół wytarta scena wniebowstąpienia (dwaj aniołowie unosili Piekałowa z aureolą na głowie do nieba). W cieniu kaplicy często siadały wracające z rynku starsze kobiety. Czas mijał. Pewnej wiosny kaplica się rozpadła, scenki nie ma i nic tam nie przypomina o szalonym kopaczu, o którym ludzie pamiętali i coby nie mówić, który stał się częścią legendy.

## 2

Jeden z ojców akupunktury, chiński lekarz, zdaje się, w VII wieku dzięki swojemu talentowi wspiął się na wyżyny medycyny, lecz nie stał się częścią legendy. Zdobył sławę i siłę, ale nie miejsce w legendzie.

Na tym jednak nie poprzestał. Obecnie powiedziano by, że całkowicie skupił się na karierze, aż w końcu osiągnął pełne uznanie wśród współczesnych – nie leczył już wojowników, tylko dowódców, a wkrótce nawet samego cesarza. Wielki i może największy nadworny lekarz z wszelkiego rodzaju honorami wszedł do historii, jednak nie stał się legendą.

Ta pojawiła się dopiero po kolejnej, ostatniej, próbie wyrażenia siebie, co ważne – próbie bezsensownej.

Medyk leczył cesarza i jego rodzinę dziesiątki razy, lecz pewnego dnia, gdy starzejący się imperator poskarżył się na ból głowy i gdy zwykle, utarte metody nie pomogły, zaproponował cesarzowi otwarcie czaszki. Najprawdopodobniej zabiłby go, w istocie jednak chciał

zrobić to, co obecnie nazywane jest lobotomią. Możliwe, że gorliwy medyk nie próbował już go leczyć, tylko w swoim pragnieniu wiedzy chciał zobaczyć na własne oczy, jak się tam rzeczy mają: co to za nieznaną ból i dlaczego nie ustępuje...? Stary, ale wciąż rozsądny cesarz odmówił – latami przecież można żyć z bólem głowy, czaszka to nie sakiewka, którą można otworzyć i z powrotem zamknąć. Lekarz nalegał. Wówczas imperator kategorycznie odmówił i skrzyczał go, jak tylko cesarz chiński może odmówić i skrzyczeć. W nocy uzdrowiciel zakradł się do jego komnat i podjął próbę otwarcia sennej głowy. Następnego dnia został oskarżony o usiłowanie zabójstwa i stracony.

\* \* \*

Legenda nie musi jakoś szczególnie wysilać gardła, aby przekrzyzczyć wiek, a potem drugi, trzeci i piąty. Legenda krzyczy pięknem i niby bezsensem, i jasną świadomością tego, że to rozsądni będą pogrzebani i odejdą w niepamięć.

Czyż żal człowieka, że będzie zapomniany, zjedzony przez robaki i nie po nim i jego dziełach nie zostanie (mowa o człowieku, żyjącym w przeszłości) oraz lament człowieka (żyjącego w teraźniejszości), że stracił korzenie i łączność z przodkami nie są jednym i tym samym? Czyż nie są rozciągniętym w czasie nadludzkim, duchowym bólem?

Legenda sugerowała, że kupczyk Piekalów, prostak i hulaka, nie wiedzieć czemu wziął się za projekt, który się nie powiódł, on sam zaś został, kim był – prostakiem i hulaką. Okazuje się jednak, że w długotrwałości uporu jest pewna tajemnica i możliwości. Jeśli on podejmuje się zadania po raz drugi i trzeci, to ten jego ludzki upór zaczyna wówczas wyglądać inaczej. I oto nazywają go już opętanym lub szalonym, na razie ważąc (i oszczędzając) słowa. A jeśli oberwany i głodny doprowadzi swój projekt do końca i zginie tragicznie, to można nawet z pewną ostrożnością przymierzyć do niego słowo „asceta”.

Jeśli zaś otaczający go ludzie nie potrafią należycie ocenić jego dzieła i jeśli podkreśla się niejasność poszukiwania pewnego *dzieła Bożego*, z którego również on nie zdaje sobie sprawy, to według starych tradycji sam staje się człowiekiem powołanym jakby z góry, a stąd jest już tylko krok do słowa „święty” lub użycia tego słowa w skromniejszej formie (na wszelki wypadek) – w formie wniebowzięcia przez anio-

łów: weźmiemy, a potem się zobaczy, co z niego za święty. Dokonała tego legenda.

\* \* \*

– Wreszcie się spotkaliśmy... – ponuro powiedział mój łysiejący przyjaciel z dzieciństwa. Kiwnąłem: spotkaliśmy.

Od dawna szukaliśmy miejsca na spotkanie po tylu latach, przeczucaliśmy się słowami, aż nagle obaj łatwo zgodziliśmy się i spotkali nie u mnie i nie u niego w domu, tylko przy okrągłym stoliku, wokół którego biegał niezadowolony kelner. „Nie u mnie i nie u niego” miało swoje znaczenie: obaj nie chcieliśmy widzieć, co i jak, *jak tam życie i co słyhać* (a więc to twoja żona, a to dzieci, a to twoje mieszkanie), nie chcieliśmy widzieć aktualnych rzeczy, aktualnego zachowania i w ogóle aktualnego czasu. Przyjaciel z dzieciństwa nie pije – rzucił, pije tylko narzan, ponieważ jego chory żołądek nie przyjmuje nawet najlepszej i oczyszczonej wódki. Tego dnia ja również nie piję – tylko narzan, i również mam swoje powody. On nie pije też kawy, ma nadciśnienie. I ja nie piję kawy. On nie je ostrego. Ja jem, ale tylko czekać, aż przestanę. Teraz w ogóle wszystko następuje szybko.

Żaden z nas nie narzeka, choć tak naprawdę dla nas, którzy pamiętamy, nie ma nic bardziej żałowanego niż takie spotkanie. Jesteśmy produktem. Zaspokoiłmy instynkty młodości, zabezpieczyliśmy *pierwsze potrzeby* oraz zapewniliśmy potomstwo: są dzieci, będą i wnuki. Świadomość z kolei osiągnęła na tyle wysoki pułap, że na życie patrzymy z lotu ptaka i możemy – nawet jeśli abstrakcyjnie – zaakceptować fakt, że każdy jest śmiertelny, my również. Tak też było: nie narzekaliśmy, lecz poczuliśmy podczas spotkania, że jest nam zimno, że jesteśmy zziębnięci i że dobrze byłoby przedostać się w głąb (w głąb *wielowarstwowego ciasta czasu* – to jego określenie), gdzie jest dużo słońca i gdzie z każdą warstwą jest coraz goręcej, bo bliżej jest dzieciństwo.

Pojawił się też temat godny wyobraźni pijących narzan. Nasi przodkowie pochodzili z różnych i rozmaitych miejsc, i porównywaliśmy, zestawialiśmy, z pewnym nawet ożywieniem wykazując charakterystyczną dla każdego gaduły zdolność do snucia domysłów: jakie są plusy zjednoczenia ludzi, a jakie minusy?

Gderliwy kelner już nie gderał, nawet się nie odwracał w naszą stronę, podczas gdy my, rozluźnieni, nie odrywaliśmy oczu od przemieszczających się w butelce pęcherzyków. Zamówiliśmy jeszcze dwie butelki: jak pić to pić.

Wówczas przyjaciel z dzieciństwa wypowiedział słowo, które zabrzmiało dla mnie jakby po raz pierwszy:

– Utrata...

– Co? – zdało mi się, że nie dosłyszałem.

### 3

Charakterystyczne jest, co odpowiedział Piekałow, oszukując ślepców. „Co to za Boże dzieło, jeśli w nim sensu nie ma?” – zdrowo pytali ślepcy, którym Piekałow kazał kopać i nic nie powiedział o rzece nad głową.

Odpowiedział im nie od razu. Odpowiedział niby uspokajająco i wymijająco, w istocie jednak sprzyjał legendzie i jej twórcom: a czy w Bożym dziele jest sens...? To w ludzkim dziele zawsze jest sens, a Bóg na to nas pobudza, że niby sensu nie ma, a jednak się pragnie i trzeba działać. Tym mocniej w ramach wzorcowej naiwności legenda dawała do zrozumienia: jeśli w dziele już jest logika i jasność, to po co miałyby być pobudzenie z góry?

\* \* \*

Piekałow przyprowadził całą trójkę do podkopu („Tędy, ubodzy, tędy!”) i oni potykali się o łopaty, uderzali głową i ramionami o niskie sklepienie, jednak z otaczającej ciemności w ślepotcie swojej nie zdawali sobie sprawy – słyszeli tylko trzaski świec. Szybko się też przyzwyczaili: wpierw odgarniali, a potem kopali, zastępując Piekałowa i Kutyrę. Według legendy trzeci, najmłodszy niewidomy okazał się najbardziej zgodliwy i przyjemny. Był cichy, przy pracy śpiewał modlitwy. „Gospodi pomiiiiłuj miiiiiaa” – ciągnął półgłosem.

A gdy Kutyr, mocząc resztką wypitej wódki zranioną trzęsącą się rękę, zapytał: „Co, ubodzy, może po kropelce?”, ci mu odmówili. Jedli umiarkowanie, do wódki ich nie ciągnęło. Okazało się, że jako robotnicy są niezwykle opłacalni – są tani. Wreszcie nastąpiła prawdziwa praca

zmianowa. Bez przewodnika nie odchodzili z podkopu ani na krok. Obok otworu w krzakach postawili stabilny szalás. Kutyr z Piekałowem też tam spali. Nie było nawet mowy o rozpraszaniu się i ponownym zwoływaniu. Jak więc w takiej sytuacji nie powiedzieć, że to niebiosa ich posłały w nieszczęściu.

Pojawił się jednak kłopot: ślepcy gubili kierunek. Z niewiedzy, że mają nad sobą rzekę i niebezpieczeństwo, kopali, biorąc nieświadomie coraz wyżej i wyżej, a na błagania, aby trzymali się obranego kierunku odpowiadali, że sami dobrze wiedzą, jak kopać, gdyż prowadzi ich teraz Bogurodzica. Dłaczego akurat Bogurodzica – ani Piekałow, ani Kutyr nie wiedzieli. Piekałow prosił, błagał, przekupywał, lecz ślepcy kopali już jakby sami z siebie i w tej zaciekłości co rusz zbaczali to na lewo, to ostro do góry. Słupów mocujących nie stawiali już od dawna.

Pewnego razu Piekałow i Kutyr, mając akurat stanąć po odpoczynku do kopania, zajęli swoje miejsca i natychmiast zamarli: ślepiec kopął z modlitewną pieśnią na ustach i w pewnym momencie tak wałnął kilofem w górę, że migiem wylała się stamtąd woda. Zwałała się z taką siłą, że człowiek by od niej nie uciekł – i tak by go dosięgła. I piekałow nie uciekł. Uciekł Kutyr, lecz ponad dwieście pięćdziesiąt kroków podkopu to było za dużo. Woda dosięgała kolana. Zdziwiony ślepiec pytająco wykrzyknął: „Co to jest?!”. Sam zaś nie przestawał walić. Woda zalała cholewy i podnosiła się wyżej. Piekałow w istocie również był ślepy: obie świece stały na ziemi, więc szybko zostały zalane.

Nie podejrzewając istnienia rzeki, ślepiec krzyknął do Piekałowa: „Zapalmy, gruntówka zaraz zejdzie!” – po czym poprosił o iskrę i skręta. Krzyknął raz jeszcze. Piekałow ocknął się, machinalnie zaczął macać kieszenie, i zauważył, że te nie są zamoczone, suche są, a więc woda wyżej nie idzie (lub podnosi się powoli, co również oznaczało, że nie jest to woda z rzeki: są uratowani). Zapalił i podał skręta ślepcowi. Woda stała.

A potem zaczęła opadać, wsiąkając i przenikając gdzieś głębiej. Ślepiec marudził, że Piekałow jest cykor i że papierosa nawet nie umie skręcić, sam, ślepy, skręciłby lepiej, a gdy spalił wziął się z powrotem za kilof. Pojawił się Kutyr. On też się zorientował, że była to tylko woda gruntowa i teraz pospiesznie bił łomem pod dużymi kamieniami, zwiększając ściek. Uderzał, szukał dziury i wreszcie ją znalazł. Z głuchym burczeniem woda wsiąkła gdzieś w głąb, pozostawiając pod nogami tylko rozmokłe błoto. Piekałow był zmęczony, poszedł napić się wódki.

Wyszedł z podkopu i padł na trawę, chciał tu poleżeć – świeciło miękkie słońce. Niedaleko spali ślepcy z drugiej zmiany – stary i młody.

\* \* \*

Wraz z pierwszymi jesiennymi deszczami zjawił się mały przewodnik. Nabiegał się, nacieszył życiem, a gdy lato dobiegło końca, zaczął szukać pewnego wikt. Ślepcy jednak nie chcieli ruszać w daleką drogę, zanim nie skończą Bożego dzieła.

– Chodźcie – wołał i zarzekał się, że teraz poprowadzi ich najlepszymi i najwygodniejszymi drogami.

Piekałow wysunął głowę z szałas i z uwagą przysłuchiwał się rozmowie. Malec na szczęście nie domyślił się, aby nastraszyć ich rzeką i zapaścią – był zbyt zajęty swoim losem, nie wpadł na to, więc Piekałow, spokojny, z powrotem schował się w szałasie. Na zewnątrz lało jak z cebra.

Stary i młody ślepiec stali obok i nie ulegli biadoleniu chłopaka.

– Idź! Bóg cię nakarmi! – krzyknął stary, surowiejąc i pamiętając doskonale wybryk pod monasterem.

– Przecież proszę o wybaczenie – malec załkał, całkiem możliwe, że szczerze.

Deszcz lał, lecz stary stał w bezruchu, strugi ściekały mu po łysinie na plecy i ramiona. Obok stał młody, jasnowłosy, z długimi, dziewczęcymi, mokrymi kosmykami.

– Idź!

Chłopiec odszedł, ślepcy zaś stali tak, dopóki poprzez deszcz nie przestali słyszeć jego kroków w zaroślach.

\* \* \*

Pracowali, jakby ktoś ich nakręcił. Gdy zaczął się żwir i duże kamienie, zrobili się niespokojni: jeszcze więcej się modlili i próbowali kopać do góry, jakby po cichu się zmówili. Wyszli spod kontroli. Piekałow to groził, że ich wygoni, to delikatnie i pokornie błagał. Strachliwy Kutyr z byle powodu wyrywał im kilof i wrzeszczał: „Nie widzisz, ślepa kuro, że do góry idziesz!”, po czym prawie dochodziło do rękoczynów. Zie-

mia stała się niebezpiecznie sypka. Skończyła się glina, utrzymująca na sobie niegroźne wody gruntowe.

Właśnie w tych dniach stary ślepiec w niespotykanej dotąd bliskości *zobaczył* w podkopie Bogurodnicę. Zakrzyknął. Wrzeszczał, że *zobaczył*, *ujrzał* ją, najmilszą, akurat w górnym kierunku. Widział ją jasno, wyraźnie. Pokazywał palcem na górę: tam.

– Jak ty ją mogłeś widzieć? Na ikonie ją chociaż widziałeś? – złośliwie krzyczał trzęsący się Kutyr, na co stary ślepy spokojnie odpowiedział:

– Widziałem. Wiele razy. Oślepiłem, gdy miałem dziewięć lat.

Zaczęli już się do siebie rzucać, kiedy Piekałowa oświeciło.

Poszedł do wyjścia, spieszył się, lecz nie biegł – szedł jak najrówniejszymi krokami, a gdy tylko u początku podkopu wyszło mu czterysta kroków, zawrócił i rzucił się do środka. Teraz już biegł co tchu, a gdy tylko dobiegł, krzyknął: „Słusznie, do góry kop...!” – zaparło mu dech w piersiach.

Odsapnął, lecz nikomu nic nie tłumaczył, cały drżał, był niespokojny.

– Dalej, mili moi, dalej! – Łapał to łom, to łopatę, wkurzając i tak już wkurzonych ślepców.

„Widzę ją, widzę!” – krzyczał stary, wściekle wpijając się w ziemię, a obok Kutyr, który zrozumiał już, o co chodzi, bił łomem coraz bardziej do góry. Przeszkadzali sobie nawzajem. Walili jak oszaleli. Niedługo potem Piekałow usłyszał zgrzyt: stary i młody walili kilofami po dużym nieruchomym kamieniu. Leciały iskry. Odrzucili kilofy i chwycili za łomy; iskry sypały się jeszcze bardziej, lecz ślepi ich nie widzieli.

– Widzę! – krzyczał stary. – Widzę ją!

Nie było sensu bić po kamieniu, Piekałow chwycił ich za ręce.

– Stój! To kamień, nie widzisz?! Ślepy jesteś czy co?

Lecz oni nie słyszeli.

– Sam jesteś ślepy! – gniewnie krzyczał stary.

– No pomóż! – Piekałow zawołał Kutyrą i dopiero we dwóch pięściami odpędzili ubogich.

Kamień był ogromny, trzeba było go mądrze podejść: okopany sam się powinien osunąć w ich stronę, ale jednocześnie nie spadnie, dzięki czemu rzeka, jeśli nadal jest nad nimi, nie pochłonie ich wszystkich tak od razu – głąz spełni rolę prowizorycznej zatyczki. Po wypędzeniu ślepców Piekałow naradzał się z Kutyrem. Obaj uważnie i ze spoko-

jem oglądali kamień, lecz nigdzie nie znaleźli kąta – był zaokrąglony. „Głaz” – powiedział Piekałow. Kutyr kiwnął. W podkopie dało się słyszeć ostrożne szuranie: wrócili podekscytowani ślepcy, chcieli pracować.

\* \* \*

Kamień był podobny do ogromnego, leżącego na boku jaja. A skoro był tak wielki, że nie dawało się go ruszyć z miejsca, to zostawał im tylko podkop, niech zjedzie w dół, zsunie się pod swoim ciężarem. „A jak rzekę otworzymy?” – „A jakie inne wyjście?” – Piekałow i Kutyr szeptali, dyskutowali, podczas gdy ubodzy stali z tyłu, nie odchodzili i też szeptali. Byli podekscytowani, poza tym nie dawała im spokoju myśl, że z jakiegoś powodu celowo nie są dopuszczani do świętego miejsca. Sądziła, że są okradani.

Tak więc jak tylko Piekałow i Kutyr rozszerzyli podkop, ślepcy od razu wcisnęli się do odgarniania. Cherlawi i na wpół głodni, odgarniając, śpiewali psalmy. Jednocześnie kopali. Wreszcie odsłonił się przed nimi owal kamienia. Ziemia pod nim była miękka, wręcz delikatna. Zgarbiony Piekałow jak pies odgarniał i odrzucał ją rękoma. Kutyr dostrzegł, że kamień zaczął się ruszać. „Idzie...! Idzie...!” – krzyczał. Piekałow nie przestawał wygrzebywać. Kamień wisiał nad nimi coraz bardziej obnażony i zaokrąglony. Coś zgrzytnęło, kopacze zamarli. Zgrzyt stał się złowieszczy, ziemia jakby zrobiła „ach” i ogromny głaz spadł całym swoim ciężarem. Ślepcy skoczyli do przodu. Świeca zgasła.

Piekałow zdążył dostrzec, że ślepiec, który był między nim a Kutyr, jest rozgnieciony. Doszło też do niego, że ich nie zatopiło, że nie ma wody. Nie było tylko światła, panowała ciemność, chociaż od razu uderzył w nozdrza silny zapach brzegu. Nagle głaz odżył i znów się poruszył, przesunął się i przycisnął leżącemu Piekałowowi rękę do łokcia, przez co ten stracił przytomność.

Kutyr odskoczył. W świetle gasnącej świeczki zdążył zobaczyć przygniecionego, spłaszczzonego ślepca i skręcającego się Piekałowa. Świeczka zgasła. W mroku nie mógł pojąć, dlaczego jest tak strasznie ciemno, skoro otworzyli wyjście i skoro dochodziło do nich brzegowe powietrze. Opanował go strach. Rzucił się ku przygniecionym.

– Siły ziemskie i siły niebieskie... – mamrotał, stukając, dzwoniąc zębami ze strachu.



Wyciągnął jakimś cudem Piekałowa i powlókł podkopem do tyłu, przytrzymując splaszczoną rękę. Spieszył się. Potykał się w ciemności, opuszczał rannego, podnosił i włókł dalej.

– Siły ziemskie i siły niebieskie... – stary złodziej szlochał i lamentował.

Dopiero po wyjściu i wyciągnięciu Piekałowa z podkopu zrozumiał, dlaczego nie widzieli światła: była noc.

\* \* \*

Ślepcy zaś wyrwali do przodu i – jak na ślepców przystało – nie wystraszyli się ciemności. Nie słysząc zmarłego uznali, że ich trzeci towarzysz jest już tam, na przedzie, i ruszyli do wyjścia. Szybko się wydostali. Znaleźli się po drugiej stronie rzeki. W krzakach i zapadliśkach bagiennych głośno wzywali Bogurodnicę, która teraz z jakiegoś powodu ich zostawiła i nie słyszała.

Z przeciwległego brzegu również nikt ich nie widział i nie słyszał. Osada spała. Miotali się, zapadali w bagnie po pas i nie wołali już Bogurodzicy.

– Ludzie! – krzyczeli. – Ludzie! – A gdy uzmysłowili sobie, że czeka ich nieszczęście, wołali swojego przewodnika, krzyczeli, że wszystko mu wybaczą.

– Chłopczyku! Chłopczyyyykuuu! – wołali czule, kobieco.

Nad ranem już ich nie było. Miotając się po bagnie i grzęzawisku, chwytając gałęzi, powoli oddalili się od siebie nawzajem i utonęli, kładąc tym samym kres swoim mękom.

\* \* \*

Znachor amputował Piekałowowi rękę tuż pod łokciem. Kikut podsechl, jednak opatrunek pozostał. Piekałow ocknął się w domku, w chacinie obok cerkwi, gdzie swój kąt znalazł też rozpity rzeźbiarz w malachicie, niegdyś człowiek sławny i niebiedny. Opiekowała się nim tam i oporządzała pobożna staruszka. Piekałow widocznie nie czuł się najlepiej, bo gdy się obudził, zaczął opowiadać staruszce, jak miękka była jego stracona ręka (mówił i patrzył na kikut) i jak sprytnie ręka trzymała świecę, pamięta dobrze, że między palcem wskazującym

a serdecznym miał małego pieprzyka – gdzie on jest...? Staruszka, nie odpowiedziała, gdzie jest, tylko surowo krzyknęła:

– Cicho będziesz?!

I dodała:

– Głupoty te swoje będziesz pleść to przegonię gdzie pieprz rośnie.

Przyniosła na noc wywar z kury. Piekałow wypił, lecz myślą był cały czas w podkopie – ciekawe, czy można się tam dostać. A jeśli ziemia się zawaliła i podkopu w ogóle nie ma...? Przestraszył się. Nie wolno było się na ten temat nawet zająknąć. Wiedział, że nie powinien o tym ani pamiętać, ani myśleć, że pobożna starucha dotrzyma słowa i najpewniej wygoni go jak psa, jednak chęć przekonania się tylko rosła. Ostrożność i strach doprowadziły do tego, że nabrzmiało w nim dziecięce pragnienie, aby pójść tam po cichu, nocą, popatrzeć i w try miga niezauważonym wrócić. Ukrył zapalki. A potem przypomniał sobie (och!) i spróbował zapalić świeczkę jedną ręką, pocierając zapalkę o pasek – udało się! Było to ważne, teraz mógł poczekać, aż zrobi się ciemno i staruszka wyjdzie. Cekał, nieustannie spoglądając na granatowy zmrok w oknach, i tak zasnął. Przyśniło mu się, że idzie podkopem.

W nocy obudził go słaby i równy terkot deszczu. Uświadomił sobie, że mocno zasnął i że musi się spieszyć, jeśli chce wrócić niezauważonym. Po cichu wyszedł z domu. Okrył się parcianką; szedł szybko w deszczu, a gdy tylko dotarł na miejsce, zrzucił okrycie i zanurkował w podkopie. Wszystko było takie znajome, że zaśmiał się ze szczęścia jak dziecko, które znalazło to, czego szukało.

Teraz już szedł nie we śnie, lecz na jawie – i jednak tyle się tu zmieniło: jesienna woda ściągnęła do podkopu wszelkiego rodzaju paskudztwa, śmierdziało rozkładającymi się odpadami, a po wierzchu, prócz ich roboczego łajna, pływało mnóstwo śmieci. Szedł po kolano w wodzie. Trzymał świecę; w obawie, że woda zrobi się jeszcze wyższa przełożył kilka zapalek z kieszeni za kołnierz (jednoręki, musiał wpierv zdmuchnąć świecę, a następnie ponownie ją zapalić).

Wody tymczasem było coraz mniej, aż znikła całkowicie, za to teraz trafiał na zwaly, potykał się, świeca wypadła mu z ręki. Podkop się zwężił. Kopali tu, gdy zostało mało ludzi i nie dbali już o szerokość – świeże osypiska zawężyły teraz przejście do niemożliwości. Ukląkł, na nowo odgarniał i czyścił przejście. Często uderzał głową w sklepienie. Świeca zgasła. Przemieszczał się na kolanach, a nawet się czołgał,

łapał za występy i podciągał ciało jak robak. Na końcu poczuł zapach starych zwłok. Sądząc po tym, ile już przeszedł i przepełził, gdzieś tu musiał się rozkładać zmiażdżony przez kamień ślepiec. To znaczy, że głaz też był w pobliżu. Natknął się na niego ramieniem, usłyszał szmer – z głazu zsunęła się wilgotna czapka ziemi i gliny i go przywaliła. Zaczął się więc i wydostawać, jak wydostaje się z przysypany robak, po czym zobaczył szary, nikły przeblysł światła.

Wyszedł na zewnątrz i zakrył oczy dłonią: to było jak uderzenie – wyszedł prosto na wschodzące słońce.

\* \* \*

A gdy tylko stanął na bagnie, ogarnęło go prawie dziecięce, ogromne szczęście; słońce zalewało i turzycę, i krzaki, i rzekę, a on podskakiwał, przeskakiwał z kępki na kępkę i nie pamiętał już, że chciał się ukrywać. „Eee! Ooo! Aaa!” – krzyczał i wyciągał ręce do ludzi po drugiej stronie, dzieląc się swoją radością. Pierwsi mieszkańcy osady, którzy wyszli rano to na bazar, to w innych sprawach, nie słyszeli go, słyszeli za to ptaki. Te, zaniepokojone jego pojawieniem się i krzykami, wzleciały i wrzeszczały, krążyły nad rzeką, i ludzie nie mogli ich nie widzieć; wtedy też dostrzegli małą postać mężczyzny, który biegał, skakał po kępkach, krzyczał coś do nich i wyciągał ręce. Rozpoznali w nim Piekałowa: krzyczał, machał, kręcił kikutem, a jego jedyna dłoń błyskała w słońcu.

Gdy zaś się wpatrzyli, zobaczyli aureolę. Nie wiedzieli, że w ciągu tamtych miesięcy robienia podkopu plus w trakcie wielomiesięcznej rekonwalescencji Piekałow posiwał. Widzieli tylko jakieś białe światło nad jego głową, widzieli, że młody Piekałow biega i krzyczy, i że jest szczęśliwy.

Nikt z mieszkańców więcej go nie widział. Niektóre kobiety twierdziły, że do rozjaśnionego aureolą młodego Piekałowa podleciały anioły, dwaj aniołowie, chwycili go pod ręce i zaprowadzili do nieba.

A sto lat później, gdy już wybudowano drogi i gdy po tamtej stronie także wyrosła osada, nad rzeką pojawił się most, w pierw drewniany, przy nim zaś, przy wjeździe – kapliczka z obrazkiem. Do niedawna można go było zobaczyć, chociaż mocno już wyblakł: aniołowie prowadzą człowieka do nieba. Aniołowie zostali przedstawieni z rękoma i skrzydłami. Ciało niesionego i ulatującego z nimi człowieka było lek-

ko przekrzywione, ponieważ temu, który podtrzymywał jednorękiego z lewej strony, było trudniej niż temu z prawej.

#### 4

Istnieje pogląd mówiący o tym, że stan maligny jest wyjątkowy, lecz nie intymny. I że jego wartość polega właśnie na obnażeniu tutaj ludzkiej wiedzy o sobie samym: mieści się w sobie więcej niż jest się w stanie zmieścić. Istnieje pogląd, że w stanie maligny uwolniony od cenzury swojego czasu człowiek może postrzegać i słyszeć przeszłość, co więcej – przeżywać ją.

W istocie jednak teraźniejszość nie rezygnuje z człowieka tak łatwo, mocno go trzyma. Bo przecież w najcięższym szoku człowiek wcale nie żył przeszłością – nie wyobrażał sobie samego siebie ani jako praszczura, ani jako strumienia, ani jako ptaka na stepie. Wyobrażał sobie siebie jako odgromnik! (Akcent na współczesny obraz nie jest taki ciekawy w rozstrojonej świadomości). Uważał, że jest absolutnie współczesnym odgromnikiem, oczywiście na dachu, i że błyszczy nad budynkiem jak miecz w wysoko podniesionej ręce.

Żył, to znaczy naprawdę czuł, jak chmury wpierw go mijały, by następnie przy nim gęstnieć i kumulować się w powietrzu jedna obok drugiej. Robiły się coraz cięższe. Kropiło. Pierwszy krótki błysk – pudło! (Ważne tutaj jest to, co czuł: chciał pioruna i bał się go). I kolejne błyski, coraz bliżej budynku, na którym stał. Był cały napięty z przerażenia i rozkoszy – jego małe ciało dygotało.

W końcu nastąpiło wyczekiwane i punktowe uderzenie. Przeszło go. Przepuszczał przez siebie najsubtelniejszy ból i myślał, że umrze, a śmierć była dla niego radością. Potem nastąpiło kolejne. I znów przepuścił ten błysk i ból przez swój cieniutki kręgosłup. Całego go pokrył pot. Jednocześnie był spragniony, wołał, ścigał na siebie kolejną błyskawicę. „Jeszcze... Do mnie...” – zwoływał chmury i szczerze żałował, gdy wokół jaśniało, a burza słabła; myślał, że coś przegapił, że nie żył pełnią życia.

Na sali dla pooperacyjnych i wstrząsowych leżeliśmy łóżko przy łóżku, i gdy za szpitalnymi oknami zanościło się na burzę, on jako pierwszy wyczuwał w powietrzu ładunek elektryczny. Pielęgniarka Ola zasłaniała okna, a on krzyczał:

– Do mnie! Do mnie...!

Czasem miła, czasem kapryśna, odpowiadała z uśmiechem:

– Już biegnę. Jeszcze tego brakowało.

On zaś krzyczał nie do niej i nie do nas, tylko do chmur – biedak, przywoływał błyskawicę. Jak on ją przywoływał...! Psychika się zregenerowała i niedługo później wypisali go z wstrząsowych. Wyszedł wcześniej niż my. Chodził. Szwendał się po szpitalu, wszędzie zaglądał. Żebrał tabletki od pielęgniarek i łykał je bez opamiętania. Dostał za to przewisko. Miał dwadzieścia dziewięć lat, a na kręgosłupie wyrósł mu nowotwór, który się przerzucał, choć może nie w najniebezpieczniejszym kierunku – kilka razy go operowano.

Dwa lata później zadzwonił do mnie znajomy ze szpitala, jeden ze znajomych, i powiedział, że *piguła trafił do piachu* – coś we mnie wtedy pękło, jak pęka przy utracie. Czego byś nie tracił, ono znika według prostego, niewymyślnego schematu: było, minęło, po czym pewnego dnia ginie ostatecznie i staje się niezrozumiałe. A nierozumienie tylko czeka. Zapytałem, czy miał ciężką śmierć.

– Skąd. We śnie.

W pamięci mam tylko, jak szwendał się po szpitalnych korytarzach, żebrał o małe białe tabletki i jak mu mówili, że łyka je bez opamiętania, a to przecież sama chemia, zaszkodzi ci, nie można mieć takiej słabej woli, wytrzymałbyś, na co on z promieniącym, przebiegłym i milutkim uśmiechem odpowiadał:

– A jeśli ból jest nie do wytrzymania?

\* \* \*

Podobnie było ze mną, gdy po urazie majaczyłem pod morfiną i nie uważałem się ani za topolę, ani za wawóz, ani wilczka, ani Piekałowa czy najmniejszego jarygę. Pamięć genetyczna milczała.

Uważałem się za ramę wywrotki, częściej jednak za samolot Jak-77 z przestrzelonym skrzydłem, który ląduje, lecz w żaden sposób (żaden!) nie może wylądować. Tak było: to odgromnik, to myśliwiec. (Pretensjonalny i niepotrzebny akcent na wizualizację to w pełni współczesna cecha).

Nawet w okresie zdrowienia, gdy najgorsze miałem już za sobą i poruszałem się o kulach, znów zacząłem twierdzić, że jestem Jakim-77

i po powietrznym boju ląduję tylko z przebitym skrzydłem: teraz to z palcem w nosie wyląduję, możecie się nie martwić. Nie pamiętam, czy coś wtedy jadłem, czy rozmawiałem z sąsiadami, jednak bardzo wyraźnie pamiętam, jak chirurg podczas zmiany opatrunku ściągnął ze mnie kolejny brudny bandaż i wrzasnął:

– Jeszcze raz wylądujesz i oddam cię do wariatkowa!

Tak nazywano specjalną salę dla wstrząsowych.

\* \* \*

To wtedy z przeszłości wypłynęła niepozorna legenda o Piekalowie, która zaczęła mnie mamić i prześladować. Chciałem się w nią wgryźć, chciałem znaleźć się tam, w tamtym świecie, wśród tych prostych ludzi (genetyka próbowała leczyć!), jednak od razu traciłem orientację, nie mogłem trafić i znów wyobrażałem sobie, że jestem monotennie krążącym wojowniczym jakim. Nie umiałem wejść do znanej mi z dzieciństwa starodawnej opowieści: przeszłość się nie poddawała, męczyła mnie, jednak pozostawała przeszłością.

Przeszłość jakby cały czas czekała na mój pierwszy krok we właściwym kierunku, aby natychmiast przestać milczeć: była strachliwa, nieuchwytna, pokazując tym samym, że nie będzie powrotu i że zamilkła we mnie o wiele wcześniej, niż to sobie uświadomiłem, i że jaką straszną ilość słów nagromadziłem i wypowiedziałem bez niej!

– Oła...! – krzychałem w cierpieniu i bólu, mając jednocześnie potrzebę powiedzenia jej, zabieganej pielęgniарce, że zrozumiałem coś istotnego: nie należy bać się opowiedzieć, nie należy bać się uczynić swojego bólu wszechogarniającym, a swojej utraty – powszechną. Wtedy też uświadomiłem sobie, że jeśli ograniczę się i nie zwalę, nie zrzucę tego z siebie na wszystkich aktualnie żyjących (nie chodzi tu, oczywiście, o wyrównywanie z kimś lub czymś rachunków), to będzie to pochlebianiem samemu sobie i nawet samooszukiwaniem się.

Na moment przeszłość znów się przybliżyła, zwabiła mnie, i oto trzymałem w rękach łopatę starego typu, kopałem. Kopanie to przypominało mi lub tylko chciało przypominać bieg życia, szedłem, przebiegałem się tunelową ścieżką, podkopem, skręcałem to w prawo, to w lewo, przechodziłem przez wymyślne i zygzakowate przejścia, podczas gdy należało po prostu przeczekać. Nie umiałem i nie chciałem czekać,

nawet na własne doświadczenie, i nic dziwnego, że bardzo szybko nie wiedziałem, dokąd iść, zgubiłem się (w ciemności i przy jednej jedynej świecy). A rzeka płynęła; rzeka była nade mną, słyszałem jej szum i nie bałem się go, nie wiedziałem już jednak dokąd ona płynie, gdzie jest jej koryto, gdzie pod prąd, a gdzie w poprzek; tak się nawyginałem, że w ciemności zostawało mi tylko jedno: kopać, kopać dokąd się da, nie szczędzić wysiłku i nie żałować strat, byleby mimo wszystko wyjść na nieuczęszczany brzeg. Jednak było to już, jak się zdaje, niemożliwe.

– Ola...! – wołałem, leżąc po urazie w malignie na łóżku szpitalnym.

Piekałow zaś nie przestawał kopać. I było wrażenie, że on ciągle kopie, niewidoczny dla ludzi i może właśnie dlatego wzięty do nieba, że wniebowzięcie nic nie zmieniało: został na swoim miejscu, z łopatą.

Zależy, jak spojrzeć: wiadomo, młodzi zbyt ufać wyobraźni, a starzy nazbyt boją się śmierci, jeśli jednak nie jest się ani młodym, ani starym i jeśli zna się miarę oraz nie popada w przesadę, to po co komu jakaś Piekałow...? A jednak (już z wysiłkiem) próbowałem wyobrazić go sobie, zobaczyć, jak napinają się jego mięśnie i jak odrzuca za siebie ziemię, jak wpada w ferwor i wpija się w żwir.

Nie chciałem i teraz też nie chcę, aby po nim i jego uporze pozostała naga, prosta myśl, słaba w wyrazie, pojemna, lecz bez zapachów, bez nawisłego ciemnego sklepienia, bez zgrzytu łopaty i bez spadających kropel wody – nie potrzebuję tego *bez*. Chciałem go zobaczyć – żyjącego Piekałowa – i zobaczyłem tylko raz poprzez grubą warstwę czasu. Stał, opierając się o łopatę, zgięty pod niskim sklepieniem podkopu, po kolano w błocie; był dwuręki, a za kołnierz spadły mu grudki ziemi. Przerwał kopanie, drapał się po plecach. Zmęczona twarz. W odległości kroku na żwirze stała nie świeca, a lampa naftowa.

Jak każda zjawia był małowimny. Powolny, przestał drapać się w plecy i wygrzebywać stamtąd ziemię. Nie rozumiał ani mnie, ani mojej obecności (byłem dla niego przybyszem). Powiedział:

– Nie ma czasu... Czego ode mnie chcesz?

I odwrócił się do mnie plecami, by kontynuować kopanie.

\* \* \*

Szpital pograżył się we śnie. Siostra chodziła z sali do sali z nocnymi zastrzykami: widziałem jej wynurzający się i znikający biały fartuch.

Aż zniknęła zupełnie. Ani żywej duszy na długim, szpitalnym korytarzu. Noc. Jesień. Za oknami padał lekki deszcz. Okna odbijały widok korytarza – widziałem siebie kuśtykającego: równolegle po odbitym korytarzu szedł o kulach odbity chory, który posiadał moją twarz. Oblicze było nietrwałe, chwiejne. Jeśli (przebijając twarz) spojrzeć dalej, to z wysokości czwartego piętra widać było asfaltową ścieżkę, moką, błyszczącą od deszczu. Przejęło mnie tam jednak coś innego.

Naprzeciw szpitala znajdował się blok, tam zaś, również na trzecim piętrze, wśród wielu wygasłych okien było jedno oświetlone, a w nim przyklejona do szyby dziewczynka (nagle ją zauważyłem) w wieku dziesięciu lat, rozpaczliwie machająca ręką. Twarz miała wystraszoną.

Pokuśtykałem po korytarzu z piętnaście metrów, kątem oka obserwując postać w oknie. A gdy, przestawiając kule, na chwilę się zatrzymałem, dziewczynka jeszcze mocniej zamachała ręką. Nie miałem wątpliwości: dziewczynka machała do mnie.

Działo się tam coś niedobrego i w taki sposób ona wołała o pomoc. Możliwe, że jest zamknięta. Z jakiegoś powodu nie może stukać ani walić w drzwi (a może się boi? może ktoś jej grozi?). Nie może nawet wybić szyby w oknie i wyskoczyć, ponieważ jest na trzecim piętrze. I być może poza mną, idącym korytarzem szpitalnym, żywa dusza jej nie widzi i nie jest w stanie jej pomóc. Inaczej dlaczego wołałaby i machała do mężczyzny o kulach. Była chudziutka i malutka, żałosna. Tylko jak tu jej pomóc, skoro nawet nie mogłem do niej krzyknąć – okna naszego korytarza nigdy nie były otwierane. Trzęsły mi się nogi, byłem zmęczony. Ledwo szedłem. Minęło dopiero kilka dni po dwóch operacjach. Usiadłem, prawie runąłem na stary wózek inwalidzki, zapuszczony, pordzewiały, dzień i noc stojący na korytarzu bez ruchu i wykorzystywany do odpoczynku przez takich jak ja *kuternogów*, zmęczonych na długim korytarzu.

Trzeba było jednak wstać i iść, mimo że zejście o kulach na parter do prostych nie należy. (Ponaglały mnie jej nieme, rozpaczliwe znaki i twarz przyklejona do szyby).

Zszedłem na dół, schowałem się. Z jednej strony było główne wyjście ze szpitala, skąd słyszałem głos szatniarki rozmawiającej z lekarzem. Tutaj (lekarz zatrzyma) musiałem być bardziej dyskretny. Na szczęście po drugiej stronie były głuche drzwi z włazem. Rozejrzałem się – nie ma nikogo. Postawiłem kule blisko zatrzaśniętych drzwi i się wsunąłem.



Udało się nie od razu. Gips usztywniający moje plecy pozwalał wejść przez właz tylko na leżąc, więc położyłem się i przecisnąłem. Z tamtej strony, czując już zapach deszczu i słysząc jego terkot, położyłem się ponownie i wyciągnąłem po kolei obie kule. Następnie wstałem i pokuśtykałem. W pośpiechu przecinałem deszczową przestrzeń między szpitalem a budynkiem i co rusz machałem dziewczynce – idę, już idę! A kiedy wyszedłem za częściowo powalone ogrodzenie szpitalne, ona również zaczęła machać z radością, ale też z przerażeniem na twarzy, jakbym kulał zbyt wolno i jakby moja pomoc była coraz bardziej spóźniona. Śpieszyłem się, dyszałem ciężko.

Policzyłem okna, mimo to z mieszkaniem można się było pomylić. Wszedłem na klatkę i zacząłem wchodzić, jednak piętra były trochę niepewne, schody miały nie dwa biegi, jak to zwykle bywa, lecz nietypowy jeden. Wychodziło, że to pół piętra. Potem półtora. Dwa i pół. Nie wiedziałem, czy ich trzecie piętro jest powyżej czy poniżej trzeciego piętra szpitala. Nie wiedziałem, do których drzwi powinienem zacząć pukać, dzwonić, a może walić.

Natychmiast przyszło mi do głowy, że powinienem stukać kulą we wszystkie drzwi pod rząd, jednak w ogólnym nocnym hałasie, gdy ludzie wyrwani ze snu zaczynają biegać i krzyczeć, można nie znaleźć, nie usłyszeć małej dziewczynki. Łatwo było się pomylić. Tym bardziej, że na czwartym (na trzecim i pół) piętrze korytarz nagle ostro skręcił w prawo i w dół – ujawnił się układ starego budynku z różnymi, porozrzucanymi mieszkaniami. Pokuśtykałem w głąb. Były tam jeszcze trzy mieszkania, lecz gdy tylko pomyślałem, że są ostatnie, ślepy zaułek nagle się rozszerzył, a na rogu pojawił się kolejny korytarz, który odchodził ode mnie ostro w lewo i w dół.

Za zakrętem widać było nową gałąź korytarza (już bez okna na końcu), nieoczekiwanie przechodzącą w kondygnację piwniczną. Takiego kołchozu nigdy wcześniej nie widziałem. Wszędzie były mieszkania, mieszkania i jakieś rury, i zapachy piwnicy. Byłem wyraźnie dezorientowany, zagubiony, pukanie do drzwi byłoby tutaj oczywistym błędem. Byłem wyczerpany. Nogi mi się ugięły i mocno bolały otarcia pod pachami od kul. *Kuternoga za dużo nie nakula* – mówiono. Zatrzymałem się. W mroku korytarza (były już tylko pojedyncze przebłyśki światła) poczułem silny zapach ziemi, widziałem, że korytarz ciągle się pogłębia. Ściany po bokach były z ziemi. I nad głową była ziemia.

A w niektórych miejscach – glina. Znów się zatrzymałem: zobaczyłem kroplę, która spelzła z sufitu i upadła mi pod nogi. I wtedy usłyszałem szum na górze, nade mną: był to szum rzeki. Niegłośny i miarowy. Sklepienia nad głową i ziemia, i czyjaś świeca u moich stóp – wszystko nagle drgnęło, przeszło w inny rytm, rozmyło się...

\* \* \*

Nawet jeśli to maligna, nawet jeśli wciskała się przeszłość, to korytarz szpitalny był realny. Wyrząłem przez okno: widać było latarnię z matowym, płaskim kloszem, w którym powoli zbierała się deszczówka. Była noc, padał miarowy jesienny deszcz, był budynek naprzeciwko z jednym oświetlonym oknem. I dziewczynka, która przyłożyła ręce do szyby i się wpatrywała. I twarz wykrzywiona przez ból. To było na jawie.

Więc pokuśtykałem w tę jawę. Na korytarzu szpitalnym ani żywej duszy. Ruszyłem, przestawiając kule i szurając po linoleum swoimi skórzanymi kapciami. I o ile wolniejsza i trudniejsza była teraz droga. W rzeczywistości trzeba też było być bardziej ostrożnym. (Znajomość szpitala była znajomością jego porządków i tylnego wyjścia). Wszedłem jeszcze do mojej sali, która była na rogu, najdalej od wind. Pod szpitalny szlafrok ubrałem (biorąc pod uwagę deszcz) sweterek, a spodnie szpitalne zamieniłem na dresy z białym lampasem. Na wszelki wypadek schowałem do kieszeni jakieś drobne i ruszyłem w stronę drzwi. Jeden z moich sąsiadów spał, drugi leżał, patrząc w sufit i nie reagując ani na moje przyjście, ani na przebieranie się. Koszulę na piersi miał rozmemłaną, rozpostartą, jak po uduszeniu.

Wyszedłem z sali i – kuternoga za dużo nie nakula – schodziłem po nieoświetlonych schodach bieg za biegiem. Zszedłem.

Akurat główne wyjście było zamknięte, puste, ciemne, a potrzebne mi tylne drzwi – otwarte; świeciła się tam słaba, goła żarówka i siedział dyżurny w waciaku. Palił. Ziewnął leniwie, gdy obok niego kuśtykałem. A kiedy wyszedłem z pola światła i dymu tytoniowego, mruknął tylko coś w stylu: „Nie za długo tam...”. Szedłem, stawiając kule na mokrym asfalcie, na mokrej trawie. Moje słabe nogi drżały. W ustach zaschło. Padał ciepły deszcz. Minąłem na wpół powalony płot i czułem, jak po szpitalnym zaduchu w twarz uderza gęsty zapach mokrych drzew.

Budynek był na wyciągnięcie ręki. Widziałem, że dziewczynka w oknie coś mówiła – poruszała ustami. Wejścia do klatek (w rzeczywistości) były po tej stronie i łatwo obliczyłem odległość okien od narożnika. Zadarłem głowę, jeszcze raz ustaliłem położenie twarzy w oknie i wszedłem. Mój oddech się wzmógł. Wchodziłem po schodach. Stukałem kulami. Budynek był zupełnie zwyczajny, z normalną ilością pięter, z normalnymi klatkami schodowymi, z normalną ilością mieszkań na piętrze – po cztery. Normalny, powszedni, prozaiczny; jedno z mieszkań na piętrze było akurat otwarte. Drzwi były otwarte.

Jednak gdy wszedłem, zobaczyłem, że mieszkanie jest puste. Wisiały rury. Drzwi wejściowe prowadziły nie do pokoiów, lecz do nowego popłatanego korytarza, gdzieś w bok. Przeszedłem jeszcze trochę i popatrzyłem w górę – sufit obsyty był deskami. Ziemia. Zapach piwnicy. Stałem. Dostrzegłem, że znów jest spadek. I od razu też usłyszałem nad głową znajomy szum: szum rzeki...

\* \* \*

Mniej więcej w ciągu roku na moich oczach wymienilo się około dwudziestu pacjentów. Jednym z nich był stary Turkmen. Po doznanym urazie był w stanie niecenzurowanego szoku. On również nie patrzył na siebie ani jak na jaszczurkę, ani jak na barchan, ani jak na derwisza, czy mułę. Miał całkiem nowoczesną i dość powszechną fiksację: uważał, że wszystkie zegary się zepsuły i muszą zostać zniszczone, ponieważ źle pokazują czas. Milczał, a jeśli mówił, to o zepsutym mechanizmie, czyli o trybikach i sprężynkach. Często przychodziła do niego córka – czterdziestoletnia kobieta, manikiurzystka.

Pamiętam, że po dłuższym czasie znalazłem z nim pewien rodzaj komunikacji – rysowałem mu na karteczkach tarcze zegara, a on te skrawki z przyjemnością zabierał i z jeszcze większą przyjemnością rozrywał na drobne części: niszczył zegar albo nawet czas. Pielęgniarka Ola i opiekunka były mi wdzięczne, ponieważ kiedy już porwał te dzieśnię papierków z wyrysowanymi naokoło cyframi, wpadał w świetny nastrój i jadł obiad bez kaprysów i wyrzucania naczyń za okno. Događywaliśmy się, nasze łóżka stały naprzeciwko siebie. On rwał, a ja znów rysowałem. Zajęcie to i mnie dostarczało pewnej przyjemności, gdyż

na dole rysunku, malutkimi i niezauważalnymi dla lekarzy literkami podpisywałem się jako autor – „Jak-77”.

## 5

(W wariatkowie nie było ani jednego Aleksandra Wielkiego, ani Napoleona, ani nikogo podobnego).

Według jednej z opowieści Aleksander Wielki miał rozbić jakiś piękny przedmiot, chyba amforę. Rzucił na ziemię piękną, kruchą rzecz tylko dlatego, że nie mógł jej zabrać ze sobą na długą wędrówkę – w warunkach polowych amfora prędzej czy później by się rozbiła, a on już by się do niej przywiązał i przyzwyczał. Macedończyk uprzedził swój żal: nie chciał się przywiązywać, nie chciał tracić. Ów młody zdobywca nie był wyjątkiem, ponieważ w pewnym sensie wszyscy ludzie są do niego podobni – właśnie tak żyjemy, odrzucając, a nawet rozbijając przeszłość. Leccy, udajemy się na nasze kampanie, jemy, pijemy, póki nie połapiemy się i nie zakrzyczymy: utrata, ach, utrata!

Zaskakujące jest nawet, że legenda ta znalazła się wśród innych legend o Macedońskim, chociaż ewidentnie nie ma w niej nic szczególnego: ludzie tak właśnie żyją. Można sobie wyobrazić, ile waz i nie waz on rozbił. Jak wiadomo, jego nauczycielem był Arystoteles; należy przypuszczać, że filozof nie miał lekko z awanturnikiem, który jednocześnie był prestiżowy uczniem.

\* \* \*

Oczywiście nie przez wszystko, co kochasz, dusza mówi i oddycha – jest to jedna strona medalu. Ale jest jeszcze druga: jeśli wiek za wiekiem ludzie porzucali to, co ukochali w obawie, że się zbyt przywiążą, jeśli tłukli swoje wazy i amfory, to czyż nie jest to nasze przeznaczenie?

Przecież nie to sprawia trudność, że droga powrotna jest nieestetyczna. Można się z tym pogodzić. Życie jest ukierunkowane, a drogi powrotne są zaplute nie tylko dlatego, że na szlaku ku teraźniejszości człowiek jadł, pił, rzucał puszki i tak dalej, i tak dalej.

Także antymacedończyk Tołstoj pytał, dlaczego nie rozumiemy przeszłości lub dlaczego tak źle ją rozumiemy. Apelowal, mówił o utracie, a w odpowiedzi słyszał, przy czym na całkiem współczesną

modłę, że tak, należy się troszczyć o pomniki przeszłości (o, tu cerkwie odmalowaliśmy, a tu jest ponownie wydana stara książka). On mówił o rozumieniu, a oni o muzeum. On mówił o człowieku, a oni o tym, czy człowiek ma ładny nagrobek. On mówił, a oni nie słyszeli. Koniec końców to mogło być irytujące.

\* \* \*

„Przeszłość powinna podrywać się sama jak ptak” – ładnie powiedział pewien człowiek przy stole, nie znając zresztą podobnie ładnej historii o rozbitej wazie.

Powiedział „podrywać się”, nie decydując się na powiedzenie, że ptaki wzlatają. Ale sens był jasny.

Przypomniałem sobie wówczas siwiutkiego, białutkiego staruszka, który wiele lat temu dreptał po podwórku wzdłuż naciągniętych sznurków do bielizny. Było lato. Staruszek już dawno nie pracował.

Chodził w tę i we w tę, podchodził w milczeniu i mrugał, jakby chciał po cichu coś pokazać. Rękę zagadkowo trzymał w kieszeni. I faktycznie: wyciągał z niej niezwyklego ptaszka. To znaczy, wyciągał najzwyklejszego na świecie wróbla, który trzepotał skrzydłami, jednak nie wzlatywał. Staruszek trzymał go na dłoni, a my, chłopcy, dziwiliśmy się, patrzyliśmy, badaliśmy. Skrzydła nie były złamane, a łapki przewiązane, i w ogóle wszystko było z nim w normie. Wróbelek głośno ćwierkał. Nikt, nawet staruszek, który znalazł go na ziemi nie wiedział, dlaczego on nie lata.

\* \* \*

Głośna i suto zakrapiana biesiada trwa w najlepsze. Mam czternaście lat, a obok mnie siedzi, trzęsąc kieliszkiem, stary księgowy – natarczywy, z zapędami na miejscowego filozofa. W ogólnym hałasie zaczął rozprawiać o wyrażaniu samego siebie i ocenie w potomstwie.

Nikt go nie słucha, jednak on nie przestaje mówić: kiedy pierwszy, *małp*, prawda, wstał z czworaka na nogi, jego ogoniaści towarzysze minami i piskiem pokazywali mu, że na próżno się stara. Kosztowało to go немало trudu, ciała i mięśniom było ciężko, bolało, a tamte się w dodatku śmiały: „Dziwak! Naprawdę sądzisz, że potomstwo będzie

o tobie pamiętać...?”. I przecież tak było: nie pamiętali. Ale właśnie w tym sęk, że nie docenili śmiałego i mądrego *małpa*. Zapomnieli o nim. Zapomnieli! Stary wiejski księgowy przeżył przez wiele lat i wiele podróżował. Słyszał rozmowy w samolocie, pociągu, samochodzie, tramwaju, słyszał na promie, wozie, a także na koniu, gdy jedzie się siodło przy siodle. I nigdy we wszystkich tych rozmowach on, stary księgowy, nie słyszał nikogo, kto by dobrze wspominał tego, kto pierwszy wstał z czworaka. Potomkowie nie pamiętają. Zapominają...

Na stole leży domowa kielbasa, do której sami mielili mięso, sami ją przyprawiali, próbowali i sami napełniali flaki. Obok kielbasy stoi wódka w karafce, a gdy ją pochylają, widać twarz cioci Darii: stuka się kieliszkiem z Wiktorem Sergiejewiczem. Zgodnie z ogólnorodzinnym zamysłem posadzono ich razem. Krewni powinni się pogodzić, więc szukając sposobu na pokój Wiktor Sergiejewicz ciągle powtarza: coś sąsiadka słabo pije... Na co ona odpowiada, że pije całkiem dobrze i że już jej nawet w *piersi podskakuje*.

On zaś poprawia:

– W piersi to nie to. W oczach powinno podskakiwać.

A dalej jest Paweł z jasną, ładną twarzą i jego żona Anna Wasiljewna. Następnie wujek Kiesza bez lewej ręki, osiem ran, trzy medale, okaleczony, gdy siedział przy armacie i wbijał gwóźdź w buta. Na dniach umarła mu żona. Wujek Kiesza siedzi cichy, jednoręki, wypił już dziesięć kieliszków, więcej mu nie wolno. Nie słyszał jeszcze o małpie, nie słyszał o pojednaniu krewnych, nic nie słyszał. Pośród ogólnego biesiadnego hałasu ociera łzę i szepcze coś do samego siebie. „Śpiewamy! Dalej, śpiewamy...!” – krzyczą tu i tam.

Za wujkiem Kieszą, wujkiem Pawłem i na ukos od Anny Wasiljewny siedzi wujek Sierioża, człowiek szczególnie. Swoje dzieci on tłukł też jakoś tak szczególnie, a żonę prał namiętnie, ze smakiem, przez co dwa razy próbowała się powiesić. „Śpiewaaamy!” – drze się teraz. Zawsze jest w ruchu, energiczny i hałaśliwy inicjator wielu przedsięwzięć, które porzucał w pół drogi. Z powodu swojej wyjątkowej ruchliwości pewnego razu władował się w dość sporą jak na osadę spekulację, następnie się rozmyślił, poleciał na policję, aby wszystko opowiedzieć, przez co wpakował swojego sąsiada i kompana na dwa lata do więzienia. Sam się wymigał.

W trakcie śledztwa chodził do żony sąsiada i wyciągał pieniądze: „Jak nie, to wszystko powiem i go posadzę”. Zabierał jej czerwone za czerwonce, a na rozprawie i tak wyłożył wszystko, o co go pytali i o co nie pytali. Był dumny: „Towarzysze, opamiętałem się. Sumienie w porę się odezwało. Co jak co, ale sumienie jeszcze mam”. Sąsiad dostał pięć lat, które udało się skrócić do dwóch, a on, wujek Sierioża, wykręcił się mandatem, który prawie w całości pokrył z sąsiedzkich pieniędzy. Wymuszając je, sypiał z żoną sąsiada. Wielomówny, natarczywy i cwany w kółko jej powtarzał: „Jak nie, to całą prawdę na sądzie wyłożę”. Żona sąsiada pieniędzy miała mało, więc musiała płacić w naturze. Kiedy sąsiad dostał dwa lata, Sierioża przyzwyczaił jego żonę do alkoholu w łóżku. Później zaś, siedząc w jedynej miejscowej piwiarni obok bani, opowiadał innym mężczyznom o niektórych jej łóżkowych ciągach. „Podobam się jej – tłumaczył – ale ja z takimi długo nie siedzę. Spróbowałem i gra gitara”.

Przy stole jest głośny, drze się, żąda ulubionej piosenki, a za pięć lat będzie umierać na raka, i wówczas długa, rodzinna posiadówka (plus pijane filozofowanie staruszka o małpie) odezwie się w nim w dziwny sposób. Umierając, wujek Sierioża zawoła żonę i dzieci i zapyta:

– I wy nie zachowacie mnie w swojej pamięci? Zapomnicie mnie?

Uroni skąpą łzę. Będzie wiedzieć, że umiera. Potem zawoła jeszcze raz żonę, którą bił i męczył i która dwa razy próbowała się powiesić i cicho, tym razem bez dzieci, ze smutkiem zapyta:

– Nino, i ty nie zachowasz mnie w swojej pamięci?

I umrze. I go nie zachowają. Dlatego że Nina zapomni jego zło, szarpaninę i skrzywienia. Będzie pamiętać i myśleć jakby o innym człowieku, chociaż noszącym to samo imię i nazwisko. Wspominając go, będzie wdychać: „Taaa... Miałam męża. Nie żyje już. Dobry był, czuły...”.

A oto i łoskot: to szczególne i przerażające narastanie dźwięków, kiedy płuca nadmiernie nabierają powietrza, aby potem jak po stopniach wynosić swoje dźwięki ku niebu: *i bes-prie-ryw-no-grom-grie-mie...* Na szczytach śpiewacy dają z siebie wszystko. Kończy się zapas powietrza. Oczywiście szukają punktu oparcia, po czym następuje skrajne napięcie: *grie-mie-eee-l...* – oto dźwięki z mocą wynoszone są za skraj, a na twarzach maluje się uśmiech rozwiązania (i chwilowego wyczerpania), satysfakcja, radość – ale pięknie wyszło, wiadomo, kto śpiewa. Wzlatuje

teraz kobiecey wtór, jakby wybiega do przodu, z prawej i z lewej, ale nie wyprzedza. Ogromne pola i przestrzenie zlewają się w jeden punkt. To my. I niech sobie o nas zapominają. Całkiem niech o nas zapomną. To my, dopóki żyjemy. *Czy naprawdę zapomną...?* Pieśń dobiega końca. Wybrzmiewają ostatnie wersy, ważne jak same przestrzenie:

I pała, groznają w bojach  
Nie obnażyw mieczey, drużyna-a-a...<sup>1</sup>

\* \* \*

A na czwarty dzień spadek: wszyscy leżą jak kłody, bez sił, skacowani, pokotem na ziemi... Wstaną, siorbną, pogryzą półmartwego ogórka, zaskrzypią zębami, zapalą i z powrotem na ziemię. A takie wspaniałe trzy dni mieli! Tak siadali do stołu, tak krzyczeli, tak się rodzinie-nierodzinie całowali i tak śpiewali.

## 6

Jeśli *kopać* dalej to mam jedenaście lat: czas był głodny, lato niespokojne; tak się złożyło, że mama musiała mnie gdzieś ulokować. Tylko gdzie?

Po długich staraniach udało się jej umieścić *zrównoważonego* chłopaka w domu dla ślepców, na czele którego stał i którym cicho zarządzał nasz na wpół niewidomy i daleki krewny. Naturalnie, byłem tam nielegalnie. I całe lato ich objadałem. Przebywała tam też biedna dziewczynka, która widocznie też ich objadała, chociaż we dwoje, słabi i z wyschniętymi żołądkami, nie byliśmy chyba aż tak dużym obciążeniem dla ich wspólnego kotła. Tym bardziej, że między nami – między nią a mną – prawie błyskawicznie zrodziła się dziecięca miłość. W związku z czym praktycznie nic nie jedliśmy.

Ślepi (zwieźli ich z całego rejonu, a może nawet obwodu) mieszkali dokładnie po tej samej stronie rzeki, choć nieco w dół od miejsca, gdzie Piekałow wyszedł z podkopem. Rzeka pozostała rzeką, więc ci, którzy

---

<sup>1</sup> Jest to fragment pieśni ludowej *Riewiela buria* opisującej śmierć Jermaka w wodach Irtysza (przyp. tłum.).



jako pierwsi wydostali się nigdyś z podkopu i trafili na moczary, zginęli w tej okolicy, niedaleko. W każdym razie w ciągu tamtej *długiej* nocy, ginąc i wołając o pomoc, bez problemu mogli się dostać, przemieścić brzegiem właśnie tu.

Dzień spędzaliśmy nad wodą. Pływaliśmy, spacerowaliśmy po lesie, a nawet kłóciliśmy się, bo Saszeńka – tak miała na imię – nie ukrywała, że w zeszłym roku była już zakochana. W Toli, koledze z klasy. Miałem jedenaście lat i tylko szlachetnie wzdychałem: „Rozumiem, między wami to na poważnie”. Szybko się jednak odmieniłem. Nie byłem już tak szlachetny, a gdy tylko się okazało, że oboje również się kochamy i że też na poważnie, zacząłem być zazdrosny o jej przeszłość, niegodnie wypytując o szczegóły albo wybuchając: „No to idź do niego...!”.

Przez całe lato na wpół ślepy dyrektor, nasz krewny, ze dwa albo trzy razy wołał mnie do siebie i pytał, jak się mieszka, na co wstydliwie przestępowałem z nogi na nogę i mamrotałem, że dobrze.

– A jak śpisz?

– Dobrze.

– A jedzenie?

– Dobrze...

Bałam się, że zwęszył naszą miłość. Wieczorem Saszeńka przychodziła do oddanego mi starego, nieszczelnego namiotu, który stał na uboczu, ze strachem przychodziła, i całowaliśmy się, po ciemku i tylko raz dziennie, uznając, że częściej znaczyłoby, iż zachowujemy się jak dorośli. Siedzieliśmy w namiocie, a dziesięć kroków dalej Ural pluskał swoimi falami. Popalałem już wtedy i specjalnie zamykałem wejście, dym jednak wylatywał, dlatego też Saszeńka przez pewien czas przechadzała się koło namiotu i pilnowała, aby nikt mnie nie przyłapał. Jak tylko wyrzucałem niedopałek, siadaliśmy obok siebie i długo milczeliśmy – Ural szumiał, a my cicho, po sierocemu, słuchaliśmy uderzeń fal. Albo ich rytmicznego plusku. W rozchylonym wejściu do namiotu widzieliśmy też ścielącą się na wodzie księżycową poświatę.

\* \* \*

Ślepcy byli zaskakujący. Szedłem na przykład w ciągu dnia do Saszeńki, żeby zawołać ją nad rzekę (albo ona – była zakwaterowana u kucharki – szła do mojego namiotu); szedłem brzegiem, gdy nagle

mnie wołano: „Nikołaj...?”. Nie byłem Nikołajem, więc szedłem dalej (Saszeńka mówiła, że cała zamiera, gdy ją wołają), ślepy zaś przez jakiś czas jeszcze uważnie się wsłuchiwał. Pojął (po krokach), że się pomylił i znów wołał: „Aaa... Sieriożka! Że też cię od razu nie rozpoznałem!”. Lecz ja nie byłem Sieriożką, milczałem, szedłem swoją drogą, a jeśli to była Saszeńka, to znowu zamierała, po czym z szybko bijącym sercem ruszała dalej. Ślepiec stał i patrzył.

Było ich kilkunastu i dwojgu dzieciom trudno było nie nawiązać z nimi kontaktu, o czym zresztą dyrektor uprzedził nas na samym początku. Powiedział, że niewidomi łatwo się przywiązują i zbyt szybko cieszą z każdej nowej osoby, dlatego należy ich omijać z daleka. Może obawiał się, że przywiązanie pociągnie za sobą ciekawość i że w taki sposób dowiedzą się od nas, że żyjemy na ich koszt, korzystając z ich kotła. W każdym razie była umowa, że mamy ich omijać. A oni brodzili ze smutkiem przy brzegu albo siedzieli, bawiąc się kamyczkami. Gdy przechodziłem obok, nie tylko słyszeli mnie, ale i czuli po oddechu. Wyczuwali palacza: „Nikołaj... Chodź no tu!”. Było wśród nich trzech palących, znali ich, więc nazywano mnie ich imionami. Saszeńka zaś była chudsza, a chód miała tak lekki, że ślepcy nie zawsze ją wołali, patrzyli tylko, wodząc za nią niewidzącymi oczyma i biorąc za ptaka.

Gdy Ural szumiał w niepogodę, nagle zbierali się na brzegu i stali w żywym, kołyszącym się szeregu na samym skraju mokrego piasku. Jakby wyszli z podkopu. Fale omywały im nogi. Wbijali swój białawy wzrok w przeciwny brzeg (jakby wyczekiwali w milczeniu ratunku). Stali tak godzinami wpatrzeni, z wyciągniętymi szyjami, a rzeka pędziła falę za falą. Coś ich tam przyciągało.

\* \* \*

Jedliśmy osobno i dlatego nie widziałem i nie pamiętam, jak oni jedzą, jak przekazują sobie talerze. Widzieliśmy za to nie raz, jak wchodzi do rzeki, gdy Ural jest cichy i łagodny, kiedy ze wszystkich stron widać błękitne niebo ze słoneczną kulą pośrodku, kiedy jest upalnie i najwyższa pora, aby zanurzyć się w wodzie. Wchodzili zawsze w tym samym miejscu – prawdopodobnie było tam mniej kamieni i wypróbowane piaszczyste dno. Przy brzegu woda była płytka, więc trzeba było iść dość długo: szli spokojnie jeden za drugim w rozciągniętym łańcuszku,

tam zaś, gdzie płycizna stawała się ciemną głębią, pomagali grubemu i drżącemu ze strachu Kiriuszy, być może choremu na puchlinę wodną i będącemu ewidentnym przeciwieństwem pozostałych – szczupłych i zgrabnych. Zatrzymywali się na głębinie, zwierali, nawet ścieśniali, po czym pomagali mu wejść. Pochlipywał, ślizgał się, bał się upadku. Popychając każdego po kolei swoim nabrzmiałym brzuchem, przechodził do kolejnej osoby w łańcuszku, jednocześnie rozczapierzoną dłoń wyciągał już do następnego. Ślepcy przekazywali go sobie z rąk do rąk i na odpowiedniej głębokości nakazywali: „Kiriusza, tu pływaj. Dalej nie chodź!”. Trudno powiedzieć, czy był upośledzony, czy może źle pływał. Ural słynie z topielców, a w tamtym roku tonęli prawie jeden za drugim. Kiriusza się bał. Hałaśliwy, pluskał się jak wieloryb, ani na krok nie odstępując wskazanego mu miejsca.

Pozostali natomiast wypływali daleko i dzielili się na małe grupki, może dla towarzystwa, a może po to, aby mieć łatwiejszy powrót na brzeg. Często kręcili głowami, jakby starając się lepiej i dokładniej zorientować mokrą twarz w promieniach słońca. Zresztą dobrze wiedzieli, gdzie jest brzeg, i może zwyczajnie wystawiali twarz i oczy na słońce. Dzielili się i pływali po dwóch, trzech mężczyzn, albo mężczyzna z kobietą. Kobiety wśród nich były tylko dwie, niewidome i całkiem ładne, młode. Kapali się zawsze nago, i oni, i one.

Najpierw długo wracali po mieliźnie, brodzili aż do samego brzegu. Byli rozproszeni i jedni nie spodziewali się drugich – dwoje, nadzy, zatrzymywali się na chwilę, aby z wody zrobić *pierwszy krok na ziemię*. Płytką falą nadal łaskotała nogę, będącą jeszcze w wodzie, a ta, która stanęła na ziemi, już żywo podrygiwała, przymierzając się do stabilnego lądu. Gdy stanęli, znowu sobie przypominali, że są ślepi i że kamyki mogą być ostre, i że każdy krzak rani i drapie. *On*, ostrożny, stał już na ziemi, i teraz *Ona* robiła pierwszy krok... Dokonało się. Stali na brzegu, ścierając z siebie nawzajem wodę, smagli i weseli. Lecz ich śmiech nagle cichł i na krótką chwilę znów wbijali bielma w rzekę, w stronę tamtego, niepokojącego ich brzegu.

Osobiste nieszczęścia są sprawą prywatną: jako delikatne i mgliste w odbiorze słuszniej jest je zostawić dla siebie. Lecz co zrobić, jeśli

nie wszystko jest rozumiane przez ograniczone i jednostronne doświadczenie?

Gdy poprzez czas ujrzałem kopacza, stał oparty o łopatę i odpowiedział mi, że się śpieszy i musi kopać. Stał w podkopie. Lampa dawała słabe światło. Pamiętam: powiedział, że się śpieszy. Lecz może on też *widział*? I może jemu też było ciężko w podkopie i tak samo chciał zrozumieć mnie, który się przed nim zarysowałem, jak ja jego.

Być może ujrzał mnie przez warstwę dni i lat, i oto stał oparty o łopatę i patrzył, jak na szpitalnym łóżku w malignie leży pogruchotany człowiek, leży twarzą do góry i nie może się obrócić. Możliwe, że w tym momencie chcieliśmy od siebie tego samego: on, mając nadzieję na moje, ja – na jego widzenie i siłę, obaj bezsilni, co określało nasze innocentne zetknięcie. On kopał, a ja leżałem w malignie. Raptowność wyostrzyła naszą czujność. Nie zdążyliśmy się ucieszyć. Każdy zamknął się w sobie i nie wyszedł poza – było to najważniejsze w tym krótkim spotkaniu. Spotkaliśmy się... Dusze milczały, nie zdając sobie sprawy ani z wzajemnego strachu, ani z zagrożenia zarażenia cudzych uczuć, które przecisnęły się wprost przez warstwę wieków.

– Śpieszę się. Trzeba kopać... Czego ode mnie chcesz?

I zamilkł. A przecież nie rosząc sobie do niczego pretensji i nie robiąc nadziei, chciałem jedynie znaku albo półsłówka, nic więcej, i przecież nie tylko ze względu na siebie. Nie było we mnie skrzętnie ukrytego pragnienia ingerencji w cudze życie.

Czekałem, aż ten niekontakt okaże się czymś albo chociaż w coś się przeobrazi: bez względu na to całe milczenie, wiązka ukierunkowanych wysiłków już poszła w ruch i się złączyła. Chory wierzyłem w to, i nie tylko dlatego, że fizyczną naszą słabość i nasz pat rekompensujemy sobie wszędzie tam, gdzie tylko możemy. Nawet jeśli odejście od własnej rzeczywistości jest czymś niepoprawnym i wstydliwym, to przecież psychika, jeśli już nie daje rady, sama wyzwala się w metamorfozie.

\* \* \*

Wyrażanie samego siebie nie było zemstą za jakieś rozczarowania. Piekałow nie posiadał ziemi, lecz jej piędź: jak na bohatera był zbyt młodym kupczykiem, zbyt mialki i spreczny jak na fanatyka i zbyt nieposkromiony jak na totalnego nieudacznika; wobec nich był ze wszech miar

mały, jednak dorównywał im wszystkim swoim upartym kopaniem. Potwierdził naturę ludzkiej tajemnicy, która odsłania się dopiero w tych chwilach, gdy człowiek się o siebie nie troszczy.

Zdrowy rozsądek zaś umniejszał: jaka znowu tajemnica, nonsens, bardzo możliwe, że tam nic nie ma i nie było prócz tej kudłatej małpy, kosmatej i z krzywymi łapskami, która zlazła z drzewa i stanęła na dwóch tylnych tylko dlatego, że dzięki temu mogła łatwiej i zręczniejsze napęlić brzuszysko. Bardzo możliwe, że twój Piekałow jest twoim własnym urojeniem i że podświadomie każdy chciałby zostać mędrcom, dla którego żywe i święte jest tylko to, co minęło. Wówczas nasze dni również są tylko tym, co przeminie.

## 8

Człowiek, a jest już po czterdziestce i jego imię nie jest ważne, zatrzymał się w polu, następnie stanął z boku (zmienił perspektywę) i patrzy.

Szuka pewnej zbieżności, która go niepokoi, ponieważ setki lat temu tak samo stali i patrzyli ci, którzy to miejsce wybierali. Można być pewnym, że widzieli to samo co on – *widzieli*, ponieważ miejsca dla wsi nie wybiera się w pojedynkę. Człowiek, a jest już po czterdziestce i jego imię nie jest ważne, przyszedł od strony drogi; należy sądzić, że *oni* też stamtąd przyszli, chociaż drogi wtedy jeszcze nie było.

Zobaczyli te dwie niewysokie góry: jedną zeszlifowaną przez czas, a drugą z bardziej lub mniej ostrym grzbiem. Zobaczyli także dwie zbiegające się rzeczki, nie, można uściślić – zobaczyli tylko Marczenówkę, choć wtedy nie miała nazwy, zobaczyli ją i powiedzieli: patrz, cała jest w kępach drzew. „Nie schnie przypadkiem?” – „A skąd. Zielona jest!” I ruszyli ścieżką ku tym drzewom (ścieżki nie było, szli na szagę). A gdy się zbliżyli, zobaczyli drugą rzeczkę, całkiem małą – Bierluziak, która wpadała do Marczenówki, ukrytą przez drzewa i górę z wyciągniętym grzbiem.

Gdy podeszli jeszcze bliżej, oczywiście spróbowali wodę, przejrżeli korzenie, aby ocenić wiek i vitalność drzew, którą (witalność) ostatnie zawdzięczały wodzie. Przyszli właśnie tu i nie od strony gór. Gdy zobaczyli drugą rzeczkę, nie mogli się nie ucieszyć, jeszcze się upewnili: tak, dwie! – co oznaczało, że jedna nie wysycha i przy wyborze mogło

to mieć decydujące znaczenie. Szerokość Marczenowki i Bierluziaka wynosi od trzech do czterech metrów, ale wody jest sporo, wystarczająco. Wtedy też, podekscytowani po części już podjętą decyzją, zaczęli patrzeć jak gospodarze, możliwe, że pojawiła się nawet ekscytacja: „Tu dom postawię”, „To ja tutaj będę”. Teraz, z perspektywy czasu, wiedział i nawet precyzyjnie mógł wskazać, kto gdzie w końcu stanął. Nie było ich wielu. Znał wszystkich z nazwisk, które powstały z imion i przezwisk. Sam nosił jedno z nich. Zadziwiające było, że wymarła wioska dawno została zburzona, lecz to nie oddaliło, a wręcz zbliżyło go z nimi, i pierwszym zbliżeniem, detalizacją był fakt, że na gołej przestrzeni (bez chat) widzi teraz to samo, co widzieli oni, pierwsi.

Zagłębiając się, mógł zobaczyć, co i jak oni wybrali, z tej strony czasu obejmując spojrzeniem rysunek ziemi bez chat, płotów, ogrodów i posadzonych drzew. Drzewa, które stały wzdłuż drogi (głównej i jedynej ulicy) popadały, pozostały tylko te, które już były – nad rzekami. Takie to było miejsce, takie *bezdomie* piękno. Takim się im spodobało. Jedna płaska góra, druga z grzbietem i stokami, na których później rozpostarły się nadrzeczne ogrody.

\* \* \*

Można powiedzieć, że zobaczył ziemię *do* człowieka. W końcu to mieszczanin i przecież nie przyjechał opłakiwać dawnej wsi, tylko po- być tutaj w nieokreślonym dla siebie stanie, bez żadnych spraw i celu, jeśli nie uznawać za cel chęci zobaczenia tego właśnie *do*. Nie było wioseczki w tych odległych czasach i teraz też już możemy powiedzieć, że jej nie było.

Między jednym *nie było* a drugim ulokowało się całe życie wsi, a więc ulokowali się i wyczerpali ludzie, historie, losy, namiętności, narodziny i śmierci aktorów tej sceny; wyczerpała się także dekoracja tego niepozornego, aczkolwiek ładnego i długiego teatru: chata. Wioseczka miała swoje narodziny, wzrost, możliwe, że także imponujący szczyt, teraz jednak, wymarła, ma swój wieczny niebyt, a człowiek, który tutaj przybył, w znanym, starym znaczeniu tego słowa znajduje się w jej życiu pozagrobowym. Urodzony i mieszkający w mieście, mający dzieci (urodzone i mieszkające w mieście) oraz, mimo życia wsi, mający jakby kolejny i inny wymiar swojego bycia, a jednak

upatrujący w przyjeździe tutaj jakiś cel – czyż jest tu żywym i czyż nie jest *marą*?

Słowo nie zaskoczyło go, ale rozbawiło: mara...! Uśmiecha się radośnie i w pewnym sensie beztrąsko, z teczki wyciąga butelkę. Ma przy sobie znakomity otwieracz z zamykaczem, który nie tylko odkorkowuje butelkę, ale w zależności od preferencji pijącego daje także możliwość ponownego, bezpiecznego jej zamknięcia po kilku łykach – napoczęty trunek może sobie spokojnie leżeć na przykład w aktówce do następnej chwili. Sedno: można nie pić wszystkiego na raz, nie upić się, widzieć wyraźnie, chodzić prosto, a więc przeżywać życie, utrzymując przy tym stan upojenia na tym samym poziomie; szczególnie ważne dla niego jest, aby zachować uniesienie i ostrość odczuwania. Po pociągnięciu z butelki zgodnie z planem schodzi nad rzekę, jak schodzili w swoim czasie oni, przodkowie.

Podążając w ślad za nimi, chowa butelkę do aktówki. Schodzi. Zapali sobie na dole, po czym upojenie rozleje się mu po całym ciele i w lekkiej alkoholowej euforii na świeżym powietrzu nawet zamruczy jakiś nieoczekiwany dwuwiersz z dzieciństwa. Jeśli jednak łyknął zbyt mało i upojenie zacznie opadać, osiadać, będzie mógł od razu zainterweniować, nie wychodząc ze stanu radości, ale też nie wchodząc w pijaństwo, ponieważ musi jeszcze wrócić.

Przeszedł pod wierzbami, szukając nad wodą płaskiego kamienia (były dwa, białe i płaskie, tworzące jeden), gdzie jego prababka, praprababka i prapra... płukały bieliznę – kobiecie los, sznur złączonych kobiecych twarzy, rodzących, rodzących, i znów rodzących. (Z pewnym uproszczeniem można powiedzieć, że konsekwentnie rodzili właśnie jego). Zapalił, zapija wodą z Marczenowki, zaczerpnął w dłonie i pije, a następnie wchodzi wyżej – koniecznie napije się jeszcze z Bierluziaka, woda niby ta sama, a jednak. W ten sposób wydłuży swoje zauroczenie miejscem, w istocie po to tu przybył, pobędzie i tam, i tu; jest *marą*, której dano dzień, dwa na tej ziemi, więc rozciąga te dni jak może, cóż w tym dziwnego.

Rozciąga i chwilę. Siedzi na płaskim kamieniu, pali drugiego papierosa i z ukosa patrzy na cichą wodę. A gdy obok skrzypi nad wodą drzewo – n-nnn-n-nnny... nn-nny (uczłowieczony szczegół: jęczy stara wierzba) – zaczyna szukać w duszy odzewu. Chce reakcji. (N-nnn-n-nnny...) Jęk narasta, wypełnia mu uszy, lecz ból nie nadchodzi,

nie nadchodzi też wyczekiwane wzruszenie. Co więcej, pojawia się myśl, że drzewo wcale nie jęczy w tęsknocie za przeszłością. Jęcząc, ono woła!

Kiedy *oni* zeszli tutaj, aby zobaczyć, czy woda przypadkiem nie wysycha, prawierzba tej wierzby, gdy ich zobaczyła, tak samo skrzyiała i jęczała, może nawet mocniej, gwałtowniej. Natura przywołuje, jak przywołuje w ogóle pierwiastek żeński, pragnie wspólnoty z człowiekiem, ciągnie ją do niego. A gdy człowiek przychodzi, zaczyna się wspólne życie, niezupełnie takie, albo nawet zupełnie nie takie, jak sobie wyobrażała na początku: starcia i kłótnie, urazy, a także zniszczenie i wyczerpanie żeńskiego pierwiastka natury aż do niepłodności. W życiu jak to w życiu. I mimo obarczenia smutnym doświadczeniem nierozumna wierzba znów jęczy, przyciąga swoim wdziękiem, wabi człowieka, chce spróbować ponownie; może woła po raz ostatni, aby wykarczował, zaorał, wyjadł, zniszczył, nie rozumie tylko, biedna, że w pewnym sensie przyszedł do niej teraz nawet nie człowiek, a mara.

Przez pierwsze dwa lata w opuszczonej wiosce, a właściwie nad wioską krzyczą ptaki. Przez rok i przez kolejny z nastaniem wiosny krzyczą (a nawet jęczą i lamentują) nad dawnymi polami i ogrodami, gdzie po orce powinno być robactwo – ich pożywienie. Ptaki przyleciały z przyzwyczajenia, po prostu, po domowemu, lecz nie znajdują pokarmu. Długo krzyczą. Potem milkną i lecą ku domom, a tam co rusz wzlatują i przenoszą się z miejsca na miejsce, gdzie pojawiły się już mrówki, pająki i karaluchy – cała ta rozbiegana drobnica wypełza z zakamarków już w pierwszą samotną wiosnę, gdy tylko słońce przygrzeje. Szukają ludzkiego ciepła. Towarzyszące człowiekowi owady, najdrobniejsza jego świta, żyła w wymarłej wiosce przez cały rok, teraz jednak ptaki je wydziobują.

W drugim roku i na drugą wiosnę ptaki znów przylatują i krzyczą nad polami i ogrodami, ale już niedługo. Przypominają sobie, lecą do pozostałości po domostwach, chlewach, piwnicach i szopach, siadają, rozsiadają się i dopiero teraz dostrzegają, że nie ma nawet wyjedzonych przez nich zeszłej wiosny bądź wymarzłych zimą owadów. Zaczyna się niezwykle krzyk cierpienia. Czują, że więcej tu nie mieszkają i mieszkac nie będą, i że już nie ma po co tu przylatywać. Krzyczą po raz ostatni. Długo. Krzyczą nad opuszczonymi siedzibami ludzkimi, a ten, kto to słyszał, potwierdzi, jak bolesny jest ich krzyk na drugą wiosnę.



Po kamieniach przekroczył Marczenówkę, wszedł na górę i przeszedł przez nią przy samym grzbiecie, aby tam stanąć i objąć spojrzeniem okolicę. Na stoku płaskiej góry wyraźnie dostrzegł rozległy (rozpostarty) kwadrat, prawie prostokąt – cmentarz. Rosła tam mięta i tarnina. Krzyże stąd były dostrzegalne.

Pozostawiony bez opieki ciemnozielony prostokąt z roku na rok tracił swoją prawidłowość i kształt: wpierw mięta, a wraz z nią krzew cierniowy stopniowo rozpełzły się wszecz, za to jako ustępstwo wewnątrz prostokąta odznaczyła się biaława łysina. Po kolejnych kilku latach łysina zwiększył swoją powierzchnię, rogi ulegną wygładzeniu, a krawędzie rozejdą się jeszcze bardziej. Wówczas prostokąt cmentarza, już mocno zniekształcony, przemieszczający się jako całość z pomocą nasion i pędów, zamieni się w nieregularne koło, a wtedy łysina jasnego pioletu i białej ostnicy stepowej ostatecznie rozerwie ten pierścień od wewnątrz. Zostaną tylko pojedyncze zielone strzepy mięty, rozproszone krzewy cierniowe – zniknie kształt, rozpełźnie się i nic nie będzie świadczyć o tym, że tu leżą lub leżeli ludzie.

Cmentarz postanowił zostawić na sam koniec. Idąc wzdłuż Bierluziaka, gdzie były jeszcze resztki perci, doszedł do miejsca, w którym rzeczkę niegdyś przecinała droga. Przecinała także teraz, nie zarosła. Płaska góra z ciemnozielonym prostokątem cmentarza była stąd widoczna na tle nieba, co od razu przypomniało mu pochod na cmentarz ze staruszkim Korolem: szli długo, mężczyźni nieśli trumnę, wlekło się za nimi stadko staruszek, a trochę dalej szła dziatwa; on, chłopiec, stał w tym miejscu z rozdziawioną buzią, na pogrzeb przyjechał pop z Nowo-Pokrowki, gdzie była cerkiew. Wspomnienie związane z górą zrobiło się nadmierne, przez co nawet z radością zostało zakryte przez inny obraz, obrazek. W miejscu, gdzie droga przecina rzeczkę, nie dochodząc do wody, był wydeptany skrawek ziemi, rodzaj zatoczki, być może w celu mijania się jadących z przeciwnych stron, a on i brat szli wtedy akurat obok siebie.

„Hej...!” – usłyszeli z tyłu, obejrzeni się i ustąpili. Wóz zaprzęgnięty w parę żwawo szedł pod górę. Woźnica strzelił batem i przyspieszył, aby za rzeczka przeskoczyć wzniesienie jak na skrzydłach. „Hej!” Razem z bratem zeszli na bok właśnie tu, przy rozszerzeniu drogi (powtarzając

teraz, zrobił krok i jeszcze pół, i jeszcze, aż stanął dokładnie, zbiegł się z przeszłością). Wóz zatarabanił, po czym z ziemi podniosła się chmura białego pyłu, a on i brat stali w niej, mrużąc oczy. Słońce przygrzewało. Konie i wóz były już po tamtej stronie rzeki, tam teraz skrzypiały koła i stukwały kopyta, a oni wciąż stali w białym, nieopadającym kurzu. Miał sześć lat, brat – pięć. Może pięć i cztery. Dwaj chłopcy cały czas stali, stała również chmura kurzu. I stoją tak już czterdziesty rok z przymrużonymi oczami w nierozrzedzającym się pyłe.

Mieszkał tu jeszcze przed szkołą, a potem nawet nie zajeżdżał. Przemieszkiał jedno lato, drugie, następnie wyjechał i można przyjąć, że na wiele lat zapomniał, nie pamiętał i że przyjechał dopiero wtedy, kiedy już nie było dokąd przyjeżdżać. Tak się złożyło. Jednak ta strona przyjazdu (odwrotna) nawet mu się podobała: odwiedzał teraz swoje *dzieciństwo w czystej postaci*. Mógł dobudować i zaludnić tę pustkę (przy całkowicie zachowanej geografii) tym, co tu było, bez żadnych innowacji, a przecież w przypadku, gdyby wieś jeszcze przetrwała, innowacje byłyby całkiem prawdopodobne i trzeba by je zestawiać, porównywać, co byłoby kłopotliwe. Gdyby wioska istniała, na przyzbie mógłby siedzieć dziadek, obcy, czyjs, szybko postarzały, ubrany w zużyty, ale miejski i całkiem nowoczesny sweter od wnuka (trzeba byłoby go powoli zdzierać, przeciskać się w tamte, w swoje czasy bez naleciałości). W jakiejś wsi widział nawet babkę, która siedziała ze słonecznikiem na przyzbie. Babulka była w spódnicy i starych džinsach.

\* \* \*

Doszedł po drodze do domu, a właściwie do pozostałości domu, choć teraz to dla niego dom w tym sensie, że zachowane zostały następujące kierunki:

można wyjść (z domu) drogą na prawo,

można wyjść drogą na lewo,

można zejść z tylnego ganku przez ogród; w każdym kierunku jest (albo zostanie odnaleziona) słodycz: po drodze na prawo będzie to, oczywiście, zatoczka, piędziesiątka ziemi z wieczną chmurą kurzu i dwoma chłopczykami, a jeśli przez ogród i w głąb, to tam rośnie zwyrodniała i zdziczała, ale ciągle ta sama porzeczka, ciągle jego własność i niczyja więcej. Dzieci bawią się w zabawy dorosłych, a dorośli w zabawy

dzieci. Więcej nawet: on się nie bawi, on na poważnie – nie wspomina, lecz żyje, choć nie jest to już jego życie.

Mara, dusza, która tu przyfrunęła, w wyobraźni wierzących zapewne tak samo może lecieć nad ziemią i mówić, przypominać sobie słowami: tutaj moje ciało poszło do szkoły, a tu mieszkalem, tu – jam grzeszny – po raz pierwszy byłem z kobietą, a oto duży i elegancki szpital, w którym moje ciało umierało. Jako przyjezdny jest nawet szczęśliwszy niż zwykła mara, ponieważ miejsce jest niezajęte: nie ma nowych budynków, które zasłaniałyby widok, i nie przeszkadzają aktualnie żyjący i wiecznie zabiegani ludzie.

Przy domu swojego pradziadka siada na – jak to nazwać? – resztki fundamentu, ponieważ dom został zburzony. Domy zostały zburzone, jednak ich kamienne fundamenty częściowo, na trzydzieści, czterdzieści centymetrów (i jak się siedzi, mój drogi?) wystają z ziemi. Gdyby nie zaniedbanie, wyglądałoby to na początek, a nie koniec. Szybki i odgórny rzut oka podpowiada, że te dwadzieścia pięć (dwadzieścia osiem?) domów zaczęto dopiero budować: wieś jest mała, wszystkie dwadzieścia pięć fundamentów częściowo już ułożyli, wykonali, bali tylko nie przywieźli, może nawet jeszcze nie ścięli i dlatego nie postawili na tych kamieniach. Poszukał ptaków na niebie – nie ma żadnego, niebo jest jasne, a z lotu ptaka (po odbiciu się od szybującego punktu) wszystkie dwadzieścia pięć fundamentów wyglądają teraz jak plan, jak *rzut z góry*: widać dom, wewnątrz domu piec (również ma czterdzieści centymetrów wysokości), przy chacie jest chlew i niedaleko piwnica. Jest wszystko.

Gdy potrzebne były materiały budowlane, przegnitą wioseczkę ścięto u samego dołu, zdemontowano do wysokości trzydziestu-czterdziestu centymetrów, jednak nawet z rozmontowaną górną częścią, wioseczka istnieje jeszcze w dwóch wymiarach. Utracone zostały ptaki, nie ma wysokości i niebo jest bezdenne: pełne zwycięstwo płaszczyzny.

Przeszedł obok piwnicy – ta zapadła się dawno temu, głęboka była, *zagrzebane* jedzenie przechowywano tu zimą i latem. Obecnie dół się obsypał, więc gdyby nawet w nocy (w nocy musi wyjechać) wpadł do niego, nic złego się nie stanie.

Znowu siada na resztkach pradziadowych murów, teraz już nie po to, aby poprzez dotyk doświadczyć wspólnoty, lecz by coś zjeść. Bierze łyka i wyciąga z aktówki prowiant. Przeżuwa, siedzi na wpół obrócony,

aby patrzeć na ulicę, jedną jedyną ulicę, białą i zakurzoną, z szeregiem domów. Po drugiej stronie była kuźnia i dwie długie stodoły z bardzo dobrego kamienia: nie zostało tam nawet czterdziestu, nawet dziesięciu centymetrów – kamień wywieźli, wyciągnęli z ziemi, zostawiając płytkie rowy, które już zdążyły porosnąć burzanem. Burzan jest wszędzie. Miejscami osiąga wysokość człowieka – rywalizuje z nim tylko wieczny spokój oraz piołun ze swoimi sterczącymi tu i tam miotłkami.

\* \* \*

Siedzi na ciepłym i nagrzanym murku i je jajka na twardo, duże, mięsiste, lokalne pomidory, posypując je solą z pudełka po zapałkach i zapijając trunkiem. Czuje sytość, nogi odpoczywają po wędrówce, jego myśli stają się myślami człowieka sytego, nawet bardzo sytego, jak zresztą przystało na marę, której myśli już od początku są nieostre. Jest mu obojętnie. Świetnie rozumie, że *oni*, trzech czy czterech, którzy w swoich odległych czasach planowali zbudować, założyć tu wioskę, że oni byli *odchodzącymi*; by tu przyjść, musieli skąd odejść, tak że wtedy też ktoś użalał się nad wysiedzianym miejscem i utyskiwał: gdzie się pchasz jeden z drugim, siedź, gdzie siedzisz (ciągle coś muszą wymyślać!). Zawsze marudzili i zawsze odchodzili, nie ma tutaj konfrontacji, nawet głupoty, jak by się dobrze zastanowić, zawsze robili. I dlatego, przymierzając się (i przymierzając), nie pomyśleć, że natura odpoczywa od człowieka, że ziemia dopiero teraz może złapać oddech, gdy domy zostały zburzone: w innych miejscach orzą, kopią studnie, wbijają pale, wysadzają, wgryzają się w glinę, w kamienie, za to tutaj rośnie piołun i burzan, panuje zapomnienie... Przynajmniej tutaj niech ziemia odpocznie.

Powolnym krokiem przemierza wioskę: tutaj Korolowie... tu Gruszkowowie... tam są Jaryginowie... Trubnikowowie... – sami krewni. Schodzi z drogi, przechodzi wprost przez inną czterdziestocentymetrową ścianę i znajduje się jakby w gościach u prawuja (dziadek wujeczny matki), mara w gości może nawet chodzić – wchodzi, wchodzi, tam nogi wytrzym – jest teraz w izbie. Ścianki wewnątrz domu stawiano oczywiście drewniane i nie zostało po nich ani śladu. Odgaduje drogę z izby i *prawidłowo* wchodzi do pokoju dziecięcego. Widzi swojego dalszego kuzyna Sieriożę – jeszcze raz może zobaczyć, jak umiera sześćioletni

chłopiec. Sieriożę też przywieziono tu na lato, aby powdychał świeżego powietrza i napił się wiejskiego mleka, mleko się jednak spóźniło i miesiąc później Sierioża zmarł na zapalne płuc. Na tym łóżku. Łóżko z metalową siatką stoi nie w wyobraźni, lecz na jawie. Matka z ojcem przywieźli je z miasta razem z synkiem. Uważali, że chłopcykowi będzie niewygodnie na ławce i duszno na piecu.

Teraz, gdy drewno zgniło, łóżko jest jedynym łóżkiem w wiosce. Stoi tu, gdzie stało, z roku na rok pograżając się coraz bardziej w ziemi, w której od dawna, od czterdziestu lat leży jego chłopiec. Metalowa siatka znajduje się już tylko na dłoń nad ziemią, a wkrótce całkowicie w niej zniknie, utonie. Dotknął – żelazo było zardzewiałe i zwietrzałe, schodziło z oparć całymi płatami jak skóra węża. Za dwa lub trzy lata pozostaną tylko sterczące oparcia, siatka utonie, zostanie pokryta prochem, a między oparciami łóżka będzie ziemia.

Zimą Bierluziak zamarza do dna, a śnieg zasypuje czterdziestocentymetrowe pozostałości fundamentów, ogrody z zachowanymi jeszcze miedzami, pozostałości po studniach oraz piwnicach i łóżeczko z metalową siatką. Pojawia się granica urzeczywistnienia: jest tyle śniegu, że nie ma nawet mowy o dawnej obecności, nie było tu żadnego człowieka – co za odpoczynek dla ziemi, co za szczęście. Pole i kilka drzew. Kiedy wierzby okryje biały puch, zawieja będzie spływać na nie jak lawina, pędzić ogrodami w dół, nawet nie podejrzewając, że one tu są, zlatywać z płaskiej góry i szaleć w przestworzu. I tak do wiosny.

Latem po tamtej stronie rzeczki – o, tam – widzieli z Sieriożą Cygankę. Bóg jeden wie, jak ona się tu dostała. Nie zbliżała się do wioski. Nie chciała podchodzić do ludzi albo chciała być w pobliżu tylko na wypadek nieszczęścia. Podeszła do rzeki, usiadła i zaczęła rodzić. Sierioża złapał oddech (nawet latem był ciepło ubrany) i wyjaśnił: „Zaraz będzie niemowlak”, po czym cała piątka dzieci stanęła jak wryta, uważnie obserwując i cierpliwie czekając. Cyganka nie machnęła na nich, nie krzyknęła. Podeszła do rzeczki, pościeliła przed sobą czystą szmatkę i spokojnie usiadła. Spódnica przykryła wszystko aż do stóp, żadnej sromoty ani nagości. Twarz miała czerwoną, lecz nie purpurową. Nie przeżywała też żadnej szczególnej męki. Zdaje się, że ani razu nie krzyknęła. W końcu na szmatkę wyskoczył, ze stukiem wypadł wyparty kawałek ciała. Niemowlę ani nie pisnęło, jakby nie chciało wydać

mamy. Nawyk. Cyganka oporządziła się i usiadła na trawie. Wyjęła z torebki papierosa i zapaliła. A gdy wypaliła, zajęła się dzieckiem, bo trochę teraz popiskiwało. Owinęła go w szmatkę. Wstała. I odeszła. Przed odejściem zerknęła na stojące w oddali dzieci i – dobrze to pamięta – mrugnęła do nich z pewną nawet wesołością: takie życie. Nie, po papierosie napiła się jeszcze wody z rzeczki i dopiero potem poszła z dzieckiem w stronę pociągu, skąd przyszła, nie chcąc podchodzić do najbliższej chaty. Spieszyła się na pociąg... Na myśl o pociągu przyjezdny – już po czterdziestce i imię nie jest ważne — od razu spojrział w niebo: tak jest, zanim dotrze stąd do miasta i hotelu, będzie już ciemno (na cmentarzu nie był, w takim razie jutro).

Dopił butelkę i rzucił ją w krzaki, a drugą postawił w chłodnym miejscu, w kącie zrujnowanej pradziadowej ściany, aby przyjąć i wypić ją tu jutro (przecież nie zabierze jej z powrotem do hotelu). Jutro jest ostatni dzień, więc zastanawia się, kogo jeszcze odwiedzić w tym małym, rodzinnym mieście. Kogo odwiedzić i jak zdążyć, zmieścić w jednej dobie jedno lub drugie spotkanie plus jeszcze jeden przyjazd tutaj, nawiedzenie cmentarza... (Jest już jakiś związek z pozostawioną tu na jutro butelką). Nie, do wszystkich nie da rady. Jednych odwiedzi, a drugich będzie musiał *urazić*, w końcu jak każdy przyjezdny nie ma czasu i ma prawo nie zastać w domu. Zaklął, bo zauważył, że nie uszedł nawet stu metrów, a już w głowie ma krzątanie i wyliczenia. Nagle widzi, że stoi na zarośniętej trawą drodze.

Dobra, mówi sobie, godząc się z tym, że odwiedzi tego, kogo zdąży. Z czterdziestką na karku człowiek ma już dość tych starań i wiecznego poprawiania się. Pewnego dnia po prostu mówi sobie i swojemu sumieniu (i jeszcze komuś trzeciemu): dobra, jestem, jaki jestem. Dobrze jest, jak jest.

\* \* \*

Walentina jest krawcową w zakładzie (jej męża zabiło na budowie ucho dźwigu, syn jest w wojsku, a córka w ósmej klasie). Do hotelu wstyd jej było przychodzić, ponieważ zbyt wielu w miasteczku zna krawcową z widzenia.

– A może chcesz, żebyśmy razem pojechali na ruiny twojej wsi?

– Hm.

– Z przyjemnością pojadę. I spędzimy tam cały dzień, prawda...? Jak by nie było jesteśmy w końcu przyjaciółmi z dzieciństwa!

Przyjaciółmi z dzieciństwa oni nie byli. Fakt, że mieszkali blisko, lecz nawet w szkole chodzili do różnych klas. W jego dzieciństwie nie ona nie znaczyła – była dziewczynka Wala i tyle. Teraz zaś ta czterdziestoletnia kobita, krzepka, ładna, pojawiła się na samym początku jego wizyt rodzinnych i nie chciała się z nim rozstać. Wszędzie byli we dwoje. Gdyby nie odwiedziny na ruinach wsi, sam przykleiłby się do niej na stałe: mówili sobie nawzajem wiele i ze szczególnym, szczerym uczuciem, gdyż nikogo innego z dzieciństwa już tu nie było.

W mieszkaniu Walentyny spędzili czas przyjemnie, choć krótko – przyszła córka-ośmioklasistka i spłoszyła ich uczucia. Wstał od stołu i jakby od niechcenia zasugerował, że jeśli chcesz, możemy zajrzeć do mnie do hotelu. Zajrzemy, a potem będziemy kontynuować wspomnienia. „Nie, coś ty! Do hotelu w żadnym wypadku!” I cała czerwona bąknęła: coś się wymyśli. I wymyśliła: pojedzie razem z nim.

A wtedy zaczął go od wewnątrz gryźć robak.

Do pociągu mają dwie i pół godziny (podobnie jak wczoraj do dawnej wioski trzeba jechać lokalnym pociągami). Po zakupie biletów zabijają te dwie i pół godziny siedzeniem nad rzeką. Jest gorąco. Dokuczliwie. Rysuje gałązką na piasku jakieś linie, gryzmoły, a robaczek od wewnątrz gryzie go coraz mocniej: jakim cudem, osioł jeden, zgodził się na wspólny wyjazd? Żółtodziobem nie jest, doskonale zdaje sobie sprawę, po co tam jadą. Wiele razy w życiu był wdzięczny losowi i takim zbiegom okoliczności, lecz tym razem jest zły. Poza tym jest gorąco. Irytacja rośnie: co to ma być? Co za wieczna historia o delegacji i kobiecie, i co za zadziwiająca stałość finałów? (Jakby nie można było się obyć bez *tego*). To oczywiste, że Walentyna jest ładna i uroczą, poza tym spotkanie z dzieciństwem, wspomnienia i tak dalej, nikt nie przeczy. Ale od tego przecież jest hotel, korkociąg i butelka wina, *ciepłe danie do pokoju*, miastu oddaj, co należy do miasta, a nie tam, po co ją tam wieźć? Nie, tylko nie *tam*.

Siedzi na resztkach cegieł i obmyśla, jak pozbyć się przyjaciółki z dzieciństwa. Gryzmoły na piasku robią się coraz bardziej gałęziste i wyrafinowane. Myśli. Ma jeszcze czas.

Walentyna jest obok. Patrzy na Ural, na jadące po moście samochody.

– Cieszysz się, że jedziemy razem?

- Tak. (Mówi żywy, podczas gdy mara obmyśla).
- A wiesz, że przy moście było podziemne przejście? Pod rzeką.
- Wiem. (Rysuje).
- Jakiś szaleniec przekopał. Też opowiadali ci w dzieciństwie?
- No.

Słońce przygrzewa. Mrużąc się, spogląda na jej mocne kolana przykryte kretonową sukienką: na pierwszym planie ma pełną opaleniznę krzepkich nóg o atlasowej skórze. Jest dobrze zbudowana, w rozkwicie sił, dlatego z bólem serca decyduje się na swoje przyszłe przeniewierstwo i rezygnację. Odwraca spojrzenie. Postanowił uwolnić się od niej (od podróży z nią) i teraz szuka słów i wymówki, może być nawet lekka kłótnia, którą później jakoś załagodzi listem z daleka, ładną pocztówką.

– Tutaj kapliczka jeszcze stała – z ochotą podejmuje teraz co rusz gasnącą rozmowę (kłótnia powinna wyniknąć sama z siebie) – z obrazkiem, na którym ten szalony kupczyk leciał do nieba. Aniołowie go nieśli pod ręce, pamiętasz?

- Zniszczyło się wszystko.
- A pamiętasz miejsce, gdzie ona stała?
- No a jak, przecież na niej siedzimy.
- Co ty mówisz! – Prawie że się poderwał. Wstał.

(Dopiero teraz odszukał słowo, wokół którego tak długo dreptał w myślach i z powodu którego nie chciał brać *tam* Walentyny: profanacja. Robak gryzł). Odchodzi, aby spojrzeć z odległości. Faktycznie, resztki wypalanej starym sposobem cegły uformowały niedużą i praktycznie nierozpoznawalną kupkę. Prawie zrównały się z ziemią. Wygodnie się już na nich siedzi. I rośnie burzan.

- No tak – wypowiada głęboką myśl. – Czas to czas.
- Zapadła się na początku wiosny. Ciepło zrobiło swoje.
- Nie wiedziałem.
- Mówią, że przez hałas. Kiedy lód pękał, to strzeliło przy moście, i się rozpadła. Sąsiad stał tam na przystanku i widział, jak się rozlatuje na pojedyncze cegły.

Teraz na tych ceglach siedzi Walentyna, obejmując rękoma swoje okrągłe, mocne kolana.

Wstaje i nagle biegnie do niego, żeby (z radości?) rzucić się mu na szyję. Nagle. On nawet napina nogi, żeby po męsku przyjąć jej rozbieg i wagę. Walentyna jednak z dziwnym krzykiem – „Kola!



Kola...!” – przebiega tuż obok niego i podbiega do mężczyzny, który przed chwilą zszedł z mostu.

Okazuje się, że to Kola Kukin, jej przyjaciel, wdowiec, człowiek dobry i mieszkający niedaleko.

– Chodźta, ludzie! Dalej, pogościmy się, ludzie! – woła ich dobroduszenie, mocno potrząsając ogromną siatką, w której dzwoni cała jej zawartość, włącznie z butelką.

Kola zaprasza jakby ich oboje, a jednak nie oboje. Jako przyjezdny mógłby ich teraz zostawić i pojechać na ruiny wsi. Walentina się jednak sprzeciwia. Nalega, aby gościli się we trójkę, ale jeśli Kola nie jest dla niej zwykłym znajomym, to po co na dokładkę i on? Po co trzeci? Kaprys czy grzeczność? Znów kategorycznie odmawia pójścia do Kukina w gości, lecz Walentina się uczepiła: a pies trącał te ruiny, wczoraj już tam byłeś, wystarczy! Idziemy, idziemy, pogościmy się u Koli...! I oddali bilety, i poszli.

Dwóch mężczyzn trochę po czterdziestce i kobieta w tym samym wieku siedzą przy stole i piją, powoli, bez pośpiechu. Wdowiec Kola ma swoją połowę domu, swoją ziemię i swoją ciszę. Co rusz dolewa: zobaczymy, kto kogo. Pokłada nadzieję w alkoholu i głównie milczy. Chce uczciwie wygrać: niech się moskwiczyna naładuje i Wala niech sama wybierze z dwóch. Moskwiczyna jednak staje się gadatliwy, po raz kolejny z Walą oddają się wspomnieniom. Jurka wyjechał, Wania wyjechał dawno temu, a Giela? Taka była prymuska, taka rozpieszczona, a wyszła za sowchozowego i teraz tam krowy doi. Kto by pomyślał! (Pamiętasz, jak matka z ojcem ją ubierali...!) Rozmowa jest chaotyczna, lecz coraz bardziej zażyła, i następuje moment, kiedy stopnie odurzenia osiągnęte są łatwo, kiedy uczta trwa, a do wypicia mają całe morze – moskwiczyna (a pamiętasz, jak ojciec Gielki sadził pomidory?) czuje ulgę, że nie musi nigdzie jechać i że będą tak siedzieć i pić rok za rokiem, aż dom Koli Kukina rozpadnie się i rozsypie jak tamta kapliczka.

Nagle jednak wbrew logice wstaje z krzesła i mówi:

– Muszę zadzwonić do Moskwy, skoczę do hotelu.

Odciągają go: „Przecież nie chciałeś dzwonić”. – „Tak, ale muszę... Skoczę do hotelu i zaraz wrócę”. – „Na pewno przyjdiesz?” – to pytanie Koli Kukina, męskie pytanie, na co pada odpowiedź: „Przyjdę...”. Mruga Koli po męsku i szybkim swoim krokiem jak gdyby przyspiesza bieg wydarzeń.

Musi iść pod górę – idzie z łatwością. (Gdy wcześniej się tu wspinali, Kola Kukin szedł pierwszy, ona z tyłu, i jej sukienka trzepotała na wietrze jak sztandar). Nagle ucieszył się, że po pijaku nie zostawił u nich, nie zapomniał swojej aktówki. Idzie na stację, gdzie kupuje bilet i siada do miejscowego pociągu, chyba nawet spóźnionego. Uduje mu się jeszcze pomyśleć, że nieźle się wstawił i w żadnym wypadku nie może teraz przespać tej małej stacji, od której będzie jeszcze musiał iść na piechotę. Jest pijany. Zasypia i prosi siedzącego po drugiej stronie chłopca, by na takiej a takiej stacji szturchnął go nogą.

\* \* \*

Z pociągu idzie w pośpiechu, ponieważ niedługo zacznie się robić ciemno, i dobra jest, jeśli nie zdąży wszystkiego zobaczyć, tylko jak on sobie poradzi w ciemności, kiedy na cmentarzu nawet krzyży nie będzie widać. Nie podoba mu się, że tak się spieszy i pędzi, ale uspokaja go nagle szeroka myśl o tym, że przecież zawsze można tutaj przenocować, przecież jest lato...!

Przemierzył pole, za polem po prawej stronie przeszedł suchy parów z wątlymi drzewkami. Blisko nie jest. Przechodzi także przez nieduże pole z wysoką trawą. A oto pagórek, z którego po prawej stronie widać górę z grzbieciem, a po lewej – tę łagodną z cmentarzem. Zdążył. Za dnia. Ma za sobą kilka kilometrów, stoi cały mokry, ale skoro widok już ma na dłoni, to może przestać się spieszyć, iść spokojnie i się nim sycić.

Idzie na lewo i przecina Marczenówkę, następnie wchodzi na łagodną górę z rozpadającym się i tracącym kształt ciemnozielonym prostokątem. Jest. Albo lepiej i bardziej poprawnie: *sq*. Dlatego że ci, który wybrali to miejsce na wieś, też tu leżą, choć ich krzyży nie ma już od wielu, wielu lat. Krzyży w ogóle jest mało. Można to poczuć: jest cisza wsi, cisza wymarłej wsi i cisza cmentarza wymarłej wsi.

Do zmroku ma w zapasie godzinę lub półtorej – nie za wiele, więc patrzy na to, co można zobaczyć i czyta to, co można przeczytać. Widzi pięć krzyży pochylonych tak, że zaraz upadną, pozostałe piętnaście już upadło – jeden szczytem na wschód, inny na zachód. Te same nazwiska: Trubnikowowie... Jaryginowie... Gruszkowowie... Jeśliby ich nie znał, toby nawet nie rozpoznał, ale zna i czyta z łatwością, widzi, gdzie w nazwisku brakuje trzech liter, gdzie pięciu, a gdzie pozostała

tylko jedna sylaba. Drewno jest poprzężerane przez deszcze, wiatry i robaki, zostało same próchno. Szczególnego pecha mieli Korolowie, ponieważ leżeli na środku cmentarza, a tam tarnina całkowicie już została wyparta przez rozrastającą się łysinę ostnicy i piołunu, krzyże rozpadły się na wietrze jak zmurszałe kijki – jeden duży i dwa małe obok. Całkowicie zaniedbane. Grubość wyżartych i pokawałkowanych krzyży jest boleśnie mała, żałosna, i tylko w niektórych miejscach zwisająca na kijku blaszana tabliczka z dwoma lub trzema literkami mówi temu, kto i tak wie, że tu leżą *Korolowie*.

Granica między Korolami i Gruszkowami jest umowna. I znów: wie o tym tylko ten, kto wie. Nigdy zresztą nie było tu żadnych ogrodzeń ani podziałów, wszyscy leżą razem, jeśli nawet jest jakiś podział na bliskość rodzinną, to tylko z tej naturalnej przyczyny, że mąż chciał leżeć bliżej żony, a ona sama bliżej dzieci, a małego Sieriożę, którego przywieźli z miasta i który tutaj zmarł, nie chcieli kłaść z brzegu i położyli między dziadkami...

Przyjezdny ułamał tarninę i melancholijnie gryzł jej cienką gałązkę. Resztki alkoholu jeszcze działały, ale nie przeszkadzały: brnął przez łysinę ostnicy i wracał do ciemnej zieleni, brodził i tak, i siak, i na chybił trafił, i wygrzebywał z pamięci stary układ, nie dochodząc jednak do jednego jedyne go miejsca – w lewy górny róg cmentarza. Uda wało mu się utrzymać w głowie skomplikowaną więź przypadkowych kroków i omijać róg. To tam byli jego bezpośredni przodkowie. Podejdzie tam później i nawet jeśli zrobi się ciemno, to zobaczy w ciemności to, co ma zobaczyć.

Na razie jednak jest u nich *wszystkich* i jakże daleko sięga i rozciąga się łańcuch imion, i jak krótka jest konkretna pamięć: mało kto będzie w stanie wskazać grób swojego pradziadka, nawet dziadka nie każdy wskaże. U górali kamienne grobowce wskazują niekiedy na tak odległego przodka, że aż dziw bierze; górale mogą się poszczycić, mieszkańcy równin – nigdy. A zatem on, człowiek równiny, ma wielkie szczęście, skoro zna i ma przynajmniej to siedlisko, nawet jeśli jest ono bezimienne – dla niego *to* nie żyje, ale wciąż żywo trwa, by jednak zatrzeć się w dzieciach.

Podchodzi wreszcie do swoich, w górny róg cmentarnego, tarninowego prostokąta, gdzie krzyże, rzecz jasna, też już są powalone i gdzie najwcześniejsza z podwójnych dat (poszukał takiej) przypadkowo okazała się datą zniesienia prawa pańszczyźnianego:

1861 – ...

Kto to był i kiedy umarł pozostaje niewiadomą – wiadomo natomiast, kiedy się urodził. To już sporo. Wśród bliskich krewnych są i tacy, którzy mają tylko ostatnią datę, śmierci:

... – 1942.

Ten akurat zachował też imię: Gleb. Logika nieustannie czegoś chciała, nieustannie czegoś szukała. I znalazła. Był tutaj dość niesamowity upadek krzyż, nawet nie krzyż, lecz to, co po nim zostało – trzy deseczki, które leżały obok siebie i butwiały. Ani imienia. Ani dat. Na blaszce zachował się jedynie trwający myślnik, tak to wyglądało:

... – ...

I nic więcej. Sama wieczność.

\* \* \*

Słońce zachodzi. Purpurowy i nawet intensywnie czerwony promień gładzi górę z grzebieniem. Cmentarz zalany jest różem. Przyjezdny zdaje sobie sprawę, że zaraz będzie ciemno. Ciemnieje tutaj szybko, w ciągu minuty. Dochodzi do niego. Nagle wstaje (i przestrasz, i wyrzut: przecież jeszcze trzeba wracać do pociągu), zrywa się, lecz od razu siada, trzymając się myśli, że kiedy jeszcze będzie mu dane zobaczyć zachód i noc tutaj – nigdy...! Przy okazji przypomina sobie, że wziął z ruin wczorajszą butelkę i ma ją w aktówce. Ona z pewnością umili mu nocleg: nie zmarznie. Otwiera butelkę i bierze dwa, trzy parzące łyki. Zamyka. A gdy dopała, pod sam koniec papierosa, słońca już nie ma.

Pije. Uderzenie alkoholu wstrząsa nim od środka, fala zalewa palce nóg, odbija się i mknie po ciele z powrotem w górę, w okolice serca. Jest ciemno. Noc. Widać gwiazdy. To samo – noc i gwiazdy – widzieli i oni. Co do tego nie ma wątpliwości, to się nie zmieniło. I śmiało może powiedzieć, że teraz, w ciemnościach nocy, całkowicie się z *nimi* zbiega w odczuciach: odnalazł.

Póллеży: ziemia jest ciepła. I oto wstrząsa nim nowe uderzenie: alkohol bierze nad nim górę. Odczekał, lecz za jednym uderzeniem nastąpiło kolejne. Wsłuchuje się w siebie, żeby czegoś tutaj nie palnąć (nawet tu się pilnuje) i przeciera w dłoniach pachnący krzaczek piołunu. Potem nagle wstaje i krzyczy w noc: „Eeej!”. Krzyczy nieumiejętnie, a gdy jego głos zanika w martwej ciszy, pada na ziemię, wciskając

twarz w miętę i odwracając się albo do ziemi, albo do cmentarza, albo jeszcze do kogoś innego, aż niezmężona alkoholem myśl podpowie, że i tu nie udało mu się uniknąć pewnego powtórzenia, że wszystko to jest powszedniością znudzenia i zabawą w wieczność.

I nie przedrzesz się do tunelu. Rozumie to i tym bardziej, przenikliwiej wpatruje się w noc, w ciemność, w przestrzeń. Pieką go oczy, na których nagle wystąpiły łzy: jak bardzo nas, biednych, pogrążono w krzątaninę i ściśnięto, jeśli przyjezdny czterdziestokilkuletni mężczyzna urządza na ruinach takie pożegnanie, dobrze, że ma chociaż to, a co, jeśli człowiek nawet tego nie ma? Gdzie oni teraz są, *gdzie* wciskają twarze w miętę?

Na niebo wytoczył się Orion – i wszystko zamarło; przestronne stało się uroczyste niebo, w którym, jak się zdaje, nie ma miejsca ani dla ludzi, ani dla ich czynów. Przyjezdnemu jednak nie jest lżej: nie ma oczyszczenia. Siedzi nagle trzeźwy, z jasną świadomością. Siedzi długo. Wyciszony myśli o tym, że wcale nie trzeba było tutaj przyjeżdżać i przychodzić. Nie ma oddźwięku.

Bierze aktówkę i zaczyna schodzić na dół, w ciemności idzie stosunkowo szybko.

Chłód podpowiada mu, dokąd iść: ze strony rzeczki czuć wilgoć. A oto i dźwięki. Rzeczka biegnie po kamieniach. Biegnie tysiąc lat. Jednak długość czasu przyjezdnego już nie zajmuje. Przeciska się między wierzbami, przechodzi na drugą stronę i widzi w gwiazdnej ciemności – coś podobnego! – w ciemności bardzo dokładnie widzi starą drogę. Przypiesza kroku, ponieważ może jeszcze zdążyć na pociąg.







dr Krzysztof Tyczko – adiunkt w Zakładzie Komparatystyki Literacko-Kulturowej w Instytucie Filologii Rosyjskiej i Ukraińskiej na Wydziale Neofilologii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu; tłumacz, nauczyciel języka rosyjskiego oraz języka polskiego jako obcego. W pracy naukowej łączy namysł literaturoznawczy i filozoficzny z aspektem praktycznym przekładu. Koordynator translatorskich projektów studenckich.

Кшиштоф Тычко – канд. филол. наук, сотрудник Кафедры литературно-культурной компаративистики Института русской и украинской филологии на Факультете нефилологии Университета им. Адама Мицкевича в Познани (Польша); переводчик, преподаватель русского и польского языков как иностранных. В своей научной работе сочетает литературоведческую и философскую рефлексию с практическим переводческим аспектом. Координатор студенческих переводческих проектов.

Rozprawa Krzysztofa Tyczko, poświęcona twórczości Władimira Makanina, rozpatrywanej w aspekcie hermeneutyki radykalnej jest nowatorska i wartościowa poznawczo. W moim odczuciu stanowi ona znaczący głos nie tylko w rozważaniach na temat twórczości rosyjskiego pisarza, ale także współczesnej prozy rosyjskiej. Interdyscyplinarny charakter pracy wyznacza nowe perspektywy badań nad twórczością autora „Utraty”.

(Z recenzji prof. UP dr. hab. Aurelii Kotkiewicz)

ISBN 978-83-66666-13-9

DOI 10.48226/dwnuam.978-83-66666-13-9\_2020.6